



GENERAL

Robert Muchamore



GENERAL

Robert Muchamore

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

EGMONT

Tytułoryginalny serii: *Cherub*
Tytułoryginału: *The General*

Copyright © 2008 Robert Muchamore
First published in Great Britain 2008
by Hodder Children's Books

www.cherubcampus.com

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2010

Redakcja: *Agnieszka Trzeszkowska*
Korekta: *Anna Sidorek*
Projekt typograficzny i łamanie: *Mariusz Brusiewicz*

Wydanie pierwsze, Warszawa 2010
Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o.
ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa
tel. 0 22 838 41 00

www.egmont.pl/ksiazki

ISBN 978-83-237-3414-7

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

Zabrania się kopiowania i wykorzystywania treści zawartych w dokumencie.
Dokument jest zabezpieczony przed kopiowaniem, dozwolone jest natomiast drukowanie.
Jeśli znalazłeś błąd – powiadom mnie o tym.
Dziękuję za uszanowanie mojej pracy – Hartigan.

ebook:
wydanie pierwsze – 10.2011
przez: Piotr „Hartigan”
hartigan00@interia.pl
<http://chomikuj.pl/hartigan>

CO TO JEST CHERUB?

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

JAKI POZYTEK MA WYWIAD Z DZIECI?

Całkiem spory. Ponieważ nikt nie podejrzewa dzieci o udział w tajnych operacjach szpiegowskich, mogą sobie pozwolić na znacznie więcej niż dorośli agenci.

KIM SĄ BOHATEROWIE?

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem opowieści jest szesnastoletni JAMES ADAMS, ceniony agent, mający na koncie kilka udanych misji. Pochodząca z Australii DANA SMITH jest jego dziewczyną. Do kręgu jego najbliższych znajomych należą: BRUCE NORRIS, KERRY CHANG i SHAKEEL DAJANI. Siostra Jamesa LAURA ADAMS ma trzynaście lat i cieszy się reputacją jednej z najlepszych agentek CHERUBA. Jej najbliższymi przyjaciółmi są BETHANY PARKER oraz GREG RATHBONE, znany jako RAT.

PERSONEL CHERUBA

Utrzymujący rozległe tereny, specjalistyczne instalacje treningowe oraz siedzibę łączącą funkcje szkoły, internatu i centrum dowodzenia CHERUB w istocie zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż nieletnich agentów. Są wśród nich kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarki, psychiatrzy, koordynatorzy i specjaliści misji. Szefem CHERUBA jest Zara Asker.

KOD KOSZULKOWY

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze za małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego. Szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach. Granatowa jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Laura i James noszą koszulki czarne, przyznawane za znakomite wyniki podczas licznych operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, jakie nosi także część kadry.

1. MARSZ

Anarchistyczna organizacja znana jako Street Action Group (w skrócie SAG) po raz pierwszy dała o sobie znać latem 2003 r., kiedy jej przywódca Chris Bradford wtargnął na trybunę podczas demonstracji przeciwko wojnie w Iraku w londyńskim Hyde Parku. Bradford nakłaniał pokojowo nastawiony tłum do ataku na funkcjonariuszy policji, po czym podpalił słomiane kukły wyobrażające premiera Tony'ego Blaira oraz prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a W. Busha.

W 2006 r. SAG miał już rzeszę oddanych zwolenników i był wystarczająco silny, by organizować własne protesty antyrządowe. Kulminacją tychże stał się marsz Letnia Zadyma, jaki w lipcu przeszedł przez centrum Birmingham. Zniszczono wówczas tuziny samochodów, zdemolowano witryny sklepowe, ponad trzydzieścioro manifestantów zostało aresztowanych, a jedną policjantkę raniono nożem.

W ciągu następnych miesięcy zapadły wyroki więzienia dla kilkorga prominentnych członków Sag-u zaangażowanych w organizację zamieszek. Obecność licznych oddziałów policji wszędzie tam, gdzie SAG planował swoje wystąpienia, czyniła inicjowanie agresywnych protestów coraz trudniejszym.

Chris Bradford był mocno rozgoryczony z powodu, jak to nazywał, ucisku establishmentu i agent MIS wysłany z misją infiltracji Sag-u

dokonał wstrząsającego odkrycia – Bradford podjął próbę zdobycia broni i materiałów do produkcji bomb w celu przeistoczenia Sag-u w organizację terrorystyczną.

(Wyjątek z wprowadzenia do zadania dla Jamesa Adamsa, październik 2007 r.).

Był dwudziesty pierwszy grudnia, ostatni piątek przed Gwiazdką. Na tle purpurowego nieba kołysały się sznury kolorowych świateł rozwieszonych pomiędzy wiktoriańskimi latarniami nad zamkniętą dla samochodów londyńską ulicą. Puby wokół stacji metra Covent Garden pękały w szwach, aw wejściach biur dygotały z zimna grupki urzędników, którzy wyskoczyli na papierosa. Nastoletnie dzieciaki przyciskały czoła do witryn sklepów pozostających daleko poza ich zasięgiem finansowym, zaś The Body Shop był pełen mężczyzn o nieszczęśliwym wyglądzie szukających prezentów w ostatniej chwili.

Zakupowicze i klienci pubów na ogół obojętnie omijali ustawioną na ulicy prostokątną zagrodę z metalowych przenośnych barier, choć niektórzy dostrzegali ironię zawartą w scenie, w której dwa tuziny policjantów w odblaskowych kamizelkach zwierzały szeregi przeciwko trzynaścioru demonstrantów za barierami.

James Adams należał do owej trzynastki. Szesnastolatek miał na sobie obszerną wojskową kurtkę i dwudziestoczterooczkowe martensy. Boki głowy miał ostrzyżone na zero, a na jej środku jeżył się postrzępiony zielony irokez ciągnący się od czoła aż do kołnierza kurtki. James zacierał dłonie, zmarznięte mimo rękawic, ignorując nieprzyjazne spojrzenia policjantów.

Chris Bradford stał trzy metry dalej. Potężnie zbudowany, z niechlujną strzechą rudych włosów na głowie, ubrany w workowatą bluzę z kapturem, którą nosił puchową podszewką na zewnątrz, szczyrzył zęby do dwóch wycelowanych weń kamer. Jedną z nich ścisnął w dłoni policjant obchodzący wokół zagrodę z

protestującymi. Druga kamera była znacznie bardziej imponującą bestią i spoczywała na ramieniu operatora z BBC. Przymocowana do niej potężna lampa świeciła Bradfordowi prosto w twarz.

– A zatem, panie Bradford – zagał Simon Jett, reporter BBC. Spod kołnierza jego płaszcza wyzierał węzeł jedwabnego szalika, a z dłoni sterczał mikrofon. – Dzisiejsza frekwencja musiała pana mocno rozczarować. Wiele osób twierdzi, że Street Action Group ciągnie ostatkiem sił.

Zielone oczy Bradforda omal nie wyskoczyły z orbit. Łopatomate dłonie rozczapierzyły się i lekko uniosły, jakby chciały złapać reportera za klapy.

– Kto tak twierdzi? – zawarczał anarchista. – Znasz pan jakieś nazwiska? Adresy? To zawsze są pewne źródła, ale kto to jest? Ja wam powiem kto: to ludzie, którzy robią w gacie ze strachu przed nami.

Jett był zachwycony. Bradfordowskie połączenie lekko agresywnych zachowań i akcentu sprzedawcy z warzywniaka zawsze składało się na świetną telewizję.

– Zatem ilu demonstrantów spodziewał się pan tu dziś ujrzeć?

Bradford ukradkiem zerknął na zegarek i odsłonił zęby w nieszczerym uśmiechu.

– Kłopot w tym, że o trzeciej po południu większość naszej załogi wciąż jeszcze jest w łózkach. Zdaje się, że ustawiłem wymarsz trochę za wcześnie.

Jett skinął głową z udawanym zrozumieniem.

– Mówi pan tak, jakby wcale się tym nie przejmował, ale przecież musi pan mieć poczucie, że SAG stracił wiatr w żaglach. Zwłaszcza jeśli porównać frekwencję na dzisiejszym proteście z ponad tysiącem demonstrantów, którzy wyszli na ulice Birmingham ubiegłego lata.

Bradford złapał za plastikową koronę osłony obiektywu.

– Poczekamy, zobaczymy, panie BBC – zasyczał, wystawiając twarz prosto do kamery. – Nierówność rodzi nienawiść, aw Wielkiej

Brytanii mamy dziś więcej nędzy i nierówności niż kiedykolwiek. Siedząc w swoich ślicznych domkach i oglądając takich jak ja na swoich wypasionych trzydziestodwucalowych plazmach, nie dostrzegacie rewolucji rodzącej się na ulicach. Ale zapamiętajcie sobie moje słowa – niedługo was dorwiemy!

Jett ledwie zdołał powstrzymać uśmiech.

– Czy macie już plan? Kiedy mamy się spodziewać owej rewolucji?

– Za miesiąc, za rok, kto wie? – Bradford wzruszył ramionami. – Sytuacja zmieni się radykalnie jeszcze przed końcem tej dekady, ale jeżeli ktoś ogląda wyłącznie te tendencyjne bzdety wypluwane przez BBC, dowie się o tym w momencie, kiedy moi chłopcy wkopią mu drzwi do domu.

Reporter kiwnął głową do kamery.

– Moim rozmówcą był Chris Bradford. Bardzo dziękuję za wypowiedź.

– A wsadź sobie ją gdzieś – wyszczerzył się szyderczo Bradford, kiedy operator zgasił lampę i zdjął wielką kamerę z ramienia.

Przywódca Sag-u zignorował wysuniętą w jego stronę dłoń Jetta i wciskając głowę w ramiona, odszedł w stronę samotnej kobiety stojącej na przeciwnym końcu zagrody.

James usłyszał, jak Jett każe operatorowi nakręcić jeszcze kilka ujęć spoza barier. Policjant, który wypuszczał ekipę z zagrody, zapytał, kiedy relacja ukaże się w wiadomościach.

– Nie nastawiałbym się na to na pańskim miejscu – odpowiedział Jett. – Przysłali mnie tu na wypadek, gdyby coś się zadziało, ale przed wyjściem powiedziałem redaktorowi, że SAG to przebrzmiała sprawa.

– Mam nadzieję – westchnął policjant. – Ta dziewczyna z Birmingham straciła mnóstwo krwi. Miała szczęście, że przeżyła.

Jett pokiwał głową ze współczuciem.

– Proszę na siebie uważać, panie oficerze. I życzę wesołych świąt.

– Ja panu również – uśmiechnął się policjant.

Widząc, że operator filmuje bariery i szeregi policjantów, James naciągnął kaptur na głowę tak, by zakrywał mu większą część twarzy. Agentom CHERUBA wpaja się odruch trzymania się z dala od mediów, a James dodatkowo zwiększył swoją anonimowość, opuszczając głowę i podnosząc do oczu telefon, by wystukać wiadomość dla Dany.

„MAM NADZIEJE, ZE JUZ CI LEPIEJ. ODEZWIJ SIE, CZUJE SIE SAMOTNY”.

Wcisnął przycisk Wyślij i natychmiast tego pożałował. Dana nie odpowiedziała na jego ostatnią wiadomość, a tekst „czuję się samotny” brzmiał mazgajowato. James nic miał pojęcia, czym mógł ją wkurzyć, ale już od wielu dni zachowywała się dziwnie.

Dwie metalowe bariery odsunięto, by otworzyć jedną stronę zagrody. Drobną pani inspektor dowodząca oddziałem policji weszła do środka.

– Jest wpół do czwartej! – zawołała na cały głos. – Już czas! Jazda na Downing Street!

Policjantka wiedziała, że została usłyszana, ale demonstranci zignorowali ją. Niewiele myśląc, wyrwała koledze megafon i krzyknęła jeszcze raz.

– Demonstrację zaplanowano na piętnastą piętnaście. Dostaliście już dodatkowy kwadrans na zbiórkę i każdy, kto natychmiast nie opuści punktu zbornego, zostanie aresztowany za naruszenie porządku publicznego. A teraz jazda mi stąd!

Bradford podszedł do policjantki i spojrzał na zegarek. Błysnął flesz – to jeden z fotoreporterów pstryknął zdjęcie wielkiemu mężczyźnie wiszącemu nad małą kobietą w odblaskowej kurtce i z megafonem w dłoni.

– No co ty, słoneczko, zlituj się – powiedział Bradford, uruchamiając cały swój urok osobisty i postukując palcem w szkiełko zegarka. – Czekamy jeszcze na paru kumpli. Wysłałem już

kogoś na stację. Metro musi się spóźniać czy coś...

– Mieliście dość czasu – przerwała pani inspektor, kategorycznie potrząsając głową. – Moi ludzie chcą iść do domu. Możecie wymaszerować, rozejść się w spokoju albo odjechać stąd w policyjnej furgonetce. To, czego nie możecie, to dalej marnować naszego czasu.

Bradford splunął na chodnik, po czym odwrócił się w stronę swojego żalostnego zgromadzenia.

– Słyszeliście, co mówi miła pani. Zbieramy się, ludziska!

Flesz fotografa błysnął jeszcze raz, kiedy trzynaścioro demonstrantów poczłapało z zagrody pomiędzy szpalery odblaskowych kurtek. Policjanci rozbawieni rozmachem wystąpienia Sag-u wymieniali szydercze uśmiešky.

Kupujący odprowadzali pochód zdziwionym wzrokiem. Dzieci gapiły się na nich z otwartymi buziąmi, jakby była to kontynuacja występów ludzi posągów i ulicznych pokazów odbywających się na krytym targowisku sto metrów dalej. Podczas gdy policjanci żwawym krokiem prowadzili demonstrantów po bruku wokół Covent Garden Market, uwagę Jamesa przykuły grupki ludzi w strojach manifestujących bunt – punkowo–gotycko–militarna mieszanka pasująca do wizerunku, jaki sam przybrał. Niektórzy dołączali do pochodu, w krótkim czasie podwajając jego liczebność, inni śledzili jego postępy z pewnej odległości.

Ominąwszy targowisko, kolumna skręciła w boczną ulicę prowadzącą w dół do Strand, szerokiej alei pełnej sklepów, teatrów i hoteli, ciągnącej się równolegle do północnego brzegu Tamizy, niecałe pięćdziesiąt metrów od rzeki. Bradford niepostrzeżenie przysunął się do pani inspektor. James szedł blisko czoła marszu i przywódca Sag-u puścił do niego oczko, kiedy z bocznej uliczki wyłoniły się nagle dwa tuziny młodzieńców w strojach sportowych.

– No proszę, a jednak zjawilo się parę osób – powiedział Bradford do policjantki, uśmiechając się niewinnie. – Ktoś musiał napisać zły

adres na naszych zaproszeniach.

Policjantka nie zaszczyciła Bradforda odpowiedzią, ale James widział, że jest na granicy wybuchu. Zrozumiawszy, że demonstranci zakpili z policji usiłującej zgromadzić uczestników marszu w jednym miejscu, złapała za krótkofalówkę i zażądała posiłków.

– SAG! – wrzasnął Bradford, bijąc pięścią w powietrze, podczas gdy dresy i adidas mieszały się z dreadami i wojskowymi kurtkami aktywistów Sag-u.

– SAG! – odkrzyknął blisko stuosobowy tłum.

Jamesowi podskoczyło serce, kiedy idący za nim chłopak przydepnął mu piętę.

– Sorka, ziom.

Ludzi wciąż przybywało i wkrótce policjanci zniknęli w rojowisku protestujących.

SAG zgromadził tę samą toksyczną zbieraninę wojujących anarchistów i lokalnych zadymiarzy szukających okazji do rozróby, jaka siedemnaście miesięcy wcześniej wszczęła zamieszki w Birmingham.

– Ogi, ogi, ogi! – huknął Bradford.

– SAG! SAG! SAG! – odkrzyknął tłum.

Zanim James wyszedł na Strand i skręcił w prawo, do pochodu dołączyło jeszcze około pięćdziesięciu osób. Po drugiej stronie ulicy zagrzmiął ogromny bęben i ogolony na zero dobosz wyprowadził kolumnę demonstrantów z bocznej uliczki biegnącej prostopadle do brzegu rzeki.

Funkcjonariusz idący najbliżej Jamesa miał szyję obryzganą śliną. Pałkę trzymał w gotowości, ale policjanci bali się złamać formację, by zrewanżować się za zniewagi, ponieważ protestujący mieli już znaczną przewagę liczebną.

Policyjny megafon ryknął wzmocnionym śpiewem.

– Mamy wasz megafon, mamy wasz megafon, naa-naa-na-na.

Tłum zafalował śmiechem, a dobosz poprowadził swoją ekipę w poprzek zakorkowanej ulicy, by dołączyć do czoła marszu. Jednak następny okrzyk, jaki wydobył się z megafonu, brzmiał znacznie mniej sympatycznie.

– Zadźgać gliny! Zadźgać gliny! Naa-naa-na-na-na.

Wokół podniósł się złowrogi ryk. Zerknąwszy za siebie, James spostrzegł, że policjanci zmienili taktykę i przesunęli się za protestujących. Boczne uliczki rozbrzmiały zawodzeniem syren, a marsz zasilila liczna grupa sympatyków Sag-u, która wysypała się z przegubowego autobusu.

Demonstrantów było znacznie więcej niż miejsca na chodniku – pochód rozsypał się na ulicę i wmieszał pomiędzy pełnące samochody. Zaryczały klaksony, a pewien nazbyt krewki taksówkarz stracił lusterko oraz boczną szybę, którą wkopano mu do środka samochodu.

Luka między autobusami pozwoliła Jamesowi spojrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie znad rzeki nadciągały kolejne rzesze demonstrantów. Tymczasem czoło marszu skierowało się w stronę Trafalgar Square.

James stracił z oczu Chrisa Bradforda i wszystkich członków Sag-u, których poznał w ciągu minionych siedmiu tygodni. Poczł się nieco zdezorientowany, kiedy otoczyła go grupa opryszkowatych wyrostków niewiele starszych niż on sam. Chłopczy wrzeszczeli, skandowali i podjudzali siebie nawzajem. Nieopodal operator BBC balansował niebezpiecznie na betonowym słupku, usiłując filmować rozspiewany tłum z wysokości.

– Mówiłem ci, że warto będzie tu dołączyć. – Młodzieniec idący najbliżej Jamesa wyszczerzył zęby do kolegi i pociągnął łyk piwa z puszki.

W oddali po raz kolejny rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– O ja cię sunę! – ucieszył się kolega piwosza. – Nieźle walnęło. Ktoś pewnie zrobił sklep.

Jego kumpel skinął głową.

– Dżampra się rozkręca, stary.

Przez tłum przebiegła kolejna fala okrzyków.

– SAG! SAG! SAG!

Niecałe pięć metrów od Jamesa dwie czarne gotki – wyglądające na ostatnie osoby, jakie mogłyby wszcząć zamieszki – wyciągnęły metalowy wkład z kosza na śmieci i cisnęły nim w witrynę baru kanapkowego. Tłum zaczął wiwatować, a ze skradzionego megafonu popłynęły okrzyki: „Precz z kanapkami!”.

Akcja dziewczyn podziałała na ambicję kilku nabuzowanych testosteronem dresiarzom. W ciągu paru sekund cztery kolejne witryny rozleciały się z hukiem, a z przejeżdżającej obok taksówki wywleczono jegomościa w kosztownym garniturze, którego sprano, a następnie uwolniono od portfela i roleksa.

James niewiele widział ponad głowami tłumu, ale słyszał triumfalne wrzaski setek demonstrantów, a pod nogami czuł chrupanie okruchów szkła. Zapowiadała się paskudna jatka.

2. PLAN

– Czy możecie przestać trajlować i trochę się skupić?! – wrzasnęła Laura Adams, łapiąc się za uszy.

Trzynastolatka powoli traciła cierpliwość. Była w swoim pokoju na ósmym piętrze głównego budynku kampusu. Jej łóżko postawiono na boku pod ścianą, by zrobić miejsce dla rozłożonych na dywanie map i planów, nad którymi siedziała wraz z sześciorgiem innych agentów CHERUBA: jej chłopakiem Ratem, najlepszą przyjaciółką Bethany, jej jedenastoletnim bratem Jakiem, najlepszym kumplem Rata Andym Laganem oraz Ronanem Walshem i Kevinem Sumnerem, dwoma jedenastoletnimi cherubinami, których ledwie znała.

– Jeżeli chcemy, żeby za miesiąc wzięli nas do Vegas, to nie możemy schrzanić tego testu, co znaczy, że musimy mieć dopracowany plan – ciągnęła stanowczym tonem. – CKRL to nowy ośrodek wyposażony w najnowocześniejsze zabezpieczenia. Nasze zadanie to dostać się do budynku i zdemolować główną salę kontroli.

Kevin, najmniejszy dzieciak w pokoju, nerwowo spojrział na plany.

– Które to jest to CKRL?

– Cały budynek, głupolu – westchnął głośno Jake Parker. – CKRL: Centrum Kontroli Ruchu Lotniczego.

– No tak – mruknął Kevin. – Myślałem, że to któryś z tych dynksów alarmowych.

Bethany pacnęła brata w potylicę.

– Nie czepiaj się – pouczyła go. – Jest jeszcze mały, nie musi wszystkiego wiedzieć.

Jake pokazał siostrze środkowy palec.

– Jest młodszy ode mnie o niecały rok, skunksico.

Rat westchnął.

– Hej, przestaniecie się wreszcie kłócić? Chryste, co tu tak śmierdzi?!

Wszystkie głowy obróciły się w stronę Ronana. Był to krępy chłopak, entuzjasta rugby i sztuk walki, niestety, niezbyt chętny do mycia się po treningach. Ronan właśnie ściągnął ze stopy jeden z uwalanych błotem gланów.

– Włóż to z powrotem! – wykrztusiła Bethany, łapiąc się za nos. – Od jak dawna nosisz te skarpety?

– Oczy mi łzawią – poskarżył się Andy.

– Nie przesadzajcie, najwyżej tydzień czy coś koło tego – powiedział Ronan, po czym wetknął nos między palce stóp i zaciągnął się aż do dna płuc.

– Przestań! Troglodyta! – ryknęła Bethany.

– Nie bój się, to nietoksyczne. – Ronan wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął stopę w stronę Bethany. – Moje soki cielesne. Sama natura.

Dwaj chłopcy parsknęli śmiechem. Laura podniosła się i przestąpiwszy nad mapami, zawisła groźnie nad Ronanem.

– Jeżeli zaraz nie włożysz tego buta z powrotem, ja i Bethany zawlecemy cię do łazienki, rozbierzemy do naga i wyszorujemy szczotą do kibelka.

– O ja cię... Czysta perwersja! – zaśmiał się Andy. – Rozebrany i

wykąpany przez dwie ekstrakaski.

– Raczej dwa wstrętne morsy – burknął Jake.

Laura spiorunowała chłopców wzrokiem i obaj zamilkli. Ronan niechętnie wsunął stopę do buta, a Bethany, nie zważając na mróz na zewnątrz, wstała i otworzyła drzwi balkonowe, by nieco oczyścić atmosferę.

Laura wróciła na swoje miejsce i przykucnęła nad mapami.

– Ja mam czarną koszulkę i dobrą reputację – powiedziała z naciskiem, naciągając w dół T-shirt, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Dla mnie to w zasadzie bez różnicy, czy spartaczymy tę akcję, czy nie, ale jeżeli wy, trzej najmłodsi, chcecie w najbliższym czasie posmakować jakiegokolwiek przyzwoitej misji, to powinniście zrobić wszystko, żeby się udało. Wybierajcie: albo błaznujecie dalej, albo się uspokajacie i zaczynacie traktować ten plan poważnie.

Kevin, Ronan i Jake nie mieli najmniejszej ochoty przyznawać Laurze racji, ale przygważdżała ich spojrzeniem tak długo, aż wszyscy trzej pokiwali głowami.

– Okej – powiedziała Laura. – Jestem tu jedyną czarną koszulką, więc mianuję siebie szefową. Jakież obiekcje?

Laura po części spodziewała się buntu, ale wszyscy zebrani zdawali sobie sprawę, że bez dowódcy ich operacja nie ma żadnych szans powodzenia.

Rat uniósł dłoń i zanim zabrał głos, poczekał na przyzwalające skinienie Laury.

– Jeżeli chodzi o plan, to widzę tu poważny problem – oznajmił. – Bethany i Laura robią swoje od frontu ośrodka kontroli lotów, gdzie mają tylko jednego strażnika, ale ja, Andy i trzej młodzi skończymy na tyłach, bez broni, naprzeciw sześciu zawodowych uzbrojonych ochroniarzy.

– Właśnie, broń – wypalił Jake. – Musimy mieć strzałki usypiające albo chociaż tasery.

– Może łaskawie przeczytalibyście wprowadzenie do misji? –

westchnęła Laura. – Naszym zadaniem jest przeprowadzenie testu zabezpieczeń, w jakie prywatna firma wyposażyła nowe centrum kontroli lotów. Gdyby rząd chciał tam ludzi w kominiarkach i z karabinami maszynowymi, posłałby tam wojsko. Musimy ubrać się i działać jak banda zwyczajnych dzieciaków w przedgwiazdkowym amoku. Możemy korzystać z telefonów, ale nie z krótkofalówek. Nie możemy wziąć podsłuchów, materiałów wybuchowych, pistoletów do forsowania zamków ani w ogóle niczego, czego przeciętny trzynastolatek nie nosi w kieszeni bluzy.

Bethany podniosła rękę i pomachała swoim wprowadzeniem do zadania.

– Ale tutaj jest też napisane, że ochroniarzy wspiera oddział żandarmerii wojskowej.

– Ze spluwami – dodał Jake.

– Przeczytajcie dokładnie – upierała się Laura. – To zespół szybkiego reagowania stacjonujący w bazie RAF-u osiem kilometrów dalej. Jeżeli nie damy ochronie z CKRL szansy na uruchomienie alarmu, to zostaną nam wyłącznie ochroniarze z prywatnej agencji z pałkami i pieprzem w sprayu.

– Cudownie. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co to za ochroniarze – powiedziała Bethany. – No bo przecież nie wiemy, na kogo trafimy, na zramolałych staruszków czy byłych komandosów.

Laura wzruszyła ramionami.

– Kiedy po Nowym Roku otworzą to centrum, ośrodek przejmie prowadzenie wszystkich lotów wojskowych i cywilnych nad całą środkową Anglią i Szkocją aż po Highlands. Gdyby komuś udało się zrobić tam demolkę, samoloty zaczęłyby spadać jak deszcz.

Ronan pokiwał głową z powagą.

– Czyli jeżeli ochrony nie organizowała banda totalnych debili, to raczej nie natrafimy na oddział harcerzyków.

– To może warto pójść do centrum planowania i uderzyć do Dennisa Kinga po więcej informacji o ochronie? – zaproponował

Andy.

Laura pokręciła głową.

– Testy zabezpieczeń takie jak ten są trochę jak misja i trochę jak ćwiczenia. King mógłby dać nam dodatkowe informacje, ale w założeniu mamy opracować plan, opierając się na materiałach, jakie dostaliśmy na początku. Jeśli poprosimy o więcej danych, na sto procent obniżą nam oceny.

– Wiem! – zawołał triumfalnie Rat, uderzając pięścią w otwartą dłoń. – Proce.

– O co ci chodzi? – Laura zmarszczyła brwi.

– Dzieciaki noszą ze sobą proce! – wyjaśnił Rat. – Jak mieszkałem w Arce Wybrańców w Australii, ciągle mi się nudziło, więc zrobiłem sobie procę. Brałem trochę kamieni, a potem przyczajałem się w wylocie kanału albo studziencie. Jak ktoś się zjawił, strzelałem mu w głowę i chowałem się, zanim wyczał, co go trafiło. Co najmniej tuzin ludzi wylądowało w łózkach ze wstrząśnieniem mózgu, zanim Georgie przyłapała mnie i kazała oklepać tyłek.

– Jest to jakiś pomysł – uśmiechnęła się Laura.

– Ja dobrze strzelam z procy – wtrącił entuzjastycznie Jake. – Ćwiczyłem na wiewiórkach na tyłach kampusu. Masakra.

Laura nie lubiła Jake'a, a jako miłośniczka zwierząt i wegetarianka przyjęła jego wyznanie z jeszcze większym niesmakiem niż zwykle.

– Przepraszam bardzo – wysyczała z furją. – Można wiedzieć, jaką to krzywdę wyrządziły ci te biedne niewinne stworzenia?

– Hm... no przecież to nie było ostatnio – wił się Jake. – To było wtedy, gdy jeszcze byłem w czerwonych koszulkach, kiedy latem nocowaliśmy w namiotach.

– Faceci – westchnęła Bethany, kręcąc głową. – Zdaje się, że wszyscy muszą przejść ten etap, kiedy kręci ich tylko zabijanie albo podpalanie różnych rzeczy.

Rat cmoknął z oburzeniem.

– To była seksistowska uwaga, Bethany. Gdybym to ja zaczął tak

generalizować na temat dziewczyn, tobyś mnie chyba...

– Ja lubię podpalać różne rzeczy – wyznał Ronan, przerywając Ratowi w pół zdania.

– Już dobrze, koniec! – Laura zaklaskała w dłonie. – Skupmy się na naszym teście zabezpieczeń, dobrze? W magazynie broni na dole na pewno są proce, więc jeśli uważacie, że to nam pomoże, możecie po nie pójść.

– Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio strzelałem – powiedział Rat, zerkając na zegarek. – Zostały nam ze dwie godziny do wyjścia, w sam raz na krótki trening.

Jake uśmiechnął się łobuzersko.

– Możemy postrzelać do kaczek na jeziorze.

– To nie jest zabawne, Jake – powiedziała Laura. – Jeżeli przyłapię ciebie albo kogokolwiek innego na krzywdzeniu zwierząt w kampusie, dorwę bydlaka i tak nim walnę o ziemię, że będzie sikał krwią przez miesiąc.

– Puszki po coli to dobre cele – wtrącił Kevin, starając się wykazać konstruktywnym myśleniem.

Jake skinął głową.

– Zwłaszcza jak narysujesz na nich wiewiórki.

– Dobra – zawarczała Laura, zgrzytając zębami i z całych sił opierając się chęci powalenia Jake'a i wybicia mu wszystkich zębów.

– Wy, chłopcy, możecie iść i pobawić się procami, ale najpierw powtórzymy sobie cały plan jeszcze raz od samego początku. Chcę, żeby każdy z was znał swoje zadania na pamięć. Bethany, zaczniemy od ciebie.

3. BUTY

Po tym jak rok wcześniej demonstracja w Birmingham przemieniła się w uliczną bitwę, policja blokowała każdy ruch Street Action Group Chrisa Bradforda. Przemarszu stu demonstrantów pilnowało dwustu funkcjonariuszy, większe imprezy Sag-u nie uzyskiwały zezwoleń lokalnych władz, zaś niepokorni, którzy próbowali ignorować zakazy, natykali się na zamknięte stacje kolejowe, blokady na drogach i szeregi policjantów gotowych aresztować każdego, kto się wychyli.

Od kiedy po raz pierwszy zastosowano te bezwzględne metody podczas strajku górników w połowie lat osiemdziesiątych, policja stłumiła w ten sposób tuziny protestów i osłabiła wiele organizacji antyrządowych. Aby przechytrzyć władze, Bradford postanowił stworzyć wrażenie, że SAG traci siły. Osiągnął to poprzez urządzanie akcji zakrojonych na coraz mniejszą skalę, przyciągających coraz mniej demonstrantów, wymagających angażowania coraz mniej licznych sił do utrzymania tłumu w ryzach.

Gdy policja w końcu opuściła gardę, Bradford urządził najambitniejszą demonstrację antyrządową w historii Sag-u, a święta Bożego Narodzenia były doskonałym momentem na jej

przeprowadzenie. Do pogrążenia ulic w chaosie potrzeba armii znudzonych młodych ludzi, a o tych najłatwiej w czasie wolnym od zajęć szkolnych i uczelnianych. W święta policja ma pełne ręce roboty z pijanymi hulakami, a jednocześnie jej możliwości są znacznie ograniczone, ponieważ wielu funkcjonariuszy jest wówczas na urlopie. Przede wszystkim jednak okres przedświąteczny to czas zastoju w mediach i każde spektakularne wydarzenie ma zagwarantowane pierwsze miejsce w wiadomościach.

James Adams zdołał przeniknąć w szeregi Sag-u i wiedział o planach Bradforda. Powiadomił o nich swojego koordynatora misji Johna Jonesa, ale ten postanowił na razie nie informować policji. James badał znacznie poważniejszą sprawę dotyczącą ewentualnego przekształcenia Sag-u w grupę terrorystyczną, a gdyby demonstranci wychodzący ze stacji Covent Garden natknęli się nagle na kordony setek funkcjonariuszy, Bradford musiałby zacząć podejrzewać, że w organizacji działa kret.

To podstawowy dylemat przy każdej pracy wywiadowczej – agenci wyruszają na tajną misję i zdobywają informacje, których nie można wykorzystać, nie narażając bezpieczeństwa agentów. Mimo wszystko, kiedy setki demonstrantów ruszyły StranDEM w stronę Trafalgar Square, Jamesowi przyszło do głowy, że być może decyzja Johna nie była właściwa.

Hałas był ogłuszający i choć James niepokoił się nieoczekiwanym rozwojem sytuacji, poczucie przynależności do tak potężnej grupy przyjemnie grzało mu krew. Nad głową śmigały mu pociski, a po obu stronach ulicy trzaskało tłuczone szkło. Biesiadnicy w świątecznych czapczkach poderwali się z wrzaskiem, kiedy płyta chodnikowa wpadła przez szybę do japońskiej restauracji. Kilka chwil później wybito witrażowy front teatru i zdemolowano kasę. W powietrze pofrunęły strzępy zdartych plakatów.

Urzednicy i kupujący w popłochu kryli się w bramach i sklepach.

Sprzedawcy gorączkowo zamykali drzwi i zaciągali żaluzje, podczas gdy ulicą niósł się grzmiący ryk: „SAG! SAG! SAG!”.

SAG miał sympatyków w dzielnicach Londynu o najgorszej reputacji i James nie mógł nie czuć podziwu, widząc, że grupa zdołała zgromadzić tak różnorodny tłum aktywistów i zadymiarzy w tajemnicy przed policją. Chris Bradford mówił, że byłby szczęśliwy, widząc stu pięćdziesięciu demonstrantów, ale tłum był trzykrotnie liczniejszy. Pochód rozdzielił się równo między chodniki po przeciwnych stronach ulicy, z nadmiarem przelewającym się przez krawężniki i brnącym przez cztery pasy zablokowanego ruchu kołowego.

W ciągu dwóch minut po wkroczeniu na Strand trotuary przed demonstrantami zupełnie opustoszały. Przechodnie albo zabarykadowali się w sklepach, albo czmychnęli przed skandującym tłumem w którąś z licznych bocznych uliczek.

Większość tych, którzy nie zdołali umknąć na czas, była ignorowana, zaś garstka koczujących w okolicy bezdomnych została zasypana przez protestujących drobniakami i życzeniami wesołych świąt. O dobrym dniu nie można było mówić, gdy było się pijanym pracownikiem biura wracającym z zakrapianego lunchu w prażkowanym garniturze i z kosztownym zegarkiem na ręce. Podczas gdy większości uczestników marszu w zupełności wystarczały śpiewy i demolka, grupa opryszkowatych młodzieńców łapała i ograbiała każdego, kto wyglądał, jakby miał trochę pieniędzy.

– SAG! SAG! SAG! – skandował James, bijąc pięścią powietrze, potrącany przez kłębiący się wokół tłum. Pod stopami chrzęściły mu odłamki szkła.

Pamiętając, że musi być wiarygodny w swoim wizerunku młodego anarchisty z zielonym irokezem na głowie, wyprowadził entuzjastyczne kopnięcie, odłamując lustro od mercedesa uwięzionego między dwoma autobusami. Następnie podniósł swój

łup z rynsztoka i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu celu godnego tego pocisku.

W następnej sekundzie ktoś wpadł mu na plecy, popychając na osobę idącą przed nim. Tłum zgęstniał i zatrzymał się. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych. Skandowanie ucichło, a James przepchnął się na jezdnię, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Niecałe pięćdziesiąt metrów przed sobą miał stację kolejową Charing Cross. W oddali jarzyła się podświetlona kolumna Nelsona, ale drogę do niej blokowała barykada z błyskających niebieskimi światłami radiowozów.

– Gestapowcy – parsknął jakiś koleś dyszący Jamesowi w kark. – Jak oni dostali się tu tak szybko?

James powstrzymał się od komentarza, chociaż wiedział, że w planie Bradforda była luka – trasa marszu przebiegała niespełna pięćdziesiąt metrów od jednego z największych komisariatów w Londynie. Kiedy komisarz z Charing Cross usłyszał o wymykającym się spod kontroli marszu, nakazał wyprowadzić radiowozy z podziemnego garażu i zablokować Strand na całej szerokości.

Każdy mundurowy w komisariacie – w tym wielu takich, którzy od lat nie wychodzili z biurka – otrzymał rozkaz pobrania z magazynu kompletnego rynsztunku patrolu prewencyjnego i za barykadą stało teraz ponad pięćdziesięciu policjantów. Z tyłu kilku mniej sprawnych funkcjonariuszy biegło z wysiłkiem, by dołączyć do kolegów.

– Proszę natychmiast się rozejść – zachrypiał megafon na dachu jednego z radiowozów. – Wkrótce spodziewamy się posiłków. Nieposłuszni zostaną aresztowani i mogą zostać oskarżeni o poważne przestępstwa.

Po ogłoszeniu komunikatu policjanci podjęli próbę osłabienia ducha demonstrantów bębnieniem pałkami o plastikowe tarcze. Sposób wydawał się skuteczny.

Tłum zastygł w dziwnym bezruchu, szukając kierunku, w jakim mógłby podążać. James patrzył na tysiące białych chmur koddechu rozplywających się w powietrzu na tle ciemniejszego nieba. Błyski policyjnych kogutów mieszały się ze światłami świątecznych dekoracji i przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że to po prostu przerwa między pieśniami podczas ulicznego nabożeństwa kolędowego, gdyby nie wisząca w powietrzu groźba. Wtedy James zauważył, że tłum na brzegach zgromadzenia zaczyna wyciekać w boczne uliczki.

W miarę jak tłum malał przy wylotach przecznic, nastrój wśród demonstrantów opadał i wyglądało na to, że protest ostatecznie spali na panewce. Kolejny zwrot nastąpił, kiedy z okna na trzecim piętrze wystrzeliła łukiem pomarańczowa smuga, by eksplodować kulą ognia pomiędzy zaparkowanymi na ulicy radiowozami.

Gdzieś poza zasięgiem wzroku Jamesa kilkoro aktywistów sforsowało szklane drzwi i pobiegło schodami do biura nad sklepami. Tam otworzyli okno i cisnęli w policję koktajlem Mołotowa.

Tłum gwizdał i wiwatował, kiedy na ulicę posypały się kolejne butelki, zalewając jezdnię płonąca benzyna i podpalając radiowozy. Zaskoczeni policjanci w panice uciekali ze swojej barykady.

Wielki bęben zagrzemiał znowu i już po chwili cały tłum skakał z uciechy, skandując ile sił w płucach:

– SAG! SAG! SAG!

Do tej pory James sądził, że wiedział wszystko o zamiarach Bradforda, ale koktajle Mołotowa całkowicie go zaskoczyły, zaś fachowość, z jaką zaatakowano nimi kordony policji, sugerowała raczej zaplanowaną operację niż akcję przeprowadzoną pod wpływem impulsu.

– SAG! SAG! SAG!

Kto nie krzyczał, ten gwizdał, i Jamesa bolały już uszy, jednak choć policjanci wycofali się z barykady, tłum nie miał szans na

przedarcie się przez szereg płonących samochodów. Mężczyzna trzymający skradziony megafon pospieszył z własną propozycją.

– Rozwalić Savoya! Rozwalić Savoya! – wykrzyknął.

– Świetny pomysł! – wrzasnął ktoś w odpowiedzi i tłum obrócił się, by podążać drogą, którą przybył, w stronę jednego z największych i najelegantszych hoteli w Londynie.

Kiedy pochód zawrócił, James znalazł się znacznie bliżej jego końca niż początku, więc upłynęła prawie minuta, nim znowu mógł ruszyć z miejsca.

– Zjaraliśmy psiarnię! Zjaraliśmy psiarnię! Na-na, na-na, na-na, hej!

Wśród rozpętanego na nowo chaosu i huku rozbijanych szyb James poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Hałas był zbyt wielki, by móc normalnie rozmawiać, dlatego z ulgą powitał komunikat informujący go o nadejściu SMS-a od Dany.

„WIDZIAŁEŚ MOJĄ ZIELONĄ BLUZĘ OD DRESU?”.

James ucieszył się, że jego dziewczyna wreszcie się odezwała, ale rozczarował go brak reakcji na jego wyznanie o tęsknocie. Niełatwo było wystukać odpowiedź wśród napierających ze wszystkich stron ciał, a jakiś koleś omal nie wytrącił mu telefonu z dłoni.

„CHYBA WIDZIAŁEM JA POD MOIM LOZKIEM”.

Chowając komórkę do kieszeni, James wpadł na osobę przed sobą i podniósł wzrok. Wrzawa znowu przycichła, a w oddali dał się słyszeć charakterystyczny łomot policyjnych pałek uderzających o plastikowe tarcze.

Mając przed sobą kordony policji i płonącą barykadę za plecami, blisko trzystuosobowy tłum ruszył w stronę bocznych ulic, szukając wyjścia z matni. Jednak wszystkie drogi były zablokowane przez białe samochody z niebieskimi światłami na dachu.

*

Tymczasem w kampusie Rat, Andy, Jake, Kevin i Ronan zbiegali główną klatką schodową z pokoju Laury na ósmym piętrze do

składu broni na parterze.

– Co ona sobie myśli, ta Laura Adams? – burknął niezadowolony Jake, zakręcając w pełnym pędzie wokół końca barierki. – Nadęta mała trollica...

– Mówisz o mojej dziewczynie – przypomniał mu Rat ostrzegawczym tonem.

Zdając sobie sprawę, że drużyna musi działać w zgodzie, Andy próbował załagodzić sprawę.

– Laura może i jest zarozumiała, ale na pewno wie, co mówi, Jake. Prawie nikt w kampusie nie ma tak dobrych ocen misji jak ona, chociaż ma dopiero trzynaście lat.

Ronan zachichotał.

– Jakby jeszcze miała takie wielkie balony jak Bethany, to byłaby idealna.

Andy i Rat parsknęli śmiechem.

– Jestem pewien, są większe za każdym razem, kiedy ją widzę.

– Mówicie o mojej siostrze – mruknął Jake z goryczą.

– Wyluzuj, Jake – uśmiechnął się Andy. – Przecież nie znosicie się nawzajem.

Ronan przeskoczył pół biegu schodów i wylądował na półpiętrze.

– Andy zakochał się w Bethany – droczył się Rat. – Szkoda, że jest zbyt wielkim cykorem, żeby się z nią umówić.

– Bzdury pleciesz, Rat – zdenerwował się Andy. – Jeden raz powiedziałem, że mi się podoba, a ty się uczepliłeś i nie dajesz mi spokoju.

– Cykor – powtórzył Rat.

W tym momencie chłopcy dotarli już do szóstego piętra, gdzie Kevin niespodziewanie skręcił w korytarz.

– A ty dokąd? – zawołał za nim Rat. – Mieliśmy iść na dół poćwiczyć strzelanie z procy.

– Nie chcę, żeby się uwalaty błotem – powiedział Kevin, wskazując na swoje śnieżnobiałe najki. – Skoczę do pokoju się

przebrać.

Ronan pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zmieniać trepy, bo się ubrudzą? Ale z ciebie czyścioszek i lalusz!

– Przynajmniej nie śmierdzą – odparował Kevin.

Ronan był już w połowie drogi do piątego piętra, ale błyskawicznie zawrócił i kilkoma wściekłymi susami przypadł do Kevina.

– Powtórz to.

– Uspokójcie się – westchnął Rat.

Należał do najsilniejszych trzynastolatków w kampusie, więc nie miał kłopotów z rozdzieleniem jedenastoletnich kolegów. Pchnął Kevina w stronę jego sypialni, a Ronana złapał za kołnierz.

– Do CKRL mamy kawał drogi. Będziemy ze dwie godziny siedzieć w jednym mikrobusie. Jak poczuję od ciebie cokolwiek innego niż mydło i dezodorant, to słowo daję, stary, jedziesz na dachu.

– Włacha! Weź prysznic, frajerze! – zawołał Kevin z głębi korytarza.

– Widzimy się na dole w zbrojowni, Kev – powiedział Rat, a Andy i Jake podjęli przerwana szarżę po schodach.

Pokój Kevina nie różnił się od innych sypialni w głównym budynku kampusu: nieduża kanapa obok drzwi, podwójne łóżko, biurko z laptopem przy oknie, szafy zajmujące długość jednej ściany, a z boku łazienka. Na progu tej ostatniej stała zardzewiała skrzynka z narzędziami, której widok zaskoczył chłopca.

Z łazienki wychyliła się Karen, pełniąca funkcję kampusowego hydraulika. Miała na sobie wyświechtane dżinsowe ogrodniczki i białą koszulkę CHERUBA, a w obleczonej w rękawicę dłoni dzierżyła deskę klozetową.

– Cześć – powiedziała ciepłym tonem. – Właśnie wymieniam ci sedes.

Wszystkie klozety w kampusie wymieniano na oszczędzające

wodę kompaktę. Wymianę zapowiedziano w poniedziałek podczas porannego apelu, ale Kevinowi wyleciało to z głowy.

– Skończę za dziesięć minut, ale jak bardzo musisz, to możesz ochrzcić ten, który właśnie zamontowałam naprzeciwko.

– Spoks – skinął głową Kevin.

Chłopiec usiadł na brzegu łóżka i pochylił się, by wyciągnąć spod niego stare trampki.

Zawiązawszy buty, Kevin złożył Karen świąteczne życzenia i wyszedł na korytarz. Przyszło mu do głowy, że opróżnienie pęcherza przed wyjściem na grudniowy mróz faktycznie nie jest złym pomysłem, więc złapał za klamkę drzwi po drugiej stronie korytarza i wszedł do pokoju Jamesa Adamsa.

4. TŁUM

James kucnął ze strachu, kiedy opona jednego z płonących radiowozów wybuchła z donośnym hukiem. W pobliskich uliczkach wyły syreny, a tłum kłębił się i napierał. James był dość wysoki, by móc oddychać, ale niektórzy z tych, którzy nie dorównywali mu wzrostem, byli bliscy stratowania i zaczęli panikować.

– Proszę zachować spokój – zachrypiał policyjny megafon. – Zostaniecie rozproszeni w sposób uporządkowany.

Osiemdziesięcioro demonstrantów umknęło bocznymi uliczkami jeszcze przed wybuchem koktajli Mołotowa, co pozostawiło na placu boju około trzystu niedobitków schwytanych w potrzask pomiędzy kordonami policji.

Pięćdziesięcioro funkcjonariuszy blokowało przejście na wschodnim końcu Strandu, a tuziny kolejnych odcięły przecznice, ale choć demonstrantów było pięciokrotnie więcej niż policjantów, żaden nie miał ochoty na wypróbowanie swojego szczęścia w starciu z tarczami, hełmami i pałkami teleskopowymi.

Niedaleko od Jamesa jakiś weteran protestów objaśniał policyjną taktykę swojej dziewczynie.

– Łajdaki gotowi nas tu trzymać godzinami. Będą puszczać po dwoje, troje naraz, a każdego najpierw spiszą i sfotografują.

– SAG, SAG, SAG! – krzyknął ktoś, ale tym razem odpowiedź tłum u była niemrawa.

Demonstranci osłaniali oczy przed blaskiem reflektora huczącego im nad głowami policyjnego śmigłowca. James podejrzewał, że lotnicy polują na Chrisa Bradforda i innych ważnych działaczy Sagu, ale wielu przywódców ruchu aresztowano po wydarzeniach w Birmingham, a ci, którzy pozostali, wymknęli się z tłum u, jeszcze zanim protest osiągnął punkt kulminacyjny.

Gdzieś za Jamesem huknęła silniejsza eksplozja – to wyleciał w powietrze bak jednego z płonących radiowozów. Z jednej strony ulicy z dala od ognia policjanci wypchnęli z blokady kilka lżej uszkodzonych samochodów, by móc przejść przez lukę i zablokować tłum od tyłu. Gdy pałki zabębniły o tarcze z obu stron ulicy, spanikowany tłum zbił się jeszcze ciasniej i młoda kobieta niedaleko Jamesa krzyknęła, że nie może oddychać.

Przyczyną ścisku był nie tyle brak miejsca, ile fakt, że nikt z demonstrantów nie chciał być na skraju tłum u, kiedy policyjne kordony zmniejszą dystans do zera. Ludzie tłoczyli się, uciekając przed pałkami w taki sam sposób, w jaki pingwiny tłoczą się, by uciec przed mrozem.

– Muszę się stąd wydostać! – stęknęła z wysiłkiem dziewczyna. – Przepuście mnie!

James nie widział sensu w tłoczeniu się w tym tłumie i w przeciwieństwie do drobnej kobiety miał wystarczająco dużo mięśni i masy, by móc utorować sobie drogę. Przepychając się między ciałami, złapał i otoczył ramieniem panikującą dziewczynę.

– Uspokój się – powiedział stanowczym tonem, kiedy dotarli do otwartej przestrzeni na pasie ziemi niczyjej pomiędzy demonstrantami a szeregiem policyjnych tarcz trzydzieści metrów dalej.

Po drugiej stronie ulicy podążające na wschód samochody, które dostały się w potrzask między kordonami, były kontrolowane i

wypuszczane po jednym.

Podczas gdy dziewczyna – wyglądająca na niewiele ponad dwadzieścia lat – przetrząsała torebkę, by w końcu wydobyć z niej inhalator, James wyjął z plecaka butelkę wody i podsunął ją towarzysze.

– Dziękuję – powiedziała z mocnym francuskim akcentem, po czym przerwała na chwilę, by pociągnąć kilka łyków. – Okropnie się przestraszyłam.

– Nie ma za co – uśmiechnął się James.

Kiedy jedna strona ulicy została oczyszczona z samochodów, tłum zajął zwolnione miejsce i ścisk zelżał, gdy ludzie zrozumieli, że policja nie zamierza rzucić się na nich z pałkami.

James i jego nowa znajoma wycofali się pod filar między zaciągniętymi roletami sklepu jubilerskiego i marketu z elektroniką.

– Palisz? – zapytała dziewczyna, wyjmując z torebki wąską paczkę papierosów i zapalniczkę.

James potrząsnął głową i zaśmiał się.

– Fajki i astma? Niezła kombinacja.

Jednak uśmiech spełzył z twarzy Jamesa, kiedy spojrział na zegarek. Za niespełna trzy godziny jako goryl Chrisa Bradforda miał towarzyszyć mu podczas spotkania po drugiej stronie Londynu. Było to ważne dla misji, ale nie mógł mieć nadziei, że zdąży, jeżeli policja zamierzała rozpraszać demonstrantów przez następnych kilka godzin, zwalniając po dwóch, trzech naraz.

– Zaraz muszę być w zupełnie innym miejscu – powiedział James.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jeżeli masz jakiś plan, to zamieniam się w słuch.

James po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się jej ubraniu. Czarne pończochy i wyglądający na kosztowny prążkowany płaszcz nie pasowały do stereotypu aktywistki Sag-u ani osiedlowej zadymiary.

– Jak się dowiedziałas o proteście?

– Studiuję dziennikarstwo – wyjaśniła dziewczyna. – Jestem na

trzymiesięcznym stażu w biurze paryskiej gazety w Londynie i wczoraj na przyjęciu podsłuchałam, jak jacyś ludzie mówili, że może być rozróżba.

– Szukamy sensacji, tak? – powiedział James i uśmiechnął się machinalnie, jakby myślami był gdzieś indziej.

Zwykle słuchał tego, co atrakcyjne dziewczyny miały mu do powiedzenia, ale tym razem jego wzrok błąkał się po metalowych roletach zasłaniających front sklepu z elektroniką. Każda z nich miała uszy służące do zamykania ich na kłódkę od strony ulicy, ale rolety zaciągnięto w pośpiechu i żadnych kłódek nie było. James zastanawiał się, czy obsługa zdążyła w jakiś sposób zablokować je od wewnątrz.

– Dokąd idziesz? – zapytała Francuzka, kiedy James przesunął się o dwa kroki w lewo, by zajrzeć przez szczelinę między listwami opuszczonej rolety.

Przestrzeń za roletą oświetlały światła palące się wewnątrz marketu. Szeroki front zamykały z obu stron dwie gabloty wystawowe, zaś wnękę pomiędzy nimi oddzielało od wnętrza sklepu sześć skrzydeł szklanych drzwi. Wszystkie były zamknięte.

– Musi być jakieś tylne wyjście – powiedział James.

Obserwując ukradkiem szeregi policjantów, zaczął na odpowiedni moment, a potem przykucnął, uniósł roletę i szybko przeszedł pod nią na drugą stronę.

– Gdzie idziesz? – powtórzyła pytanie dziewczyna zza metalowych listew.

– Nie gap się – odpowiedział nerwowo James.

Wstał powoli w przestrzeni pomiędzy roletą a drzwiami, omiatając wzrokiem wnętrze sklepu. Z ulgą stwierdził, że wszyscy pracownicy poszli do domu z wyjątkiem kierownika, który stał z tyłu i grał w „Pro Evo Soccer” na X-boksie.

Stąpając ostrożnie po terakotowych płytkach, James podszedł do szklanych drzwi i pchnął każdą z trzech par po kolei. Okazały się

zablokowane, co jednak wcale go nie zdziwiło. Cherubinów szkoli się w posługiwaniu mechanicznym pistoletem do forsowania zamków, ale James nie nosił przy sobie tego rodzaju sprzętu na co dzień, więc tym razem do otwarcia drzwi musiało mu wystarczyć jego mulinarzędzie.

Szybkie spojrzenie na klamki drzwi dodało mu otuchy. Główne zabezpieczenie sklepu stanowiły kłódki na roletach. Drzwi były wprawdzie wyposażone w zamki, ale – tak jak rolety – przystosowane do obsługi od zewnątrz, by można było wyjść od frontu i zamknąć sklep na noc. Dwie zewnętrzne pary drzwi zamknięto na zasuwkę, za to środkową otwierał elektryczny mechanizm rozchylający oba skrzydła do zewnątrz. Zasilanie było odcięte, ale drzwi nie miały żadnej widocznej blokady zapobiegającej otworzeniu ich siłą.

James mógłby rozchylić drzwi, gdyby tylko zdołał wsunąć palce pomiędzy skrzydła. Kiedy pochylił się, szykując do pierwszej próby, Francuzka wdmuchnęła dym z papierosa pomiędzy listwami rolety.

– Wszystko w porządku? Dasz radę wejść do środka?

– Nie gap się przez te szpary, Chryste! – zdenerwował się James.

Otaczały ich tłumy demonstrantów i tuziny gliniarzy. To, że dotarł tak daleko niezauważony, zakrawało na cud.

James napał stopą na dolną część jednego skrzydła, otwierając szparę, w którą miał nadzieję wsunąć palce. Okazała się jednak za wąska, więc włożył w nią zębate ostrze multinarzędzia i użył go jak dźwigni, rozwierając drzwi na tyle szeroko, by móc wcisnąć między nie prawą dłoń.

Pociągnął z całej siły i jęknął, kiedy krawędzie drzwi wpiły mu się w koniuszki palców. Szczelina powiększyła się o kolejny centymetr, a wtedy wsunął w nią drugą dłoń i zawisł na obu skrzydłach całym ciężarem ciała.

Elektryczne siłowniki – służące zwykle do otwierania drzwi, ale teraz stawiające zacięty opór – jednocześnie zazgrzytały, ale James

triumfował tylko przez pół sekundy pomiędzy chwilą, w której szklane skrzydła nareszcie ustąpiły, a ogłuszającym łomotem, jaki rozległ się, kiedy otwarte już drzwi wysliznęły mu się z rąk, a on sam runął z impetem na metalową roletę.

James zerwał się na równe nogi i ujrzał, że jego nowa znajoma przełazi pod roletą. Zobaczyli to także demonstranci, których uwagę przykuł hałas.

W sklepie kierownik odrzucił kontroler X-boksa i jednym susem przesadził kontuar kasy, by wcisnąć włącznik alarmu.

– Wynocha z mojego sklepu! – krzyknął butnie.

Niestety, uruchomienie alarmu było najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić. W ślad za Francuzką ruszyło kilku najbliższych demonstrantów, którzy przełazili już pod roletą, ale syrenę usłyszeli wszyscy i tłum nagle się ożywił.

– Ogi, ogi, ogi! – krzyknął ktoś przez megafon.

– SAG! SAG! SAG! – odkrzyknęli manifestanci.

Pozostałe rolety powędrowały w górę i przy automatycznych drzwiach wybuchła wściekła kotłowanina. Wewnątrz James pociągnął Francuzkę za ramię i oboje pobiegli w stronę tylnych drzwi.

– To magazyn! – zawołała dziewczyna z obcym akcentem, który stawał się wyraźniejszy, w miarę jak rosła jej panika.

Kiedy James skręcił do wyjścia, kierownik sklepu zastąpił im drogę. Gdyby wiedział, przez jakie szkolenia przechodził jego przeciwnik, nie odważyłby się na to. James złapał pulchnego sprzedawcę za firmowy krawat i bez wysiłku odrzucił go na bok, prosto na stojak z zasilaczami i ładowarkami do akumulatorów.

– Nie zbliżaj się, bo cię załatwię porządnie – ostrzegł James, zanim ruszył w stronę znaku „Wyjście ewakuacyjne” po drugiej stronie sklepu.

Nie byli już sami. Ponad pięćdziesięcioro demonstrantów wdarło się do środka przez podwójne drzwi i teraz walczyło o dostęp do

jedynego wyjścia przeciwpożarowego na tyłach sklepu. Podczas gdy większość po prostu uciekała przed policją, inni nie potrafili oprzeć się pokusie, jaką stanowiły elektroniczne urządzenia warte wiele tysięcy funtów.

Zawyły tuziny kolejnych alarmów, kiedy złodzieje zaczęli wyrywać laptopy i odtwarzacze DVD ze stojaków w gablotach wystawowych. Młodzieńcy, którzy wcześniej obrabowali kilku przechodniów, teraz stali za ladą w dziale fotograficznym, zgarniając aparaty i iPody do największych reklamówek, jakie udało im się znaleźć.

Tymczasem na ulicy policjanci po obu stronach manifestacji ruszyli w stronę sklepu, by powstrzymać uciekających. To wystraszyło część manifestantów, którzy bali się, że oberwą od rozjuszonych funkcjonariuszy. Inni nabrali odwagi. Szeregi policjantów walących pałkami o tarcze działały onieśmielająco, ale kiedy złamano formację, przewaga liczebna tłumy stała się wyraźnie widoczna.

Do sklepu zdążyło się wdrzeć około siedemdziesięciu osób, zanim sześcioro funkcjonariuszy z tarczami odcięło wejście, jednak żaden z policjantów wolał nie ryzykować starcia z oszalałą tłuszcą w środku. Pozostali na zewnątrz demonstranci podzielili się pomiędzy szarżę przedzierającą się przez kordon policji w stronę hotelu Savoy a mniejszą grupę, która niemalże zmiotła parę funkcjonariuszy blokujących jedną z uliczek prowadzących w stronę rzeki.

Słabsi liczebnie i w zupełnej rozsypce policjanci pogorszyli sytuację, puszczając w ruch pałki i ruszając w tłum, by aresztować każdego, kogo uda im się pochwycić.

Tymczasem w sklepie James i Francuzka przedarli się przez ścisk przy wyjściu ewakuacyjnym, by zbiegłszy po trzech schodkach za progiem, znaleźć się w drugim, dużo większym pomieszczeniu magazynowym. Masywne podwójne drzwi na tylnej ścianie

wychodziły bezpośrednio na wąską alejkę za sklepem, ale aby tam dotrzeć, musieli najpierw przecisnąć się przez tłum szabrowników pośpiesznie ogoławających regały z towaru.

Jamesowi nie pozwolono by zatrzymać niczego, co ukraść podczas misji, więc nie był zainteresowany, ale Francuzka nie zdołała oprzeć się pokusie i skrzyła między regały, by zdjąć z półki dwa cienkie pudła z rysunkiem laptopa na górnej ścianie.

– Toshiba – rozpromieniła się, wręczając jedno Jamesowi. – *Très cher!* Leciutki, idealny dla dziennikarki.

Po krótkiej nerwowej przepychance wyrwali się wreszcie na świeże powietrze i stanęli na jednopasmowej ulicy potrącani przez szabrowników rozbiegających się we wszystkie strony. Było to miejsce, jakie policja mogła łatwo zablokować radiowozami, więc James złapał swoją towarzyszkę za szczupłą rękę i pociągnął za sobą, biegnąc najszybciej, jak potrafił.

Po dwustumetrowym sprincie dotarli do punktu, w którym jednopasmówka zbiegała się z dwiema szerszymi ulicami, i choć w pobliżu nie było ani jednego policjanta, James przeżył mały szok na widok charakterystycznych niebieskich latarni wiszących przed komisariatem Charing Cross.

– Tędy – sapnął.

– Nie mam już siły – zaprotestowała dziewczyna.

Szczerliwym trafem w tym samym momencie zza rogu wytoczyła się czarna taksówka, która zatrzymała się niecałe dwadzieścia metrów dalej, by wypuścić na chodnik obwieszzonego aparatami fotoreportera. James przypadł do kierowcy, który w skupieniu szperał w pudełku z drobnymi.

– Na Islington, proszę – rzucił James nerwowo. – Caledonian Road.

– Hola, cierpliwości, zielonowłosa – zaśmiał się taksówkarz. – Wypisuję temu panu rachunek.

Jamesowi gwałtownie podskoczyło serce na widok policjanta w

stroju ochronnym sunącego chwiejnie przy ścianie w stronę komisariatu. Ten jednak nie był w stanie aresztować kogokolwiek: paskudnie utykał, a na boku hełmu miał ogromne pęknięcie, jakby ktoś przyłożył mu płytą chodnikową.

Fotograf puścił się szalonym sprintem w stronę odgłosów zamieszek, a James jęknął na widok trzech barczystych rabusiów w dresach i połyskliwej biżuterii biegnących do taksówki.

– To nasza taryfa, młody! – krzyknął jeden z nich.

Kark biegnący z przodu dźwigał reklamówki wypchane aparatami fotograficznymi, a jego kumple pchali podwędzone ze sklepu wózki, na których chwiały się niebezpiecznie stosy kartonów z komputerami i laptopami.

– Głuchy jesteś? To nasza taryfa – powtórzył wielkolud, łapiąc Jamesa za ramię i obrzucając wrogim spojrzeniem.

James był rozgrzany po emocjonującej ucieczce. Złapał za olbrzymi kciuk i wykręcił, aż chrupnął zwichnięty staw. Tymczasem Francuzka wskoczyła do taksówki i zabębniła w szklaną przegrodę.

– No jedź już, szybko!

James sięgnął do klamki, ale taksówka ruszyła z kopyta, zostawiając go na ulicy. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– To ja uratowałem ci tę chudą dupę, a ty... A wal się! – krzyknął za samochodem.

Wskoczył z powrotem na chodnik, kątem oka zauważając pięść uniesioną w niezdarnym zamachu. Przechwycił ją w locie i wykorzystał impet napastnika do przerwania go sobie przez plecy. Trzasnęły kości, kiedy wielkie cielsko gruchnęło ciężko do rynsztoka.

Dwaj kumple wielkoluda wyglądali, jakby mieli ochotę włączyć się do bójki, ale każdy podtrzymywał trójkołowy wózek wyładowany tysiącami funtów w sprzęcie komputerowym i nie chcieli pozwolić, by łup rozsypał się po ulicy.

James był wściekły na Francuzkę za to, że porzuciła go w tak

haniebny sposób, ale wiedział, że musi zapomnieć o dumie i skupić się na misji. Wymierzywszy torbie z iPodami i aparatami potężnego kopniaka, który rozsypał połowę jej zawartości na jezdni, puścił się biegiem, mając pudełkiem z laptopem w ręce.

Nie wiedział dokładnie, gdzie jest, ale zachował poczucie kierunku i kojarzył, że zmierzając się na północny zachód, w ciągu dziesięciu minut dotrze do Oxford Street. Tam mógł się wmieszać pomiędzy tysiące gwiazdkowych zakupowiczów, by pokonawszy jeszcze około kilometra, zejść do stacji metra i złapać pociąg do domu.

5. SZPIEG

Kevin patrzył, jak jego mocz znika z cichym gulgotem i sykiem powietrza wessany przez nowiutki ekoklozet. Był już kilka razy w pokoju Jamesa, ale jeszcze nigdy nie korzystał z toalety. Dziwnie było przebywać w prywatnej przestrzeni kolegi, ale Kevin był też ciekaw jego osobistych rzeczy.

Płuczac dłonie pod kranem, chłopiec pomyślał, że znaczącą różnicą pomiędzy byciem jedenastolatkiem a szesnastolatkiem jest ilość akcesoriów potrzebnych do osobistej pielęgnacji. W jego łazience w pokoju naprzeciwko stał szampon, mydło, pasta do zębów i tuba żelu do włosów, którego użył zaledwie dwa razy. James miał około pięćdziesięciu butelek, począwszy od pianki do golenia i kremu na pryszczę, a skończywszy na kosztownych płynach po goleniu i farbie do włosów. W łazience było też sporo rzeczy Dany, a także – co wprawiło Kevina w wyśmienity humor – pudełko zawierające zestaw czterdziestu ośmiu mieszanych prezerwatyw.

Kevin nie interesował się jeszcze dziewczynami, ale zdawał sobie sprawę, że to wkrótce się zmieni, a koncepcja seksu i łączenia się w pary wydawała mu się intrygująca. Do tej pory widział prezerwatywę tylko na zdjęciu, dlatego kiedy już osuszył dłonie

zapuszczonym ręcznikiem, zerknął niepewnie na niezamknięte drzwi łazienki, po czym wyjął z pudełka jedną z małych płaskich paczuszek z metalizowanej folii. Połyskliwy kwadracik przyjemnie chłodził skórę, kiedy Kevin obracał go w palcach, i chłopca nagle ogarnęła pokusa rozerwania opakowania.

Kevinowi śpieszyło się jednak na dół, do Rata i reszty chłopaków. Przez chwilę korciło go, by schować prezerwatywę do kieszeni i dokonać oględzin później w swoim pokoju, ale jeszcze nigdy w życiu niczego nie ukradł i nie miał zamiaru zaczynać.

W chwili gdy wsuwał kondom z powrotem do pudełka, drzwi pokoju Jamesa zamknęły się z hukiem. Kevin podskoczył ze strachu, potrącając kciukiem brzeg kartonika, który przewrócił się na wąskiej półce. Pół tuzina błyszczących paczuszek wpadło do umywalki, areszta rozsypała się po podłodze.

Do pokoju weszły dwie osoby, które teraz stały za ścianą łazienki, mniej niż trzy metry od Kevina. Chłopiec rozpoznał głęboki tembr głosu szesnastoletniego Michaela Hendry'ego.

– James mówił, że gdzie ma być ten dres?

– Pod łóżkiem – odpowiedziała dziewczyna Jamesa Dana.

Podczas gdy to mówili, Kevin opadł na kolana i cicho, ale z pośpiechem zaczął zgarniać do pudełka rozsypane kondomy. Twarz spłonęła mu rumieńcem na myśl, że mógłby zostać przyłapany. Mógł wprawdzie zgrywać niewiniątko, upierając się, że stracił pudełko przypadkiem podczas mycia rąk, ale był to ten rodzaj historii, jaki po prostu musi zaowocować masą wszelkiego rodzaju dzikich plotek i okrutnych drwin.

– Okej, jest – powiedziała Dana, wyciągając swoją bluzę spod łóżka Jamesa, podczas gdy Kevin wyławiał ostatnie kondomy z umywalki.

Kevin nerwowo upchnął prezerwatywy w pudełku i spojrzał w lustro. Miał zaróżowione policzki i pomyślał, że wygląda jak ktoś, kto ma coś na sumieniu.

– Dokąd się teraz wybierasz? – zapytała Dana.

– Ciągłe boli mnie ramię po wczorajszym treningu w *dojo* – poskarżył się Michael. – Nie wiem, może skoczę na basen. Pół godziny w gorącym jacuzzi i trochę mi ulży.

Głos Dany złagodniał.

– Może ulżyłoby ci bardziej, gdybyś zjął koszulę, żebym mogła cię wyczuwać? – kuszyła kolegę.

Kevin był wstrząśnięty. Chciał wyjść, ale teraz czuł, że był w łazience zbyt długo i usłyszał zbyt wiele, by ujawnić swoją obecność.

– Ty chora zołzo! – zawołał Michael, po czym gruchnął gromkim śmiechem. – Tutaj? W pokoju twojego faceta?

– Chrzanić Jamesa Adamsa – powiedziała Dana. – Myślisz, że on nigdy mnie nie zdradził? Prawdopodobnie właśnie teraz jego tyłek podskakuje między nogami jakiejś zaświerzbionej anarchistki.

– Ostra jesteś – zaśmiał się Michael. – Ale ja nic nie poradzę na to, że szkoda mi Gabrielli. Dziewczyna nie zrobiła mi nigdy nic złego. Wprost przeciwnie.

– Może – odparła Dana. – Ale mamy po szesnaście lat. Jeśli nie możemy použíwać sobie teraz...

Kevin usłyszał dwa chrumknięcia, a potem nagle zaskrzypiały sprężyny materaca. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy podkraść się do drzwi łazienki i uchylił je, by zajrzeć do pokoju. Michael skopywał ze stóp adidasy, a Dana siedziała na łóżku Jamesa, zdejmując przez głowę swoją czarną koszulkę CHERUBA.

– Seksowna z ciebie lasencja – wydyszał Michael, nerwowymi ruchami ściągając własną koszulkę i porażając Kevina widokiem paskudnego trądziku na plecach.

Kiedy minął pierwszy szok, Kevin zaczął dostrzegać zabawną stronę sytuacji i uświadomił sobie, że oto trafia mu się niesamowita historia do opowiedzenia kolegom. Jedyny kłopot polegał na tym, że nikt by mu nie uwierzył. Kevin poklepał się po kieszeniach spodni i uśmiechnął się, czując pod dłonią znajomy kształt swojej komórki z

aparatem fotograficznym.

Przejrzał opcje, upewniając się kilkakrotnie, że lampa błyskowa i dźwięk migawki są wyłączone, po czym przykucnął i wysunął telefon za framugę.

Michael i Dana wili się na łóżku Jamesa, półnaczy, spleceni ze sobą, całując się namiętnie i najwyraźniej zamierzając posunąć się znacznie dalej. Kevin pospiesznie pstryknął dwie fotki i obejrzał rezultat na wyświetlaczu. Obraz był ziarnisty, ale na tyle wyraźny, by można było rozpoznać, kto jest na zdjęciu i w jakiej sytuacji.

Kevin już miał schować telefon do kieszeni, kiedy ten rozdzwonił mu się w dłoni. Chłopiec zmartwiał, widząc na ekranie nazwisko Rata, który z pewnością chciał się dowiedzieć, co zajmuje Kevinowi tyle czasu.

– To twoja komórka? – zapytała Dana, odsuwając się od Michaela.

– Dochodzi jakby z łazienki. To nie może być Jamesa. Gdyby zostawił włączoną, już dawno by się rozładowała.

Michael wstał i ruszył do łazienki. Kevin rozpaczliwym susem dopadł toalety, gdzie jedną ręką spuścił wodę, a drugą odebrał telefon.

– Cześć, Rat – powiedział, siląc się na swobodny ton.

Michael otworzył drzwi łazienki.

– Co tu jest grane, synek?! – zagrzmał.

Jego nagi śniady tors pęczniał od mięśni, ale Kevin przeszedł szkolenie podstawowe CHERUBA i imponujące mięśnie nie wystarczały, by go speszyć. Jedenastolatek machnął Michaelowi ręką w geście: „Daj mi sekundkę”, nie przestając mówić do telefonu.

– ...sorka, Rat, zmieniłem buty, ale musiałem się załatwić. Za dwie minuty będę przy tylnym wyjściu.

Kevin schował komórkę do kieszeni i zwrócił się do Michaela:

– Mieszkam naprzeciwko. Właśnie wstawiają mi nowy kibelek.

– Aha – mruknął niepewnie Michael. Wyraźnie obawiał się, że Kevin usłyszał coś, czego nie powinien.

Jedenastolatek z trudem utrzymywał poważną minę.

– A ty co robisz w pokoju Jamesa?

– Ja...? No więc, bo... musiałem zmienić koszulkę, wiesz? A James powiedział, że mogę pożyczyć coś z jego rzeczy.

– Ekstra – powiedział Kevin.

– Następnym razem lepiej zamykaj drzwi – poradził Michael.

Kevin wzruszył ramionami.

– James jest na misji, więc nie spodziewałem się towarzystwa.

Chciał sprawiać wrażenie, że przez cały czas nie wstawał z sedesu, więc podszedł do umywalki i szybko umył ręce jeszcze raz.

– To na razie. Muszę lecieć do chłopaków na dół poćwiczyć strzelanie z procy.

Kevin wymknął się z łazienki, wycierając dłonie o nogawki spodni. Wychodząc na korytarz, rzucił Danie w przelocie: „Cześć”. Dziewczyna zdążyła włożyć koszulkę, ale z boku łóżka Jamesa zwiślał pasek od stanika wepchniętego w pośpiechu pod kołdrę.

6. JONES

Koordynator misji John Jones rozpierał się na wyświechtanej kanapie, opierając nogi w skarpetach na stoliku do kawy. Na jego piersi leżały okulary do czytania przyczepione do łańcuszka na szyję. Telewizor był włączony i w wiadomościach nadawano właśnie ujęcia na żywo przedstawiające ulicę usłaną potłuczonym szkłem i pasmami taśmy policyjnej.

– James, chodź, pokazują to! – zawołał John.

James przytruchtał z miniaturowej kuchni, niosąc metalową tacę z talerzem odgrzanego w mikrofalówce makaronu i puszką coli Zero. John przesunął się, żeby chłopiec mógł usiąść obok niego.

– Ale rozpierducha! – zawołał entuzjastycznie James i zasyczał, kiedy gorący ser sparzył mu podniebienie. – Musiała być kolejna demolka po tym, jak dałem nogę. Porozwalali szyby chyba do samego mostu Waterloo.

John skinął głową.

– Kiedy tłum uciekał, obrabowano bardzo wiele sklepów w Covent Garden. Aresztowano sześćdziesiąt osób, dwaj gliniarze dostali baty, a jeden poparzył się trochę od koktajlu Mołotowa, ale wygląda na to, że obyło się bez poważnych obrażeń.

– Całe szczęście – powiedział James. – Gdyby kogoś załatwili, to

nie czułbym się zbyt dobrze z tym, że nie zawiadomiliśmy policji. Ajak rozgrywa temat BBC?

– Histerycznie, czego zresztą można się było spodziewać uśmiechnął się John. – Minutę temu gościem w studiu był komendant główny ze stołecznej. Przypiekali mu tyłek w kwestii jakości wywiadu i pytali, dlaczego na miejscu od początku nie było więcej policjantów. Widziałem cię w przelocie w zagrodzie przy stacji metra, ale byłeś w kapturze, więc nikt cię nie rozpozna.

– Nie sądziłem, że to się tak rozkręci – powiedział James. – Myślałem, że będzie najwyżej dwieście osób, ale przyszło co najmniej dwa razy więcej.

– Bradford wystrychnął policję na dudka – westchnął John.

– Podręcznikowa akcja – dodał James. – Gość postarał się o pozwolenie na marsz, czekał w punkcie zbiórki, dopóki policja nie kazała demonstrantom zmywać się stamtąd, a potem zniknął w chmurce dymu, kiedy tylko zrobiło się gorąco. Będą musieli nieźle się nagłówkować, żeby coś na niego znaleźć.

– Chris Bradford to niezły cwaniak – stęknął John, unosząc się z miejsca, by wziąć plik teczek z półki pod stolikiem. – Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to żeby ktoś taki jak on położył łapy na skrzyniach z plastikiem i karabinami.

– Może teraz da sobie spokój z tymi terrorystycznymi zapędami – powiedział James. – Wcześniej był sfrustrowany, bo media miały gdzieś jego akcje, ale po takim numerze SAG znowu znajdzie się w centrum uwagi.

John potrząsnął głową.

– Od tej pory Bradford nie będzie mógł wyjść z psem na spacer, żeby policja od razu nie posłała za nim trzystu gliniarzy. I właśnie o to chodziło w jego cwany planie. Teraz media zmuszą policję do reakcji i wszyscy będą robili wszystko, co w ich mocy, żeby nie było już więcej takich demonstracji. Bradford tymczasem rozpocznie zupełnie inną grę.

James padał z głodu, a porcja makaronu na plastikowym talerzu, którą prawie wciągnął nosem, niewiele dała.

– Zjadłbym parę tych pączków, które widziałem w lodówce.

– Dobrze, zaparzę herbatę, ale rozmawiałem z MI5 i najpierw musimy przebrnąć przez ostateczny plan na dzisiejsze spotkanie.

James kiwnął głową i zestawił tacę na dywan, podczas gdy John wyjął z jednej z teczek czarno-białą policyjną fotografię mężczyzny.

– To jest nasz cel obserwacji – wyjaśnił koordynator. – Aprzynajmniej laboratorium dźwiękowe MI5 twierdzi, że próbka głosu wykazuje dziewięćdziesiąt sześć procent zgodności z osobą, która wczoraj wieczorem rozmawiała przez komórkę z Chrisem Bradfordem.

– Pasuje do profilu, jakiego się spodziewaliśmy?

– Mniej więcej – przytaknął John. – To zdjęcie ma dwadzieścia lat. Facet nazywa się Richard Davis, ale jest znany jako Rich. To były członek IRA. Skazany za współudział w trzech zamachach terrorystycznych i morderstwo odsiedział tylko dwanaście lat, po których zwolniono go na mocy układu wielkopiątkowego. Najciekawsze jest jednak to, że w czasach zimnej wojny zajmował się ponoć organizowaniem dostaw radzieckiej broni dla IRA.

James zamrugał oczami.

– Nie miałem pojęcia, że Sowieci zbroili IRA.

– Tak było – pokiwał głową John. – Sądzi się na ogół, że komuniści wspierali tylko lewicowe ugrupowania, ale oni zaopatrywali każdego, kto mógł im pomóc w podgryzaniu zachodnich rządów. Bywało, że Związek Radziecki przysyłał tyle broni, że IRA miała problemy z jej ukryciem. Kilka lat temu na placu budowy nowego osiedla w Dublinie znaleziono tuzin zakopanych tam radzieckich granatników przeciwpancernych i dwadzieścia skrzynek karabinów AK-47. Nic z tego nie nadawało się do użytku, wszystko było zardzewiałe, ale podejrzewamy, że w obiegu wciąż jest całkiem sporo rosyjskiego sprzętu w zupełnie dobrym stanie.

– Z drugiej strony Bradford nie ma do dyspozycji zbyt wielu zaufanych ludzi – zauważył James. – Poza tym cała ta anarchistyczna zabawa w zamieszki i rzucanie bombami kręci go sama w sobie. Nie wydaje mi się, żeby próbował stworzyć zorganizowany oddział w stylu wojskowym. Raczej szuka czegoś do spektakularnych występów, jakichś ruskich granatników albo materiałów wybuchowych.

– Możesz mieć rację – powiedział John po namyśle. – Niektórzy ludzie, z którymi Davis negocjował wiele lat temu, są dziś szuchami w rosyjskim przemyśle zbrojeniowym i z tego, co wiemy, facet wciąż podtrzymuje dawne kontakty. Być może pozbywa się starych zapasów IRA, ale równie dobrze może mieć doświadczenie do świeżo wyprodukowanego sprzętu z Rosji albo Ukrainy.

– Jaką mam przyjąć strategię na spotkaniu? – zapytał James.

– Bradford wie, że potrafisz walczyć, i chce, żebyś z nim poszedł jako goryl, ale za wszelką cenę trzymaj się z dala od kłopotów. On jest nowicjuszem w tej grze. Ma swój rozum, ale ci ludzie to pierwsza liga. Pozwólmy sytuacji rozwijać się, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tym Davisie. Weź ze sobą kilka pluskiew. Jeśli nadarzy się okazja, spróbuj zainstalować je w takim miejscu, żebyśmy mogli śledzić jego ruchy. Kiedy MI5 dostanie numery jego wozu albo prawdziwy adres, będzie mogło wziąć go pod normalny nadzór.

– To znaczy, że nie planujemy na dzisiaj żadnych konkretnych ruchów w stronę Bradforda ani Davisa, prawda?

– Pomyśl, co byśmy dostali? – zapytał John. – Dwóch koleśków gawędzących sobie w pokoju hotelowym. Mielibyśmy szczęście, gdyby udało się wsadzić ich za znowu w celu dokonania przestępstwa, ale i wtedy w ciągu paru lat znów znaleźliby się na wolności. Musimy dowiedzieć się więcej o Davisie i nie zatrzymamy nikogo, dopóki nie złapiemy ich na gorącym uczynku w pokoju pełnym broni, mając stos taśm wideo z obserwacji i nagrań z

podśłuchów do uwiarygodnienia naszej wersji.

– To może trwać miesiącami – uśmiechnął się James. – A ja nie wiem, ile jeszcze wytrzymam z tym kretyńskim fryzem.

John odwzajemnił uśmiech.

– Ustawimy ci legendę o wyjeździe do cioci, więc przynajmniej na święta wrócisz do kampusu.

– A ty? – zapytał James.

John nieco posmutniał.

– Córka spędza święta z moją eks i jej nowym facetem, więc pewnie też przyjadę do kampusu. Jeśli nie będziemy pracować dwudziestego siódmego, to wezmę ją na wyprzedaże i pozwolę przepuścić trochę mojej kasy.

– Brzmi nieźle – zaśmiał się James i spojrzął na zegarek.

– No, szósta piętnaście. Lepiej zacznę przygotowywać sprzęt na spotkanie.

– Okej – powiedział John, tłumiąc ziewnięcie. Koordynator sięgnął po pilota i przełączył telewizor w tryb czuwania. – To ja wstawię wodę i szybko przedzwonię do naszego łącznika w MI5. Davis każe wam pozbyć się komórek, zanim poda adres, więc nie zapomnij wsadzić nadajnika lokalizatora do buta. Będę jechałmniej więcej pół kilometra za tobą.

*

Starszy koordynator misji Dennis King siedział za kierownicą wysłużonego mikrobusu grzejącego autostradą z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Maureen Evans, młoda asystentka koordynatora, zajmowała miejsce obok niego, a z tyłu jechało siedmioro cherubinów ryczących do wtóru puszczonej na okrągło w radiu nowomodnie zmasakrowanej wersji *Jingle bells*.

Kat i Laura siedzieli obok siebie, machając głowami do rytmu, grając na wyimaginowanych gitarach i przytupując. Andy i Bethany śpiewali piskliwymi głosikami, a Ronan w ostatnim rzędzie buczał bez zapału, z tłustym policzkiem przyciśniętym do szyby okna.

Tylko Jake i Kevin nie przyłączyli się do zabawy. Jake był bardzo popularny i miał mnóstwo kolegów. Nieco młodszy Kevin zrobiłby wiele, by mu zaimponować i zasłużyć na miejsce w jego grupie.

– Przysięgam, to naprawdę jest odjazd – wyszeptał Kevin, wyjmując telefon z kieszeni kurtki. – Tylko nie pokazuj tego Laurze.

Mrużąc oczy, Jake przyjrzał się niewyraźnemu obrazowi na prostokątnym wyświetlaczu. Górną połowę kadru wypełniał motocykl marki Harley Davidson.

– Znam ten plakat – powiedział Jake znudzonym tonem. – To pokój Jamesa Adamsa i co z tego? Milion razy widziałem, jak James migdali się z Daną.

Kevin błysnął zębami w szelmowskim uśmiechu.

– Jeżeli to James, to nieźle się chłopak opalił.

Jake spojrzał na wyświetlacz jeszcze raz i uświadomił sobie, że chłopak na zdjęciu ma ciemną skórę.

– Ja cię sunę – zachichotał. – To dlatego tak długo marudziłeś, jak szliśmy postrzelać z procy. – Wyrwał Kevinowi telefon i zaczął wystukiwać numer.

– Co robisz?

– Wysyłam MMS-a – wyjaśnił Jake. – Chcę mieć kopię w swojej komórce.

– Nie możesz tego pokazywać. – Kevin poruszył się niespokojnie. – Michael Hendry będzie wiedział, że to ja pstryknąłem te fotki. Widziałeś, jakie ten kolo ma muskuły? Wypatroszy mnie jak kurczaka!

– Chcę mieć to tylko w moim telefonie – odparł Jake uspokajającym tonem akurat w chwili, kiedy skończyło się *Jingle bells*, a Dennis King poprosił cherubinów, żeby nie śpiewali następnej piosenki, bo jego nerwy mogą tego nie wytrzymać. – Nie wysłę tego nikomu innemu.

Kevin nie był do końca przekonany, ale Jake rzucił mu spojrzenie w stylu: „Jesteś swój ziomal czy nie?”.

– Ale uważaj, dobra? – poprosił Kevin i cofnął się gwałtownie na widok głowy Ronana wysuwającej się spomiędzy oparcia foteli.

– O czym tam szepczecie, dziewczynki?

Ronan był trudny we współzyciu. Jednego dnia pukał do drzwi kolegi, oddając mu rzeczy na zawsze i rozpaczliwie starając się o jego przyjaźń, następnego spychał go ze schodów albo wrzucał torbę pod prysznic dla taniej uciechy. Był równie bystry jak każdy dzieciak w kampusie, ale podstawowe zasady przyjaźni jakoś mu umykały.

– Nie twój interes – warknął Jake. – Kretyn z ciebie, wiesz?

– Nie wysilaj się – zaszydził Ronan.

Zrobił taką minę, jakby wszystko to niewiele go obchodziło, ale gdy Jake podsunął telefon Kevinowi, błyskawicznie wyrwał mu go z ręki.

– Oddawaj! – krzyknął Kevin, łapiąc Ronana za rękę.

– Roonan – jęknął Jake z politowaniem, po czym przybrał napauszony ton prezentera telewizyjnego. – Wiadomość dnia: w przeprowadzonej w kampusie ankiecie dziewięćdziesiąt sześć procent agentów CHERUBA stwierdziło, że wolałoby atak wybuchowej biegunki od jazdy mikrobusem w towarzystwie Ronana „Palanta” Walsh.

Kevin rozpiął pasy bezpieczeństwa i zerwał się z fotela. Rzucił się na Ronana, złapał go wpół i zaczął ciągnąć.

– Oddawaj... telefon! – wystękał z wysiłkiem, mocując się ze zbyt wielkim ciężarem.

– Wy dwaj, natychmiast przestańcie! – krzyknęła gniewnie Maureen. – Siadać na tyłkach albo szykujcie się na karne rundki.

Ronan był silny i jednym pchnięciem posłał Kevina na podłogę między rzędami siedzeń. Szybko spojrzął na wyświetlacz, po czym rzucił telefon Laurze.

– Łap, panno Czarna Koszulka! – zawołał, chrumkając ze śmiechu.

– Mam superprezent na Gwiazdkę dla twojego braciszka. Możesz to

wydrukować i dać mu w ładnej ramce.

Laura nie lubiła Ronana i nie chciała dawać mu satysfakcji, ale kiedy podniosła spod nóg telefon Kevina i spojrzała na wyświetlacz, mimo woli opadła jej szczęka.

7. HOTEL

– Na pewno nikt cię nie śledził? – zapytał Chris Bradford, kiedy James wgramolił się na fotel pordzewiałego volkswagena Scirocco i trzasnął drzwiami. Sportowy wóz zbliżał się do swoich dwudziestych urodzin ze stu pięćdziesięcioma tysiącami mil na liczniku i tapicerką wydzielającą mdłąwą woń pleśni.

Była za kwadrans siódma, porywisty wiatr kęsał chłodem i niósł fale nieprzyjemnej mżawki.

– Dwa razy zmieniłem autobus i wziąłem taryfę ściągniętą z ulicy – skłamał James. – Nikt mnie nie śledził.

– Dzielny chłopak – uśmiechnął się Bradford. – Mamy kilku niezłych ludzi, ale tylko ciebie chcę mieć przy sobie jako ochroniarza. W twoim wieku na pewno nie jesteś tajniakiem!

James skinął głową, z niepokojem wsłuchując się w niezdrowy grzechot silnika. Bradford położył dłoń na dźwigni zmiany biegów, zgrzytnęły tryby i wóz odtoczył się od krawężnika.

– Czyj to truposz?

– Koleżanki – wyjaśnił Bradford.

Kliknął dźwigienką wycieraczek, ale tylko pióro po stronie kierowcy drgnęło, by rozpocząć mozolną wędrówkę po szybie. Zdezelowany w takim stopniu samochód był otwartym

zaproszeniem do zatrzymania przez policję, ale James nie mógł przestrzec Bradforda, nie wychodząc na podejrzenie zorientowanego w temacie.

– Jak ci się udało tak gładko wymknąć z demonstracji? – zapytał James. – W jednej chwili szedłeś obok inspektorki, a w następnej zniknąłeś z powierzchni ziemi.

– Szukałem cię – powiedział Bradford. – Wiedziałem, że będę cię potrzebował na wieczór, i nie chciałem, żeby cię zgarnęli.

James skinął głową.

– Ten tłum pojawił się znikąd. Naprawdę to była dobra zadyma.

– Ostatnie wiwaty dla starego dobrego Sag-u – uśmiechnął się Bradford, mówiąc takim tonem, jakby wznosił pożegnalny toast. – Jeżeli to spotkanie wypali, zacznie się zupełnie inna gra. Myślę, czy nie zrobić Guya Fawkesa...

– Niezła myśl – zaśmiał się James. – Szkoda tylko, że pałac westminsterski jest teraz znacznie lepiej chroniony.

– Ale i materiały wybuchowe są znacznie silniejsze – zauważył Bradford, po czym wybuchnął euforycznym śmiechem, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. – Wyobraź sobie wszystkich tych zapasionych złodziei zasuwających z wrzaskiem przez Westminster w przyjaranych strzępach garniaków po trzy patole sztuka...

James uśmiechnął się bez entuzjazmu i odwróciwszy się w stronę okna, zawiesił wzrok na kobiecie walczącej z parasolką na wietrze.

SAG w założeniach miał być anarchistycznym ugrupowaniem sprzeciwiającym się wszelkim formom zorganizowanej władzy i hierarchii, zakrawało więc na ironię, że całą sławę zawdzięczał charyzmie swojego przywódcy.

Starzy anarchiści gardzili Bradfordem, uważając go za kogoś w rodzaju bohatera kreskówek i nazywając SAG jego fanklubem. Bradford ze swej strony gardził starymi anarchistami, mając ich za bandę przegranych przyków zgarbionych nad filizankami kawy fair trade i dyskutujących o ideach, zamiast wcielać je w życie.

W ramach przygotowań do misji James musiał przyswoić sobie podstawy teorii anarchistycznej i szybko doszedł do wniosku, że jest ona zupełnie bzdurna. Nikt nie lubi, kiedy mówi mu się, co ma robić, ale nie trzeba geniusza, żeby domyślić się, iż gdyby każdy robił, co mu się żywnie podoba, świat utonąłby w chaosie.

James, który przez sześć tygodni urabiał Bradforda, pracując na jego zaufanie, zgadzał się z weteranami ruchu anarchistycznego w jednym punkcie: działalność Sag-u miała niewiele wspólnego z polityką, za to bardzo wiele z kapryсами Chrisa Bradforda, który uznał, że wszczynanie zamieszek i podkładanie bomb jest ciekawszym pomysłem na życie niż ukończenie studiów na wydziale biznesu i ekonomii i podjęcie pracy w biurze rachunkowym swojego ojca.

W ciągu kwadransa dojechali z centrum Londynu do eleganckiego hotelu o nazwie The Retreat. Było to miejsce z gatunku tych, gdzie bogate pary spędzały weekendy: żony na kuracjach upiększających, a mężowie na polu golfowym.

– Zniewieścieła pindy – wycedził Bradford, przejeżdżając pomiędzy szeregami zaparkowanych jaguarów i mercedesów. – Chętnie wpadłbym tu kiedyś z chłopakami z Sag-u i paroma kanistrami zmywacza do farby.

– Fajnie by było – uśmiechnął się James, choć ta chuligańska uwaga przypomniała mu po raz kolejny, że Bradford nie dorasta do gry, do jakiej chce się włączyć.

Odprowadzały ich krzywe spojrzenia kobiet, których kolczyki były warte więcej niż ich antyczny volkswagen, a szwajcar przy wejściu nie obejrzałby ich bojówek i znoszonych glanów bardziej podejrzliwie, gdyby wysiedli z latającego spodka.

– Wchodzicie, panowie? – zapytał z niepokojem.

– Zakładam, że w hallu nie obowiązują krawaty – warknął Bradford, wyrywając odźwiernemu kławkę.

Recepcję z czarno-białą marmurową posadzką zdobiły suszone

kwiaty i wymyślna fontanna. Zielony irokez przyciągał spojrzenia, więc skręcając w stronę windy, James naciągnął kaptur na głowę.

– Nie dało się, kurna, bardziej rzucić w oczy? – zapytał ponury facet mówiący z irlandzkim akcentem, kładąc rękę na plecach Bradforda.

James zmierzył wzrokiem muskularnego mężczyznę i uznał, że jest zbyt młody, by być Richem Davisem.

– Gdzie wasze komory? – zapytał barczysty.

– Wyrzuciliśmy – odpowiedział Bradford. – Tak jak prosiliście.

– I nikt się tu za wami nie przypętał?

Bradford potrząsnął głową.

– Autobusy i taksówki, a volkswagen jest zarejestrowany na dilera.

– Dobra – burknął mężczyzna.

– Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska – powiedział niepewnie Bradford, kiedy drzwi windy rozsunęły się przed nimi.

– Nie podałem ci mojego nazwiska, bo nie musisz go znać, Bradford. Jedyne nazwisko, jakie powinienesz znać, to Richard Kline i uprzedzam, że szef jest na ciebie porządnie wkurzony.

Irlandczyk wcisnął guzik pod cyfrą pięć.

– Powiedział, że pokój sześćset trzy – zaniepokoił się Bradford.

– Pan Kline jest ostrożnym człowiekiem – odparł mężczyzna.

Stojąc za Irlandczykiem w sunącej bezgłośnie windzie, James dokładnie go sobie obejrzał. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest ochroniarzem. Mówił z akcentem z gorszych dzielnic Belfastu i miał pobrużdżoną twarz, ale jego garnitur był świetnie skrojony, a omega na nadgarstku wyglądała na oryginał.

Kiedy wysiedli z windy na piątym piętrze, ochroniarz zrobił cztery kroki, po czym wyjął rozkładaną komórkę i przyłożył ją do ucha.

– Widziałeś, żeby ktoś za nimi wchodził? – powiedział cicho.

James nie mógł słyszeć drugiej części dialogu, ale wyglądało na to,

że Rich ma przynajmniej jedną dodatkową parę oczu w recepcji na dole. Zakończywszy połączenie, Irlandczyk natychmiast wybrał kolejny numer.

– Rich, mam tu Bradforda... Jasne... Jasne, powiem im. – Mężczyzna zatrzasnął telefon, wyjął plastikową kartę-klucz z kieszeni spodni i zwrócił się do Bradforda. – Szeef je kolację. Spotka się z tobą w swoim pokoju za jakieś trzy kwadranse.

Anarchista zjeżył się.

– Jaja sobie robicie?

Ochroniarz złowróźbnie uniósł jedną brew i wyciągnął dłoń w stronę windy.

– Idźcie do pokoju i czekajcie albo wynocha. Rich jest poważnym biznesmenem i po dzisiejszej obsuwie macie niewiarygodne szczęście, że w ogóle zgodził się na to spotkanie.

James rozumiał, o co chodzi, ale Bradford był coraz bardziej rozdrażniony.

– Co to ma znaczyć? Byliśmy umówieni na siódmą.

Ochroniarz postąpił krok w stronę Bradforda i patrząc nań spode łba, ścisnął dłonią pięść, aż chrupnęły stawy.

– Panie Bradford, po dzisiejszych wygłupach jest pan wrogiem publicznym numer jeden. Przyjechał pan wozem, który widać i słychać z odległości mili, z chłopaczką z zieloną szczotą do sracza na głowie. Pan Kline życzy sobie, żebyś usiadł na tyłku i odczekał kapkę, na wypadek gdyby jakiś nadgorliwy tetryk zobaczył was w wiadomościach o szóstej i postanowił dać psom cynk, rozumiano?

Bradford miał wybuchowy temperament i James wiedział, że musi go uspokoić.

– Nic nam się nie stanie, jak sobie trochę odpoczniemy w hotelowym pokoju, szefie – powiedział spokojnie, po czym wziął od Irlandczyka klucz magnetyczny. – Nie ma problemu, poczekamy.

– W porządku – powiedział ochroniarz. – Zamówcie sobie coś do pokoju na nasz koszt. Dam wam znać, kiedy Rich będzie gotowy.

James ruszył korytarzem w stronę pokoju, a Irlandczyk po schodach ewakuacyjnych na wyższe piętro.

– To jakieś gówno – powiedział cicho Bradford, kiedy ochroniarz zniknął im z oczu. – Albo to pułapka, albo sikanie na odległość, żeby Rich mógł nam pokazać, kto tu rządzi. Tak czy siak, nie podoba mi się to.

*

Dennis King wysadził pięciu chłopców i dwie dziewczyny w pobliżu osiedla na obrzeżach miasteczka w środkowej Anglii, około trzech kilometrów od centrum kontroli lotów. Kiedy byli już blisko, chłopcy przesadzili przydrożny płot i poszli dalej przez pola, podczas gdy Bethany i Laura ruszyły szosą w stronę głównej bramy.

CKRL był typowym szarym i nijakim budynkiem instytucji państwowej. Wysoki na trzy piętra betonowy kloc z oknami w plastikowych ramach mógłby uchodzić za nowo wybudowaną szkołę albo szpital, gdyby nie talerze anten satelitarnych na płaskim dachu oraz stumetrowa wieża z trzema wirującymi antenami radarów i kopułą na szczycie przypominającą wielką piłkę golfową na niebotycznej podstawie.

Światła samochodu prześlizgnęły się po dziewczętach idących zwirowym pasem wciśniętym pomiędzy wysokie ogrodzenie CKRL a nieoświetloną szosę. Mżawka była mroźna, a Laura i Bethany nie miały dokąd uciec przed fontannami wody tryskającej spod kół co większych pojazdów. Kiedy dotarły do niewysokiego drzewka, Laura przykucnęła za pniem.

– To jak, czy James coś podejrzewa? – zapytała Bethany, mocując się z suwakiem plecaka wśród szeleszczących gałęzi.

Laura wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się, żeby wiedział, że Dana go zdradza, ale kiedy ostatnio do niego dzwoniłam, powiedział, że ona zachowuje się dziwnie.

– Moim zdaniem oni już od dawna byli na równi pochyłej –

powiedziała Bethany. – Pamiętasz ten kurs reanimacji, na który wszyscy musieliśmy pójść? Niby partnerzy, a przez cały dzień ledwie ze sobą rozmawiali.

– Ja tam nic mu nie powiem – powiedziała Laura, kręcąc głową. – Nie na cztery dni przed Gwiazdką.

Bethany wybałuszyła oczy.

– Ale przecież jak się dowie, że wiedziałas, to tak się wkurzy...

– Wiem, to ryzyko, ale James jest w połowie misji i wraca tylko na parę dni. Jeśli Dana chce się przyznać i zepsuć mu święta, to nic na to nie poradzę, ale sama nie mam zamiaru tego robić.

– Ale wszyscy chłopcy, którzy jechali z nami autobusem, już wiedzą. Możesz ich błagać, żeby trzymali język za zębami, a oni i tak wszystko rozgadają.

– No wiem – westchnęła Laura. – Ale to i tak będą tylko domysły, bo zmusiłam Kevina, żeby skasował zdjęcie.

Kiedy Laura kończyła zdanie, zadzwonił jej telefon.

– Joł, Rat?

– Chciałem tylko zameldować, że jesteśmy już na stanowiskach, proce gotowe, czekamy na wasz sygnał – powiedział Rat.

– Trzy małe świnki zachowują się jak trzeba?

– Będą, jeśli nie chcą mieć przechlapane. Ronan wciąż się dąsa, Kevin jest trochę zdenerwowany.

– A Jake?

Rat roześmiał się.

– Bezczelny i irytujący jak zawsze.

W tle rozległo się ściszone: „Słyszałem to”.

– Będziemy przy głównej bramie za dwie, maksymalnie trzy minuty – powiedziała Laura. – Dam znać, kiedy dostaniemy się do środka.

– Wiesz co? – zagadnęła z uśmiechem Bethany. – Nie chcę być wredna czy coś, ale po tym, jak James traktował dziewczyny, taka akcja może mu nawet dobrze zrobić.

– Czy możemy dać już temu spokój? – powiedziała Laura z irytacją, wpychając telefon z powrotem do kieszeni spodni. Miała powyżej uszu niesnasek pomiędzy jej bratem a najlepszą przyjaciółką. – Akurat w tej chwili sprawy uczuciowe Jamesa są daleko na dole listy moich priorytetów. Masz sztuczną krew?

– Tu jest – powiedziała Bethany, odkręcając wieczko metalowego pojemnika.

Laura zgarnęła garść piachu i zaczęła wcierać go w dżinsy, ale po chwili, uświadomiwszy sobie, że to zbyt czasochłonna metoda, po prostu położyła się na mokrym poboczu i porządnie wytarzała w żwirze. Kiedy jej ubranie było już wystarczająco mocno umorusane, zdjęła z głowy opaskę i energicznymi ruchami dłoni zmierzwiła sobie włosy.

– Wyglądasz przekonująco. – Bethany wyjęła gruby scyzoryk i użyła go do przebicia kilku dziur w bluzie koleżanki. – Nie ruszaj się, bo cię dziabnę.

– Zgłoszę straty i za odszkodowanie kupię sobie nowe dżinsy i ze dwa topy – uśmiechnęła się Laura, wciskając palce w nacięcia po nożu, by przemienić je w szereg rozdarć.

– Kupiłaś tę bluzkę w Matalanie za trzy funty – prychnęła Bethany. – Co chcesz za to kupić?

– Nie bądź wredna – Laura wyszczerzyła zęby w zawadiackim uśmiechu. – Przecież nie powiem, że to był ciuch za trójkę. Powiem, że co najmniej za dwadzieścia.

– No ładnie. – Bethany uśmiechnęła się krzywo, po czym obejrzała, by otaksować wzrokiem własne pośladki. – W sumie niegłupi pomysł. Też mogłabym powiedzieć, że podarłam sobie na czymś spodnie. Pamiętasz te, które oglądałyśmy, jak byłyśmy ostatnio w Londynie?

8. KULKI

Joe Prince właśnie rozpoczął dwunastogodzinną zmianę w budce strażnika za główną bramą najnowszego ośrodka kontroli ruchu powietrznego w Wielkiej Brytanii. Miał dwadzieścia osiem lat, troje dzieci i był zachwycony swoją pierwszą pracą, od kiedy dwa lata wcześniej stracił poprzednią po bankructwie pobliskiej mleczarni.

Obserwowanie szeregów ciekłokrystalicznych ekranów szybko robiło się nudne i najbardziej zajmującym momentem nocnej zmiany był wymarsz pół tuzina techników wyjeżdżających do domu w identycznych firmowych bmw pomiędzy siódmą a ósmą wieczorem. Usuwali ostatnie usterki przed otwarciem ośrodka w nowym roku i Joe zazdrościł im, bo podczas gdy on był na minimalnej krajowej, technicy mieli obiecane sześćdziesiąt tysięcy premii, jeśli ośrodek rozpocznie prace o czasie i bez przekroczenia budżetu.

– Proszę mi pomóc – pisnął głos z głośnika pod sufitem.

Joe wiedział, że to interkom przy furtce dla pieszych, choć był to pierwszy przypadek, kiedy ktoś z niego skorzystał – do położonego za miastem centrum nikt nigdy nie przychodził na piechotę. Pismo o łowieniu karpí sfrunęło z łopotem z kolan Joego, kiedy ten potoczył się na krześle w stronę konsoli sterowniczej.

System CCTV nowiutkiego ośrodka rejestrował wyraźne, barwne obrazy i strażnik struchlał na widok tego, co pokazywał mu główny ekran. Młoda dziewczyna, która nacisnęła przycisk dzwonka, miała podarte ubranie, krew na twarzy i wyglądała, jakby płakała.

– Halo? – chlipnęła dziewczyna. – Czy ktoś tam jest? Błagam, proszę mi pomóc.

System zabezpieczeń dawał Joemu szereg możliwości, od otwarcia bramy, by wpuścić gościa do środka, aż po wciśnięcie guzika, który blokował drzwi w całym ośrodku i uruchamiał alarm. Jednak rozpacz nastolatki zagrała na jego najgłębszych instynktach i Joe wypadł ze swojej stróżówki, by pognać co tchu w stronę bramy.

– Dziecko... – jęknął Joe ze współczuciem, patrząc na Laurę szlochającą za żelaznymi prętami. – Na Boga, co się stało?

– Byłam w mieście... – Laura pociągnęła nosem, podczas gdy Joe uniósł klucz magnetyczny do czytnika przy bramie. – Ci ludzie wciągnęli mnie do samochodu i... O Boże!

Agenci CHERUBA uczą się na szkoleniach, jak zmuszać się do płaczu poprzez myślenie o smutnych rzeczach oraz jak kłamać w żywe oczy. Laura była prymuską i Joemu wilgotniały oczy od samego patrzenia na nią.

– Tu jesteś bezpieczna, dziecino – gruchał uspokajająco. – Wezmę cię do środka. Wezwiemy policję i twoich rodziców, a potem zrobię ci coś ciepłego do picia, żebyś mi nie zamarzała.

Kiedy tylko szcęknął zamek, Laura przekuśtykała przez furtkę i wtuliła się w miękki brzuch strażnika, zanim mężczyzna zdążył sięgnąć do klamki, by zamknąć furtkę.

– Dziękuję – zaszlochała. – Rzucili mnie na ziemię i...

– Już dobrze, skarbie, już dobrze – powiedział Joe, masując jej plecy. – Najważniejsze, że już nic ci nie grozi.

Dręczona poczuciem winy Laura przesuwiała dłońmi po pasku Joego, aż jej palce natrafiły na pojemnik z gazem pieprzowym. Strażnik wydawał się naprawdę sympatycznym facetem i wedle

wszelkiego prawdopodobieństwa miał niebawem stracić pracę.

– Bardzo boli mnie ramię – poskarżyła się Laura, ostrożnie wysuwając spray z pokrowca, po czym błyskawicznie odstaąpiła o krok od strażnika i nacisnęła głowicę.

Joe wrzasnął i zatoczył się do tyłu, przyciskając dłonie do twarzy. W tej samej chwili przez otwartą furtkę przebiegła Bethany. Laura brutalnie kopnęła strażnika w nerki, łamiąc go wpół, a Bethany ustawiła się za nim z otwartym scyzorykiem w dłoni.

– Spróbuj choć drgnąć bez mojego pozwolenia, a wbiję ci to w plecy – powiedziała złowieszczo. – Idziemy do twojej budki, szybko.

W ośrodku byli inni pracownicy ochrony, więc dziewczętom zależało na szybkim wejściu do środka, zanim ktokolwiek zobaczy, co się dzieje. Laura przeciągnęła kartę Joego przez czytnik, żeby zamknąć elektroniczny zamek furtki, a Bethany odprowadziła jeńca do stróżówki.

– Tu nie ma niczego, co warto by ukraść – tłumaczył nerwowo Joe. – Lepiej uciekajcie, zanim napytacie sobie gorszej biedy.

– Zamknij się – warknęła Bethany. – Nie odzywaj się, chyba że ci każemy.

Mimo noża w dłoni Joe optymistycznie ocenił swoje szanse w starciu z dwiema trzynastolatkami i przestąpiwszy próg ciasnej stróżówki, skoczył w stronę konsoli rozdzielczej. Kopnął w tył swoje krzesło na kółkach w nadziei, że zwali dziewczynę z nóg, i sięgnął do przycisku alarmu, ale Bethany uchylila się przed meblem, po czym wyprowadziła błyskawiczny cios karate, z całej siły wbijając strażnikowi dwa palce pod żebra.

Joe chybił konsoli, gdy całe jego ciało wygięło się w gwałtownym spazmie. Nie mogąc się osłonić, runął twarzą na winylową podłogę z bolesnym jękiem.

– Co ja ci mówiłam?! – wydarła się Bethany, przyciskając mężczyźnie ostrze do szyi. – Myślałeś, że to żarty?

– Nie wiem, czego szukacie, ale nie znajdziecie tutaj niczego

ciekawego – jęknął Joe. – Weźcie mój portfel, mam tam jakieś trzydzieści funtów.

– Jeszcze jedno słowo... – zasyczała ostrzegawczo Bethany, czując wyrzuty sumienia na widok ustawionej na biurku rodzinnej fotografii.

Przedstawiała Joego trzymającego na kolanach trzy córki. Najmłodsza była niemowlęciem, najstarsza szczerbatą sześciolatką.

Podczas gdy Bethany trzymała strażnika pod ostrzem, Laura usiadła mu na udach i owinęła kostki zbrojoną taśmą izolacyjną, po czym kazała Joemu złączyć nadgarstki, żeby móc także je związać.

Kiedy Laura uporała się z krępowaniem jeńca, Bethany zdjęła z biurka zdjęcie jego córek i postawiła mu tuż przed oczami, które wciąż łzawiły od pieprzu w sprayu.

– Trzy śliczne córeczki – westchnęła, wyjmując walkie-talkie z kabury przy pasku Joego. – Chciałbyś je jeszcze zobaczyć?

– Tak – powiedział Joe. – Oczywiście, że tak.

– To fantastycznie. – Bethany uśmiechnęła się krzywo. – Chcę, żebyś porozmawiał teraz przez radio ze swoimi kolegami z ochrony. Powiesz im, że zobaczyłeś coś przez kamery. Coś dziwnego dzieje się na tyłach, przy silosie zbożowym.

– I lepiej, żebyś był przekonujący, bo normalnie oberżnę ci pytonga – dodała Laura.

– Gdzie się podziały cukier, słodkości i różne śliczności? – jęknął Joe.

Bethany oparła stopę między łopatkami strażnika i całym ciężarem ciała naparła na piętę.

– Boże... – stęknął Joe i zarzęził z bólu.

– Będzie znacznie gorzej, jeżeli z twoich ust padnie choć jedno niewłaściwe słowo – ostrzegła Bethany, pochylając się nad mężczyzną i podtykając mu pod usta krótkofalówkę. – Mów.

– Chłopaki, tu Joe z dyżurki przy bramie. Przepraszam, że zawracam wam głowę, ale widziałem coś dziwnego z tyłu koło

silosu.

– Pewnie to jakaś zbłąkana owca – zatrzeszczał głośnik w odpowiedzi, a w tle zagrzechotał chóralny śmiech. – Oglądamy film, Joe, a poza tym na dworze jest potwornie zimno, wiesz?

Laura osłupiała, słysząc tę lekceważącą ripostę. Podczas testu zabezpieczeń cała komunikacja radiowa była nagrywana, a ostatnie zdanie najpewniej wystarczyłoby, żeby firma ochroniarska straciła swój kontrakt.

– Leniwe sukinsyny – zasyczała Bethany, wbijając w Joego wściekły wzrok, po czym potrząsnęła mu przed nosem krótkofalówką. – Powiedz im, że to na pewno intruz.

– Chłopaki, ja się nie zgrywam – powiedział Joe do mikrofonu. – Tam ktoś łązi, widziałem. Jak nie sprawdzicie, będę musiał wpisać to do raportu.

– Uuuuuu, chłopaczek postanowił trochę sobie porządzić – zaśmiał się koleś po drugiej stronie linii. – No dobra, waźniaku, skoro taka z ciebie żelazna dupa... Idziemy, ale od tej pory łapy precz od gorących kubków w mojej szafce.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Bethany, zdejmując nogę z pleców Joego i chowając radio do kieszeni. – A teraz otwieramy buzię.

Joe niechętnie pozwolił wypchać sobie usta kulą pogniecionej taśmy, po czym Bethany okleiła mu nią głowę, zakrywając usta i oczy, oszczędzając tylko nozdrza, żeby mógł oddychać.

Tymczasem Laura wyjęła telefon.

– Rat? – powiedziała, wybrawszy numer. – Zespół ochrony powinien już iść w waszą stronę. Z tego, co słyszałam, nie macie się czym przejmować.

Rat schował telefon do kieszeni i wyszczerzył zęby w radosnym grymasie.

– Laura mówi, że ochroniarze to banda mięksiszów – powiedział do swoich kolegów.

*

Kiedy cherubini studiowali plany nowego centrum kontroli lotów, zauważyli, że choć cały front osłania solidne metalowe ogrodzenie, rozległy spłacheć ziemi za budynkiem zabezpieczono jedynie wysokim płotem z drucianej siatki, jakiej używa się do grodzenia raczej szkolnych boisk niż strzeżonych instalacji radarowych.

Pierwotny projekt zakładał, że solidne wysokie bariery będą otaczać cały teren ośrodka, ale lokalne władze zmieniły go, ponieważ takie ogrodzenie szpeciłoby krajobraz. Nikt nie oponował, ponieważ lżejszy płot pozwolił zaoszczędzić miliony na kosztach budowy. Był to ten rodzaj słabego punktu, jaki miały odkrywać testy zabezpieczeń organizowane przez CHERUBA i MI5.

Podczas gdy Laura i Bethany wchodziły do ośrodka od frontu, Rat i jego czterej towarzysze człapali przez pobliskie pole, cmokając butami w błocie. Dwadzieścia metrów przed tylną granicą ośrodka Rat, Andy i Jake stanęli na warcie, zaś dwaj najmłodsi chłopcy podczołgali się do ogrodzenia i nożycami do drutu wycięli w siatce dwa otwory, po czym wrócili do pozostałych.

Otwór Ronana był duży i widoczny. Chłopiec odgiął spory płat siatki i zaczepił na sterzącym drucie jaskrawo-pomarańczową narciarską rękawiczkę. Kevin wyciął dziurę jakieś dwadzieścia metrów dalej. Mniejsza i zasłonięta wyciętym fragmentem siatki była nie do zauważenia w ciemności.

Andy pierwszy wypatrzył światła latarek migoczące daleko na terenie ośrodka, pomiędzy świeżo posadzonymi drzewkami.

– Naliczyłem pięć osób – powiedział Jake po chwili wpatrywania się w ciemność przez miniaturową lornetkę.

– Szlag... – zaklął Rat. – To znaczy, że jeden koleś wciąż kręci się w środku. Jake, Andy, Ronan, ruszajcie naprzód i szykujcie się do wejścia na teren.

– Aj, aj, kapitanie Rathbone! – Andy zasalutował koledze, po czym potruchtał po rozmiękłym gruncie w ciemność z Jakiem i

Ronanem za sobą.

Odległość pomiędzy tylną ścianą budynku ośrodka i ogrodzeniem wynosiła około trzystu metrów. Pięciu umundurowanych strażników szło grupą, gawędząc bez troski i bawiąc się latarkami, jeden nawet palił papierosa.

– Nie traktują tego zgłoszenia poważnie – powiedział Rat, odwracając się do Kevina. – Jak myślisz, ile godzin szkoleń mogą mieć za sobą?

Kevin uśmiechnął się niepewnie.

– Z pół dnia? Najwyżej.

– Jak się w ogóle czujesz?

– Troszkę się cykam – przyznał Kevin. – Wiem, że to nic takiego w porównaniu z normalnymi misjami CHERUBA, ale dla mnie to pierwsza prawdziwa akcja, wszystko jest na serio i w ogóle...

Rat uspokajająco poklepał młodszego kolegę po ramieniu i wyciągnął telefon.

– Niedobrze, że jest ich tylko pięciu – powiedział. – Lepiej zadzwonię do Laury i powiem, żeby poszukała szóstego.

– Ktoś może być na zwolnieniu czy coś – zauważył Kevin.

Andy, Jake i Ronan dotarli do ogrodzenia. Przestrzeń za nim była pod alarmem i chłopcy nie mogli wejść na teren ośrodka, nie upewniwszy się najpierw, że czujniki ruchu zostały wyłączone.

– Twarz w glebę, panowie – zarządził szeptem Andy, kiedy snop światła z potężnej latarki zaczął omiatać okolicę.

Zgodnie z oczekiwaniami strażnicy szybko zauważyli pomarańczową rękawicę i otwór wycięty przez Ronana.

– Hej, Karen! – zawołał jeden z nich do walkie-talkie. – Zdaje się, że Joe miał rację. Ktoś przeciął siatkę, ale nie wlaźł do środka, bo wtedy odpaliłby alarm. Muszę się temu przyjrzeć. Weź pstryknij mi czujniki, dobra?

Andy nie usłyszał odpowiedzi, ale zorientował się, że czujniki są wyłączone, kiedy dwaj strażnicy ruszyli w stronę otworu w siatce.

Ich trzech koledzy najwyraźniej bardzo zadowoleni z tego, że znaleźli źródło problemu, przestali machać latarkami.

– Ideolo – szepnął Andy, szczerząc zęby do kolegów, po czym zabrał się do przełazenia przez drugą dziurę. – Tylko bądźcie cicho i patrzcie w dół, bo twarz odbija światło.

Jake cmoknął z irytacją, przeciskając się za Andym przez otwór.

– Czy ja wyglądam na idiotę? – wyszeptał.

– Raczej tak. – Ronan uśmiechnął się krzywo.

Kevin dyszał nerwowo, łypiąc spode łba na ochroniarzy podchodzących do drugiego otworu. Rat sięgnął do kieszeni kurtki po procę i woreczek wypełniony dużymi stalowymi kulkami do łożysk. Płot był dziesięć metrów dalej, było ciemno i mżyło, ale mimo to był pewien, że nie chybi.

– Dzieciaki – prychnął lekceważąco strażnik, podnosząc dziecięcą rękawicę zaczeponą na drucie przy dziurze w siatce. – Jeden gnojek zgubił rękawiczkę.

Ochroniarz skierował latarkę w dół i przyjrzał się odciskom lewej dłoni i butów, które Ronan celowo pozostawił w błocie.

– Dziesięć, jedenaście lat – orzekł wreszcie strażnik.

Jego kolega skinął łysą głową.

– Lepiej wyjdźmy na zewnątrz i sprawdźmy, czy wciąż tam są. Joe widział ich najwyżej minutę temu.

– Chrzanić to – odparł pierwszy. – Chce ci się tarzać w tym błocie? Zresztą jak złapiemy tych małych bandziorów, to skończy się tak, że oskarżą nas o napaść.

Łysy wyprostował się i założył czapkę, którą trzymał w dłoni.

– Ja tylko mówię, Ken, że szefostwo na pewno przeprowadzi śledztwo, i lepiej robić tak, żeby potem nikt nie mógł się do nas przyczepić.

Ken uświadomił sobie, że jego kolega ma rację, i zamyślił się, intensywnie szukając pretekstu, by nie musieć się brudzić.

– Odciski dłoni – rozpromienił się nagle. – To przecież ważne

ślady, a nie ma mowy, żebyśmy tędy przeszli i ich nie zniszczyli.

– A niech cię szlag – zaklął pod nosem Rat, który miał nadzieję zaskoczyć strażników, kiedy przedostaną się za ogrodzenie.

Kłopot z ostrzeliwaniem strażników będących wciąż na terenie ośrodka polegał na tym, że trzeba było strzelać przez siatkę, ryzykując rykoszet. Dwaj mężczyźni przy dziurze szykowali się do odejścia i Rat zrozumiał, że nie ma sensu czekać na lepszą okazję.

Wychynął z mokrej trawy, napiął gumę procy najsilniej, jak potrafił, i wycelował w tułów Kena. Strzał w głowę z pewnością byłby skuteczniejszy, ale brzuch był większym celem, a poza tym Rat nie zamierzał zabić strażnika, tylko go obezwładnić.

Stalowa kulka brzęknęła o drut siatki i odbiła się w górę, strącając Kenowi czapkę.

– Co do licha! – zawołał strażnik zaskoczony, ale nadal nie zdawał sobie sprawy, że znalazł się pod ostrzałem.

Rat przysunął się bliżej i drugi pocisk śmignął czysto przez oczko siatki, by grzmotnąć Kena w brzuch, pozbawiając go tchu. Przyczajony metr za Ratem Kevin strzelił do łysego mężczyzny. Chłopcy nie chcieli nikogo poważnie skrzywdzić, ale Kevin miał za sobą tylko jeden krótki trening strzelania z procy i trochę drżały mu ręce. Kulka poleciała za wysoko i drasnęła szyję strażnika, który zawył z bólu.

Pięć sekund po pierwszym strzale Rata pozostali trzej ochroniarze zrozumieli, że ich koledzy są atakowani, ale ich myśli pomknęły w stronę terrorystów i pistoletów z tłumikami, a nie dzieciaków uzbrojonych w proce.

– Uciekajcie! – krzyknął jeden z nich.

Trzej mężczyźni byli oskrzydleni przez Andy'ego, Ronana i Jake'a. Kiedy odwrócili się, by pobiec z powrotem do budynku, chłopcy wypadli z ukrycia i wystrzelili salwę stalowych kulek z odległości niespełna trzech metrów. Dwaj najbliżsi strażnicy runęli na ziemię powaleni strzałami w brzuch i klatkę piersiową, ale Ronan chybił i

zachłysnął się z przerażenia, patrząc, jak jego cel sięga po krótkofalówkę.

Wystarczyłaby jedna wiadomość przesłana do strażniczki w budynku, a cherubini w mgnieniu oka mieliby na karku tuzin świetnie wyszkolonych żandarmów wojskowych i całą miejscową policję. Na szczęście Rat, który tymczasem przecisnął się przez dziurę w siatce i dobrze wymierzonym kopniakiem pozbawił przytomności mężczyznę trafionego w szyję, zdążył wyjąć z kieszeni kolejną kulkę i oddać mistrzowski daleki strzał w ostatniego z przeciwników. Upadając, strażnik dodatkowo oberwał w plecy pociskiem wystrzelonym przez Jake'a.

Spośród pięciu strażników na ziemi tylko jeden był nieprzytomny. Kevin przypuścił atak na Kena przy płocie, oszłamiając go ciosem w skroń i wyrywając pojemnik z gazem pieprzowym z kabury przy pasku. Zmusiwszy przeciwnika do posłuszeństwa dwoma tryśnięciami sprayu oraz groźbą trzeciego, wyjął taśmę i przy pomocy Rata zabrał się do krępowania mu kostek i nadgarstków, podczas gdy pozostali chłopcy przystąpili do obezwładniania reszty ochroniarzy.

Andy'emu przypadł największy z mężczyzn, który jednak trafiony stalową kulką w brzuch nie był w stanie podjąć walki. Po zainkasowaniu kopniaka w żołądek strażnik posłusznie podał przeguby do oklejenia taśmą.

Ronan i Jake mieli trudniejszą przeprawę, ale ostatecznie zdołali przydusić przeciwnika do ziemi i pozbawić woli walki za pomocą połowy puszki jego własnego gazu pieprzowego. Tymczasem Rat przeładował procę i podszedł do ostatniego strażnika, celując mu prosto w głowę.

– Rzuć radio – rozkazał. – Trzymaj ręce tak, żebym je widział, i czekaj na mojego kolegę z taśmą.

W ciągu niecałej minuty Kevin uporał się ze związaniem nieprzytomnego strażnika przy siatce, po czym podbiegł, by zająć

się jeńcem Rata. Rat potoczył wzrokiem dookoła.

– Dobra robota, chłopaki – powiedział, a potem wyjął z kieszeni telefon, by zadzwonić do Laury.

– I jak poszło? – zapytała.

Mamy wszystkich, którzy wyszli z budynku. Lepiej idź tam i poszukaj tej babki, zanim wyczai, dlaczego jej kumple przestali się odzywać.

9. RICH

Przedstawił się jako Rich Kline, ale kiedy tylko otworzyły się drzwi jego apartamentu, James rozpoznał w nim Richa Davisa. Był grubszy niż na policyjnej fotce, miał jeszcze mniej włosów, a baczki w stylu lat siedemdziesiątych zniknęły bez śladu, ale bez wątplenia był to ten sam człowiek, którego nazwisko wieńczyło niegdyś listę najpilniej poszukiwanych osób ulsterskiej policji.

– Panie Bradford... – westchnął Rich, niechętnie wyciągając rękę w stronę swojego gościa.

James uśmiechnął się w duchu na widok czystych ubrań rozwieszonych na drzwiach garderoby i ponadgryzanych kanapek na stole. Widoczna niechlujność celu mogła bardzo ułatwić założenie podsłuchów.

– Wszyscy mówią mi po prostu Bradford – uśmiechnął się Bradford, kiedy jego masywna łapa spotkała się z dłonią Richa. – Miło mi wreszcie cię poznać.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo – burknął Rich i zaniósł się grzechotliwym kaszlem. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś wyjdę na ulicę, Bradford. Wlepili mi trzydzieści lat na podstawie lipnych dowodów. Gdyby nie porozumienie pokojowe, siedziałbym dziś w celi o zaostrowym rygorze. Angielski rząd zrobił wszystko, co

mógł, żeby mnie dorwać, a teraz, skoro ty jesteś wrogiem publicznym numer jeden, zrobią wszystko, żeby dorwać ciebie. Jeżeli nie dadzą rady dobrać ci się do tyłka w uczciwy sposób, zrobią cię bez mrugnięcia okiem i zanim się obejrzysz, będziesz odsiadywał dwadzieścia pięć latek. I właśnie dlatego nie stać cię na głupie ryzyko takie jak przyjeżdżanie tu trefnym gównowozem i taszczenie ze sobą zielonowłosego kosmity.

– Ma szesnaście lat – odparł urażony Bradford. – Chłopak potrafi walczyć i jest za młody, żeby być gliną albo pismakiem.

James zdawał sobie sprawę, że Rich Davis próbuje ich zdominować, świadczył o tym fakt, że kazał im czekać, arogancki ton oraz zaciskający pięści osiłek stojący w drzwiach za nimi. Irlandczyk nie chciał negocjować z Bradfordem, zamierzał pokazać, kto tu rządzi.

Davis zwrócił się do swojego goryla:

– Sprawdź obu, czy nie mają jakichś pluskiew, a potem zabierz chłopaka na dół i kup mu lizaka czy coś...

– James zostaje ze mną – powiedział Bradford. Silił się na stanowczy ton, ale zdradziło go drżenie głosu.

Goryl złapał skaner i podszedłszy od tyłu do Bradforda, zaczął wprawnymi ruchami przesuwając przyrząd nad jego ubraniem. James miał przy sobie podsłuch i dwa mikronadajniki lokalizacyjne, ale nie obawiał się, sprzęt używany przez CHERUBA był zbyt zaawansowany technicznie, by mogło go wykryć tak prymitywne urządzenie.

– Żadnych telefonów, żadnych pluskiew, sir – zameldował ochroniarz Davisowi, po czym odwrócił się do Jamesa. – Zjeżdżaj, synku, nie przeszkadzaj dorosłym w rozmowie.

James zmierzył mężczyznę lodowatym spojrzeniem. Musiał zebrać informacje i podrzucić Davisowi podsłuch, ale ani jednego, ani drugiego nie mógł zrobić, nie będąc w pokoju. Z drugiej strony, stawiając opór, ryzykował zepsucie stosunków pomiędzy Davisem

aBradfordem, jeszcze zanim zdobędzie jakiekolwiek informacje o przemytniczej działalności Irlandczyka.

– Chłopak zostaje – powiedział Bradford. – Przeginasz, Kline, nie będziesz mi rozkazywał.

– Masz fatalne maniery, synu – zasyczał Davis.

– Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery?! – krzyknął Bradford, a goryl położył mięsistą dłoń na ramieniu Jamesa.

Mając ochroniarza za plecami, James nie był w stanie oszacować zagrożenia, ale lekceważenie, z jakim goryl szarpał go i popychał podczas przeszukiwania, wskazywało, że nie uważa chłopca za groźnego przeciwnika.

– Dobra, dobra, odjeżdżam – skrzywił się James, odgrywając nadąsanego nastolatka.

Uniósł ręce i zaczął odwracać się do ochroniarza.

– Pistacjowy alfons – prychnął goryl, popychając Jamesa w plecy.

Bradford wyraźnie dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by jego towarzysz wychodził z pokoju, a zniewaga dała Jamesowi pretekst do wybuchu. Kiedy tylko odległość między nim a ochroniarzem wzrosła do metra, James sprężył się w sobie i wystrzelił zamaszysty kopniak z półobrotu.

Goryl z łomotem zderzył się z komodą, ale szybko odwrócił się, sięgając za pazuchę po broń. W przyпіływie paniki James skoczył w jego stronę, złapał za kciuk i szarpnął w tył, aż trzasnęła łamana kość. W następnej chwili kopnięcie kolanem w brzuch powaliło goryla na ziemię, ostatecznie pozbawiając go woli walki.

– Masz coś do moich włosów, zasańcu?! – wrzasnął James, wymierzając leżącemu kopniaka w brzuch, po czym pochylił się, by wyjąć pistolet z kabury pod jego kurtką. – Chciałbyś mnie kropnąć? Tak? – zapytał, drwiąco unosząc brwi.

Ochroniarz kaszlał i pluł krwią. Widać było, że nieprędko dojdzie do siebie, więc James wycelował broń w jego szefa.

– Uważaj z tą zabawką, synu! – krzyknął Davis, wymachując

rękami. – Lepiej porozmawiajmy, okej?

– I więcej szacunku, jasne? – krzyknął James. – Jeszcze raz powiesz coś o lizakach, a przysięgam, wezmę tę spluwę i wsadzę ci ją w zadek.

Wygłosivszy groźbę, James wprawnie – być może nieco zbyt wprawnie jak na kogoś, kto udaje zwyczajnego nastolatka – wyjął z pistoletu magazynek, schował go do kieszeni i sprawdziwszy, czy komora nabojoya jest pusta, oddał bezużyteczną broń Davisowi.

Zapadła pełna napięcia cisza. Bradford i Davis mierzyli się ponurym wzrokiem, a James spojrzał znacząco na ochroniarza, zniechęcając go do próby podniesienia się i przypuszczenia ataku. Wreszcie Davis spojrzał na pusty pistolet w swojej dłoni i parsknął śmiechem.

– Widziałem już niejedno, panie Bradford, ale muszę przyznać, że pański mały zielonowłosy przyjaciel to kawał ostrego drania.

Po tym jak James powalił goryla, Bradford odzyskał nieco pewności siebie i teraz pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

– James jest dobry – powiedział, kiwając głową. – Mam wielu dobrych ludzi, panie Davis. A teraz czy moglibyśmy wreszcie zapomnieć o tych wszystkich pierdołach i przejść do interesów?

*

Po otwarciu, które zaplanowano za miesiąc, nowy ośrodek miał stać się miejscem pracy dla stu pięćdziesięciu cywilnych i osiemdziesięciu wojskowych kontrolerów ruchu lotniczego, jak również dwustu osób personelu pomocniczego, od obsługi kantyny, przez programistów, po kierowników.

Na razie jednak budynek był upiornie mroczny i pusty. Większość głównych światel wyłączono dla oszczędności energii i Laura z Bethany skradały się korytarzem oświetlonym wyłącznie słabą poświatą rozsiewaną przez zielone znaki „Wyjście ewakuacyjne”.

– Strzałka pokazywała, że pomieszczenia ochrony są gdzieś tutaj –

wyszeptała Laura, ale zanim skończyła mówić, Bethany potknęła się o wiadro z wodą.

– Auuu – jęknęła i pstryknęła włącznikiem latarki, by zobaczyć, w co wlała.

– Ciszej trochę – zirytowała się Laura. – Jak ta strażniczka wezwie posiłki, to mamy przerąbane.

– Wygląda na to, że dekarze świetnie się spisali – wyszeptała z przekąsem Bethany, kierując światło latarki na częściowo zagrzybioną ramę świetlika, z której woda kapała do wiadra.

Laura ruszyła dalej, ale już po chwili zatrzymała się, widząc światło przesączaające się przez szczelinę pod drzwiami. Włączyła latarkę i uśmiechnęła się na widok tabliczki na drzwiach: „Sala G117 – pomieszczenie służbowe personelu ochrony”.

Laura przyłożyła ucho do drzwi i usłyszała głos kobiety mówiącej do krótkofalówki.

– Chłopaki, co się tam dzieje? Chłopaki! Odezwijcie się. Jak mnie robicie w konia, pajace, to nie daruję.

– Tylko jedna babka i zaczyna już panikować – wyszeptała Laura, kiedy Bethany podeszła bliżej. – Przynieś wiadro.

– Wiadro? – zapytała Bethany, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Laura nie знаła rozkładu pokoju dla ochrony, ale prawie na pewno gdzieś w środku był włącznik alarmu i gdyby po prostu otworzyły drzwi, strażniczka mogłaby go dosięgnąć, zanim dziewczęta zdążyłyby ją dopaść.

– Dzięki – szepnęła Laura, odbierając od przyjaciółki plastikowe wiadro, lekko odkształcone pod ciężarem brudnej wody w środku.

Laura zaczęła wlewać wodę pod drzwi pomieszczenia ochrony. Część popłynęła na korytarz, wirując wokół jej butów, ale większość przeciekła pod drzwiami do środka i po chwili strażniczka usłyszała jej chlupot na winylowej podłodze.

– Jasna cholera – zakląła kobieta. – Pieprzony dach. Nie

przypominam sobie, żebym w zakresie obowiązków miała wycieranie podłóg.

Strażniczka osłupiała, kiedy otworzywszy drzwi, ujrzała przed sobą Laurę. W stylu, którego nie opisywał żaden podręcznik sztuk walki, dziewczyna wzięła zamach i grzmotnęła kobietę pustym wiadrem w głowę. Dał się słyszeć dudniący łomot, ale plastik był zbyt lekki, by wyrządzić poważniejszą krzywdę. Strażniczka krzyknęła i pociągnęła drzwi, próbując zatrzasnąć je przed napastniczką.

Laura zablokowała drzwi stopą, wparowała do środka i skoczyła na kobietę, która biegła już w stronę konsoli rozdzielczej. Oplótszy ramionami masywne uda przeciwniczki, powaliła ją na moką podłogę niczym zawodowa rugbystka. Bethany, która wpadła do sali za Laurą, podniosła wiadro i nie oparła się pokusie zatknięcia go leżącej na głowę.

Widok strażniczki miotającej się z kubłem na głowie i jej przytłumione okrzyki podziały na spaczone poczucie humoru dziewcząt i nagle obie zaczęły opętańczo rechotać.

– Dawaj taśmę, Bethany – siąknęła nosem Laura.

Podczas gdy Laura klęczała na strażniczce, owijając taśmą jej kostki i nadgarstki, Bethany wypatrzyła czarny flamaster pod tablicą z harmonogramem zmian ochrony i użyła go do ozdobienia wiadra uśmiechniętą buźką.

Rysunek tak rozśmieszył Laurę, że zaczęła dusić się ze śmiechu.

– O matko! – zapiszczała, ocierając łzy. – Zaraz umrę.

Bethany nie śmiała się aż tak mocno, ale i tak miała kłopoty z utrzymaniem się na nogach, kiedy przeplatała pod pachami strażniczki długi kawał taśmy i owijała nim wiadro, żeby nie spadło.

– Ale ze mnie wredota! – wykrzyknęła triumfalnie, kiedy skończyła. – Czy to nie jest odjechane być tym złym?

– Nie możesz tego zostawić – powiedziała Laura, z najwyższym wysiłkiem zdobywając się na powagę pomiędzy kolejnymi

wybuchami dzikiego rechotu. – Ona może być w ciąży albo mieć astmę czy coś...

– Ty to zawsze musisz zepsuć najlepszą zabawę – jęknęła Bethany, pstrykając zdjęcie swoją komórką, po czym wzięła się do zdejmowania wiadra.

Kobieta wydała z siebie przeszywający krzyk, który urwał się, gdy Bethany sporządziła knebel w sposób, jakiego uczyła się na szkoleniach: luźno zgnieciona kula taśmy, która uciska język, ale nie dusi jeńca, oraz pojedynczy pasek taśmy na ustach umieszczony tak, by nie zakrywał nosa.

– Nie powinnyśmy się śmiać – powiedziała Laura, wyjmując telefon i próbując uspokoić się nieco przed zadzwonieniem do Rata. – Ale ten kubeł wyglądał tak śmiesznie...

Strażniczka wykrzykiwała coś w knebel w sposób niepozwalający wątpić, że nie są to komplementy.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał Rat, kiedy odebrał telefon.

– Nieważne. – Laura pociągnęła nosem i otarła palcem kącik oka. – Słuchaj... Co tam u was?

– Jest zimno, więc zaciągnęliśmy ochroniarzy do komórki pod wieżą radarową. Czekamy już tylko na was.

– Właśnie siedzę na tej ostatniej strażniczce – powiedziała Laura. – Zbierajcie swoje leniwe tyłki i jazda do środka. Pora rozwalić tę budę.

10. ROZMOWA

– Pytanie brzmi, czy jesteśmy w stanie ubić interes – powiedział Rich, zaciągając ciężkie aksamitne zasłony i wskazując Bradfordowi krzesło za okrągłym stolikiem ustawionym przy oknie w wykuszu apartamentu.

James wziął butelkę wody mineralnej z minibarku i podał ją ochroniarzowi, który wciąż siedział na podłodze. Ten przyjął ją z niechęcią, po czym przepłukał usta i wypluł krwawą pianę na dywan.

– Gdzie się nauczyłeś tych sztuczek? – zapytał, kiedy James wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać.

– Mój tata był mistrzem boksu tajskiego – skłamał James. – Trenowałem mnie, odkąd zacząłem chodzić.

– Mógłbym cię załatwić, młody – powiedział mężczyzna, gapiąc się z krzywym uśmiechem na swój wyłamany palec. – Po prostu udało ci się mnie zaskoczyć.

James nie chciał kolejnej utarczki, ale ta próba spoufalenia się ze strony człowieka, który jeszcze pięć minut wcześniej drwił z niego, apotem chciał grozić bronią, napętniała go niesmakiem.

– Wszystkie te telefony, cała ta tajemnica i w ogóle... – powiedział Bradford, wpatrując się w Richa ponad stołem. – Mówiłeś coś o

tajnym składzie rosyjskiej broni.

Rich ujął palcami dwie kostki lodu i upuścił je do swojej whisky, po czym skinął głową.

– W obiegu wciąż jeszcze jest sporo gratów z IRA, ale mógłbym postarać się o coś lepszego: plastik z Europy Wschodniej, włoskie granaty, izraelskie pistolety maszynowe... Chodzi jednak o to, że to wszystko kosztuje, i to całkiem konkretnie, a sądząc po tym rzęchu, którym przyjechaliście, ty i twoi anarchistyczni kumple raczej nie śpicie na forsie.

Rozmowa zaczynała być interesująca, ale głównym zadaniem Jamesa było umieszczenie nadajników lokalizacyjnych w czymś należącym do Davisa. Zamknięcie Richa przed zdobyciem istotnych informacji o jego organizacji byłoby jak ucinanie chwastu nad korzeniem: jeśli nie zniszczy się korzeni, paskudztwo odrośnie w innym kształcie.

– Mogę na małe jasne? – zapytał James.

Rich spojrzał na niego i uśmiechnął się. Widok zielonowłosego nastoletniego ochroniarza wyraźnie wprawiał go w dobry humor.

– Śmiało – skinął głową.

– Tylko nie zamykaj drzwi na zamek – dodał goryl ostrzegawczym tonem.

To trochę zwiększało ryzyko, ale James zatrzasnął za sobą drzwi łazienki i rzucił pod nie jeden z wilgotnych ręczników, żeby utrudnić ich szybkie otwarcie. Kabina prysznicowa była prawdziwym pobojuwiskiem, a James uśmiechnął się do siebie na widok przyborów toaletowych powrzucanych niedbale do szafek.

Podniósł klapę sedesu i sikając, przyglądał się rzeczom Davisa. Zapiąwszy rozporek, odkręcił kran, ale zamiast umyć ręce, zerknął przez ramię, by upewnić się, że goryl Richa nie zagląda do łazienki, po czym wyjął z kieszeni džinsów maleńki nadajnik radiowy.

Trzycentymetrowy krążek miał w przybliżeniu grubość płyty kompaktowej. Choć nie był bardzo duży, nadajnik nie przypominał

niczego zwyczajnego i należało ukryć go gdzieś, gdzie nie będzie rzucał się w oczy, na przykład pod wyściółką walizki albo w zasobniku na baterie urządzenia elektrycznego.

Rich miał rozwijaną kosmetyczkę, którą zawiesił na lusterku do golenia, ale James srodze się zawiódł, odkrywwszy, że wszystkie jej kieszonki zrobiono z nylonowej siatki i niczego nie da się w nich ukryć.

Im dłużej marudził w łazience, tym większe było ryzyko, że ochroniarz nabierze podejrzeń i w końcu wetknie głowę do środka. Coraz bardziej spięty James był na wpół zdecydowany odpuścić sobie i wyjść, gdy jego wzrok padł na przybory do golenia.

Rich używał maszynki Mach 3, tradycyjnego pędzla z borsuczego włosia i markowego mydła do golenia w okrągłym plastikowym pojemniczku. James zgarnął mydło i odkręcił wieko, jednocześnie przypadając plecami do drzwi. Gdyby ochroniarz zajrzał do łazienki, nie zobaczyłby go w tym miejscu, a jeśliby postanowił wejść, uderzyłby drzwiami w plecy Jamesa, dając mu dwie lub trzy sekundy na zatuszowanie poczynań.

Przy szumie płynącej z kranu wody trudno było nadażyć za konwersacją przy stole, ale James zaniepokoił się, kiedy pochwyciwszy jednym uchem jakieś zdanie, uświadomił sobie, że Bradford mówi podniesionym napiętym głosem.

Poruszając się z nerwowym pośpiechem, James ścisnął plastikowy pojemnik, wypychając na zewnątrz biały, prawie nienaruszony krążek mydła. Następnie zerwał papierowe osłonki kleju z obu stron nadajnika, kciukiem docisnął urządzenie do dna pudełka, po czym wtłoczył bryłę mydła z powrotem.

Schówek był bliski ideału: prawdopodobieństwo, że Rich zużyje mydło do ostatka, było nikłe, a nawet gdyby tak się stało, prawdopodobnie uznałby, że krążek jest częścią opakowania, na przykład elementem przytrzymującym mydło na miejscu.

James wyszedł z łazienki, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Ochroniarz siedział na krawędzi łóżka, trzymając się za kciuk, podczas gdy Rich Davis i Chris Bradford spoglądali na siebie chmurnie z przeciwnych stron stołu.

– Posłuchaj mnie – powiedział Rich gniewnie. – Nie żyjesz w jakiejś bajce. Jak chcesz drogie zabawki, to musisz mieć pieniądze. Chciałbym z tobą pracować, Bradford, ale każda skuteczna organizacja terrorystyczna musi mieć dwie ręce: jedną do zgarniania forsy, drugą do wydawania.

– Nie jestem kasiarzem ani hochsztaplerem – powiedział Bradford takim tonem, jakby nie wierzył własnym uszom. – I na pewno nie zamierzam biegać po straganach i wymuszać haraczy od sklepikarzy.

– No to jak zamierzasz to zrobić?! – wykrzyknął zirytowany Rich. – Nienawidzę brytyjskiego rządu tak samo mocno jak zawsze. Mogę wyłożyć tyle szmalu na broń, żebyś mógł zacząć, ale nie jestem miliarderem! Nie zrobimy z Sag-u poważnego zagrożenia, dopóki do kiesy nie zaczną płynąć pieniądze. Ty masz entuzjastycznych młodych bojowników, jak James tutaj, ja mam trzydzieści lat doświadczenia w zbieraniu funduszy dla organizacji terrorystycznych plus kontakty w przemyśle zbrojeniowym, które dadzą ci wszystko, czego potrzebujesz do wykonania każdej roboty.

– Nie przyszedłem tutaj szukać współlnika – powiedział twardo Bradford.

– Tak? No to po co tu przyszedłeś? – zirytował się Rich. – Po jałmużnę?

Bradford wzruszył ramionami.

– Po prostu miałem nadzieję, że popierasz naszą sprawę.

– Spodziewałeś się, że podaruję ci skrzynię broni i powiem: „Idź i rób z tym, co chcesz?”.

Bradford pochylił głowę i potarł dłońmi skronie.

– Nie wiem, czego się po tobie spodziewałem, Rich – powiedział z westchnieniem. – W każdym razie nie interesują mnie skoki na

banki i z całą pewnością nie szukam współnika.

– W porządku – powiedział Rich tonem, jaki nie pozostawiał wątpliwości, że wcale nie jest w porządku. – Dosyć, kręcimy się w kółko. Nie widzę żadnych podstaw do podjęcia współpracy.

Irlandczyk spojrział na zegarek, a potem na ochroniarza oklapłego na brzegu łóżka.

– Spakuj moje rzeczy – powiedział z nutką pogardy w głosie. – Nie ma sensu tkwić tutaj dłużej.

Bradford był mężczyzną bardzo pewnym siebie i nawykłym do rozkazywania, ale teraz siedział z łokciami na stole i grobową miną. Wszystkie swoje nadzieje pokładał w przekształceniu Sag-u w organizację terrorystyczną, i Rich był jego jedyną realną szansą na zrealizowanie tych zamiarów.

– Może pan wyjść, panie Bradford – powiedział Rich sucho. – Muszę wykonać prywatny telefon.

Otwierając drzwi apartamentu handlarza, James miał posępną minę, ale w duchu uśmiechał się radośnie: udało mu się podłożyć nadajnik, który miał umożliwić MI5 śledzenie ruchów Richa do chwili wyczerpania się wbudowanej baterii. Atakując ochroniarza, dowiódł ponad wszelką wątpliwość swojej wierności Bradfordowi, zaś to, że negocjacje skończyły się fiaskiem tak wcześnie, oznaczało, że SAG nie miał szans na zgromadzenie terrorystycznego arsenału, przynajmniej w najbliższym czasie.

Stawiając but na zielonej wykładzinie korytarza, James spojrział w bok i ujrzał policjantkę w kompletnym stroju ochronnym wychylającą się ostrożnie z klatki schodowej. Zniknęła tak szybko, że po chwili namysłu uznał ją za przywidzenie, ale i tak czuł się nieswojo, gdy ruszał za Bradfordem w przeciwną stronę.

– Co poszło nie tak? – zapytał nerwowym tonem, zerkając niespokojnie przez ramię.

– Nie jestem durniem – wypalił Bradford. – Wiem, że potrzebujemy forsy, ale nie wydaje mi się, żeby Rich widział we

mnie partnera. Myślę, że skończyłoby się tak, że to on trzymałby wszystkich za pyski.

– Pewnie masz rację – przytaknął James, a wtedy dwoje drzwi po przeciwnych stronach korytarza otworzyło się z hukiem.

– Policja, stać!

Kolejna grupa gliniarzy wysypała się ze schodów pożarowych za nimi.

– Kuźwa! – krzyknął Bradford.

James nic z tego nie rozumiał. To nie należało do planu w żadnym z wariantów, a co mogło się zmienić w ciągu dwóch i pół godziny, jakie minęły, odkąd po raz ostatni rozmawiał ze swoim koordynatorem?

11. SZAŁ

Pięciu chłopców w szampańskim nastroju pędziło co tchu w stronę frontu ośrodka kontroli ruchu lotniczego. Rat pierwszy okrążył róg budynku i sięgnął po procę, kiedy tylko ujrzał wypasione bmw zaparkowane przed głównym wejściem. Zwolniwszy kroku, wypuścił pierwszy pocisk, który przebił przednią szybę wozu.

Na ten sygnał pozostali chłopcy rozpoczęli zmasowany ostrzał, masakrując wszystkie cztery boczne okna. Kilka kul, które chybiły szkła, załomotało o karoserię, pozostawiając rozległe wgniecenia i rozbity klosz reflektora.

– Jeeeeaa bejbe! – krzyknął Jake, wskakując na maskę, by wyrwać wycieraczkę.

Podczas gdy Ronan i Kevin wyłamywali boczne lusterka, Jake obchodził samochód dookoła, końcem wycieraczki wydrapując w lakierze długą rysę, a Rat wgramolił się na wóz i wkopał do środka szklane okno dachowe. Kiedy zeskoczył na ziemię, zauważył dziewczęta czekające w wejściu budynku.

– Dobrze się bawicie? – zapytała z przekąsem Bethany.

– A jak! – wrzasnął podekscytowany Andy, mocując się z korkiem wlewu paliwa. – Jak uda mi się to zdjąć, to wystrzelę to małeństwo na Księżyc.

– Puknij się, idioto! – krzyknęła Laura. – Wybuch byłoby słyszeć kilometry stąd i gliny zaraz usiadłyby nam na karku. Chodźcie tutaj i słuchajcie.

Chłopcy zbili się w gromadkę przed wejściem, ale Ronan, Jake i Kevin byli tak podekscytowani demolką samochodu, że nie mogli przestać chichotać.

– Pamiętajcie – powiedziała twardo Laura. – To musi wyglądać jak napad bandy nabuzowanych dzieciaków, które zaatakowały strażników i zdemolowały budynek. Macie piętnaście minut. To supernowoczesny ośrodek, więc niech to będzie uczciwy wandalizm, ale bez podpalania i wysadzania w powietrze nowiutkiego rządowego systemu komputerowego za trzydzieści milionów funtów, rozumiano?

– Postaramy się – parsknął śmiechem Ronan.

Uśmiech znikł mu z twarzy, kiedy Laura złapała go za ubłoconą kurtkę i brutalnie pchnęła na okno z walcowanego szkła.

– Już wystarczająco mocno mnie dzisiaj wkurzyłeś – zawarczała. – Więc jeśli nie masz ochoty na lot w dół schodów głową naprzód, to sugeruję, żebyś zamknął jadaczkę i zaczął robić tylko to, co ci każę.

Bethany poprowadziła grupę do środka. Tuż za progiem Jake i Kevin pognali do męskiej toalety niedaleko portierni, gdzie wypchawszy papierem odpływy i otwory przelewowe umywalek, odkręcili krany do oporu. Zanim woda przelała się na podłogę, potężnymi kopnięciami karate zgruchotali naścienne dozowniki mydła, obryzgując różowym śluzem całą łazienkę, a przy okazji własne, pokryte błotem ubrania.

– Uuuuu! – zawył radośnie Kevin, ślizgając się niebezpiecznie po namydlonych płytkach posadzki, kiedy wybiegł za Jakiem z powrotem do portierni.

Bethany dewastowała biurko portierni, podczas gdy Laura tratowała ozdobny klomb, wyrywając niektóre rośliny, inne zaś rozszarpując strumieniem suchego lodu z gaśnicy śniegowej, przez

cały czas porykując fałszywie: „Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań”.

– Gdzie polazł Rat i reszta? – zapytał Jake.

Laura wskazała na tył portierni i odgięła palec w prawo.

– Do głównej sali kontrolnej, jak sądzę.

Kevin i Jake przebiegli sprintem trzydziestometrowy korytarz, po drodze mijając szklaną ścianę pokoju, w którym pracował ogromny komputer typu mainframe – serce systemów elektronicznych centrum kontroli lotów. Chłopcy aż zachłysnęli się z wrażenia, kiedy wparowali do przestronnej sali z wysokim drewnianym stropem i lekko nachyloną podłogą schodzącą ku ścianie wielkich ekranów, od której dzieliły ich poprzeczne szeregi identycznych stanowisk monitorowania czekających na obsadzenie przez zespoły kontrolerów.

Niektóre terminale były już podłączone i technicy zostawili je włączone na noc, by zainstalowało się oprogramowanie. W innych miejscach stanowiska wciąż nie były w pełni okablowane i po podłodze walały się części komputerowe wśród splątanych pęczków kolorowych przewodów.

– Stary, jaka szkoda, że nie możemy rozpirzyć tego sprzętu! – jęknął Jake, po czym spojrzawszy na jeden z aktywnych ekranów, zgarnął z pulpitu parę słuchawek z mikrofonem i wcisnął guzik nadawania. – Lot AQ71, zejdź na dwieście metrów i wykonaj beczkę, odbiór.

Kevin ryknął śmiechem, ale nagle obaj chłopcy zastygli w bezruchu, słysząc odpowiedź dobiegającą z głośnika obok ekranu.

– AQ71 do kontroli lotów, proszę powtórzyć instrukcję. Czy kontrola przeszła na inną częstotliwość? Odbiór.

– Uups – syknął Jake, ciskając słuchawki z powrotem na pulpit i odskakując, jakby właśnie poraziły go prądem. – Nie wiedziałem, że to już działa.

Kevin znów zaczął się śmiać.

– W życiu nie dadzą ci granatowej koszulki, jak oni się przez ciebie rozbijają.

– Zamknij się – powiedział Jake. – I nikomu ani słowa, jasne?

Kiedy odwrócił się, by odbiec, z przyległej sali konferencyjnej dobiegł ogłuszający huk tłuczonego szkła, a zaraz potem triumfalny okrzyk Rata.

– Taaak! Co za strzał!

– Co się stało? – zawołał Kevin, wbiegając do sali za Jakiem.

Pytanie było zbędne – stos szklanych odłamków i szczątki wielkiego eleganckiego żyrandola na środku długiego stołu konferencyjnego mówiły same za siebie.

– Żałuj, że tego nie widziałeś – wykrztusił Andy osłupiały z podziwu.

– Jeden strzał w podstawę i wszystko łupnęło na dół! – emocjonował się Rat. – Mówcie mi mistrzu!

Jake ujrzał szereg metalowych wózków narzędziowych, najwyraźniej należących do techników podłączających wyposażenie sali kontroli lotów. Wyrwał jedną z szuflad i wysypał na podłogę stos kluczy i śrubokrętów.

– Można by się na nich pościgać – zauważył Kevin. – Kojarzycie ten spadek w sali kontrolnej?

– No! – Ratowi zabłyśły oczy. – Pewnie się pozabijamy, ale co tam.

Kevin, Jake, Rat i Andy wypchnęli wózki z sali konferencyjnej i ustawili je w szeregu na wyższym końcu szerokiego przejścia pomiędzy stanowiskami kontrolerów. Pokryta wykładziną alejka biegła w dół przez środek sali kontroli lotów, aż do ściany obwieszanej gigantycznymi ekranami.

– Start! – krzyknął Rat, pochylając się nad swoim wózkiem i odpychając nogą od ściany.

– Kicha! – zaprotestował Jake. – Nie byłem gotowy, ty australijski pierdojadzie.

Wózki sięgały im do pasa i wyładowane narzędziami obłąkańczo

grzechotały. Pochyłość była stroma, a gumowe kółka toczyły się lekko, pozwalając czterem rozbawionym i chłopcom na błyskawiczne nabranie prędkości.

Rat przez chwilę prowadził, ale potem jego wózek zaczepił kółkiem o podwinięty róg płytki wykładzinowej, zakręcił szaleńczy piruet i z impetem grzmotnął w bok konsoli, by przewrócić się prosto pod koła wózka Andy'ego. Ten stanął dęba, przerzucił swojego kierowcę nad sobą, po czym sam runął na niego, zasypując szufladami. Tymczasem Jake i Kevin przemknęli z wielką prędkością tuż obok.

Każdy z chłopców zamierzał dotrzeć na dół pierwszy i zabawa szybko przemieniła się w grę w tchórza, kiedy tak gnali coraz szybciej, zbliżając się do końca trasy. Obaj uskoczyli jednocześnie, zaledwie sekundę przed tym, jak wózki z hukiem wyrznęły w ścianę.

Z tyłu na progu sali pojawiły się Laura i Bethany, obie pokryte białym pyłem z gaśnic.

– Co tu jest grane? – zarechotała Laura na widok powywracanych wózków, pogiętych szuflad i części komputerowych rozsypanych na całej długości zjazdu.

Czterej chłopcy w milczeniu zbierali się z podłogi, podejrzliwie oglądając swoje kończyny w poszukiwaniu obrażeń. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Po kilku sekundach odezwał się Kevin.

– Dobrze, że zeskoczyliśmy – powiedział głosem wciąż drżącym z emocji, oglądając głębokie wgniecenie w drewnianym panelu na ścianie. – To mogła być moja głowa.

– Bardzo byś się nie zmienił – parsknął Jake.

Kevin pokazał mu środkowy palec, a Rat spojrział wzdłuż przejścia między dwoma rzędami konsoli i znieruchomiał, spostrzegłszy otwartą torbę z narzędziami leżącą na podłodze przy odkręconej pokrywie serwisowej jednego z terminali. Widok ten nie

przykułby jego uwagi, gdyby nie para unosząca się z kubka pozostawionego na pulpicie powyżej, przed wyłączonym monitorem.

– Laura?! – zawołał. – Myślę, że mamy problem.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Laura, ruszając zważowo w stronę kolegi.

Rat podszedł do terminalu i pstryknął paznokciem w tekturowy kubek.

Czarna kawa, świeżo parzona. Jeden z techników musiał zostać po godzinach.

– Tak mi się właśnie wydawało, że ta beemka, którą rozwaliliście, jest trochę za bardzo wypasiona jak na furę ochroniarza – zauważyła Bethany.

Jake jęknął.

– No i czemu wtedy tego nie powiedziałaś?

– Lepiej go poszukajmy – powiedział Andy.

– Tylko po co? – Laura wzruszyła ramionami. – W tym budynku jest ze dwieście pokoi, a koleś pewnie już dawno wezwał gliny.

– No to super – westchnął Kevin. – Nie mamy transportu, a do miejsca, skąd zabiera nas Dennis, jest pięć kilosów.

– Ronan, gdzie jesteś, stary? – krzyknął Rat do telefonu. – Że co? Jasne... Jasne, rozumiem. Lepiej bierz tyłek w troki i zasuwasz tu na dół.

– Co z nim? – zapytała Laura niespokojnie, kiedy Rat zatrzasnął telefon.

Pobiegł na pierwsze piętro i zaczął demolować pokoje. Nagle zobaczył kobietę przebiegającą korytarzem.

– Jeszcze i to – zachnął się Jake. – Kto to był, jakaś sprzątaczką czy coś?

– Ta kobieta to nasz technik – powiedział Rat, kręcąc głową.

Bethany zgromiła brata wzrokiem.

– Ale z ciebie seksistowska świnią.

Laura lekko pchnęła przyjaciółkę, jakby chciała powiedzieć: „Tylko nie zaczynajcie znowu”, po czym spojrzała na Rata.

– Dlaczego Ronan nie powiedział nam wcześniej?

– To się stało przed chwilą – wyjaśnił Rat. – Pobiegnął za nią, ale wyrwała mu się i zabarykadowała w biurze. Ale zgubiła torebkę, więc Ronan sprawdził historię połączeń w jej telefonie. Zadzwoiła na numer alarmowy jednaście minut temu.

– Musiała usłyszeć, jak rozwalaliście beemkę – westchnęła Laura.

– Mogą tu być w każdej chwili. Musimy uciekać.

Kiedy tylko to powiedziała, wszystkie światła i ekrany w ogromnej sali zamigotały i zgasły, pogrążając salę kontroli lotów – pozbawioną okien, bo znajdującą się poniżej poziomu gruntu – w kompletnej ciemności. Szum wentylatorów klimatyzacji i wiatraków komputerów stopniowo ucichł i w ciemnej przestrzeni zapadła przeraźliwa cisza.

– Ktoś odciął zasilanie i zapasowy generator. – Głos Rata poniósł się upiornym pogłosem po wielkiej sali.

– No dobra – powiedziała Laura, starając się nie okazywać, jak bardzo jest zdenerwowana. – To najprawdopodobniej żandarmeria wojskowa, co oznacza, że mamy na karku twardzieli, którzy w dodatku wiedzą, co robią. Moim zdaniem najlepiej będzie się rozdzielić.

– Zgadzam się z tobą – odrzekł Rat, a pozostali zaczęli mamrotać między sobą, usłyszawszy tupot biegnącego korytarzem kolegi.

Ronan wparował do sali, omal nie przewracając się na zakręcie w drzwiach.

– Właśnie widziałem ich z portierni – wydyszał w stanie bezgranicznej paniki. – Mają dwie furgonetki żołnierzy plus gliny z psami! Musimy stąd zwiewać, i to szybko.

*

James był już kilkakrotnie aresztowany i nigdy nie było to przyjemne: gliniarze pomiatali zatrzymanymi, a potem tkwiło się

przez wieczność w paskudnie cuchnącej celi, bez jedzenia i picia, z kibelem, który zawsze, ale to zawsze był zatkany.

Dlatego też James nie miał najmniejszej ochoty dać się złapać i wiedząc, że policjanci wysypujący się z hotelowych pokoi przed nim potrzebują kilku chwil na zajęcie stanowisk, puścił się sprintem przed siebie, nie mając pojęcia, czy Bradford okazał tyle przytomności, by ruszyć za nim.

Jeden z funkcjonariuszy poleciał w powietrze po zderzeniu z Jamesem, który w następnej chwili omal sam nie wyrznął na podłogę, kiedy czyjaś dłoń schwyciła go za kostkę. Wyrwawszy się, gnał dalej. Po chwili obejrzał się szybko za siebie i ujrzał Bradforda przyciśniętego do ziemi przez trzech policjantów. Nieco dalej kolejna grupa grzmociła taranem w drzwi apartamentu Richa.

W akcji brali udział funkcjonariusze z karabinami, ale James niespecjalnie się tym przejmował. Policyjnych strzelców obowiązują rygorystyczne zasady zatrzymywania podejrzanych. James mógł być pewien, że nie zaczną strzelać, dopóki nie zagrozi komuś bezpośrednio.

Kiedy wypadł na główną klatkę schodową, policjantka zwiadowczyni, która mignęła mu kilka chwil wcześniej, zastąpiła mu drogę i zamachnęła się pałką, celując w brzuch. Jednak zanadto się pospieszyła. Pałka ześlizgnęła się nieszkodliwie po kurtce uciekiniera, który w pełnym biegu wpadł na drobną kobietę, ciskając ją na oklejoną tapetą ścianę.

Głowa funkcjonariuszki odbiła się od ściany ze złowieszczym łupnięciem. Policyjna czapka potoczyła się po schodach, a kobieta złapała barierkę, by nie runąć w ślad za nią. Tymczasem James gnał już w dół, przesadzając po trzy stopnie naraz, nie mając pojęcia, co czeka go piętro niżej.

– Co tu jest grane? – wymamrotał pod nosem, kiedy dotarł do pierwszego piętra i wyjrzał przez barierkę długiej galerii nad hotelowym holem.

Obszarpane glany i długie zielone włosy nie ułatwiały mu wtopienia się w tłum, dlatego zamiast zbiec na dół, próbował otworzyć podwójne drzwi tuż za miejscem, w którym się zatrzymał.

Drzwi prowadziły do pustej sali balowej i James zdążył wśliznąć się do środka, zanim wypatrzył go którykolwiek z policjantów na dole.

Zobaczył spiętrzone pod ścianą stopy restauracyjnych krzeseł oraz duże stoły z blatami z płyt wiórowych ukrywanych podczas przyjęć pod wykwintnymi obrusami. W tylnej części sali znajdował się nieduży bar i wyjście ewakuacyjne. James podbiegł tam, przeskoczył przez wyświecony kontuar i przykucnął nisko pomiędzy aluminiowymi beczkami piwa a przeszklonymi lodówkami z napojami bezalkoholowymi.

Musiał się dowiedzieć, co właściwie się stało, ale nie miał przy sobie komórki, zgarnął więc słuchawkę z telefonii wiszącego na ścianie, tuż obok saszetek z fistaszkami. Z zadowoleniem uświadomił sobie, że wciąż pamięta osobisty numer swojego koordynatora.

– John? Słuchaj, o co tu chodzi? Dlaczego w hotelu roi się od glin?

– Że jak? – zdumiał się John. – Kto ci tak powiedział?

– Ja tak mówię – odparł James z irytacją. – Właśnie zgarnęli Richa i Bradforda, a ja nie mam pojęcia, co robić... To ty o niczym nie wiesz?

– A skąd! – wykrzyknął oszołomiony John. – Może ktoś inny... Pewnie rozpracowywali ich równolegle czy coś.

– No to dupa blada – prychnął James.

Jedną z największych bolączek ściśle tajnych operacji jest to, że od czasu do czasu dwa różne zespoły biorą się niezależnie do pracy nad tą samą sprawą i prędzej czy później wchodzą sobie w drogę.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Spróbuj wydostać się z hotelu, ale bez głupiej brawury, dobrze? Jeżeli cię zgarną, dowiem się, gdzie jesteś, i wyciągnę najszybciej, jak

się da.

– Jasne – wyszeptał James. – Gdzie jesteś?

– Zaparkowałem koło pubu country jakieś pół...

James nie usłyszał reszty zdania, które zagłuszył tupot butów i okrzyki wpadających do sali policjantów.

– Ten gówniarz z zielonymi piórami musiał uciec tędy – powiedział jeden z gliniarzy i pobiegł po wykładzinie w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

– Muszę lecieć – sapnął James do słuchawki, ale nie odwiesił jej. Nie mógł tego zrobić, nie wystawiając ręki ponad bar.

Policjant pchnął drzwi wyjścia ewakuacyjnego i natychmiast zaterkotał sygnał alarmowy.

– Nie wyszedł stąd, bo już by dzwoniło – zauważył mężczyzna.

Odwrócił się w stronę baru, podczas gdy jeden z jego kolegów odchylił gałęzie wielkiej, wymyślnie przystrojonej choinki, a inny ukląkł, by zajrzeć pod stoły i za stos krzeseł.

James uśmiechnął się głupawo, kiedy zwalisty policjant pochylił się nad kontuarem i spojrzał na niego z góry.

– Co podać, panie władzo? – zapytał, unosząc brwi. – Piwo? Wino? Orzeszki?

Pomyślał o wyskoczeniu w górę i wyprowadzeniu ciosu, ale funkcjonariusz sięgnął po paralizator, a James nie miał apetytu na pięćdziesiąt tysięcy woltów.

– Wstawaj, ręce na głowę! – warknął glina.

James wstał, a wtedy pozostali dwaj policjanci złapali go za ręce, przeciągnęli nad kontuarem, a potem brutalnie cisnęli na podłogę i skrupowali nadgarstki plastikowymi kajdankami.

– Podejrzany zatrzymany – zameldował jeden przez radio, a drugi drwiącym tonem odczytał Jamesowi jego prawa.

James leżał twarzą do podłogi i nie widział wiele więcej poza głanami policjanta, ale po chwili dostrzegł parę mniejszych butów stąpających po wykładzinie w jego stronę. Lśniące czernią noski

zatrzymały się tuż przy jego nosie.

– No dobra – westchnęła policjantka, wyjmując pałkę i przykucając przed zatrzymanym.

James uniósł wzrok i zrozumiał, co go czeka, kiedy tylko ujrzał funkcjonariuszkę o zakrwawionej twarzy, tę samą, z którą zderzył się na schodach.

Policjantka przyjrzała mu się i wstała.

– Podskoczysz mi teraz, śmieciu?! – krzyknęła i z rozmachem zdzieliła go pałką w plecy, po czym wzięła krótki rozbieg, by poprawić kopniakiem w nerki.

– Jezu... – stęknął James, prężąc się z bólu.

Policjantka i jeden z jej kolegów chwycili go pod ręce i poderwali na nogi.

– Nie podoba ci się, twardzielu? – wyszczerzyła zęby kobieta. – Poczekaj. Zobaczysz, co będzie, kiedy wrzucimy cię do naszej furgonetki.

12. POLOWANIE

Jake, Ronan i Kevin wybiegli przez wyjście ewakuacyjne na tyłach ośrodka kontroli ruchu lotniczego. Oddziały żandarmerii wojskowej wciąż marudziły przed budynkiem i choć noc była ciemna, trzech chłopcy naciągnęli kaptury na głowy, by ich białe twarze nie złapały przypadkowego promienia światła.

– To jaki jest plan? – zapytał ostrożnie Kevin.

Jake wzruszył ramionami.

– Zasuwamy przed siebie i próbujemy przeleźć przez płot.

– Czy to w ogóle można nazwać planem? – skrzywił się Ronan.

Jake fuknął z irytacją.

– Ronan, jeśli wymyśliłeś coś lepszego, to zamieniam się w słuch.

Podczas gdy przekradali się wzdłuż betonowej ściany, Kevin zaczął myśleć na głos.

– Płot ma cztery metry wysokości, a na górze drut kolczasty. Górą nie przejdziemy, ale wciąż mam nożyce, którymi wyciąłem dziurę.

Ronan uśmiechnął się.

– Ja też mam swoje.

– Czyli mamy obie pary nożyc do drutu – podsumował Jake. – Co z Ratem i resztą?

– A kogo to obchodzi? – Ronan wzruszył ramionami. – Laura

czepiała się nas przez cały dzień. Jak jest taka mądra, to niech sama sobie coś wymyśli.

– Ronan ma rację – powiedział Jake. – Każdy martwi się o siebie, a poza tym i tak nigdy byśmy ich nie znaleźli w tej ciemnicy.

*

Rat i Laura przyjęli bardziej ryzykowną strategię, przebiegając przez portiernię na kilka sekund przed wkroczeniem żandarmerii i kierując się do pomieszczenia, w którym leżała związana strażniczka.

– Siema, sestro! – zawołała buńczucznie Laura, świecąc kobiecie latarką w twarz.

Strażniczka wciąż miała skrępowane kończyny, ale zdołała zedrzeć taśmę z twarzy i wypluć knebel.

– Pocałuj mnie gdzieś, mała mendo!

Podczas gdy dwie kobiety mierzyły się zimnymi spojrzeniami, Rat podszedł do długiego wieszaka na tylnej ścianie pokoju i tak długo przeszukiwał kieszenie kurtek ochroniarzy, aż znalazł dwa komplety kluczyków samochodowych.

– Fiat czy volvo? – zapytał.

– Volvo jest cięższe, lepsze do taranowania płotu – odpowiedziała Laura. – Ale weź oba. Kto wie, może fiat jest zaparkowany dalej od glin.

*

Andy i Bethany gnali przez błotnistą płaszczyznę na tyłach centrum, słysząc za sobą odległe szczeknięcia policyjnych owczarków.

– Słyszysz? Nie podoba mi się to ani trochę – wysapała Bethany. – Lepiej wyłącz tę latarkę; widać nas na kilometr.

– Jestem pewien, że jak wchodziłem, to widziałem to gdzieś tutaj – powiedział Andy, omiatając grunt snopem światła z latarki. – Wielka gruba plandeka przykrywająca dziurę w ziemi.

– Może powinniśmy po prostu spróbować wspiąć się na

ogrodzenie? – zasugerowała Bethany.

– Jak chcesz, to próbuj – rzucił z przekąsem Andy. – Tylko zauważ, że na górze masz po osiem pasm drutu ostrzowego po każdej stronie plus zwoje drutu kolczastego w środku. Wpadnie ci tam noga, to wyciągniesz ją pociętą na wstążki.

– Tam, koło szopy – powiedziała Bethany, dostrzegłszy w świetle latarki Andy'ego pomarańczowy przebłysk.

Popędzili naprzód, podbiegając do ciężkiej pomarańczowej plandeki rozpostartej nad okrągłym wykopem, w którym w przyszłości miał się znaleźć fundament obrotowej anteny satelitarnej.

Brzeży plandeki przyciśnięto pustakami i para ruszyła wokół dziury, odkopując je na bok. Kiedy zostały tylko dwa po drugiej stronie, Andy ujął brzeg płachty i z całej siły szarpnął. Plandeka wysunęła się spod bloków, ale jednocześnie ochlapała Bethany deszczówką, jaka zebrała się w jej zagłębieniach.

– Aaach! – Bethany wzdrygnęła się, kiedy lodowate strużki spłynęły jej z włosów na kołnierz. – Ty idioto!

Nie mieli jednak czasu na kłótnie. Policja wreszcie się zorganizowała i tuzin żandarmów RAF-u utworzyło kodon, by przeszukać teren ośrodka. Światła latarek metodycznie omiatały ziemię, oddalając się szybko od głównego budynku. Pomiedzy zespołami poszukiwaczy węszyły owczarki niemieckie prowadzone przez opiekunów. Na szczęście Bethany i Andy'ego dzieliło od płotu mniej niż sześćdziesiąt metrów.

*

Jake przyjął ostrożniejszą strategię ucieczki niż Andy i Bethany. Kiedy zespoły żandarmów ruszyły w teren, on, Ronan i Kevin wciąż skradali się przy zewnętrznej ścianie budynku centrum kontroli lotów.

Jake wyjrzał za róg, a potem cofnął się o krok i odwrócił do swoich towarzyszy.

– Trzej gliniarze i dwa psy – wyszeptał. – Łażą w kółko. Niecałe piętnaście metrów stąd.

Kevin był przerażony.

– W życiu nam się nie uda – powiedział, patrząc na dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni pomiędzy końcem głównego gmachu amniejszy budynek przeznaczonym dla personelu administracyjnego.

– Nie mamy wyboru – powiedział Jake, który zaczynał mieć poważne kłopoty z podtrzymaniem na duchu swoich młodszych kolegów. – Po prostu poruszajcie się cicho. Jazda!

Startując do biegu, Jake potknął się o sterczący z ziemi metalowy odbojnik drzwiowy i rymnął jak długi, ścierając sobie dłonie o wilgotny beton. Ronan złapał go za kołnierz, by pomóc mu wstać, ale Jake nie powstrzymał jęku bólu i owczarki, usłyszawszy go, szarpnęły się na smyczach, wściekle ujadając.

– Widzę ich! – krzyknął jeden z żandarmów, kierując latarkę na twarz Ronana.

Ronan, wyższy i masywniejszy od Jake'a, poderwał starszego chłopca na nogi.

– Szybciej! – ponaglił Kevin, który tymczasem przebiegł przez odstęp między budynkami i obejrzał się na kolegów.

Jake postawił pierwszy krok i syknął, gdy ugięła się pod nim noga. Uświadamiając sobie, że raczej donikąd nie pobiegnie, odepchnął Ronana od siebie.

– Zjeżdżaj stąd.

Ronan zaczął biec, ale gdy po trzech krokach zerknął za siebie, ujrzał pysk ogromnego psiska sadzącego ku niemu wielkimi susami. Zwierz skoczył i powalił chłopca na beton, ale zanim zdążył przygnieść go całym swoim ciężarem, zaskowytał i przypadł do ziemi, skamląc żałośnie.

Ronan nic nie rozumiał, dopóki dwa kroki dalej nie spostrzegł Kevina mierzącego z procy do drugiego psa.

Kevin nie widział jednak nic oprócz ruchomych cieni i drugi strzał zniknął nieszkodliwie w ciemności.

Jake wrzasnął z przerażenia i w panice próbował odpełznąć, kiedy wąski pysk owczarka zamknął mu się na ramieniu. Chłopiec zdołał się wyrwać, ale był wolny tylko przez ułamek sekundy, po którym ostre kły psa rozerwały mu spodnie od dresu i wbiły głęboko w pośladek. Dwaj policjanci ruszyli mu na ratunek.

– O Boże – jęknął Kevin i dygocząc, spojrzał na Ronana. – Może powinniśmy się poddać?

Ronan pokręcił głową.

– Poddawanie się jest przyznaniem się do słabości. Z nożycami przedostaniemy się przez ogrodzenie w trzy sekundy.

Chłopcy puścili się szalonym biegiem desperatów, wiedząc, że żandarmeria i psy na pewno wkrótce sobie o nich przypomną. Tymczasem opiekunowie owczarków odwołali swoich podopiecznych, a barczysty żołnierz jedną ręką poderwał szlochającego z bólu Jake'a i pchnął go na szarą ścianę budynku.

– Wpakowałeś się w ciężkie tarapaty, chłopcze – powiedział oschle, a potem zaśmiał się, kiedy jego latarka oświetliła podarte i zakrwawione spodnie Jake'a. – I założę się, że nieprędko zapomnisz naszego Puszka.

*

Kiedy Laura i Rat wysunęli się z pokoju ochrony, w zdemolowanym głównym holu na końcu korytarza zadudniły kroki i błysnęły latarki, odcinając im drogę na parking.

– Szit! – zaklęła Laura.

Podczas gdy próbowała przypomnieć sobie plany budynku, które studiowali w jej pokoju w kampusie, Rat bez namysłu ruszył w przeciwną stronę. Laura podążyła za nim, trzymając się blisko ściany, by zminimalizować ryzyko wychwycenia przez snop światła.

– Na drugim końcu są schody – wyjaśnił Rat. – Wejdziemy na

pierwsze piętro, zawrócimy, przebiegniemy całą długość budynku i zejdziemy schodami pożarowymi prosto na parking.

Rat był bardzo inteligentny, nawet jak na wyśrubowane standardy CHERUBA. Miał jeden z najwyższych IQ w kampusie i fantastyczną pamięć, ale także ego wielkości planety, więc Laura celowo powstrzymała się od pochwały.

Kiedy zbliżali się do szczytu schodów, pod stopami zachlupotała im woda ciekąca po stopniach. Pochodziła z łazienki zalanej przez Ronana. Korytarz pierwszego piętra także był doszczętnie zdewastowany. Dwa automaty z napojami zostały przewrócone na ziemię, tuziny styropianowych płytek sufitowych podziurawiono kijem od szczotki, zaś podłogę zaścielały odłamki szkła z porozbijanych lamp i szyb drzwi.

– Ronan ma niszczycielskie zapędy, chuligan jeden – uśmiechnęła się Laura, świecąc latarką wokół siebie.

Rat wskoczył na tarasujący przejście automat z napojami i wyjrzał przez okno. Reflektory, koguty radiowozów i latarki dawały wystarczająco dużo światła, by mógł rozeznac się w sytuacji na zewnątrz.

Do centrum wciąż przybywały posiłki: radiowozy i kolejne oddziały żandarmerii z pobliskiej bazy RAF-u. Pojawiła się nawet furgonetka stacji telewizyjnej z anteną satelitarną na dachu.

– Kuźwa! – zakląła Laura. – Tylko tego nam brakowało.

– Ktoś musiał dać im cynk. – Rat pokiwał głową. – Jak dostaniemy główną rolę w wieczornych wiadomościach, to możemy pożegnać się z misjami na ładnych parę lat.

Popędzili korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalały ciemność i konieczność zachowania ciszy. Po przebiegnięciu nad portiernią otworzyli drzwi i znaleźli się na galerii nad salą kontroli lotów, gdzie kilka minut wcześniej chłopcy ścigali się wózkami narzędziowymi.

Światła awaryjne zostały już włączone i między terminalami

poniżej kłębił się tłumek policjantów i żandarmów wojskowych.

– To dzieciaki – powiedziała kobieta w oficerskiej czapce do mężczyzny w cywilu, który błyskał fleszem, fotografując zniszczenia. – Wszystko zaplanowali, zwiążali strażników... Nie do wiary.

Galeria była odłonięta, ale na szczęście miała jeszcze niewykończoną podłogę. Laura popęzła za ogromnym zwojem wykładziny, a Rat ruszył w ślad za nią. Na końcu galerii musiała uklęknąć, żeby dosięgnąć do klamki umieszczonych tam drzwi. Skrzypnął zawias, ale najwyraźniej na dole nikt tego nie usłyszał i para wczłogała się do pustego pomieszczenia biurowego.

W wąskiej sali był rząd dużych kwadratowych okien ciągnący się przez całą długość ściany oraz wyjście ewakuacyjne prowadzące do metalowych schodów pożarowych. Technicy dopiero co rozpoczęli układanie instalacji i na podłodze wałały się zwoje kabli.

– Uważaj, żeby się nie potknąć – zatroszczył się Rat, skacząc nad przewodami.

Przy wyjściu ewakuacyjnym Laura wyjrzała przez najbliższe okno i przeklęła swój pech.

– Wszędzie gliny.

– To nie jest nasz szczęśliwy dzień – westchnął Rat.

Znawali się w zupełnie pustym pokoju bez żadnych kryjówek i wykrycie ich przez przeszukujących budynek żandarmów było kwestią najbliższych minut. Rat pobiegł na drugi koniec sali, po drodze patrząc przez okna.

– Widzę fiata – oznajmił. – Z tamtej strony chyba nikogo nie ma. Myślisz, że damy radę zeskoczyć?

Rat złapał za klamkę jednego ze skrzydeł okna, przekręcił i pociągnął do siebie. Laura poczuła na twarzy zimny powiew, kiedy jej towarzysz wyjrzał na zewnątrz. Skinęła głową.

– Na treningach skakaliśmy z dwa razy większej wysokości. Ale trochę mało miejsca, nie sądzisz?

Rat szybko zamknął okno i złapał za inną klamkę osadzoną na plastikowej ramie zewnętrznej. Tym razem oba skrzydła obróciły się razem na centralnej osi służącej do tego, by można było myć zewnętrzną stronę okna od wewnątrz.

– Nawet twój tłusty tyłek powinien się tędy precyzyjnie przesuwać, nie sądzisz? – zakpił Rat.

– Cwaniaczek, psiakrew – prychnęła Laura, zarzucając nogę na parapet.

Rat szybko poświecił latarką, by upewnić się, że nie wylądują na niczym poza pustym miejscem parkingowym. Od ziemi dzieliły ich cztery metry i Laura jęknęła z bólu, gdy wylądowała ciężko na wykrzywionej stopie, nadwerężając sobie kostkę.

Rat łupnął na ziemię kilka sekund później i szybko złapał równowagę.

– Nic ci nie jest? – zapytał z niepokojem.

– Skręcona – powiedziała Laura, gdy Rat pomógł jej wstać.

Na szczęście mały fiat punto należący do jednego ze strażników stał zaparkowany przy żywopłocie zaledwie dziesięć metrów dalej.

– Trzymam cię – powiedział Rat, łapiąc Laurę wpół, a drugą ręką wyjmując kluczyki z kieszeni kurtki.

Kiedy zbliżyli się do samochodu, nacisnął guzik pilota, by odblokować drzwi. Wóz ćwierknął dwa razy i wszystkie cztery kierunkowskazy zamrugały w ciemnościach.

– Widzę ich! – krzyknął policjant. – Tam, przy fiacie!

Jęcząc z bólu, Laura wciągała się na tylne siedzenie, podczas gdy Rat usiłował trafić kluczykiem w stacyjkę. Kiedy się z tym uporał, rozpoczął paniczną walkę ze skrzynią biegów, próbując włączyć wsteczny. Tymczasem w stronę samochodu rzucili się czterej żołnierze. Najszybszy z nich złapał za klamkę w chwili, gdy Rat puścił sprzęgło. Samochód wystrzelił do tyłu, wyłamując żołnierzowi palce i powalając go drzwiami, które na swoje nieszczęście zdążył otworzyć.

Każdy samochód prowadzi się nieco inaczej, a przyzwyczajenie się do sposobu działania jego mechanizmów wymaga czasu. Spanikowany Rat niechcący włączył trójkę zamiast jedynki i kiedy znów puścił sprzęgło, wóz szarpnął do przodu i zgasł.

– Kuźwa! – wrzasnął Rat, pobrzękując kluczykami, by ponownie uruchomić silnik.

– Myślałam, że umiesz prowadzić! – zdenerwowała się Laura.

– Dzięki, twoje krzyki naprawdę pomagają mi w koncentracji! – odkrzyknął Rat, wrzucając właściwy bieg i ruszając z kopyta.

Przedni zderzak rozpadł się z hukiem, kiedy wóz podskoczył na zakręcie na krawężniku i pognał przez błoto. Rat wyprostował kierownicę, wcisnął pedał gazu do oporu i skierował samochód prosto na ogrodzenie.

13. GLINY

James leżał na podłodze trzęsącej niemiłosiernie policyjnej furgonetki w towarzystwie czworga policjantów siedzących na drewnianych ławkach po obu stronach samochodu. Plastikowe kajdanki wrzynały mu się boleśnie w nadgarstki. Funkcjonariuszka, którą miał nieszczęście staranować, trzymała mu stopę na głowie, rozgniatając twarz na blasze i zmuszając do wdychania zapachu moczu, psiej sierści oraz wszelkich innych paskudztw, jakie zalegają na podłodze policyjnych furgonetek.

– Hej, szofer! – zawołał prostacko jeden z gliniarzy, przystawiając twarz do zakratowanego okienka w przegrodzie, by zajrzeć do szoferki. – Nie można by znaleźć jakichś dziurawych drózek dla naszego chłoptasia na podłodze?

Policjanci łamali wszelkie reguły obchodzenia się z więźniami, ale jeśli zaatakowało się funkcjonariusza, to po aresztowaniu raczej nie było co liczyć na miłe traktowanie. Z drugiej strony James cierpiał już i tak wystarczająco bez dodatkowych wybojów: policyjne furgonetki mają twarde zawieszenie służące do szybkiej, a nie komfortowej jazdy i każda dziura albo wybrzuszenie nawierzchni raziło go przenikliwym bólem w tym miejscu pleców, gdzie oberwał pałką.

– Zmowa w celu popełnienia aktu terroryzmu! – zawołał radośnie jeden z mężczyzn w mundurach. – Posiadanie broni, napaść na funkcjonariusza policji i opór przy aresztowaniu. Lepiej znajdź sobie, chłopcze, dobrego prawnika.

– Że nie wspomnę o karalnej fryzurze – parsknęła kobieta.

Będąc agentem CHERUBA, James wiedział, że nikt nie postawi mu żadnego z tych zarzutów, ale drażniły go drwiny i rechot odbijający się echem od blaszanych ścian. Kolejny wybuch radości nastąpił, kiedy jego ciało wystrzeliło w górę i łupnęło z powrotem na podłogę po tym, jak furgonetka wpadła na garb spowalniający z prędkością trzydziestu mil na godzinę.

– Hopla, hopla! – zaśmiał się ktoś.

Kierowca obejrzał się przez kratkę pomiędzy szoferką a kabiną.

– Przepraszam, czy było za szybko? – krzyknął drwiąco.

– Bo ja wiem! – odkrzyknęła policjantka. – Dowiemy się, jak zawrócisz i przejedziesz jeszcze raz.

– Śliczny z niego chłopak, nieprawdaż? – zażartował jeden z mężczyzn. – Więzienne pedały będą w siódmym niebie.

James był na granicy wybuchu, ale zachował dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę z tego, że policjanci tylko czekają na pretekst do spałowania go i dorzucenia kilkudziesięciu tysięcy woltów z paralizatora na deser.

Podskoczywszy z łomotem na kolejnym garbie, furgonetka zwolniła i choć James nie mógł widzieć, gdzie są, po manewrach poznawał, że wjeżdżają na jakiś parking.

– Zrywka, menelu! – rozkazał największy z oficerów, po czym otworzył tylne drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

James przetoczył się na plecy, ale z dłońmi skrępowanymi za plecami niełatwo mu było wstać i wysiąść z samochodu. Kiedy wreszcie wygramolił się na zewnątrz, rozejrzał się wokół i stwierdził, że jest na jasno oświetlonym parkingu na tyłach komisariatu policji.

– Zabieraj tyłek do środka – szczerknął nieprzyjemnie drab.

Szturchnął więźnia w plecy, ale błyskawicznie cofnął rękę, kiedy ujrzał komisarza idącego ku nim w towarzystwie mężczyzny w cywilnym ubraniu. James odetchnął z ulgą, rozpoznając w tym drugim koordynatora misji Johna Jonesa.

– To wasz chłopak? – zapytał Johna komisarz.

John skinął głową i spojrzał na zwalistego policjanta.

– Zdejmijcie mu kajdanki i zwróćcie rzeczy.

Kobieta, z którą James miał na pieńku, wyglądała na wściekłą.

– Co tu się dzieje, szefie? Ten mały skunks był na spotkaniu z Bradfordem. Potem staranował mnie i o mały włos zwałiby mnie ze schodów.

– Nie nasza rzecz dociekać powodów, Catherine – powiedział komisarz twardym tonem. – Zielonowłosey chłopak idzie do domu, akażdy, kto będzie protestował, może się spodziewać, że reszta jego kariery w policji będzie krótka i nieprzyjemna. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

– Kryształowo, szefie – westchnęła kobieta, kręcąc głową, podczas gdy inny policjant przeciął plastikową opaskę na przegubach Jamesa.

– Życzę wszystkiego najlepszego, pani władzo – zaszczebotał James.

– Mam gdzieś, kim jesteś, szczyłu – zasyczała policjantka. – Nie radziłabym ci więcej pokazywać mordy w tej okolicy.

James pomachał dłonią z miną wyrażającą najwyższą pogardę.

– Wiesz co, idź do domu, weź miotłę i wsadź ją sobie w swoją śmierdzącą...

– Hej, hej... Hej! – interweniował komisarz.

– Nie rób scen – warknął John, łapiąc Jamesa za ramię i popychając w stronę jaguara zaparkowanego po drugiej stronie placu.

– Plecy tak mnie bolą, że zaraz chyba zejdem – poskarżył się James,

opuszczając się ostrożnie na przednie siedzenie samochodu. – Ta suka przywaliła mi w nery.

– Zdaje się, że ci się należało – odparł John z drwiną w głosie. – Kto to widział, spychać taką miłą panią policjant ze schodów.

James potrząsnął głową.

– Duża nie jest, ale na lekcjach pałowania w akademii musiała być prymuską.

– O tak – uśmiechnął się John. – Kiedy byłem w służbach, znałem kilka naprawdę wrednych funkcjonariuszek. Te najdrobniejsze zawsze odbijają sobie małe rozmiary, zachowując się jak zawzięte sadystki.

– Co się w ogóle stało w tym hotelu? Kto prowadził nadzór? Kto zlecił aresztowania?

John przeprowadził jaguara przez zatłoczony parking, wyjechał na ulicę i dopiero wtedy zaczął mówić.

– Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów, ale doszło do dziwnego zbiegu okoliczności. Podobno Rich zgubił kartę płatniczą wystawioną na nazwisko Richarda Kline'a. Rich poszedł do banku zamówić drugą, z jakiegoś powodu wszczął tam małą awanturę i traf chciał, że jednym z kasjerów okazał się chłopak z Belfastu, który rozpoznał go jako Richa Davisa z IRA. Chłopak zadzwonił po antyterrorystów z wydziału specjalnego, a ci wzięli pod obserwację adres, na jaki wysłano nową kartę.

– Kiedy to się stało? – zapytał James.

– W ciągu minionych dwóch, trzech tygodni – powiedział John, hamując przed czerwonym światłem. – Czysty przypadek. MI5 i wydział specjalny policji metropolitalnej dobrały się do tej samej sprawy z dwóch różnych końców.

– Mają wystarczająco dużo dowodów, żeby przymknąć Davisa i Bradforda?

John skinął głową.

– Nie wkroczyliby, gdyby nie mieli. Nie mogliśmy założyć

podśluchu przed spotkaniem, bo nie wiedzieliśmy, gdzie się odbędzie. Oni, jak widać, zrobili to i kiedy tylko usłyszeli, jak panowie gawędzą o spisku terrorystycznym, rozpoczęli nalot.

– No cóż – westchnął James. – Raz się wygrywa...

– Nie martw się, rezultat jest – powiedział John. – Czarne charaktery pójdą za kratki na długi, długi czas.

– Niby tak. – James uśmiechnął się krzywo. – Ale to by się stało ze mną czy beze mnie, a ja właśnie zmarnowałem sześć tygodni, biegając z tą kretyńską fryzurą na łbie.

*

Bethany i Andy razem unieśli plandekę, zarzucili ją sobie na ramiona i zaczęli wspinać się na ogrodzenie. Nie było to łatwe, palce mieli zdrętwiałe z zimna, a buty śliskie od błota, ale strach pchał ich w górę.

– Chyba nas nie zobaczyli – powiedział Andy z nadzieją, oglądając się przez ramię na policjantów i smugi światła latarek.

– Nie bój się, na pewno nie przeoczą wielkiej pomarańczowej płachty – skwitowała Bethany.

Mniejsze stopy zapewniały jej lepsze oparcie na siatce i to ona dotarła na szczyt pierwsza.

– Dobra, możemy zarzucać – powiedział Andy, dogoniwszy koleżankę.

Był to najtrudniejszy element jego planu ucieczki: musieli trzymać się płotu jedną ręką, a drugą rozwinąć plandekę i w jakiś sposób zarzucić ją na zwoje drutu kolczastego nad sobą.

– Gotowa? – zapytał Andy. – Trzy, cztery!

Jednocześnie stęknęli z wysiłku, próbując zmusić ciężką plandekę, by wzniosła się ponad płot i opadła na wieńczące go kolce i ostrza. Niestety wiatr zawiał w złą stronę i płachta skrzyła się beznadziejnie, po czym kolejny podmuch cisnął ją na Bethany. Ciężar był zbyt wielki, by mogła utrzymać go wolną ręką, aszarpnięcie wybiło czubki jej butów z oczek siatki. Bethany

krzyknęła i zawisała na dwóch palcach.

Andy spróbował przysunąć się bliżej, żeby ją złapać, ale Bethany nie wytrzymała bólu i runęła z wysokości czterech metrów, wdzięczna za podmokły grunt poniżej. Andy zeskoczył za nią i pomógł ściągnąć ciężki brezent z głowy.

– Nigdy się nam to nie uda – poskarżyła się Bethany, kiedy Andy podnosił ją na nogi. – Nie damy rady zarzucić płachty i jednocześnie trzymać się płotu.

– Mam pomysł: moglibyśmy przywiązać rogi do siatki, a potem wejść pod plandekę i pchać ją głowami, jak będziemy się wspinać.

– To może zadziałać – skinęła głową Bethany. – Na rogach są otwory. Masz sznurek?

– Miałem nadzieję, że może ty masz – powiedział Andy niepewnym tonem.

– No to przerąbane – podsumowała Bethany, gniewnie tupiąc nogą. – Ciuchy mam zniszczone, jestem wykończona, a w butach chlupie mi lodowata woda.

– No chyba że znajdziemy którąś z dziur, które wycięliśmy – zasugerował Andy. – Mniej więcej pamiętam, gdzie są.

– W takiej ciemności? – prychnęła Bethany. – Gliny dowiedzą się o dziurach, kiedy tylko rozwiążą ochroniarzy.

– Pewnie masz rację – westchnął Andy. – Ale nigdy nie zarzucimy tej plandeki na płot, więc co nam szkodzi spróbować?

Andy obejrzał się, by ujrzeć dwie drobne sylwetki pędzące przez trawnik, ścigane przez pół tuzina żandarmów RAF-u i dwa psy na smyczach.

– Tutaj! – zawołał Andy, wymachując rękami.

– Co ty wyprawiasz? – zachłysnęła się Bethany, ściągając Andy'emu ramiona w dół i próbując zakryć mu usta.

Ale Kevin i Ronan już skręcili w ich stronę.

– Prostujemy plandekę – rozkazał Andy. – Wracamy na górę.

– Po co?! – krzyknęła Bethany. – I kto cię nagle zrobił szefem?

– Zaufaj mi – powiedział Andy z mocą.

Wydawał się pewny siebie, więc bez dalszych sprzeciwów Bethany pomogła mu rozłożyć plandekę, po czym wzięła swój koniec na ramię i zaczęli się wspinać. Kiedy znaleźli się obok kolczastego zwieńczenia siatki, do ogrodzenia dobiegli Ronan i Kevin. Żandarmi i psy biegli dwieście metrów za nimi, szybko skracając dystans.

– Wy dwaj, włączcie pod plandekę i przepchnijcie ją na drugą stronę! – rozkazał Andy.

Ronan nie od razu załapał, o co chodzi, ale Kevin niedawno brał udział w ćwiczeniach, podczas których jego zespół użył podobnej techniki do sforsowania zasieków, przygniatając zwoje drutu kolczastego deskami i płachtami płótna namiotowego.

Dzięki małym stopom jedenastolatek miał znacznie mniej kłopotów z wejściem na czterometrowy płot niż jego starsi koledzy. Kiedy Andy i Bethany naciągnęli zwisającą płachtę między sobą, Kevin ruszył przodem, wspinając się zwawo pod brezentem.

Po drodze zebrał płachtę głową, a dotarwszy do szczytu, wysunął się jak najwyżej i trzymając się siatki jedną ręką, drugą zaczął stopniowo narzucać brezent na zwoje drutu. Po chwili dołączył do niego Ronan, który w końcu zorientował się, co próbują zrobić, gdy tylko ciężar plandeki został rozdzielony pomiędzy cztery osoby, Andy i Bethany byli w stanie podciągnąć i zarzucić na płot rogi płachty.

– Już? – zapytał Kevin.

Tymczasem ujadające psy zbliżyły się na dystans dziesięciu metrów od ogrodzenia.

Andy skinął głową i podciągnął się wyżej. Gruby brezent był rozpostarty na drutach, ale w ciemności nie sposób było stwierdzić, czy jakieś kolce nie przebiły się przez materiał ani czy pod ciężarem chłopca ostrza nie przetną plandeki, a przy okazji chwytających je dłoni.

– Chyba w porządku – powiedział Andy z ulgą, kiedy przerzuciwszy nogę na drugą stronę, zakołysał się miękko na sprężystych zwojach drutu.

– Natychmiast złażcie na dół! – krzyknął oficer RAF-u.

Dwa psy, ujadając wściekle, natarły na siatkę, ale choć skakały wysoko, stopy czwórki uciekinierów były co najmniej metr poza ich zasięgiem. Andy przerzucił drugą nogę za ogrodzenie, odepchnął się z całej siły i wylądował na miękkim gruncie, amortyzując impet upadku przewrotem w przód.

Po kilku sekundach tuż obok łupnęli na ziemię Kevin i Bethany.

– Och, żeż! – krzyknęła Bethany. – Wylądowałam w krowim placku. Szit, cała się ubadziałam.

Aby powstrzymać oficerów RAF-u przed wspięciem się na plandekę za nimi, Ronan spryskał ją gazem pieprzowym, który zabrał strażnikowi, i podpalił zapalniczką.

W chwili gdy Ronan wylądował na ziemi, gaz pieprzowy rozpałił się na dobre i plastikowa powłoka na plandecce zaczęła się topić. Mimo to jeden z żołnierzy podjął próbę przedarcia się przez płomień, więc Andy wyjął z kieszeni ostatnią stalową kulkę i strzelił mu w pierś z odległości niespełna pięciu metrów.

– Ma ktoś nożyce do drutu?! – zawołał policjant.

– Otoczyć ich! – gorączkował się żandarm RAF-u. – Wyprowadzić oddziały na pola przez główną bramę i ścigać ich.

Przytomność Ronana zaimponowała Andy'emu.

– Skąd wytrzasnąłeś zapalniczkę? – zapytał, gdy czterej cherubini puścili się biegiem przez ciemne pole.

– Miałem w dzinsach – wyjaśnił Ronan, ślizgając się w głębokim błocie. – Zawsze lubiłem bawić się ogniem.

– Niezły numer – powiedział Andy, wydłubując z kieszeni telefon, by zadzwonić do koordynatora misji. – Dennis, tu Andy, potrzebujemy szybkiej ewakuacji... Tak daleko? Wiem, że wszędzie są gliny, ale...

– Co się dzieje? – zapytał Ronan, kiedy Andy gniewnym gestem zatrzęsął telefonem.

– Dennis nie chce po nas przyjechać. Mówi, że padnie zbyt dużo kłopotliwych pytań, jeśli przyłapią go, jak odbiera nas z głównej drogi. Wyznaczył punkt spotkania pięć kilometrów stąd, za polami.

Czterej cherubini jęknęli chórem. Po wszystkim, co przeszli, żadnemu z nich nie uśmiechał się pięciokilometrowy bieg przez błoto.

Biegli spokojnym tempem, od czasu do czasu wpadając na siebie w ciemności.

Kevin spojrzał na Bethany.

– Naprawdę wylądowałaś w krowim gównie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Żebyś wiedział – wycedziła dziewczyna. – Jestem cała ubabrana i jak którykolwiek z was choćby się uśmiechnie, przysięgam, że tak mu dokopię...

– A Jake'a dorwały psy – powiedział Kevin, próbując zmienić temat, ponieważ nie chciał zacząć chichotać.

– Wiecie, co z Laurą i Ratem?

*

Rat widział ten moment w filmach ze sto razy: samochód wpada na ogrodzenie, podtrzymujące je słupki łamią się i wóz wypada na drogę, sypiąc spod brzucha fontannami iskier.

– Trzymaj się! – krzyknął do Laury, jednocześnie uświadamiając sobie ze zgrozą, że w ferworze ucieczki zapomniał zapiąć pas.

Zerknął na prędkościomierz. Przednie koła z trudem łapały przyczepność w błocie i mały fiacik brnął w stronę płotu z prędkością mniejszą niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Rozległ się metaliczny zgrzyt i głośny huk, kiedy poduszka powietrzna wybuchła Ratowi w twarz. Jeden z betonowych słupków trzasnął, a samochód wspiał się na siatkę, stając dęba.

Laura była przekonana, że wóz przewróci się na dach, ale drugi

słupek ogrodzenia ostatecznie nie wytrzymał naporu i także się złamał. Samochód opadł na koła, gniotąc pod sobą siatkę i potoczył się powoli w dół błotnistej pochyłości za płotem.

– Gazu! – wrzasnęła Laura. – Znowu ci zgasł?!

Ratowi dzwoniło w uszach od eksplozji i ledwie słyszał okrzyki koleżanki.

– Silnik zgasł! – odkrzyknął przez wypełniającą kabinę mgłę z białego talku z poduszki powietrznej. – Pewnie ma zabezpieczenie i przy dużych przechyłach odcina zapłon.

Było zupełnie ciemno i Rat nic nie widział znad wędnącego balona poduszki powietrznej, poczuł jednak, że samochód toczy się w dół zbocza. Wduszenie pedału hamulca nic nie dało; było tak ślisko, że wóz sunął dalej na zablokowanych kołach.

Po mniej więcej dziesięciu sekundach błotnego ślizgu przód samochodu wyrznął w drzewo. Fiat obrócił się majestatycznie i wjechał bokiem w zagłębienie terenu zalane wodą do wysokości dwudziestu pięciu centymetrów. Laura pchnęła prawe tylne drzwi, ale uchylły się tylko na tyle, by zalać wnętrze samochodu brązową wodą, po czym ugrzęzły w błocie.

Nim zdążyli przepelznąć na lewą stronę auta, która sterczała w powietrzu, tłumek policjantów i żandarmów RAF-u zdążył zbiec za nimi po zboczu i otoczyć samochód. Laura usłyszała charakterystyczne kliknięcie repetowanej broni i choć wątpiła, by żandarmeria wojskowa otworzyła ogień do dwojga nieuzbrojonych dzieciaków, to jednak na ten dźwięk ciarki przeszły jej po plecach.

– Wysiadać z wozu, ręce trzymać tak, żebym je widział – rozkazał mężczyzna, po czym otworzył drzwi po stronie pasażera i wyszarpnął Rata na zewnątrz.

Laura poradziła sobie bez pomocy, ale zapomniała o swojej skreconej kostce i gdy tylko postawiła stopę na ziemi, noga ugięła się pod nią, przewracając ją w głęboką kałużę.

Olbrzymi żandarm złapał ją pod ramię, poderwał w górę i pchnął

na samochód. Mrugając nerwowo powiekami, by usunąć błotnistą wodę z oczu, Laura spojrzała w górę akurat na czas, by ujrzeć błysk flesza wystrzelony z brzegu kałuży.

Laura ukryła twarz w dłoniach, a żandarm szarpnął ją, by wyprowadzić z wody.

– Zabieraj stąd aparat! – wrzasnęła w stronę fotografa. – No już, odwal się, słyszysz?

14. GAZETA

– Już po wszystkim – podsumowała Dana.

Był sobotni poranek. James siedział na obrotowym krześle na środku swojego pokoju. Rozpostarty na podłodze ręcznik kąpielowy miał zbierać opadające włosy.

– Tak. – James kiwnął głową. – Bradford był moim celem, ale go zgarnęli, a ja nie mogę wrócić do legendy, bo oficjalnie jestem poszukiwany.

– Na proteście musiałeś się nieźle bawić – uśmiechnęła się Dana, zakładając plastikowy grzebyk na maszynkę do strzyżenia. – Jesteś pewien, że chcesz na jedynekę? Bo jak zacznę, to nie będzie odwrotu.

James skinął głową.

– Zafarbowałem je dopiero dwa tygodnie temu. Jak zostawisz dłuższe, będą miały zielone końce. Poza tym, kiedy ostatnio ostrzygłem się tak krótko, powiedziałaś, że wyglądam seksownie.

– Skoro tak mówisz... – mruknęła Dana bez przekonania i włączyła akumulatorową maszynkę.

Zaczęła od najdłuższej części irokeza. Kępki zielonych włosów załaskotały Jamesa w szyję i wylądowały na ręczniku.

– U ciebie wszystko w porządku? – zapytał James.

– Co mówisz? – Dana wyłączyła brzęczącą maszynkę.

James odchylił głowę i spojrział na swoją dziewczynę.

– Kiedy mnie nie było, zachowywałaś się trochę... dziwnie. Byłaś jakaś nieprzystępna. Wysyłałem ci SMS-y, a ty w ogóle nie odpowiadałaś, nie dzwoniłaś...

Dana włączyła maszynkę.

– Nie ruszaj głową, bo będziemy tu tkwić przez cały dzień.

– Widzisz? Właśnie o tym mówię – powiedział James z goryczą.

– O co ci chodzi?

– O zmienianie tematu.

Dana pochyliła się i pocałowała Jamesa w policzek.

– Byłam zajęta – powiedziała przymilnie. – Podłapałam to paskudne przeziębienie, a przygotowania do matury z plastyki po prostu mnie dobijają.

– Ale wszystko jest w porządku? – upewnił się James. – Widziałem twoje prace. Nawet te, o których mówisz, że nadają się do śmieci, są milion razy lepsze niż wszystko, co ja mógłbym spłodzić.

Dana pochyliła Jamesowi głowę do przodu i zabrała się do strzyżenia włosów na szyi.

Po chwili James sięgnął w tył i wsunął dłoń pod nogawkę jej workowatych szortów.

– Przestań svirować! – zawołała Dana, uskakując w bok. – Jak nie będziesz siedział spokojnie, zrobię ci na głowie masakrę.

James zignorował ostrzeżenie i zaskoczył Danę, ściągając jej szorty do kolan.

– Odwal się! – krzyknęła, wyłączając maszynkę, by zdzielić nią Jamesa po głowie. James cmoknął z dezaprobatą.

– Byłaś bardziej chętna, zanim pojechałem na misję. Właściwie nie odrywaliśmy się od siebie.

– Nie jestem w nastroju – powiedziała Dana z naciskiem. – Trzymaj głowę prosto.

– No weeeż – jęknął James i wystrzelił z krzesła, by przypaść do Dany i złapać ją za pośladek. – Nie widziałem cię od trzech tygodni.

– Zostaw mnie, głupi erotomanie! – krzyknęła Dana, mocując się z natrętem i w końcu odpychając go od siebie.

Dziewczyna cisnęła maszynkę na łóżko.

– Sam sobie strzyż te swoje zielone pióra.

– Co? – zachłusnął się James, wybiegając za Daną na korytarz. – Hej, przepraszam! Tylko żartowałem!

– Naucz się szacunku, świni! – odkrzyknęła dziewczyna, szybkim krokiem zmierzając w stronę schodów, by pójść do swojego pokoju na górze. – Jak mówię, że nie jestem w nastroju, to znaczy, że nie jestem.

Wracając do siebie, James zobaczył zaspanego Kevina wychylającego się półprzytomnie ze swojej sypialni, ubranego tylko w szarą koszulkę CHERUBA i slipy, w których spał.

– Sorka, stary – westchnął James. – Wiem, że krótko dziś spałeś. Obudziłem cię, co?

Kevin był świeżo upieczonym agentem, który dopiero co przeprowadził się do głównego budynku i wciąż nie oswoił z nowym otoczeniem. Zależało mu na tym, by James był jego kolegą, i nie odważyłby się robić mu wyrzutów, nawet gdyby rzeczywiście stracił przez niego część zasłużonego odpoczynku.

– Gdzie tam – ziewnął chłopiec. – I tak muszę lecieć na dół, zanim skończą serwować śniadanie.

Na progu pokoju James zobaczył swoje odbicie w lustrze i zatrzymał się przerażony. Głowę miał pokrytą łysymi plackami, spomiędzy których wciąż wyrastały nastroszone kępy zielonego włosów.

– Ale porażka – burknął pod nosem.

– Chcesz, żebym zrobił porządek z twoją głową? – zapytał Kevin.

– W bloku juniorów strzygliśmy się sami, zamiast godzinami czekać w kolejce do fryzjera.

– Naprawdę? Byłoby fajnie – ucieszył się James. – Niby mógłbym dokończyć sam, ale idzie znacznie sprawniej, jak robi to ktoś inny.

– Tylko wciągnę coś na tyłek.

James usiadł z powrotem na swoim krześle, a kilka chwil później do pokoju wszedł Kevin. Chłopiec skończył wiązanie sznurka spodni od dresu, po czym ujął maszynkę.

– Kobiety – westchnął James. – Jeśli chcesz mojej rady, Kevin, trzymaj je z dala od swojego życia tak długo, jak tylko się da.

– Spróbuję – uśmiechnął się Kevin, włączając maszynkę i odcinając pierwszą zieloną kępkę włosów. – Trzymaj głowę prosto.

– Nie wiem, o co jej chodzi, wiesz? Zanim pojechałem na misję, byliśmy nierozłączni, co nie? I nagle bach! Nie odbiera telefonów, nie lubi, jak jej dotykam... Nie rozumiem, co jej nagle odbiło?

Kevin zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć koledze o zdradzie Dany, ale Laura kazała mu trzymać język za zębami, a James był znany ze skłonności do napadania na niewłaściwych ludzi, kiedy wpadał w gniew.

– Przepraszam cię, stary – powiedział James, kiedy w lustrze na szafie zobaczył zakłopotaną minę Kevina. – Nie chciałem cię zanudzać opowieściami o moich sprawach sercowych.

– Pewnie za parę lat sam będę przez to przechodził – wybąkał nieco zmieszany Kevin.

– A strzyżesz o wiele lepiej niż Dana – zauważył James, będąc pod wrażeniem wprawy, z jaką chłopiec manipulował maszynką.

Kevin uśmiechnął się kącikiem ust.

– Dlatego spodziewam się hojnego napiwku.

Po humorach Dany James był wdzięczny za towarzystwo wesołego jedenastolatka, który w dodatku – o czym dobrze wiedział – podziwiał go i traktował jako wzór do naśladowania.

– A jak wam wczoraj poszła ta wasza mała misja z moją siostrą? Słyszałem, że były jakieś problemy.

– Nie było tak źle – uśmiechnął się Kevin. – Przynajmniej dla mnie, bo uciekłem. Laura i Rat wpadli, ale Dennis King wyciągnął ich po dwóch godzinach w celi. Najgorzej z Jakiem. Po bliskim

spotkaniu z psem biedak ma dwanaście szwów na tyłku.

James parsknął śmiechem.

– Brzmi paskudnie. Przypomnij mi, żebym się z niego ponabijał, jak go spotkam.

– Aha, zapomniałem o czymś, co spodoba ci się najbardziej – dodał Kevin. – Bethany zeskoczyła z płotu prosto w olbrzymi krowi placek. W samochodzie normalnie tak capało... mówię ci. Kiedy wsiadała, zobaczyłem, że wszystko ma wtarte we włosy. Teraz chce mnie zabić, Ronana też, bo prawie się posikaliśmy ze śmiechu.

– Coś pięknego – jęknął James z zachwytem. – Szkoda, że tego nie widziałem.

– Chyba skończyłem – powiedział Kevin, po czym wykonał ostatnie cięcie za uchem Jamesa i wyłączył maszynkę.

James był zadowolony z rezultatu, choć jego czaszka wyglądała teraz blado, a ostrza maszynki zdekapitowały kilka dorodnych pryszczu na jego szyi, pozostawiając krwawe ślady.

– Chłopaki! – wykrzyknął Rat, wpadając do pokoju z keczupowymi wąsami pod nosem i gazetą w ręce. – Właśnie jadłem śniadanie na dole, kiedy ktoś wypatrzył to w gazecie. Musicie to zobaczyć. Laura zeświruje, jak to do niej dotrze.

Rat rzucił gazetę na łóżko Jamesa. Cała pierwsza strona traktowała o aresztowaniu Bradforda i marszu protestacyjnym na ulicy Strand, ale Rat przerzucił pięć stron, by odsłonić kolorową fotografię przedstawiającą ubłoconą od stóp do głów dziewczynę stojącą w kałuży tuż obok rozbitego fiata.

Na szczęście ujawnianie tożsamości i wizerunku nieletnich podejrzanych jest zabronione i twarz na zdjęciu została wypikselowana, ale kto znał Laurę, wiedział, że to ona, no i celowo nie zamazano jej dłoni prezentującej fotografowi środkowy palec.

– „Materiał zastrzeżony” – odczytał James z emfazą. – „Małolaty na haju, balanga za dwa miliony funtów: uzbrojony w noże gang nieletnich chuliganów w wieku od dziesięciu lat wzwyż, będących

pod silnym wpływem narkotyków, spowodował straty szacowane na dwa miliony funtów w nowym centrum kontroli ruchu lotniczego, które już za trzy tygodnie miało zostać otwarte przez królową"...

Kevin zacmokał, kręcąc głową.

– Miliony sryliony. Mieliliśmy instrukcje, żeby demolka ładnie wyglądała, ale żeby nie niszczyć niczego naprawdę cennego. A poza tym niby skąd mogliby wiedzieć, że byliśmy na haju?

– Nie to jest najlepsze – powiedział Rat z uśmiechem. – Przeczytajcie podpis pod zdjęciem.

James ryknął śmiechem, kiedy tylko przeczytał: „Wesołych dresoświąt – chuliganka w dresie pozdrawia naszego fotografa jednopalcowym salutem na krótko przed zatrzymaniem jej przez żandarmerię wojskową”.

– Ożeż... – zapiszczał w zachwycie James. – To jest bezcenne! Chcę mieć kopię na ścianie!

Trzej chłopcy zanosili się śmiechem, podczas gdy Kevin odczytywał na głos resztę artykułu. Słuchając, James podtoczył krzesło z powrotem pod biurko i zgarnął z podłogi pokryty włosami ręcznik.

– Lepiej wezmę prysznic – powiedział. – Strasznie mnie drapie w szyję.

– Nie zapomnij, że później gramy nad jeziorem – zaznaczył Rat. – No i raczej nie wkładaj swoich najlepszych łachów.

– Nie wiem, czy będę grał – powiedział James, unosząc koszulkę, by zademonstrować olbrzymi fioletowy siniec na plecach.

– Uch... To musiało boleć – skrzywił się Kevin.

– Jeszcze jak! – zahuczał James, poruszając brwiami. – Przysięgam, jedyną rzeczą gorszą od wkurzonej babki jest wkurzona babka z wielką pałą w ręce.

*

Dwie godziny później Laura wyszła z damskiej toalety na

korytarz ozdobiony srebrzystymi łańcuchami choinkowymi i papierowymi bałwankami powycinanymi pracowicie przez juniorów. Kiedyś zesłano ją do pomocy w bloku juniorów za karę, ale spodobała jej się praca z dziećmi i teraz chodziła tam od czasu do czasu, by nieco odciążyć stałych opiekunów.

– Wesołych dresoświąt, Laura – zaseplenił szczerbaty chłopiec, kiedy otoczyły ją cztery maluchy w czerwonych koszulkach.

Laura zacisnęła pięść przed twarzą malca.

– Jeszcze chwila, a stracisz jeszcze więcej zębów, Kurt – ostrzegła, delikatnie naciskając chłopcu czubek nosa.

Dziecięcy kwartet podążył za nią, kiedy z zabandażowaną kostką pokuśtykała wzdłuż korytarza w stronę klasy.

– Widziałaś nasze prezenty, Laura? – zapytał jeden z chłopców.

– Przecież wiesz, że widziała – powiedział inny. – Powiedz nam, proooooooszę!

– W ogóle nie wiem, o czym mówicie – oświadczyła Laura stanowczo.

– Nie jesteśmy głupi – jęknęła dziewczynka. – Widzieliśmy te zwoje papieru do pakowania prezentów.

– Przynajmniej daj jakąś odpowiedź – zażądał chłopiec.

– Czy wy przypadkiem nie gracie w jasełkach? – zainteresowała się Laura. – Nie powinniście teraz ćwiczyć waszych ról?

– Znamy nasze role – odpowiedzieli chórem malcy.

Laura dotarła do drzwi klasy i zapukała w szybę zaklejoną od środka złotym papierem, żeby czerwone koszulki nie mogły podglądać, co się dzieje w środku.

Megan, młodsza siostra Kevina, opłotła drobnymi ramionkami talię Laury.

– Ja muszę wiedzieć, co dostanę pod choinkę. Proszę, proszę, proszę!

Ale Megan odskoczyła gwałtownie, kiedy drzwi klasy otworzyły się i stanął w nich Pete Bovis, jeden z opiekunów.

– Spadać, basatyki – powiedział twardo. – Powiedziałem wam, że macie zostawić Laurę i innych ochotników w spokoju. Jak jeszcze raz zobaczę, że kogoś dręczycie, każdy z was dostanie o jeden prezent mniej.

Laura wślizgnęła się do klasy, uważając, by nie otworzyć drzwi dość szeroko, by maluchy mogły zajrzeć do środka.

– Uparci są – westchnęła, przewracając oczami, kiedy Pete zamykał drzwi na zasuwkę.

Pomieszczenie, do którego weszła, zwykle służyło do prowadzenia zajęć z najmłodszymi mieszkańcami kampusu. Po podłodze walały się wysłużone jeździki, był stół do zabawy piaskiem i wodą ze zbiornikiem wypełnionym stateczkami i kołami wodnymi oraz wyłożony miękką wykładziną kącik do czytania zasypany stosem książek z obrazkami. Tymczasowo jednak cała ściana była zastawiona pudełkami z prezentami, które pakowano i opatrywano przywieszkami przy stołach na środku pokoju, po czym przenoszono na stertę.

Dwoje opiekunów z bloku juniorów i troje agentów CHERUBA siedziało przy stołach nad kilometrowymi wydrukami z listą prezentów, jakie miała otrzymać każda czerwona koszulka w kampusie. Obok standardowych upominków rozdawanych wszystkim były tam podarunki indywidualnie dopasowane do wieku i upodobań obdarowywanego.

Cztery dziewczyny, które zgłosiły się do pakowania, zrobiły to, by uniknąć bardziej uciążliwych przedsięwzięczych prac, takich jak mycie korytarzy albo pomaganie w pralni. Szybko jednak uświadomiły sobie, że zapakowanie tysiąca prezentów dla ponad siedemdziesięciorga dzieciaków to znacznie cięższe zadanie, niż mogłoby się wydawać.

– No dobrze – westchnęła Laura, przysiadając na miniaturowym krześle dla czterolatków i odczytując kolejne nazwisko z listy. – Robert Cross, lat osiem, główne prezenty: laptop, strój Manchester

United, „Gunslinger Cztery” na X-boksa. Widział ktoś tę torbę Świata Sportu z kompletami piłkarskimi?

Dziewczyna przy jednym ze stołów rozejrzała się dookoła.

– Miałam ją jeszcze przed chwilą...

Laura rozpostarła przed sobą arkusz srebrnego papieru do pakowania.

– To skandal, ile towaru dostaje teraz dzieciarnia – zaszydziła, parodiując akcent z londyńskich blokowisk. – Jak ja byłam mała, to mogłam dostać najwyżej pomarańczę, jabłko albo orzech, jak mi się naprawdę poszczęściło.

– O, z pewnością tak było – uśmiechnął się Pete, a pozostali gruchnęli śmiechem. – Ale o ile mnie pamięć nie myli, twoja mama prowadziła największy gang złodziei sklepowych w północnym Londynie, prawda?

15. BŁOTO

Kampus CHERUBA wyrósł wokół opuszczonego budynku starej wiejskiej szkoły, który teraz tworzył część bloku juniorów. Z czasem kampus przeobraził się w strzeżony ośrodek obejmujący niedużą wieś i kilka okolicznych gospodarstw. Cherubini mieli dostęp do nowoczesnych obiektów sportowych i boisk ze sztuczną nawierzchnią odporną na każdą pogodę, ale u początków istnienia organizacji w piłkę grywano na prostokacie wyznaczonym na polu sąsiada, obok obecnego kampusowego jeziora.

Zimą jezioro wylewało, podmywając boisko, a podkute buty młodych cherubinów – chłopców, bo w tamtych czasach dziewcząt nie przyjmowano – urabiały je w trzęsawisko. W miarę rozrastania się kampusu powstawały nowe boiska budowane na wyższych terenach, zaś brzegi jeziora wzmocniono, by położyć kres corocznym powodziom, pozostała jednak tradycja meczów rozgrywanych w błotnistej niecce w ostatnią sobotę przed świętami.

Boisko przygotowywano, pompując wodę z jeziora na grzbiet łagodnego wzniesienia w taki sposób, by spływała po trawie z powrotem do jeziora. Następnie kampusowi ogrodnicy rozjeżdżali ziemię traktorami i w ciągu połowy dnia prostokątny obszar przemieniał się w morze kałuż i błota po kostki.

Wykreślenie linii nie było możliwe, ale granice pola gry wyznaczały dwie najstarsze drewniane bramki, a ponieważ mecze zawsze rozgrywano po zmroku, w każdym rogu ustawiano zestaw przenośnych reflektorów, które bardzo lubiły się psuć.

Nieopodal boiska rozbito dwa namioty; w jednym polewano graczy wodą z węża, wstępnie opłukując ich z błota przed biegiem do szatni przy torze lekkoatletycznym pod gorący prysznic. W drugim zainstalowano grill serwujący burgery i hot dogi oraz system nagłaśniający, przez który przez cały czas pompowano głośną muzykę rockową.

Była dopiero piąta po południu, ale niebo już poczerniało, a znad jeziora wiało kęsającym chłodem. Na rozgrywki stawili się niemal wszyscy, od najmłodszych czerwonych koszulek po czarne koszulki takie jak James. Wszyscy porządnie się opatulili, oprócz korków lub starych adidasów zakładając rękawice, czapki, grube dresy, kangurki lub polary. Byli cherubini odwiedzający kampus w czasie świąt oraz liczni członkowie kadry tłoczyli się wokół stołów, ogałając je z butelek piwa i kieliszków szampana.

James znalazł się w tłumie widzów niedaleko boiska, gdzie ganiała się już banda juniorów, ochlapując się nawzajem błotem. Podczas gdy rozglądał się nad głowami w poszukiwaniu znajomych twarzy, czyjaś ręka poklepała go po ramieniu.

– Kyle! – zawołał entuzjastycznie James, mierząc wzrokiem swojego najlepszego przyjaciela. – Stary! Kiedy wróciłeś? Czemu nie dałeś znać, że już jesteś?

– Dopiero co przyjechałem z Cambridge – wyjaśnił Kyle. – Miałem nadzieję, że będę tu przed drugą, złapię spóźniony lunch i przywitam się ze wszystkimi, ale te świąteczne korki to jakaś masakra.

– Jesteś wielki! – wyszczerzył się James, kiedy Kyle wręczył mu butelkę piwa ze stołu dla dorosłych.

– Tylko trzymaj tak, żeby nikt nie widział – ostrzegł Kyle.

– No i jak tam na studiach?

– Dobrze – kiwnął głową Kyle. – Przyjazna atmosfera i naprawdę spora społeczność homoseksualna. Aż kusi, żeby co wieczór wychodzić w miasto i imprezować, tyle że z forszą krucho.

– Ostatnim razem mówiłeś, że szukasz pracy.

Kyle skinął głową.

– Zacząłem pilnować drzwi w klubie dla gejów. Płacą nieźle, ale czasem trzeba się męczyć z nielichem frajerstwem.

– Można by sądzić, że jesteś za drobny, żeby cię wzięli na bramkarza – uśmiechnął się James.

– To było tak, że raz przyszły do baru dwa wielkie bambry w koszulkach rugby wrzeszczące coś o pedałach i zboczeńcach. Złapali jednego koleśka i zaczęli go poszturchiwać, więc w końcu poprosiłem ich na zewnątrz i sklepałem pyski blaszaną klapą od śmietnika.

James roześmiał się.

– Dobrze wiedzieć, że lata treningów nie poszły na marne.

– W każdym razie następnym razem, kiedy wpadłem na drinka, właściciel zaproponował mi pracę. Dostaję dychę za godzinę gotówką plus tyle alku, ile dam radę wypić.

– Brzmi nieźle – skwitował James, po czym pociągnął trzy łyki ze swojej butelki i głośno beknął.

– Grasz? – zapytał Kyle.

James potrząsnął głową.

– Miałem wczoraj starcie z gliniarzami i dostałem w plecy. Lekarz powiedział, że załatwiłbym się na amen, gdybym zaczął teraz tarzać się w błocie.

– Myślałem wczoraj o twojej misji, jak zobaczyłem te zamieszki w telewizji – powiedział Kyle. – A poza tym jak sobie radzisz?

– Nie najgorzej. – James wzruszył ramionami. – Tylko Dana ostatnio jest jakaś dziwna, nie wiem dlaczego. Kobiety...

– Wesółych dresoświąt – powiedział Kyle na widok Laury

kuśtykającej ku nim na swojej skręconej kostce.

Większość cherubinów oberwałaby za to, ale Laura lubiła Kyle'a, a poza tym nie widziała się z nim od wieków, więc skończyło się na uścisku i szybkim pocałunku w policzek.

– Jak leci? – zapytał Kyle, ale zanim Laura zdążyła odpowiedzieć, muzyka ucichła, a z głośników dobył się przyprawiający o skurcze mięśni skowyt sprzężenia mikrofonu.

W namiocie z grillem stała prezeska Zara Asker, jedną ręką trzymając mikrofon, a drugą córeczkę Tiffany.

– Czy mogłabym prosić o ciszę? – zapytała, po czym mikrofon zawył jeszcze raz, a Tiffany zakryła sobie uszy małymi rączkami. – Klasy są zamknięte aż do Nowego Roku, mamy sobotni wieczór, a ja z dumą ogłaszam, że w kampusie CHERUBA święta zaczynają się teraz!

Podczas gdy przez tłum przetaczała się fala owacji, James spojrzał w dół na czteroletniego synka Zary Joshuę obłapiającego go za nogę. Malec prowadził na smyczy Klopsa i Laura przykucnęła, by przywitać się z wesołym beaglem.

– Spójrz na siebie, cały jesteś w błocie – zaszczebotała. – Będziesz później płakał, kiedy Zara wrzuci cię do wanny.

– Zanim zaczniemy, mam jeszcze kilka uwag – oznajmiła Zara przez głośniki. – Jak widać, jest bardzo zimno i wilgotno. O ile pewnie jakoś przeżyję, jeżeli kilka osób skończy z drobnymi urazami, o tyle będę obrzydliwie cięta na każdego, kto dostanie dreszczy lub hipotermii. Mecze trwają po piętnaście minut i oczekuję, że po grze każdy z zawodników natychmiast weźmie gorący prysznic i przebierze się w czyste, suche ubranie. Jednym z przywilejów prezeski jest prawo do przeglądania wszystkich wniosków o wyrównanie rachunków i ustalania, kto gra z kim. Z przyjemnością ogłaszam, że w tym roku w pierwszym meczu zagra chłopięca drużyna czerwonych koszulek kontra dziewczęca drużyna czerwonych koszulek.

Tłum zaryczał, a na boisko wysypała się ponad trzydziestka dzieciaków. Niektórzy stąpali ostrożnie, badając stopami grunt; inni wbiegali na pole gry pełnym pędem, by rzucić się naprzód i ślizgać na brzuchach w lodowatym błocie.

James zaśmiał się na widok chłopca, który zderzył się ze swoją starszą siostrą i wszczął pyskówkę; tymczasem sędzia plasnął piłką w wielką kałużę służącą za centralny krąg, i tłum okrzykami dopingował jedną bądź drugą drużynę.

– Padam z głodu – oznajmił Kyle. – Nie chciałem jeść na stacji benzynowej. Idziemy na burgery, póki nie ma kolejki?

– Chętnie, jeśli podwędzisz dla mnie jeszcze jeden browar – uśmiechnął się James.

Mecz już trwał, kiedy James, Laura, Joshua i Klops – mocno podekscytowany zapachem skwierczącego mięsa – podążyli za Kyle'em w stronę namiotu z grillem. Podczas gdy James czekał, aż dosmażą się burgery i parówki, Kyle poszedł do stołu z napojami po pepsi i piwo.

Zanim dostali swoje jedzenie i wyszli z namiotu, pierwszy mecz dobiegł końca. Wygrali chłopcy, ale umorusane błotem dziewczynki podniosły protest, krzyżąc, że seksistowski sędzia w ostatniej chwili przyznał chłopcom skandalicznie niesłuszny rzut karny.

Zara ogłosiła, że w następnym meczu zmierzą się cherubini mieszkający na szóstym piętrze głównego budynku z dzieciakami z ósmego. James zagrzewał do boju szóstaków, a na boisko wychodzili jego sąsiedzi, w tym jego była dziewczyna Kerry Chang, oraz przyjaciele: Bruce, Shakeel, Andy, Rat i Kevin.

– Ósme piętro, pokażcie im! – krzyknęła Laura, kiedy na drugą połowę boiska wybiegła Bethany wraz z gromadą koleżanek.

Mieszkańcy poszczególnych pięter byli przemieszani pod względem wieku i płci, dlatego na boisku pojawiły się drobne, świeżo upieczone agentki obok zwałistych szesnasto- i siedemnastolatków. W poważnej rozgrywce mogłoby to

doprowadzić do kontuzji, ale błotne zawody cechował klimat luźnej zabawy i widok zawodników siadających na sobie nawzajem albo ciskających błotem w kibiców nie należał do rzadkości.

Kiedy czerwone koszulki pobiegły pod prysznicę, a dwie trzecie starszych dzieciaków przeszło na boisko, by utworzyć tam dwie zbyt liczne drużyny, tłum znacznie się przerzedził i teraz składał się głównie z kadry, dzieciaków z siódmego piętra i cherubinów z kontuzjami, takich jak James i Laura.

James wyłowił wzrokiem postać stojącą samotnie przy krańcu boiska.

– Moje wielkie gały znów wyszpiegowały coś, co zaczyna się na... J.

– O, ekstra – ucieszyła się Laura. – Muszę go trochę pomęczyc za ten pokąsany tyłek.

Kyle nie zdążył jeszcze poznać najnowszych wieści z kampusu i parsknął śmiechem.

– Ze co?

Ruszyli w stronę Jake'a – wszyscy z wyjątkiem Joshuy, który zauważywszy, że jego mama daje Tiffany czekoladkę, pognął po swój przydział – a po drodze Laura opowiedziała o jego spotkaniu z psem RAF-u.

– Jak się czuje twój tyłek? – zarechotała, podszedłszy do Jake'a od tyłu.

– Ty beznadziejny ślepy cycu! – wrzasnął James w stronę boiska, kiedy Shakeel nie trafił do pustej bramki.

Jake odwrócił się do Laury i potrząsnął głową.

– Nie zaczynaj, dobrze? Mam potąd docinków i przysięgam, jeśli jeszcze raz usłyszę, że ktoś robi sobie ze mnie jaja, to zatłukę.

– Ojoj, jaki drażliwy. – Laura wyszczerzyła zęby w złośliwym grymasie.

Kyle zdobył się na odrobinę współczucia.

– Wciąż boli?

– Mam dwanaście szwów w tyłku – cmoknął niecierpliwie Jake. – Jak ci się wydaje?

James wybuchł śmiechem.

– Powinieneś skombinować sobie takie gumowe kółko do siedzenia.

– Pokaż to – zachichotała Laura, łapiąc Jake'a za tył spodni od dresu i próbując je ściągnąć.

– Odczep się! – krzyknął Jake z furją. – Myślisz, że to zabawne? Jakby tobie wielki psi bydlak wyrwał kawał tyłka, ciekawe, jak głośno byś się śmiała.

Laura złożyła usta w ciup.

– Nie płacz, malusi...

Kyle potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Daj spokój biednemu dzieciakowi.

– Zawsze to samo – westchnęła Laura. – Ci, którzy są pierwsi do poszturchiwania ludzi kijkiem, nie potrafią znieść, kiedy sami stają się poszturchiwani.

Jake odwrócił się do Laury i uśmiechnął.

– Mam pomysł na odwrócenie twojej uwagi – oznajmił. – Dlaczego nie opowiesz bratu o tym, jak jego sprawy sercowe wałęsają się na łeb?

Laurze stanęło serce, ale udała, że nie ma pojęcia, co Jake ma na myśli.

– Że co? – rzuciła, krzywiąc się nonszalancko.

Jake wyjął z kieszeni telefon.

– Rzuć na to okiem, James. Twoja siostra kazała Kevinowi skasować oryginał, ale zdążyłem przekopiować.

– Jake, jesteś obrzydliwym dupkiem – zdenerwowała się Laura, podczas gdy jej brat przysunął się do Jake'a, by spojrzeć na ekran jego komórki.

Obraz był niewielki i w ciemności wydawał się przejaszczony, ale James potrzebował zaledwie dwóch sekund na rozpoznanie

plakatu z motocyklem nad swoim łóżkiem oraz Michaela Hendry'ego dobierającego się do Dany.

– Kiedy Kevin to zrobił? – wycedził zimno James.

– Wczoraj – uśmiechnął się Jake. – Zapytaj siostrę, wie znacznie więcej niż ja.

James spojrzał na siostrę.

– Wiedziałaś o tym?

Laura uniosła ręce w obronnym geście.

– James, byłeś na misji. Zamierzałam ci powiedzieć, ale nie chciałam psuć ci Gwiazdki.

– To ja tu prawie wariuję, bo nie mogę obczaić, dlaczego Dana zachowuje się tak dziwnie... – wypalił James. – Jesteś moją siostrą, Laura. Jak mogłaś pozwolić, żeby coś takiego działo się tuż pod moim nosem?!

– Laura to gnida – zauważył Jake i cofnął się przestraszony, kiedy James gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

– Jeszcze jedno miłe słówko padnie z twoich ust, Jake, a wykopię cię prosto w nowy rok.

Kyle z trudem nadażał za rozwojem wydarzeń, ale położył Jamesowi dłoń na ramieniu, by nieco go ostudzić.

– Daj spokój, stary, wyluzuj.

– Wiedziałeś o tym? – zapytał go James oskarżycielskim tonem.

Kyle uśmiechnął się.

– James, nie było mnie w kampusie od lipca. Weź głęboki oddech i policz do dziesięciu.

– Mam być spokojny! – krzyknął James. – Widzę, że pół kampusu wie, że Dana bzyka się z Michaeliem Hendrym, a moja własna siostra kłamie mi w żywe...

– Wcale nie kłamałam – zaprotestowała Laura. – Wiedziałam, że i tak w końcu się dowiesz, i chciałam ci powiedzieć, ale miałam nadzieję, że Dana mnie w tym uprzedzi, a zdjęcie skasowałam, bo nie chciałam, żebyś dowiedział się w taki sposób.

James był zły, ale wierzył, że Laura chciała tylko ochronić jego uczucia. Tak naprawdę miał pretensje do Dany.

– Gdzie ona jest, ta zdradziecka łajza?

– Nie widziałam jej – powiedziała Laura. – Wiesz, że ona nie lubi udzielać się towarzysko. Pewnie jest u siebie, czyta książkę czy coś.

James odwrócił się w stronę boiska i odszukał wzrokiem Michaela Hendry'ego grającego na skrzydle z ósmopiętrowcami.

– Dawaj tę komórkę! – huknął, wyrywając Jake'owi telefon z dłoni.

– James, uspokój się – powiedział Kyle stanowczo, łapiąc przyjaciela za ramię, ale James wyszarpnął się.

– Jak jeszcze raz usłyszę, że mam się uspokoić... – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Jake uśmiechnął się ze wzgardą, kiedy James poczłapał przez błoto w stronę grających. Laura kuląła, ale w gniewie zapomniała o obolałej kostce i złapała Jake'a za kaptur kurtki.

– Ty perfidny, wredny gnoju! – krzyknęła.

– Cmoknij mnie gdzieś! – odkrzyknął Jake, próbując się wyrwać.

Laura trzasnęła go otwartą dłonią w twarz. Jake potknął się i upadł na ziemię.

– Moje szwy! – jęknął i zaczął szamotać się w błocie, ściskając dłońmi pośladki.

Laura zawisła nad nim z dłońmi wspartymi na biodrach.

– Ale z ciebie dzieciuch – prychnęła pogardliwie. – Ledwie cię dotknęłam.

16. BÓJKA

Wybierając się na rozgrywkę, James nie przewidywał wchodzenia na grząskie boisko i teraz został przyhamowany przez gwałtownie przemakające adidasów oraz ból przeszywający mu plecy za każdym razem, kiedy któraś stopa poślizgnęła się w błocie. Gromada młodszych dzieciaków walczyła o piłkę w pobliżu bramki na szczycie wzniesienia, ale Michael Hendry spacerował po słabiej oświetlonym obszarze na środku boiska, w spodniach od dresu oblepionych błotem, dłońmi w grubych rękawicach uderzając się dla rozgrzewki po bokach.

Podchodząc do Michaela od tyłu, James wyciągnął przed siebie rękę z telefonem. Był wściekły, ale jego apetyt na przemoc słabł z każdym krokiem – Michael był wyższy, miał masywne ramiona, wielką klatkę, zaś szkolenia bojowe Jamesa się nie liczyły, bo Michael przeszedł takie same. Wszystko, co James miał po swojej stronie, to element zaskoczenia.

– Joł, gównojad! – krzyknął.

Michael odwrócił się, wiedząc, że został zdemaskowany, ale zanim zdążył zareagować, telefon Jake'a wyrzucił go w skroń. Plastikowa obudowa pękła z trzaskiem, a James poprawił dwoma ciężkimi ciosami w żołądek. Były to uderzenia, jakie powaliłyby

większość nieprzeszkolonych mężczyzn, ale Michael tylko stęknął, apotem złapał Jamesa za kark i z impetem nastąpił mu na kostkę, miażdżąc ją stalowymi kolcami swojego ogromnego buta do rugby.

– Naprawdę chcesz ze mną zadrzeć? – zagrzmiał Michael.

James zawył i gruchnął w mokre błocko, ale mimo bólu w grzbiecie i kostce zdołał złapać Michaela za stopę, przeciągnąć ją po błocie i poderwać w górę, jednocześnie zrywając się na równe nogi. Michael wierzgnął, próbując się wyswobodzić, ale James trzymał mocno. Uniósł stopę wyżej i szarpnął w bok, boleśnie ją wykręcając.

Do tego momentu piłkarze zdążyli zorientować się, co się dzieje. Kilka osób już biegło, by rozdzielić walczących, a sędzia energicznie dał w gwizdek.

– Ty bydlaku! – wrzasnął James, wykręcając stopę jeszcze mocniej.

Ból sprawił, że pod Michaeliem ugięła się noga, na której stał, i chłopak runął w błoto, pociągając Jamesa za sobą. Michael wywinął się na górę i poczęstował przeciwnika wybuchowym ciosem w tył głowy. Lodowata woda przesiąkała Jamesowi przez ubranie. Podczas gdy miotał się szaleńczo, próbując odzyskać swobodę ruchu, Michael wyprowadził kolejne brutalne uderzenie.

Element zaskoczenia stanowił całą przewagę Jamesa nad silniejszym przeciwnikiem i Michael niewątpliwie sprząby go na kwaśne jabłko, gdyby nie Bruce Norris, który przyczłapał na ratunek przyjacielowi. Bruce wybił Michaela z rytmu kolczastym kopniakiem w plecy, po czym oplótł ramieniem jego masywną szyję, by odciągnąć go od Jamesa.

Bruce był niespotykanie silny jak na swoją posturę, ale i tak potrzebował pomocy Shakeela i Rata, by oderwać Michaela od Jamesa. Po dwóch ciosach w głowę James był oszołomiony, ale wciąż przytomny. Dziewczyna Michaela Gabriella wyciągnęła go z błota, a była dziewczyna Jamesa Kerry obezwładniła go, wykręcając rękę za plecami.

– Na miłość boską, James! – zawołała, kiedy James jęknął z bólu. –

To tylko gra. Mówiłeś zresztą, że nie będziesz grał, bo masz nadwerężony kręgosłup.

James i Michael próbowali wyrwać się trzymającym ich rękami, kiedy pojawił się sędzia i raczej bez sensu pomachał na obu czerwoną kartką.

– Myślicie, że obchodzi mnie wasz głupi mecz?! – wybuchł James, po czym obejrzał się i posłał Gabrielli dzikie spojrzenie. – Rzuć okiem na telefon Jake'a – warknął. – Zobacz, co twój słodki chłopczyk wyprawiał z Daną.

Gabrielli rozbłysły oczy, a pewność w wyrazie jej twarzy uświadomiła Jamesowi, że dziewczyna już od pewnego czasu musiała coś podejrzewać.

– Gab, nie! – zawołała Kerry z przestraszeniem, zacieśniając uchwyt na Jamesie.

– Praca z historii sztuki, tak? – krzyknęła Gabriella, puszczając Jamesa i ruszając w stronę Michaela z determinacją szarżującego czołgu. – Czy to dlatego spędzałeś tyle czasu w pokoju Dany? Ty parszywy zdrajco!

Wysoka i szczupła Gabriella nie miałaby szans w starciu z Michaeliem, gdyby ten nie był trzymany przez Bruce'a i Shakeela. Sędzia próbował ją zatrzymać, ale dziewczyna wywinęła mu się i rąbnęła Michaela nasadą dłoni w twarz.

– Zabiję cię! – wrzasnęła rozpaczliwie, a nos jej chłopaka eksplodował krwią.

Kiedy sędzia złapał ją w pól, aby zapobiec kolejnemu atakowi, jej ciało nagle zwiotczało.

– Myślałam, że mnie kochasz, Michael – załkała Gabriella, opadając w ramiona zdeorientowanego sędziego.

Kerry chciała być ze swoją najlepszą przyjaciółką, ale wciąż trzymała Jamesa.

– Zachowuj się albo... – pogroziła mu, po czym puściła wolno.

James wciąż cierpiał, ale rozpacz Gabrielli zgasła płonącej w nim

gniew. Sam miał już kilka dziewczyn i były chwilę, kiedy sądził, że kocha Danę, ale nikt się nie spodziewał, że ich związek będzie trwał wiecznie, a większość znajomych wręcz dziwiła się, że wytrzymali ze sobą tak długo.

Związek Michaela i Gabrielli był bez porównania silniejszy. On był jej pierwszą miłością i wszystko robili razem od tak dawna, że cherubini rzadko wymieniali ich imiona oddzielnie.

James był zły na Danę za to, że go zdradziła. Poza tym bolała go głowa, rwał grzbiet, a ze skarpetki sączyła się krew w miejscu, gdzie kolce Michaela przebiły mu skórę, ale właśnie zobaczył, jak Gabrielli pęka serce, a to ustawiło jego ból w nowej perspektywie.

– Nic ci nie jest? – zatroskał się Kyle, cmokając butami w błocie obok Jamesa, podczas gdy Gabriella szlochała żałośnie w ramionach Kerry.

– Łeb zaraz mi pęknie, a kostka może potrzebować szwów – odpowiedział James kwaśno. – Przepraszam.

Kyle uśmiechnął się.

– Za co mnie przepraszasz?

– A za to. – James machnął dłonią przed sobą. – Jesteś pierwszy raz w kampusie od pięciu miesięcy, a ja od razu pakuję cię w taki szit.

– Brakowało mi tego – powiedział Kyle, uśmiechając się drwiąco.

– Twoje matolstwo cudownie przypomina mi, jak mądry i racjonalny jestem ja sam.

James stęsknił się za poczuciem humoru Kyle'a i nie mógł się nie roześmiać mimo ciężkich obrażeń na ciele i duszy.

– Zarzuć mi rękę na plecy – zarządził Kyle. – Weźmiemy któryś z wózków golfowych i odwiozę cię do ambulatorium.

*

Dwie godziny później Laura przeszła wzdłuż korytarza na szóstym piętrze i zapukała do pokoju Jamesa.

– Jak się czujesz? – zapytała, wsuwając głowę za drzwi i widząc

brata leżącego w szlafroku na łóżku.

James miał zabandażowaną kostkę, a na niemal łysej głowie kwadratowy plaster przykrywający paskudne rozcięcie, pamiątkę po jednej z obrączek Michaela.

Ciemność w pokoju rozpraszała jedynie kreska światła pod drzwiami łazienki. Laura usiadła na rogu łóżka.

– Bywało lepiej, bywało gorzej – powiedział James, zrzucając na podłogę pismo motocyklowe, którego i tak nie czytał, i siadając, by móc spojrzeć na siostrę.

– Sam mówiłeś, że masz przeczucie, że coś jest nie w porządku – powiedziała Laura łagodnie. – Że od pewnego czasu coś się psuje.

– Tak naprawdę to zerwanie nie boli mnie tak bardzo – wyznał James. – Najbardziej mnie wkurzyło to, że wszyscy o tym wiedzieli oprócz mnie. Nawet ty.

– Powiedziałabym ci, gdyby to się ciągnęło. Nie mam żadnych zobowiązań wobec tej wrednej małpy.

– Ale cycki ma fajne – westchnął James z żalem. – No i była pierwszą dziewczyną, z którą się naprawdę kochałem, więc to pewnie ona będzie tą, którą zapamiętam na zawsze.

Laura uśmiechnęła się krzywo.

– A nie spałeś przypadkiem z tą drugą babeczką na tej misji u gangsterów?

James roześmiał się bezczelnie.

– Dobra, ujmę to inaczej: Dana była pierwszą dziewczyną, z którą uprawiałem seks, jeżeli nie liczyć dwóch minut czystej grozy w wannie z laską, z którą nigdy później nawet nie rozmawiałem.

Laura zachichotała.

– Cały ty, James...

– To Gabrielli szkoda mi najbardziej – ciągnął James. – Kiedy wróciłem, wciąż wyplakiwała sobie oczy u Kerry.

– Co powiedziała Zara?

– Przyszła do ambulatorium i kazała mnie i Michaelowi uścisnąć

sobie dłonie jak jakimś pięciolatkiem. Dobra wiadomość jest taka, że Gab totalnie zmasakrowała mu kinol. Zara powiedziała, że jest gotowa nam odpuścić pod warunkiem, że nie będzie już kwasów między nami, ale to ja muszę zapłacić za rozwaloną komórkę Jake'a.

– Ile?

– Sto pięćdziesiąt – jęknął James. – To cała moja gwiazdkowa kasa plus piątek z kieszonkowego aż do końca marca.

– Ciężkie życie – westchnęła Laura, a potem zmieniła temat, żeby nieco rozchmurzyć brata. – Ostatni mecz był czadowy: instruktorzy szkoleniowi kontra czarne koszulki. Bruce strzelił trzy bramki z rzędu, więc na koniec pan Pike i panna Smoke złapali go i wrzucili do jeziora.

– Musiało być widowiskowo.

– A kucharze podali gorący poncz i babeczki z bakaliami, żeby wszyscy mogli się rozgrzać. Było w nim trochę rumu, więc dali nam tylko po szklance. A wiesz, co sobie myślałam?

– Co takiego? – zapytał James czujnie.

– Szykują się duże ćwiczenia terenowe w Ameryce. Skoro twoja misja skończyła się wcześniej, to może mógłbyś się jeszcze na nie załapać.

– Dlaczego miałbym dobrowolnie zgłaszać się na dodatkowe ćwiczenia?

Laura potrząsnęła głową.

– To będzie w ośrodku, który się nazywa Fort Reagan, w Stanach Zjednoczonych. Ale nie będą to zwyczajne ćwiczenia, tylko gra wojenna. Mamy odgrywać rebeliantów i walczyć z amerykańskimi oddziałami szkolącymi się w walce miejskiej. Mac będzie głównodowodzącym, ale najlepsze, że zanim się zacznie, jedziemy na miniwakacje do Vegas.

– W sumie brzmi całkiem nieźle – powiedział James.

– Jesteś pewna, że w programie nie ma tłuczenia kamieni ani górskich wędrówek z ciężkimi plecakami?

Laura zdecydowanie pokręciła głową.

– To nie są ćwiczenia CHERUBA. Akcję organizuje amerykańska armia, a czerwonymi będą brytyjskie siły specjalne. Chcą wciągnąć w to nas, żeby dać Amerykanom dodatkowe wyzwanie.

– W porządku, zastanowię się – pokiwał głową James.

– Po ostatnich miesiącach przydałoby ci się trochę rozrywki – uśmiechnęła się Laura. – Co prawda o miejsca stara się mnóstwo dzieciaków, ale ciebie na pewno wezmą.

– Słyszałem, że Bruce wspominał coś o tym wyjeździe – powiedział James. – Może pogadam z Makiem, kiedy następnym razem zawita do kampusu.

– Super – skinęła głową Laura, a w tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

– No proszę, kto się pokazał – powiedział James kwaśno, kiedy w drzwiach pojawiła się Dana z wielkim kartonowym pudłem w ramionach.

Dana bez słowa włączyła światło i wysypała zawartość pudła na małą kanapę przy drzwiach.

– James, chciałam być z tobą szczerą – powiedziała swobodnie. – Ale Michael chciał oswoić Gabriellę stopniowo. A potem zaczęła coś podejrzewać, przycisnęła go i musiał wszystkiemu zaprzeczyć.

Laura prychnęła pogardliwie.

– Dla mnie to wygląda tak, jakby koleś postanowił mieć i rybki, i akwarium.

Dana odpowiedziała takim samym prychnięciem.

– Jeśli nie zauważyłaś, Laura, twój brat też nie jest wzorem wierności.

– Zdradziłem cię tylko raz i od razu się wtedy przyznałem – powiedział James z goryczą, po czym zeskoczył z łóżka i pokuśtykał dookoła, żeby przejrzeć rzeczy z pudła.

Była to mieszanka płyt, ubrań, podręczników i rozmaitych innych przedmiotów, które zawędrowały do pokoju Dany w ciągu

trzynastu miesięcy ich związku.

Głos Dany stwardniał.

– Nie udawajmy, że łączyło nas coś wyjątkowego. Ja jestem dziwaczką, z którą chodziłeś tylko dlatego, że mam duże cycki. Ty jesteś facetem, który wie, że jest przystojny, i nie potrafi odmówić żadnej spódnicy.

James wciąż był rozgoryczony po tym, co się stało, i jakaś część jego duszy chciała zakończyć tę sprawę karczemną awanturą z ciskaniem przedmiotami i dzikimi wrzaskami. Z drugiej strony bolała go noga i plecy, a poza tym nie miał już na to siły.

– Bierz, co chcesz – powiedział i machnął ręką w stronę łazienki. – Większość twoich gratów jest tam.

Laura widziała, że James jest spięty, i podczas gdy Dana zbierała swoje rzeczy z łazienki – plus kilka łażków oraz *Władcę pierścieni*, którego James nigdy nie zdołał skończyć – stała przy nim z dłonią spoczywającą krzepiąco na jego okrytym szlafrokiem ramieniu.

– Miłego życia życzę – rzucił James sarkastycznie, kiedy Dana machnęła mu ręką i skierowała się do drzwi, niosąc pudło wypełnione teraz jej własnością.

– Nawzajem – odpowiedziała Dana i zamknęła za sobą drzwi.

– Szkoda, że to musiało się stać tuż przed Gwiazdką – powiedziała Laura za smutkiem.

– A tam, szkoda – prychnął James i uśmiechnął się. – Jutro z samego rana lecę do sklepu odzyskać swoje trzydzieści sześć dziewięćdziesiąt dziewięć za jej prezent.

17. PREZENTY

Była szósta pięćdziesiąt osiem pierwszego dnia świąt i Meryl Spencer stała przed aulą głównego budynku zgmiotana prawie na śmierć przez tłum rozhisteryzowanych czerwonych koszulek.

– Wszyscy cofnąć się, ale już! – ryknęła Meryl. – Jeszcze chwila tych przepychanek, a wszyscy wylądujecie w łózkach i będziecie leżeć do ósmej!

Kilkoro maluchów jęknęło, ale widać było, że dzieciaki dobrze wiedzą, że to tylko czcza groźba. Prawie wszyscy wstali w najwyższym pośpiechu i odbyli mroźną wycieczkę ze swoich pokojów w bloku juniorów ubrani w osobliwe kombinacje papuci i piżam przykrytych zimowymi kurtkami i gdzieś zwiędzone wełnianą czapką.

Choć dzieciaki wyglądały, jakby nie miały czasu się ubrać, większość nie spała już od godziny lub dłużej, a dwoje z nich już o czwartej rano przyłapano na próbie włamania do auli przez drzwi ewakuacyjne na zewnątrz.

– Czuję się przy nich jak zgred – uśmiechnął się Kyle. – Dziesięć lat temu sam tam sterczałem, czekając na swoje prezenty. Każda minuta zdawała się trwać godzinę.

James stał obok Kyle'a wraz z garstką innych nastolatków, którzy

zapewne bez oporów poleżeliby jeszcze ze dwie godzinki w łóżkach i otworzyli prezenty po śniadaniu, gdyby nie wygoniła ich z łóżek perspektywa oglądania oszalałych z emocji malców. W grupie byli dziesięcio- i jedenastoletni chłopcy, tacy jak Kevin Sumner i Jake Parker: na tyle młodzi, by się ekscytować, ale zgrywający twardzieli za wszelką cenę starający się nie okazywać podniecenia.

– Do tyuuu! – wrzasnęła Meryl, a jedna z opiekunek z bloku juniorów wyłowiła z tłumu histeryzującego chłopca.

– Ani mi się waż ją uderzyć! – powiedziała opiekunka, ściskając chłopca za przegub. – A teraz będziesz trzymać mnie za rękę i za karę wpuszczę cię ostatniego.

Tłum dzieciaków wybuchł radosną wrzawą, kiedy w hallu pojawiła się Zara Asker w towarzystwie kilku osób z kadry. Plastikowy zegar na ścianie nad głową Meryl przeskoczył na szóstą pięćdziesiąt dziewięć i wszyscy zaczęli głośno odliczać sekundy.

– Pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt siedem...

– Aaaa! – wrzasnęła dziewczynka o imieniu Coral. – Nie wytrzymam dłużej, chyba zaraz się posikam!

Siedmioletnia siostra Kevina Megan złapała brata za ramię i użyła go jako tarana, torując sobie drogę na czoło tłumu.

– Rany boskie, Meg! – jęczał Kevin, okropnie zażenowany w otoczeniu maluchów. – Czy tych kilka sekund naprawdę robi jakąś różnicę?

– Szesnaście, piętnaście, czternaście...

Przy dziesięciu Meryl odwróciła się i włożyła klucz do zamka w dużych, podwójnych drzwiach auli. Gdy chór wrzasnął „Zero”, przekręciła klucz i otworzyła oba skrzydła. Meryl zdobyła kiedyś medal olimpijski w sprincie, ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek poruszała się tak szybko jak siedemdziesiąt czerwonych koszulek szturmujących kampusową aulę.

Prezenty poukładano rzędami na środku drewnianej podłogi i posegregowano alfabetycznie według nazwisk. Podczas gdy

dzieciaki w wieku od sześciu do dziewięciu lat ruszyły do przekopywania swoich stert, ignorując skarpety i małe paczki, by dotrzeć od razu do największych pakunków, najmłodszym, którzy nie opanowali jeszcze alfabetu, pomagała para opiekunów o błędnym wzroku, od czwartej rano pracujących przy układaniu prezentów.

Zanim James i spółka przedostali się do sali, w jej wnętrzu rozpętało się szaleństwo przypominające scenę karmienia piranii z czerwonymi koszulkami w roli ryb i fruującymi strzępkami papieru zamiast skrawków mięsa i rozszarpanych trzewi.

Wśród papierowych szelestów i okazjonalnych popiskiwań elektronicznych zabawek rozbrzmiewały okrzyki w stylu: „Jeju, dostałem miecz świetlny/wyścigówkę/Barbie”, jak również żalosne wycie malca przypadkowo kopniętego w twarz przez ośmiolatkę atakującą stos prezentów tuż obok.

James i pozostali wykwalifikowani agenci znaleźli swoje prezenty na stołach ustawionych wzdłuż jednej ze ścian. Były mniejsze od zabawek maluchów, ale na każde dziecko w kampusie wydawano taką samą kwotę. Jedyna różnica polegała na liczbie prezentów otrzymanych od przyjaciół.

Jamesowi, z nazwiskiem na A, przypadła druga sarta prezentów, tuż obok stosu Laury.

– Zdaje się, że wszyscy dostaliśmy nowe laptopy do naszych pokojów – uśmiechnęła się Laura, podczas gdy James odpakowywał wysoki cylindryczny prezent od Meryl, który niepokojąco przypominał butelkę drogiego alkoholu, ale okazał się wymyślną chromowaną szczotką do sedesu w komplecie z opakowaniem zapakowanych kostek toaletowych.

– Cha, cha! – zaśmiała się Laura. – Musiała zobaczyć, w jakim stanie był twój stary sedes!

– To nie był brud – zaprotestował James, błyskając zębami w uśmiechu. – To moja słynna kolekcja kleksów.

Większość czerwonych koszulek otworzyła już swoje główne prezenty i dzieciaki zaczęły strzelać z tub konfetti wyciągniętych ze skarpet, jednocześnie opychając się tabliczkami Dairy Milk. James wyciągnął ze swojej skarpety prążkowane pudełko z wodą po goleniu Paula Smitha, po czym zanurzył dłoń głębiej, by wygrzebać opakowanie strzelającego konfetti w kształcie małej butelki szampana.

Laura oglądała właśnie parę wegańskich butów do biegania New Balance, kiedy James odpalił konfetti tuż przy jej uchu.

– Palant! – krzyknęła Laura, dźgając brata w żebra, podczas gdy żółte wstążki spływały jej na głowę. – Prawie rozwaliłeś mi bębenek!

– Wesółych świąt – powiedział James, biorąc Laurę w ramiona. – Po co mi dziewczyna, skoro mam taką fantastyczną siostrę.

– Skoro tak mówisz – zachichotała Laura. – Ale łapy przy sobie, bo popamiętasz!

– James! O, stary! – ucieszył się Bruce, bijąc w powietrze pięścią uzbrojoną w ogromny chromowany kastet najeżony obscenicznym złowieszczym wachlarzem iglic, kolców i ostrzy. – Najlepszy prezent, jaki dostałem. Można tym zabić człowieka na tyle różnych sposobów...

– Pomyślałem o tobie, jak tylko zobaczyłem tę podejrzaną aukcję na eBayu – powiedział James z uśmiechem, wyciągając ze skarpety kolejne upominki, w tym szykowne jedwabne bokserki i paczkę delikatesowych żelków.

W przeciwieństwie do najmłodszych zainteresowanych głównie podarkami starsze dzieci traktowały otwieranie prezentów raczej jako wydarzenie towarzyskie. Nacieszywszy się wstępnie swoimi prezentami, James poszedł sprawdzić, co nowego u Kerry.

– Wesółych świąt – powiedział.

– Nawzajem – odpowiedziała Kerry i uściskała go.

Nie zdążyła się wykąpać, bo było bardzo wcześnie. Jej szyja pachniała świeżym potem i Jamesowi aż pociemniało w oczach od

gwałtownego przyływu zazdrości o Bruce'a.

– Biedaczysko – westchnęła Kerry na widok przechodzącego obok Kyle'a. – Jest już za stary na oficjalne prezenty.

Przytulając Laurę i Kerry, James zapoczątkował trend już po chwili wszyscy padali sobie w objęcia. Wyściskał nawet osoby, których nie lubił, takie jak Bethany.

James wciąż nie otworzył wszystkich swoich prezentów, ale nagle zauważył Maca pomagającego maluchom w pakowaniu ich stert do ogromnych foliowych worków, by mogły zawlec je do swoich pokoiów.

– Mac! – uśmiechnął się. – Od kilku dni wszędzie cię szukałem.

– Naprawdę? – Mac odwzajemnił uśmiech, przykucając, by zgarnąć elementy z zestawu K'nex jakiegoś sześciolatka z powrotem do pudełka. – Fahim i ja byliśmy u mojego syna w Londynie. Wczoraj przyjechałem do kampusu, żeby podgonić trochę papierkową robotę, i pomyślałem, że zostanę na noc i obejrzę sobie gwiazdkowy chaos.

– Co tam u Fahima? – zapytał James.

– Wszystko dobrze. – Mac skinął głową. – Jest w tym samym wieku co moje najmłodsze wnuki i zdaje się, że nieźle się dogadują.

– A u ciebie?

– Żyłem z żoną przez dłuuuugi czas – powiedział Mac, nieco smutniejąc. – Bez niej już nigdy nie będzie tak samo, ale mojemu synowi jest jeszcze ciężiej. Stracił matkę, żonę i dwoje dzieci.

Macowi zaszklily się oczy, ale zniecierpliwiony mały chłopiec stanął przed nim z rękami buńczucznie wspartymi na biodrach.

– Mój K'nex! – upomniał się malec.

– No już, przepraszam – uśmiechnął się Mac, zagarniając do pudełka ostatnie części. – Jesteś pewien, że dasz radę zataszczyć to wszystko do siebie za jednym zamachem?

– No pewnie – powiedział chłopiec. – Wrzucę to na wózek elektryczny.

– Mam pewną sprawę – powiedział James, kiedy junior powlókł swoje prezenty do wyjścia. – Chciałem zapytać, czy zostały jakieś wolne miejsca na te ćwiczenia w Ameryce.

– Ach, to – powiedział Mac. – Zapowiada się niezły ubaw, ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Laura powiedziała, że to ty jesteś szefem.

– Pomagałem trochę przy zapisach – przyznał Mac – ale tylko dlatego, że znam większość agentów lepiej niż pan Kazakow. Wezmę udział w ćwiczeniach, ale to on otrzymał zaproszenie do red teamingu.

– Red czego? – zdumiał się James.

Mac przewrócił oczami.

– Laura ma wziąć udział w tych ćwiczeniach, ale albo nie przeczytała jeszcze wprowadzenia, albo nic ci nie powiedziała. Amerykanie prowadzą gry wojenne w różnych ośrodkach na całym świecie. Fort Reagan jest najnowszym z nich. Zaprojektowano go do szkolenia żołnierzy w nowoczesnej otwartej walce miejskiej, takiej jak podczas wojen w Iraku czy Somalii. Kazakow ma piekielne doświadczenie – służył w radzieckiej armii, walczył w Afganistanie, a potem w NATO szkolił siły specjalne i pełnił funkcję doradcy podczas operacji taktycznych na Bałkanach i w Bagdadzie. Jankesi zaprosili go do poprowadzenia jednej strony konfliktu podczas jednej z ich najbardziej wyrafinowanych gier wojennych w historii. Ponieważ wciąż są bardzo przywiązani do zimnowojennej nomenklatury, a podczas ćwiczeń przeciwników zawsze nazywano czerwonymi, prowadzenie działań zespołu czerwonych nazywamy...

– Red teamingiem – skinął głową James. – Jasne. To znaczy, że muszę pogadać z Kazakowem, tak?

– Tak – powiedział Mac. – Myślę, że masz duże szanse, bo Kazakow rozglądał się za bardziej doświadczonymi agentami, ale Zara nie chciała wypuścić zbyt wielu na wypadek, gdyby okazali się

potrzebni tutaj.

James rozejrzał się po sali.

– Nie widziałem dziś Kazakowa.

Mac roześmiał się głośno.

– Ten człowiek ma serce z granitu! Wyobrażasz sobie naszego drogiego pana Kazakowa, jak wstaje bladym świtem, żeby przecierając oczy, rozczulać się nad maluchami otwierającymi prezenty?

– Raczej nie – odpowiedział z uśmiechem James.

– Wrócił w zeszłym tygodniu, kiedy skończyło się kolejne szkolenie podstawowe – powiedział Mac. – Jeżeli jesteś zainteresowany udziałem w ćwiczeniach, to sugeruję, żebyś niezwłocznie złożył mu wizytę na górze, w kwaterach kadry.

18. KAZAKOW

James służył w CHERUBIE od ponad czterech lat, ale dopiero drugi raz zdarzyło mu się zawędrować do kwater kadry na piątym piętrze głównego budynku. Ściany korytarza wołały o świeżą farbę, awykładzina była mocno wytarta, ale mieszkańcy, przeważnie młodzi single, bardzo ambitnie podeszli do kwestii świątecznych dekoracji. Przestrzeń wokół każdych drzwi zdobiły łańcuchy choinkowe, migoczące lampki, bombki i paskudne plastikowe bałwanki.

Wyjątkiem był pokój numer osiemnaście na samym końcu korytarza, gdzie ściany były nagie, a zza zamkniętych drzwi huczała muzyka z Jeziora łabędziego.

– Panie Kazakow! – krzyknął James, łomocząc pięścią w drzwi. – Jest pan tam?!

Uświadomił sobie, że Kazakow musi być u siebie, chyba że ma w zwyczaju pozostawianie muzyki grającej na cały regulator. Nacisnął klamkę i zajrzał do przestronnego pomieszczenia o białych ścianach, z balkonem i stylową drewnianą podłogą.

– Panie Kazakow! – krzyknął jeszcze raz James, wstępując do niewielkiego przedpokoju. – Sir?

Kwatery kadry były większe od pokojów agentów na wyższych

piętrach, miały oddzielną sypialnię, pokój dzienny oraz własną kompaktową kuchnię.

James zajrzał do pokoju dziennego i ujrzał Kazakowa rozpartego na fotelu wypoczynkowym. Dwie kosztowne kolumny podłogowe buchały najświetniejszym baletem Czajkowskiego, podczas gdy Kazakow dyrygował wyimaginowaną orkiestrą za pomocą flamastra Berol.

– Halo! – krzyknął James, a nie doczekawszy się reakcji, podszedł do instruktora i lekko klepnął go w ramię.

Kazakow obejrzał się zaskoczony, a potem podciągnął nogi, wykonał spektakularny przewrót i w jakiś sposób zdołał złapać Jamesa za szyję. Nim James zdążył zareagować, instruktor podcięciem zbił go z nóg i przyszpilił do podłogi, celując między oczy czubkiem rosyjskiego noża wojskowego, o sękatej rękojeści i klindze zużytej po dwóch dekadach regularnego ostrzenia.

– Aaa! – jęknął James. – Puszczaj!

– Tym nożem zabiłem trzech Afgańczyków i dźgnąłem wielkiego serbskiego bandziora – zawarczał Kazakow, podczas gdy *Jeziro łabędzie* wspinało się ku grzmiącej kulminacji. – Nie lubię, kiedy ludzie się do mnie podkradają.

– Nie chciałem pana przestraszyć! – wykrzyczał nerwowo James. – Pukałem, darłem się, ale ta muzyka jest tak głośna, że nic nie było słychać.

Kazakow stoczył się z Jamesa, wstał i wetknął nóż z powrotem do skórzanej pochwy przy pasku. Zwalisty Ukrainiec poprawił na sobie bojówki i kamizelkę, a potem sięgnął po pilota i wyłączył muzykę.

– Wesółych świąt, panie Adams – zaśmiał się drwiąco. – Powinieneś popracować nad szybkością. Masz refleks starej babci.

James chrząknął ponuro i wstał, podciągając się na kuchennym blacie. Kazakow był co najmniej dziesiątym instruktorem, który czynił uwagi na temat jego słabego refleksu, ale nawet specjalny program treningowy opracowany przez pannę Takadę niewiele

pomógł w tej kwestii.

– Mój brat był powolny – powiedział Kazakow, wskazując półkę z fotografiami. – To go zabiło.

James spojrział na Kazakowa w czerni i bieli. Miał na sobie mundur radzieckiej armii i stał obok tak samo ubranego i podobnie wyglądającego żołnierza. Żaden nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Talibowie zestrzelili nasz śmigłowiec zaraz po starcie – wyjaśnił Kazakow. – Ja wyskoczyłem, ale mój brat spóźnił się o pół sekundy i spalił się, kiedy wybuchły zbiorniki.

– Przykro mi – powiedział nieco zakłopotany James, a jego wzrok przykuła sąsiednia fotografia.

Zdjęcie było podretuszowane w jasnych kolorach, zgodnie z modą obowiązującą niegdyś w Związku Radzieckim, i przedstawiało nieco starszego Kazakowa w mundurze galowym z rzędem medali, szczupłą kobietę w tutu i baletkach oraz chłopca w wieku trzech lub czterech lat w robiącym nieco dziwne wrażenie marynarskim ubranku.

– To była twoja żona? – zachłysnął się James. – Jest... olśniewająca!

Kazakow zmarszczył brwi, po czym sięgnął w górę i przewrócił zdjęcie na półkę, by James nie mógł go dłużej oglądać.

– Małżeństwo to trudna rzecz dla żołnierza – powiedział z goryczą. – Zona wyszła drugi raz za mąż, rodzice nie żyją, brat nie żyje. Mój syn ma dwadzieścia cztery lata i z tego, co wiem, żyje, ale nie mam pojęcia, gdzie jest ani nawet jak wygląda.

Kazakow pogrążył się w zadumie, podczas gdy James bezskutecznie szukał w głowie odpowiednich słów.

– Dobry z ciebie chłopak, James – powiedział Ukrainiec, przerywając wreszcie niezręczną ciszę. – Zgoda, możesz lecieć z nami do Ameryki.

James uśmiechnął się.

– A skąd pan wie, że ja akurat w tej sprawie?

– Młody mężczyzna jest jak kot. – Kazakow uśmiechnął się melancholijnie. – Pragnie jedzenia, seksu i rozrywki. Jedzenie w kantynie na dole jest lepsze niż moje tutaj. Mam ogromną nadzieję, że nie przyszedłeś do mnie po seks, a jedyną rozrywką, jaką mam do zaoferowania, jest miejsce w moim zespole czerwonych. To jak, zgadłem?

– Oczywiście, że tak – zaśmiał się James.

– Z tymi blond włosami i niebieskimi oczami naprawdę przypominasz mi brata – powiedział Kazakow niemal czule. – Chcesz zobaczyć, dokąd jedziemy?

Tak naprawdę James wolałby wrócić do kolegów, ale zablokowała go oskarżenie o interesowność, a poza tym wiedział, że nie zaszkodzi przypodobać się trochę instruktorowi.

– Tutaj masz cały ośrodek – powiedział Kazakow, prowadząc Jamesa do kuchennego blatu pokrytego gryzmołami, żółtymi karteczkami i różnymi papierami. Największym był kolaż z fotografii satelitarnych składający się z tuzina wydruków z drukarki atramentowej posklejanych przezroczystym przyklepcem.

Jamesowi opadła szczęka. Poligon do walk ulicznych SAS-u znajdujący się kilka kilometrów od kampusu robił na nim duże wrażenie, ale na mapie Fort Reagan zajmującej metr kwadratowy powierzchni miałyby rozmiary znaczka pocztowego.

– Ćwierć miliona akrów pustyni w Nevadzie – oznajmił uroczyście Kazakow.

James powiódł wzrokiem po konturach tuzinów bloków mieszkalnych i ponad tysiąca domów, sklepów i placów tworzących skupisko obrzeżone złotym piaskiem pustyni. Niektóre obszary rozbudowano wokół szerokich alej jak na amerykańskich przedmieściach, na innych królowały ciasne uliczki i domy w bliskowschodnim stylu, wznoszone wokół dziedzińców, dalej szeregi prowizorycznych szop udawały miasteczko slumsów z Trzeciego Świata.

W jednym z rogów Fort Reagan znajdowało się lotnisko oraz baza wojskowa z siedzibą dowództwa, tuzinami namiotów, blaszanymi budynkami i rozległym placem parkingowym wypełnionym wszystkim – od hummerów po czołgi Abrams.

James zwrócił uwagę na sprzęt budowlany i mnóstwo świeżo posadzonych drzew.

– Wygląda na świeżo zbudowany – zauważył.

Kazakow skinął głową.

– Otworzyli go w zeszłym roku. Kosztował sześć miliardów trzysta milionów dolarów. To drugi co do wielkości wojskowy ośrodek treningowy na świecie – poligon, jaki ma dać amerykańskim żołnierzom przedsmak problemów i zawiłości walki miejskiej. W ćwiczeniach bierze udział do dwóch tysięcy żołnierzy i około dziesięciu tysięcy cywilów, przeważnie studentów i bezrobotnych werbowanych za osiemdziesiąt dolarów dziennie i zwożonych do ośrodka autobusami. Ćwiczenia trwają od dziesięciu dni do trzech tygodni i kosztują od stu milionów dolarów wzwyż.

– A my będziemy odgrywać tych złych?

– Właśnie – uśmiechnął się Ukrainiec. – Przeprowadzono już kilka serii ćwiczeń z udziałem zespołów amerykańskich oficerów i sił specjalnych w roli buntowników, ale tak naprawdę potrzeba im ludzi spoza amerykańskiego wojska; ludzi, którzy podczas ćwiczeń potrafiliby rzucić wyzwanie ich standardowym taktykom. Brytyjczycy po raz pierwszy wysyłają żołnierzy, żeby powalczyli z Amerykanami w Fort Reagan, i kiedy wypłynęła kwestia dowodzenia czerwonymi, podano moją kandydaturę.

– Czy to jest przypadkiem pole golfowe? – zdumiał się James i postukał palcem w najbardziej zielony fragment mapy satelitarnej.

– A jakże – wyszczerzył zęby Kazakow. – Nie znajdziesz ich zbyt wiele pod Bagdadem czy w Mogadiszu, ale panowie generałowie potrzebują od czasu do czasu zaliczyć tych osiemnaście dołków.

James wyczuł szyderstwo w głosie instruktora i wybuchnął

śmiechem.

– Nie przepada pan za Amerykanami, prawda?

– To tępe i zarozumiałe dranie! – nie wytrzymał Kazakow. – Wyszkolili taliba, który zabił mi brata, i dostarczyli mu pocisk, którym zestrzelił nasz śmigłowiec. Uratowałem się ja i drugi pilot. Szesnastu innych, w tym cały mój oddział, usmażyło się na skwarki.

James zmarszczył brwi zdezorientowany.

– Myślałem, że talibowie to ci kolesie z brodami, których Amerykanie zwalczają.

– Teraz tak – przyznał instruktor. – Ale w latach osiemdziesiątych CIA szkoliła talibów i dostarczała im broń do walki ze Związkiem Radzieckim. To samo z Saddamem Husajnem – to Ameryka zbroiła go, kiedy napadł na Iran. To amerykańska technika posłużyła do wyprodukowania broni chemicznej, którą gazował Kurdów.

James uśmiechnął się niepewnie.

– Politycy są jak pięciolatki. Wie pan, najpierw są najlepszymi kumplami na świecie, a pięć minut później tarzają się w piasku, próbując wydłubać sobie oczy.

– Dobre porównanie – powiedział Kazakow. – Wymyśliłem już strategię. Dziesięcioro agentów CHERUBA, trzydzieścioro oficerów sił specjalnych i stu sympatyków wśród ludności cywilnej. Zamierzam powalić tych amerykańskich generałków na kolana. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będą mnie błagać o litość.

Zaciekłość Kazakowa zaskoczyła Jamesa.

– To tylko zwykłe ćwiczenia – zauważył. – No i Amerykanie są naszymi sojusznikami.

– Chrzanić to! – wypalił Kazakow, waląc pięścią w blat. – Nauczę tych nadętych palantów z ich grami wojennymi i akademiami wojskowymi, jak się skrada kanałami i toczy porządne bitwy na ulicach.

James był nieco zaniepokojony postawą przełożonego. Nie wyglądało to na łatwe i przyjemne ćwiczenia poprzedzone

wakacjami w Vegas, na co naciągnęła go Laura.

– To kiedy wylatujemy? – zapytał James.

– Pierwszego stycznia – odrzekł Kazakow. – Później wyślę wszystkim plan podróży.

– No dobra – powiedział James, zerkając na zegarek i cofając się nieznacznie ku drzwiom. – Lecę do swoich wrzucić jakieś śniadanie. Życzę wesołych świąt, no i pewnie zobaczymy się na dole na świątecznym obiedzie.

– Może – powiedział Kazakow markotnie. – Całe te święta to nie dla mnie, no i mam jeszcze dużo do zaplanowania.

19.LUKSUS

James, siedzący w przednim rzędzie dwudziestosześcioletniego autokaru, ziewnął, kiedy mijali bramę wojskowej bazy lotniczej dziesięć kilometrów od kampusu. W sylwestra bawił się do wpół do trzeciej rano i teraz był półżywy, bo opróżnił kilka piw, a potem musiał wstać wcześniej, żeby zrobić i wysuszyć pranie, inaczej nie miałby wystarczająco dużo ubrań na dwutygodniowy wyjazd.

Pneumatyczne drzwi autokaru otworzyły się z sykiem i do środka wspiął się oficer RAF-u.

– Dokumenty podróżne, poproszę.

Członkowie kadry: Mac, Meryl i Kazakow, oraz agenci: James, Laura, Rat, Kevin, Jake, Bruce, Andy, Kerry i Gabriella, wyciągnęli ręce z paszportami. Bethany zaczęła wpadać w panikę, ale po chwili znalazła swój w słabo widocznej kieszonce z boku plecaka.

– Tu mam zezwolenia na wywóz broni, materiałów wybuchowych i leków – powiedział Mac, podsuwając oficerowi plik dokumentów.

– Ostatnio nie widuję tu pana zbyt często – zagaił oficer, niezdarnie biorąc się do stemplowania papierów, za jedyne oparcie mając gąbkowy zagłówek fotela.

– Mało wyjeżdżam – uśmiechnął się Mac. – Jestem jakby na

półemeryturze.

– Możecie jechać – powiedział kontroler, wręczając papiery Macowi, a potem cofnął się do szoferki, by wyjaśnić panu Pike'owi – który nie wybierał się na ćwiczenia, ale zgodził się poprowadzić autokar – którymi drogami kołowania ma pojechać, by dotrzeć do ich samolotu.

Duże grupy cherubinów często wożono samolotami RAF-u oferującymi znacznie bardziej urozmaicone doświadczenia niż przewidywalne rzędy foteli w maszynach komercyjnych. Nigdy nie wiadomo było, co wojsko podstawia na pas: nieduży samolot transportowy z niehermetyzowaną kabiną czy może jeden ze zdezelowanych pasażerskich tristarów, którymi wożono żołnierzy do baz na bliskim Wschodzie.

Warunki były zwykle spartańskie, z twardymi jak kamień siedzeniami, samopodgrzewającymi się racjami wojskowymi i bez żadnej rozrywki, ale tym razem James uśmiechnął się szeroko, kiedy wyszedłszy w rześkie wczesnopołudniowe słońce, ujrzał samolot w charakterystycznej niebiesko-biało-czerwonej liberii Royal Flight, dywizjonu RAF-u specjalizującego się w przewożeniu rodziny królewskiej, głów państwa i innych ważnych osobistości.

Stewardzi w białych rękawiczkach ustawili się w szeregu na płycie lotniska, by powitać wysiadających z autokaru. Przy huku silników Eurofightera startującego z innego pasa pół kilometra dalej personel RAF-u jął pospiesznie przenosić do samolotu bagaże i pakunki ze specjalnym sprzętem Kazakowa.

– Ja cię sunę! – pisnął z zachwytem James, gdy dotarłszy do szczytu schodków, zajrzał do wnętrza samolotu.

Była to luksusowa wersja Airbusa wykorzystywanego przez zwyczajne linie lotnicze, w której zamiast stu pięćdziesięciu ciasnych foteli zamontowano dwa tuziny olbrzymich skórzanych foteli, po rozłożeniu tworzących płaskie łóżka.

W środkowej części kabiny mieściła się sala konferencyjna z

fotelami z czerwonej skóry i dywanem w formie flagi brytyjskiej, który był zuchwały albo odrażający w zależności od gustu patrzącego. Tylna część samolotu mieściła prywatny apartament zawierający niewielki gabinet, łazienkę z prysznicem oraz ogromne podwójne łóżko. Jake wparował do środka, żeby zaklepać sobie łóżko, ale wnet został wyproszony przez szefa załogi kabinowej, który w kilku opryskliwych słowach dał mu do zrozumienia, że do sypialni nie ma wstępu nikt, do kogo otoczenie nie zwraca się per „Wasza wysokość” bądź „Panie prezydencie”.

– Samolot wygląda na całkiem nowy – zauważył James, sadowiając się na poskrzypującym skórzanym fotelu.

Natychmiast podano mu półmisek świeżo pokrojonych owoców, gorący ręcznik oraz gazetę, która wyglądała, jakby ją wyprasowano.

– Bo jest nowy – odpowiedziała stewardesa. – Zostanie oficjalnie przyjęty do służby dopiero przed podróżą księcia Walii do Australii pod koniec miesiąca, ale musimy odbyć kilka lotów próbnych, żeby upewnić się, że wszystko działa, jak należy.

– Czyli dostajemy lot z królewską obsługą – uśmiechnął się James i nacisnął guzik powodujący rozłożenie fotela.

– Fotel prosto, dopóki nie znajdziemy się w powietrzu – ostrzegła stewardesa. – Proszę rzucić okiem na menu. Podamy lekki lunch, kiedy tylko znajdziemy się na wysokości przelotowej.

Jake pociągnął szefa pokładu za klapę.

– Dawaj mi tu kawioru z białugi i butelkę najlepszego wina, jakie zna ludzkość! – zawołał, po czym zmierzył mężczyznę surowym spojrzeniem i zaklaskał w dłonie. – Już, już!

Obsługa nie była zachwycona, ale James uznał żarcik za całkiem zabawny. Spojrzał na drugą stronę kabiny, gdzie siedziała Meryl Spencer, i ze zdumieniem spostrzegł, że samolot kołuje już w stronę pasa startowego.

– Nie to co trzy godziny w poczekalni na Heathrow, prawda? – skomentowała wylot Meryl.

*

Lot do Las Vegas miał potrwać dziewięć i pół godziny. W ciągu trzech pierwszych godzin James i inni agenci zawędrowali do sali konferencyjnej w środkowej części samolotu. Meryl z widoczną wprawą rozdawała karty i uczyła cherubinów grać w blackjacka.

– Jakim cudem jesteś w tym tak dobra? – zapytała Laura, patrząc, jak Meryl strzela kartami po wypolerowanym blacie stołu konferencyjnego.

– Byłam honorową gospodynią kasyna w Las Vegas w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym, przez hmm... jakieś trzy miesiące.

– Gospodyni kasyna? A cóż to za zwierzę? – zapytał Rat.

– Wszystkie duże kasyna rywalizują ze sobą, próbując zwabić bogatych klientów – wyjaśniła Meryl. – Kiedy wycofałam się ze sportu, zaproponowano mi pół miliona dolarów za przepracowanie sześciu miesięcy w jednym ze znanych kasyn w Vegas. Musiałam dotrzymać towarzystwa grubym rybom, od czasu do czasu rozdać parę kart przy stołach, prowadzić firmowe imprezy i co chwila fotografować się z panem i panią Nikt z Arkansas. Przede wszystkim jednak polegało to na spędzaniu niezliczonych godzin na łożeniu po kasynie w kabaretkach i kretyńskiej mikrospódniczce zupełnie niepasującej do prawie dwumetrowej, osiemdziesięciodziewięć-kilogramowej jamajskiej sprinterki.

– Pół miliona baksów za sześć miesięcy – gwizdnął James. – Za tyle sam chodziłbym w kabaretkach.

– Myślałem, że i tak je nosisz – wyszczerzył zęby Rat.

– Nie cierpiałam tej roboty – podjęła Meryl. – To była najgłupsza decyzja, jaką podjęłam. Na szczęście byłam tak beznadziejna, że spłacili mój kontrakt, zanim sama zrezygnowałam.

Cherubini roześmiali się, a Meryl zaczęła nowe rozdanie, rzucając każdemu po dwie karty.

– Dobieram – powiedział Jake.

Laura jęknęła.

– Jake, krupier pokazał szóstkę, a ty masz siedemnaście. Przekroczysz dwadzieścia jeden i umoczysz.

– Dobieram – powtórzył twardo Jake.

Meryl położyła przed nim czwórkę, co dało mu dwadzieścia jeden punktów, maksymalną liczbę, której krupier nie mógł już przebić.

– Oczko – wyszczerzył zęby Jake i pokazał Laurze język. – Mówiłem ci.

– Mimo wszystko była to głupia decyzja – wtrącił Rat. – Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa miałeś większą szansę na kartę wyższą od czwórki, a wtedy byłaby fura.

– Mówisz tak, bo Laura jest twoją dziewczyną – skrzywił się Jake.

– Mówię tak, bo tak mówi rachunek prawdopodobieństwa – tłumaczył cierpliwie Rat. – Raz dopisało ci szczęście, ale na dłuższą metę krupier skopałby ci tyłek i straciłbyś wszystkie pieniądze.

– Jak jesteś taki mądry, to czemu mam więcej drobniaków niż ty? – krzyknął Jake.

Andy roześmiał się.

– Bo jesteś małym chrzanionym farciarzem.

Mac, który próbował się zdrzemnąć w fotelu tuż przy pomieszczeniu konferencyjnym, usiadł gwałtownie.

– Hej! – zawołał. – Andy, nie wyrażaj się. A reszta, bardzo proszę, wyświadczyć nam przysługę i kłóćcie się trochę ciszej.

– Przepraszam, Mac – powiedziała Meryl.

Wróciła do rozdawania kart, a kiedy wszyscy mieli już fury bądź spasowali, odkryła własną drugą kartę i dobrała jeszcze jedną.

– Krupier pasuje przy dziewiętnastu – powiedziała z uśmiechem, zgarniając drobniaki od wszystkich oprócz Jake'a i Bethany, po czym, rozpoczynając kolejne rozdanie, podjęła opowiadanie o grze.

– Interesujące w blackjacku jest to, że przewaga kasyna jest bardzo niewielka. Gracz stosujący tak zwaną strategię podstawową ma większą szansę na wygraną niż w jakiegokolwiek innej grze w kasy-

nie. Doświadczeni gracze wykorzystują technikę zwaną liczeniem kart, która odbiera kasynu przewagę.

– Naucz nas – poprosił Andy z błyskiem w oku.

Mac zrezygnował z prób zaśnieżenia i usiadł.

– Możecie sobie ćwiczyć do woli, ale nie wolno wam grać w Vegas przed ukończeniem dwudziestu jeden lat – zauważył.

– A nawet gdyby, to nie można tak po prostu wejść do kasyna z ulicy i zacząć liczyć karty – uśmiechnęła się Meryl. – Zasada jest całkiem prosta, ale trzeba mieć dobrą głowę do liczb, żeby naprawdę opanować tę metodę. Liczy się punkty za karty, które rozdał krupier. Za karty od dwójki do piątki dodaje się po jednym punkcie, a za karty od dziesiątki do asa odejmuje po jednym punkcie. Im wyższa uzyskana wartość, tym większa statystyczna przewaga gracza nad kasynem. Innymi słowy, gracz wie, kiedy ma większą, a kiedy mniejszą szansę na pokonanie krupiera.

– To chyba nie jest zbyt trudne – powiedział Andy. – Hej, James, podobno jesteś matematycznym geniuszem.

James był zaintrygowany.

– Wystarczy, że będę zliczał rozdane karty, tak? A w talii są tylko pięćdziesiąt dwie.

Meryl uśmiechnęła się.

– To byłoby piękne, James, ale żeby utrudnić liczenie, kasyna używają do ośmiu talii na każdym stole, a zawodowy krupier blackjacka porusza się znacznie szybciej niż ja. Jeśli ktokolwiek zaczyna dużo wygrywać, tasują karty albo podmieniają talie, awtedy liczenie trzeba zaczynać od początku. Poza tym, jeżeli szefowie kasyna nabiorą podejrzeń, że liczysz karty, zrobią ci rewizję osobistą, sfotografują i wyrzucą na ulicę. Potem roześlą zdjęcia po wszystkich kasynach w mieście i w życiu nie zbliżysz się już do stołu, chyba że w dobrym przebraniu.

– Trzeba zatem liczyć karty w głowie i nie pokazywać, że się to robi – powiedziała Laura z uśmiechem. – To jak, czy twój wielki

mózg podoła takiemu wyzwaniu, James?

– Nie będę wiedział, dopóki nie spróbuję – odpowiedział James. – Ale najpierw muszę zdobyć trochę więcej danych i dowiedzieć się, jak to wszystko działa. Mac, czy na twoim laptopie działa internet?

– To zależy – wyszczerzył zęby Mac. – Nie ma nic za darmo.

– Zamienię się z tobą na miejsca – kusił James. – Siedzę na samym przodzie, z dala od tego jazgotu, i można zaglądać tej fajnej stewardesie pod mundurek, kiedy pochyla się w przejściu.

Mac zaśmiał się, a Kerry pstryknęła Jamesa w ucho i nazwała seksistowską świnią.

– Umowa stoi – powiedział Mac, podnosząc się z miejsca. – Tylko obiecaj, że nie będziesz dobierał się do mojej zabezpieczonej poczty. Wydział techniczny MI5 skonfigurował ją tak, że jak trzy razy wpisze się niewłaściwe hasło, wywala mi cały twardy dysk.

Cherubini przy stole parsknęli śmiechem.

– To nie jest zabawne – powiedział Mac półżartem. – Już dwa razy ukatrupiłem to dziadostwo, a potem trzeba zawozić cały kram do MI5 w Londynie na reinstalację oprogramowania. Za drugim razem jakiś dwudziestokilkuletni mądrala miał tyle tupetu, żeby napisać raport dla ministra wywiadu, w którym sugerował, że z powodu mojego wieku mogę stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

– Wiesz, w sumie to trochę się posunąłeś w latach – niezbyt taktownie zauważył Jake.

– Może i tak, Jake – odparł Mac, uśmiechając się i grożąc chłopcu palcem. – Ale wciąż mam wystarczająco dużo uprawnień, żeby na przykład pomanipulować przy raporcie z twojego następnego sprawdzianu kondycyjnego. Dlatego uważaj na słowa, chyba że masz ochotę na jeden z czterotygodniowych intensywnych programów treningowych pana Kazakowa.

– Och, proszę – ożywiła się Laura. – Zrób to Jake'owi, abędziesz moim najlepszym przyjacielem na zawsze!

– Wypchaj się – burknął Jake. – I przepraszam, Mac, nie chciałem,

żeby to tak zabrzmiało.

Wszyscy zaśmiali się z jego nerwowych przeprosin.

– Teraz sika po nogach – powiedział Rat.

James spojrzał na Meryl.

– Dobra, pani krupierko – powiedział. – Wymieniam swoje żetony i idę się uczyć, jak oszukać Las Vegas.

– No weź – jęknął Jake. – Graj, co się tak ekscytujesz? Przecież i tak nikt z nas nie zagra na pieniądze w prawdziwym kasynie.

– Ta gra staje się nudna – James wzruszył ramionami – a ja jestem ciekawy matematyki w tym pomysle z liczeniem kart. Kto wie, może czeka mnie wspaniała przyszłość rekina kasyn.

– Lubisz tę swoją matematykę, prawda, James? – powiedziała Laura z krzywym uśmiechem, po czym zakryła usta dłonią. – Ekhem, chrrr, kujon!

Mac oddalił się w stronę przodu samolotu, a James rozsiadł się na jego ciepłym fotelu i odchylił ekran małego laptopa Dell.

– Okej! – zawołała Meryl, szykując się do kolejnego rozdania. – Gracze, proszę obstawiać. Maksimum pięć pensów na rozdanie.

20. STRIP

Zmiana czasu sprawiła, że wylądowali w Las Vegas o drugiej po południu. Lądowanie dużego samolotu z królewskim godłem i brytyjską flagą na burcie wywołało niemałe poruszenie w gronie kierowców limuzyn i gospodarzy kasyn czyhających wokół terminalu lotnictwa ogólnego portu lotniczego McCarrana.

Meryl otoczyła Maca ramieniem, kiedy przeszedłszy przez urząd imigracyjny, weszli do hali terminalu.

– Wszyscy zachowują się, jakbyśmy byli obrzydliwie bogaci – powiedziała z uśmiechem. – Nie uwierzyłbyś, dokąd może zajść w tym mieście ktoś, od kogo choć trochę zalatuje pieniędzmi.

Meryl zatrzymała się i rozejrzała się z bezradną miną, odgrywając zdezorientowaną turystkę. Nie minęło pół sekundy, awyrósł przed nią barczysty mężczyzna o opalonej twarzy ubrany tak, jakby wybierał się na partyjkę golfa.

– Szczęśliwego Nowego Roku i witamy w Las Vegas – rozpromienił się, błyskając chemicznie wybielonym uśmiechem.

– Nie zarezerwowaliśmy jeszcze kwater – wyjaśniła Meryl. – Ale mówiono mi, że w Ceasar's Pałace jest sympatycznie.

– Ceasar's ma świetną tradycję, ale... pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Julio Sweet, gospodarz Reef Casino Resort.

Mogę zaoferować limuzynę, która tam państwa zawiezie, jak również apartament najwyższej klasy, całkowicie nieodpłatnie, z pozdrowieniami od kierownictwa.

Meryl uśmiechnęła się z wdzięcznością i udała zaskoczenie.

– Bezpłatnie? – zdumiała się, kładąc dłoń na piersi. – Och, to bardzo miło, tylko że... Mamy ze sobą dziesięcioro naszych adoptowanych dzieci i rosyjskiego ochroniarza.

– A my mamy ponad pięć tysięcy pokoi! – Wybielony uśmiech promieniał usznię. – Jestem pewien, że jakoś was pomieścimy.

Oferując darmowe pokoje hotelowe ludziom, którzy przybyli na lotnisko prywatnymi odrzutowcami, Reef Casino podejmowało skalkulowane ryzyko: koszt kilku noclegów, wożenia gości limuzyną i żywienia ich był nieistotny w porównaniu z setkami tysięcy – a nawet milionów dolarów, jakie bogaty klient mógł przegrać w hotelowym kasynie podczas pobytu w Vegas.

Przedstawicielka innego kasyna krążyła wokół niczym sęp, mierząc przybyłych zawistnym spojrzeniem. Zaatakowała natychmiast, gdy tylko Julio wyciągnął telefon, by zadzwonić po limuzynę.

– Czy przyjmą państwo moją wizytówkę? – zapytała przymilnie. – Proszę dzwonić o dowolnej porze, w dzień lub w nocy, do kasyna Taipei, a podejmiemy was pełnym pakietem żywieniowym do wykorzystania we wszystkich naszych restauracjach, kuracjami w najbardziej luksusowym spa w Las Vegas i – rzecz jasna – wszelkimi innymi usługami, jakie możemy zorganizować dla państwa bądź dzieci.

James nachylił się nad uchem Rata.

– Myślisz, że załatwią nam darmowe panienki?

Rat zaśmiał się, a Laura pacnęła go w ucho.

– Nie śmieć się – zasyczała. – James jest zboczony i bez twojej zachęty.

Przedstawiciel Reef Casino zerkał na rywalkę złym okiem,

jednocześnie gorączkowo wstukując instrukcje do palmtopa i zaganiając Meryl z jej gromadką do wyjścia.

– W ciągu pięciu minut podjadą po nas dwie limuzyny. Bagaże zabierze minivan.

– Och, pan jest taki uprzejmy – wdzięczyła się Meryl, wciąż udając, że wszystko to jest dla niej ogromną niespodzianką.

– Przylecieli państwo pięknym samolotem – zauważył gospodarz.

– Jeżeli wolno mi spytać, czy jest własnością brytyjskiej rodziny królewskiej?

– Jej Królewska Mość jest odległą kuzynką – skłamał Mac, starając się, by jego szkocki akcent brzmiał tak arystokratycznie, jak to tylko możliwe, i z trudem utrzymując powagę. – Często korzysta z naszej chatki narciarskiej w Alpach i kiedy w ostatniej chwili zdecydowaliśmy się na tę podróż, wspaniałomyślnie pozwoliła nam skorzystać z jednej ze swoich maszyn.

– Faaaaantastycznie! – Julio Sweet wprost tryskał entuzjazmem. – Ale mają państwo szczęście, że znają królową. Witałem już miliardów i gwiazdy filmowe przechodzące przez ten terminal, żeby zagrać w Las Vegas, ale nie pamiętam, żebyśmy mieli tu gości z rodziny królewskiej.

Mac świetnie się bawił, nakręcając tak bezczelną ściemę, ale teraz mimo woli poczuł się lekko zawstydzony.

– Jesteśmy bardzo odległym kuzynostwem – zaznaczył. – I jest to coś, z czym wolimy się nie afiszować.

– Rozumiem – powiedział Julio usłużnie. – Nasz zespół obsługi VIP-ów może zaspokajać wszelkie wasze potrzeby w całkowitej dyskrecji.

Do krawężnika przed terminalem podjechały dwie limuzyny i minivan z logo Reef Casino na burtach.

– Jeśli wolno spytać, jak długo zamierzają państwo zostać? – zapytał Julio.

– Dwie noce – odpowiedziała Meryl. – Rzecz jasna, jeżeli to nie

problem.

*

Darmowe pokoje znajdowały się na szczycie trzydziestopięcioletniego gmachu Reef Casino Resort wznoszącego się nad południowym końcem słynnej Las Vegas Strip. Meryl, Kazakow i Mac dostali ogromny trzysypialniowy apartament, wyłożony marmurem od podłogi po sufit, zaś dziesięcioro cherubinów rozmieszczono w mniejszych, ale nie mniej luksusowych apartamentach tuż obok.

Jamesa ulokowano razem z Jakiem i Kevinem, ale przy dwóch sypialniach z dwoma rozłożystymi łóżkami w każdej, dwóch ogromnych łazienkach i salonie z osiemdziesięciocalowym plazmowym telewizorem nie było to zbyt wielką uciążliwością.

Do piątej po południu wszyscy zdążyli się odświeżyć i przebrać. Trzej chłopcy nieprzyzwoicie obżarli się zamówionym do pokoju jedzeniem, po czym wszczęli bitwę na słodczyce z minibarku. O tej porze było już ciemno i Julio podstawił dwie limuzyny, by zabrały trzynastoosobową grupę na przejażdżkę po spektakularnie oświetlonym Stripie. Była to jednak piąta rano czasu brytyjskiego – wszyscy okropnie ziewali, a Kevin i Jake mieli spore kłopoty z utrzymaniem otwartych oczu.

Źle tolerujący zmianę czasu James obudził się o wpół do szóstej następnego ranka i wybrał na samotną przechadzkę. Dwa dni wcześniej Las Vegas było pełne imprezowiczów świętujących nadejście Nowego Roku, ale teraz w kasynie królowali zatwardziali hazardziści, którzy jeszcze nie poszli spać, oraz sprzątacze polerujący posadzki wielkimi maszynami czyszczącymi.

Jamesowi nie wolno było grać, ale jako gość hotelu miał prawo przebywać w kasynie, byle nie zasiedziało się za stołem do gry lub przed jednorękim bandytą. Zjeżdżając na dół, spodziewał się widoku mężczyzn w muchach i smokingach zasiadających wokół stołów do ruletki niczym na filmie z Jamesem Bondem. W

rzeczywistości znalazł się w przestronnej hali wypełnionej nieruchomą duchotą i kilkoma tysiącami popiskujących automatów do gry. Koktajlowe kelnerki przemykające pomiędzy szeregami maszyn miały wyglądać seksownie, ale po nocy biegania w szpilkach po kasynie ich uśmiechy były sztuczne, aprzesadny makijaż roztopiał się w gorącym blasku lamp.

Za kasynem znajdował się wewnętrzny pasaż otoczony ponad tuzinem restauracji oraz ekskluzywna galeria handlowa. Napis nad wejściem głosił dumnie: „Cztery miliony stóp kwadratowych zakupowego raj!”. Jednak jedynymi punktami otwartymi o szóstej we wtorkowy poranek był całodobowy bufet i hotelowy sklep z pamiątkami.

James zawędrował do sklepu bez powodu i zmarnował kilka minut, przyglądając się regałom z tandetnymi przyciskami do papieru, miniaturom Las Vegas Strip w śnieżnych kulach i figurkom Elvisa Presleya śpiewającym *Viva Las Vegas*, kiedy sięgnęło się im za plecy i wcisnęło ukryty guzik. Sprzedawczyni, która musiała słyszeć Elvisa z milion razy, spojrzała przeciągle znad swojego egzemplarza „People”, powstrzymując Jamesa od ponownego wciśnięcia guzika.

W tylnej części sklepu stał regał z książkami. Były to głównie pamiątkowe przewodniki i rozkładane mapy dla turystów, ale James wypatrzył półkę poświęconą hazardowi. Jego wzrok przyciągnęła cienka broszura zatytułowana *Kompletny podręcznik blackjacka*.

James zdjął tomik z półki i spędził kilka minut, przeglądając jego zawartość. Zdumiało go, że kasyno sprzedawało książkę, w której rozdziałach szczegółowo opisywano techniki liczenia kart. Z drugiej strony informacje te były łatwo dostępne w internecie, uznał więc, że kasyno woli zarobić dolara, sprzedając je samemu, niż pozostawić to komuś innemu.

– To będzie siedem osiemdziesiąt trzy brutto – powiedziała sprzedawczyni, kiedy James wręczył jej książkę. – Jak chcesz, mam

też stare talie z kasyna po pięćdziesiąt centów sztuka.

James uświadomił sobie, że będzie potrzebował talii do przećwiczenia niektórych przykładów z książki, skinął więc głową.

– I paczkę gum miętowych – dodał.

– Dziesięć dolarów siedemdziesiąt trzy centy.

James nie zwrócił uwagi na atrakcyjność dziewczyny za ladą, dopóki w jego polu widzenia nie pojawiły się jej długie opalone nogi. Upewniwszy się, że w sklepie nie ma nikogo oprócz nich, odchrząknął i podjął pierwszą w swoim życiu próbę poderwania dorosłej kobiety.

– Słuchaj... o której dziś kończysz? – zagaił tekstem, jaki znał z miliona filmów.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się.

– A co ci do tego?

– Bo ja wiem – odpowiedział James głupekowato. – Moglibyśmy się spotkać, pójść gdzieś... czy coś.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Jasne. Pójdziemy do McDonald's i zafunduję ci Happy Meala.

James poczuł się tak, jakby zainkasował cios w głowę.

– Mam więcej lat, niż wyglądam – powiedział urażonym tonem.

– To znaczy ile?

Oblewając się rumieńcem, James nerwowo zgarnął resztę do kieszeni.

– Osiemnaście – skłamał.

– Ale miesiące czy lat? – zachichotała sprzedawczyni. – Wiesz, myślę, że powinieneś zostać przy koleżankach ze szkoły. Chociaż dycha na dziesięć za odwagę, no i ten angielski akcent, bez kitu, słodki jest.

*

Kevin i Jake dali się zindoktrynować hotelowemu reklamowemu kanałowi telewizyjnemu i koniecznie chcieli odwiedzić wesołe miasteczko oraz akwarium w Reef. Meryl zabrała ich tam, podczas

gdy James i starsi cherubini poszli pozwiedzać miasto.

Niemal wszystko w Las Vegas mieści się przy Las Vegas Boulevard South, ulicy znanej na całym świecie jako Las Vegas Strip. Kasyno Reef mieściło się na jej południowym krańcu i po obfitym śniadaniu podanym do pokojów ośmioro starszych cherubinów spędziło większość dnia, przemieszczając się na północ.

Pustynia Mojave jest jednym z najgorętszych miejsc na ziemi, ale był styczeń, więc dzieciaki nie przegrzewały się w swoich bluzach i džinsach. Trasa sześciokilometrowej przechadzki powiodła ich przez gigantyczne kasyna wśród piramid, imitacji wieży Eiffla, weneckich kanałów, spektakularnych fontann oraz przydrożnych widowisk, takich jak licha inscenizacja średniowiecznej bitwy.

Po świętach wszystkie dzieci miały pieniądze, a w Stanach było trochę taniej niż w kraju, więc wycieczka postanowiła zwiedzić kilka olbrzymich centrów handlowych. James kupił sobie krótkie bojówki i koszulkę polo w Abercrombie & Fitch, ale miał do wydania mniej niż inni, bo większość gwiazdkowych pieniędzy musiał poświęcić na odkupienie telefonu, który roztrzaskał na głowie Michaela Hendry'ego.

Cherubini wypróbowali kilka płatnych atrakcji, ale po przejeździe nudną Łodzią Faraona 3D i żenująco mizerną halową kolejką górską dali sobie spokój, by skupić się na zakupach i podziwianiu widoków. Kiedy wreszcie dotarli do północnego końca Stripu, wszystkich bolały nogi, więc Kerry wyszukała adres najbliższego multipleksu, po czym cała grupa wcisnęła się do jednej z limuzyn, jakie czekają przed każdym kasynem, i pojechała obejrzeć film, który nie wszedł jeszcze na ekrany w Wielkiej Brytanii.

Było już po ósmej, kiedy wrócili do apartamentów dla VIP-ów, a Julio zorganizował im kolację na dachu przy apartamencie dorosłych.

Po zwiedzeniu akwarium Meryl zabrała dwóch młodszych chłopców na wycieczkę, a potem na lunch. Zjedli go w towarzystwie

kilkorga znajomych, których poznała podczas swojej krótkiej kariery gospodyni kasyna. Chłopcy musieli podtrzymywać legendę, zgodnie z którą byli adoptowanymi dziećmi Maca, ale Meryl nagle została jego byłą żoną, kiedy spędziwszy większą część dnia w kasynie, wrócił do apartamentu pijany, z czterdziestokilkuletnią Teksanką w obcisłych dżinsach i wymyślnych kowbojkach do kolan.

– Puściłem siedem kafla w bakarata – wyszczerzył zęby Mac. – Ale jako rekompensatę wziąłem sobie piękną damę.

James nigdy dotychczas nie widział Maca w takim stanie, ale pomyślał, że po półrocznej żałobie po stracie żony i dwojga wnucząt staruszkowi należy się ta odrobina szaleństwa, tym bardziej że Mac stać było na przepuszczenie w kasynie siedmiu tysięcy dolarów.

Nikt nie wiedział dokładnie, jak bogaty jest Mac, ale zanim objął posadę szefa CHERUBA, sprzedał udziały w założonej przez siebie firmie komputerowej za kilka milionów funtów, zaś plotka głosiła, że w ciągu następnych dwudziestu pięciu lat zdołał pomnożyć swój majątek, inwestując w firmy rozwijające nowe technologie.

Cherubini byli w zabawowym nastroju i podczas kolacji przekomarzali się hałaśliwie, ale Mac i Meryl byli po kilku drinkach i nie zwracali na nich uwagi. Właśnie dobrali się do deseru, kiedy na taras wybiegł Kazakow w towarzystwie sympatycznego Julia oraz zwalistego ochroniarza z kasyna. Twarz Ukraińca była wiśniowa z wściekłości, a jego koszulę szpeciła paskudna szara smuga, pamiątka po zderzeniu z przepelnioną popielniczką.

– Hełoł, hełoł! – uśmiechnęła się Meryl. – A ty gdzie się podziewałeś przez cały dzień? Nie widziałam cię od rana.

– W kasynie na dole doszło do nieporozumienia – powiedział sztywno ochroniarz.

James patrzył z rozbawieniem na czarne okulary olbrzymia i słuchawkę w uchu, taką samą, jakiej używają agenci FBI w filmach.

– Poprosiliśmy tego dżentelmena, by nie pojawiał się w naszym kasynie aż do końca swojego pobytu.

– Jankeskie świnie – zawarczał Kazakow. – Wygrywam cztery tysiące dolarów; stawiam na czarne sześć razy i sześć razy wypada czerwone. Przysięgam, ta gra jest ustawiona!

Kazakow był potężnym mężczyzną, który, gdyby chciał, prawdopodobnie załatwiłby ochroniarza i pół pokoju na dokładkę, dlatego nad długim stołem zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją Mac, który uderzył pięścią w stół i ryknął śmiechem.

– Trzeba było słuchać Meryl – wyszczerzył złośliwie zęby. – Ruletka jest dla frajerów.

– Sześć razy! – pieklił się Kazakow. – Cztery tysiące na plusie, pięć minut później bum! Trzy na minusie!

– Na tym polega hazard – powiedziała Meryl. – Też jestem zła. Przegrałam osiem baksów na pięciocentowych automatach.

Mac, zataczając się, przeszedł przez taras i wyciągnął z kieszeni blezera pięć studolarowych żetonów.

– Masz, wystarczy, żebyś miał w czym utopić swe troski – powiedział i przyciągnął zaskoczonego Kazakowa do siebie, by go uścisnąć. – Weź sobie krzesło, zjedz coś z nami i zapomnij o wszystkim.

Julio przechwycił żetony i czym prędzej wymienił je na pięć studolarowych banknotów, na wypadek gdyby Kazakowowi strzeliło do głowy wrócić do stołów, żeby się odegrać.

– Przynieście mi stek – burknął Kazakow. – Największy, najkrwawszy stek, jaki macie w tym mieście, i butelkę wódki na moje smutki.

Zadaniem gospodarza kasyna jest ściąganie klientów do stołów gry i miarą talentu Julia było to, że skutecznie nakłonił Maca i Kazakowa do przegrania dziesięciu tysięcy dolarów, mimo iż początkowo nie zamierzali stracić więcej niż jedna dziesiąta tej sumy.

Julio podszedł za Makiem do stołu i pomógł mu zająć miejsce.

– Po deserze zapraszam ponownie do stołów dla VIP-ów.

Wspominał pan o swoim upodobaniu do szkockiej whisky jednosłodowej, nasz bar zaś może poszczycić się spektakularną kolekcją zawierającą takie rarytasy jak pięćdziesięcioletnia Springbank. Z tego, co wiem, na świecie zostało jej mniej niż sto butelek.

Julio był zdesperowany – za wszelką cenę musiał ściągnąć Maca z powrotem do stołów. Podjął ogromne ryzyko, oddając cztery z najlepszych apartamentów kasyna ludziom, którzy wprawdzie przylecieli wypasionym samolotem, ale nie byli notowani jako hazardziści. Dziesięć tysięcy dolarów, jakie przegrali Mac i Kazakow, ledwie pokryło koszt zakwaterowania, i to nie licząc darmowych posiłków, obsługi pokojowej i przejazdów limuzyną.

– Zostajecie w Vegas tylko do rana – płaszczył się Julio, układając Macowi czystą serwetkę na kolanach. – Tak zapracowany człowiek jak pan nieprędko może mieć okazję, by znowu się tak rozerwać, i jestem pewien, że pańska nowa przyjaciółka z przyjemnością spędziłaby jeszcze trochę czasu przy stołach.

– Chętnie bym jeszcze zagrała – zamruczała Teksanka i pocałowała Maca w ucho.

– Tylko skończę deser – powiedział Mac.

Starsi cherubini wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Tato – powiedziała Kerry stanowczym tonem. – Jutro musimy wcześniej wstać. Może lepiej zostać i odpocznij z nami.

Julio spiorunował Kerry wzrokiem, a Mac dokończył swój deser i skierował się ku wyjściu z uwieszoną na ramieniu nową znajomą.

– Mam nadzieję, że to się dobrze skończy – powiedział powoli James.

Bruce wzruszył ramionami.

– E tam, niech się staruszek zabawi.

Meryl obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy Mac, Julio i kobieta oddalili się na bezpieczną odległość.

– Mac jest już dużym chłopcem – powiedziała z uśmiechem. –

Pozwolę mu się zabawić, ale zejdę tam i wyłowię go z kasyna, kiedy tylko zobaczę, że Julio zaczyna go za bardzo usidlać.

21. AUTOBUS

Po kolacji James poszedł do swojego pokoju odpocząć, ale Kevin i Jake ganiali się jak opętańcy, okładając ręcznikami, a telewizor w salonie grał zdecydowanie za głośno. James wrzasnął na chłopców, żeby się pakowali, ale zignorowali go, więc w końcu poszedł szukać schronienia w apartamencie dziewczyn naprzeciwko.

Otworzyła mu Kerry ubrana w hotelowy szlafrok i bambosze.

– Co porabiasz? – zapytał James.

– Oglądam *Brzydulę Betty* – odpowiedziała Kerry, wpuszczając go do luksusowego wnętrza.

James rozejrzał się i zorientował, że są sami.

– Gdzie są wszyscy?

– Bethany i Andy poszli na dół połączyć po sklepach, Laura robi coś, albo i nie, z Ratem, a Gabriellę boli głowa, więc poszła wcześniej spać.

– Jak ona się czuje? – zapytał James, podchodząc za Kerry do kanapy.

– A jak myślisz? – odparowała Kerry ze zgryźliwą nutką w głosie, sięgając po pilota, żeby wyłączyć telewizor. – Michael właściwie wyrwał jej serce na żywca.

James wskazał drzwi.

– Mogę sobie pójść, jeżeli przeszkodziłem ci w oglądaniu...

– Nie, siadaj – machnęła ręką Kerry. – Tutaj są jakieś dziesięć odcinków do przodu i nie mam pojęcia, co jest grane.

Usiedli razem na wielkiej skórzanej kanapie przed telewizorem, po czym Kerry zdjęła ze stołu wielkie pudło z czekoladkami i położyła między nimi. Jej nogi wyglądały na cudownie gładkie i James odruchowo zaczął się zastanawiać, czy pod tym szlafrokiem ma jakąś bieliznę...

– Jak się wam układa z Bruce'em?

– Fajny z niego chłopak – uśmiechnęła się Kerry. – Widziałeś, jaki naszyjnik kupił mi na Gwiazdkę? Jest taki piękny. Musiał kosztować krocie.

– Kiedy ostatnim razem pytałem, powiedziałaś, że nie za bardzo iskrzy między wami – zauważył James, zanurzając rękę w pudełku z czekoladkami. – Mówiłaś, że być może się rozstaniecie.

– Bruce jest zupełnie inny niż ty – powiedziała Kerry zaczepnie. – Jest dżentelmenem.

– To jeden z moim najlepszych przyjaciół – pokiwał głową James.

– Ale ma taką obsesję na punkcie sztuk walki i przemocy, że to jest aż nudne. Czasem nie potrafi mówić o niczym innym.

James wyłowił z pudełka czekoladkę w kształcie półksiężyca, ale Kerry prasnęła go w przegub.

– Pomarańczowych nie ruszaj. To moje ulubione.

– To może chodź tu i sama sobie weź.

James wsunął sobie czekoladkę do ust i przytrzymując ją zębami, pochylił się w stronę Kerry.

Kerry walnęła go pięścią w zębra.

– Auuu! – krzyknął James, kiedy Kerry zerwała się na równe nogi. – Przez ciebie ugryzłem się w język.

– Na jakiej ty planecie żyjesz, James? – wycedziła przez zęby Kerry, odpychając Jamesa stopą.

– Tylko żartowałem...

– Płakałam całymimi dniami, kiedy rzuciłeś mnie dla Dany. Teraz ona rzuciła ciebie, a tydzień później spodziewasz się, że rzucę się na ciebie, jakby w ogóle nic się nie stało?

– Przepraszam – powiedział James, uświadamiając sobie jednocześnie, że przez nęcącą wizję nagiej Kerry pod szlafrokiem ruszył do akcji zdecydowanie za szybko.

– Jesteś obrzydliwy – wzdrygnęła się Kerry. – Bruce jest jednym z twoich najlepszych przyjaciół, a ma więcej szacunku do mnie w swoim małym palcu niż ty w całym sobie.

– Kerry, przecież wiesz, że wciąż coś do ciebie czuję. Posunąłem się za daleko i jest mi naprawdę bardzo, bardzo...

– Po prostu wyjdź – warknęła Kerry. – Zapomnijmy, że to się stało, ale nie próbuj więcej takich numerów, jasne?

*

Po dwóch dniach rozbijania się limuzynami i pławienia w luksusach nadeszła pora na zderzenie z twardą rzeczywistością wymeldowania o wpół do szóstej rano i czterogodzinnej jazdy na poligon Fort Reagan położony w odległym zakątku pustyni Mojave. Menedżer Reef wziął Maca na stronę i wręczył mu tandetną plastikową kartę lojalnościową dającą możliwość gromadzenia punktów przy następnych wizytach oraz kupon „dwa w cenie jednego”, ważny w dowolnej restauracji kasyna.

Ton był uprzejmy, ale wydźwięk kryształowo jasny – nie przegraliście wystarczająco dużo, by uzasadnić wszystkie graty, jakimi was uraczyliśmy, i jeżeli kiedykolwiek wrócicie, sami sobie płacie za wypasiony pokój. Wymowny był także brak pomocy przy bagażach i dzieci musiały wykonać kilka kursów windą, nim przeniosły cały zapas sprzętu Kazakowa do punktu odjazdu.

Przyjechał po nich zakurzony zielony autobus z namalowanym przez szablon napisem „United States Army” na każdej burcie. Prowadził ogromny czarnoskóry mężczyzna, który zsalutował Kazakowowi, po czym rozdał wszystkim bransoletki

identyfikacyjne podobne do stosowanych w szpitalach, zawierające mikroczip i małą fotografię. Po założeniu plastikowy pasek można było zdjąć, tylko przecinając go nożyczkami.

Autobus był duży, a pora senna, więc cherubini porozkładali się na siedzeniach i przysypiali w milczeniu, pozwalając się wieść przez przedmieścia Las Vegas, a potem w pustynny bezkres ze słońcem wstającym zza horyzontu.

James siedział daleko z tyłu, naprzeciw raczej mizernie wyglądającego Maca. Były prezes wciąż kasłał, więc James podał mu butelkę wody mineralnej ze swojego chlebaka.

– Dzięki – stęknął Mac, starając się mówić cicho, żeby nie obudzić Jake'a drzemającego w rzędzie przed nim. – No i jak ci się podobało w Vegas?

– Było super – odpowiedział James. – Na pewno tu wrócę, jak dorosnę. A jak ci poszło przy stołach po kolacji?

W kampusie Mac zawsze wydawał się wielki i dostoyny. Wyglądał zupełnie inaczej w wymiętej koszuli, z szarym zarostem na twarzy i kacem w głowie.

– Przegrałem jeszcze osiem stówek – uśmiechnął się Mac. – Zdecydowanie za mało, żeby uszczęśliwić Julia.

– A co z twoją przyjaciółką? – zapytał odważnie James, spodziewając się, że były prezes odwoła się do swojego autorytetu i każe mu pilnować własnych spraw.

– Była w zмовie z Juliem – powiedział Mac. – Po pierwszej w nocy, kiedy powlokłem się wreszcie do pokoju, stanęła przede mną i mówi: „Julio powiedział, że przegrałeś za mało na gratis, więc jeżeli mam zostać na noc...”.

James parsknął śmiechem na tyle głośnym, by Jake otworzył jedno oko.

– I jak, zapłaciłeś jej? – wyszeptał, wytrzeszczając oczy.

– Za kogo ty mnie uważasz – obruszył się Mac. – Powiedziałem jej, że wolałbym napić się herbaty, i posłałem do diabła.

*

O ósmej byli już na drodze międzystanowej, osiemdziesiąt kilometrów od Las Vegas. Co kilka mil mijali skupiska fast foodów i sklepów, ale musieli zatrzymać się w konkretnym miejscu, gdzie Kazakow zamówił przez telefon trzydzieści beczek piwa.

– Nie mam pojęcia, co ten człowiek knuje – wyznał Mac z uśmiechem, kiedy wyszli z autobusu na parking.

– Ja nawet nie wiem, czy chcę to wiedzieć – wyszczerzył zęby James. – Ale część z piwem zapowiada się interesująco.

Kazakow, kierowca i mężczyzna, który przyjechał wcześniej, żeby otworzyć sklep z alkoholem, zabrali się do ładowania beczek do bagażników autobusu, a cherubini skierowali się do całodobowego baru tuż obok. Mimo wczesnej pory lokal był prawie pełny i kelnerka o lśniącej od potu twarzy musiała ulokować dwunastoosobową grupę przy dwóch stołach rozdzielone trzecim, przy którym siedziała grupa żołnierzy w amerykańskich mundurach.

James zamówił coś, co nazywało się Wielki Szlem ze Stekiem, okazało się ogromnym półmiskiem wyładowanym chyba wszystkim, co było w menu, włączając w to wielki stek z kością oraz stertę naleśników w kałuży syropu klonowego.

Zanim przyniesiono jedzenie, do stołu dosiadł się Kazakow, bez kierowcy, który wypatrzywszy grupę swoich kolegów z Fort Reagan, odłączył się, by usiąść z nimi.

– Jedzicie do Fortu? – zapytała kelnerka, kładąc przed dziećmi talerze ze śniadaniem. – Zdaje się, że rano zaczynają tam kolejne duże ćwiczenia.

Na identyfikаторze kobiety widniało imię Natasza i Kazakow posłał jej ciepły uśmiech.

– Co taka śliczna Ukrainka jak ty robi w tej dziurze na środku pustyni? – zapytał.

– Płaci rachunki i wychowuje dzieci jak każda inna kelnerka –

uśmiechnęła się kobieta. – Większość ludzi bierze mnie za Rosjankę.

– Anglojęzyczni nas nie rozróżniają. – Kazakow cmoknął z niesmakiem. – To samo mam w Anglii. Niektórzy myślą nawet, że jestem Polakiem.

James miał na talerzu dwa razy więcej jedzenia niż ktokolwiek inny i Bruce odszukał go wzrokiem pomiędzy dzielącymi ich żołnierzami.

– Dasz radę to wszystko zjeść, baryło? – zaśmiał się głośno.

James wiedział, że nie da rady, więc podzielił się z Laurą i Ratem naleśnikami, a Kevinowi pozwolił wziąć dwa plasterki chrupkiego bekonu i grzanekę.

– Na pewno nie chcesz trochę, Bruce? – odkrzyknął do kolegi. – Wrzucić trochę mięcha na te suche kości!

– Może jestem chudy, ale mogę ci nakopać w każdej chwili – odparował Bruce.

Kobieta w mundurze przy sąsiednim stole odwróciła się gniewnie do Jamesa.

– Hej, panowie, nie przeginacie czasem? – powiedziała, przeciągając zgłoski w sposób charakterystyczny dla ludzi z południowych stanów. – Czy mogłabym zjeść śniadanie bez tych wrzasków?

– Przepraszam. – James uśmiechnął się pojednawczo i wrócił do krojenia steku.

Kapral siedzący tuż za Kazakowem wstał, wznosząc pusty dzbanek po syropie klonowym i w ordynarny sposób zażądał od kelnerki dolewki.

– Obsługa w tej dziurze jest do bani – poskarżył się żołnierz, siadając. – Niech mnie szlag, jeśli ta dostanie ode mnie napiwek. Uczyli ją kelnerowania w łagrze czy jak?

Kazakow trzasnął kubkiem z kawą w stół i odwrócił się, by spojrzeć kapralowi w twarz.

– A może byś się zamknął i nauczył trochę manier?

Natasza nadbiegła z dzbankiem gorącego syropu, a kapral spojrział na Kazakowa i obnażył dwa szeregi oślepiająco białych, dwudziestokilkuletnich zębów.

– A może byś pilnował własnego nosa, dziadku?

Kazakow potrząsnął głową i odwrócił się z powrotem do swojego śniadania.

– Typowi amerykańcy – wymamrotał głośno. – Hałaśliwe, tępe buractwo.

Tęgi kapral gwałtownie zerwał się z krzesła i klepnął Kazakowa w ramię.

– Tak się składa, że nie lubię, kiedy obcy ludzie przyjeżdżają do mojego kraju i gadają takie rzeczy.

Meryl uśmiechnęła się.

– A może wszyscy damy sobie spokój z pyskówkami i spokojnie zjemy śniadanie?

Kazakow zignorował ją i odezwał się na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy w lokalu:

– W moim kraju uwielbiamy waszą amerykańską flagę. Tniemy ją na wąskie paski i podcieramy sobie nimi dupę.

James i Rat z trudem powstrzymali wybuch śmiechu, ale z pozostałych stolików podniósł się gniewny pomruk.

Kapral poczerwieniał, wybałuszył oczy i zawisł złowroźbnie nad Kazakowem.

– Chcesz wyjść z tym na zewnątrz? – wycedził przez zęby.

– W każdej chwili, kowboju – wyszczerzył zęby Kazakow, podnosząc się z krzesła.

Kapral wydawał się zaskoczony rozmiarami przeciwnika. Rzucił wyzwanie siwym włosom wśród głów przy sąsiednim stole, ale teraz stał oko w oko z olbrzymem z klatą jak szafa i poznaczoną bliznami twarzą, wyglądającym, jakby wygrał kilka wojen w pojedynkę.

– Zmieniłeś zdanie, kowboju? – szydził Kazakow. – I słusznie.

Jestem trochę większy od lasek z twojej szkolnej drużyny zapaśniczej.

– W restauracji zapadła cisza – goście przestawali jeść i odwracali się, by oglądać podsycany testosteronem spektakl.

James rozejrzał się i z niepokojem stwierdził, że co najmniej sześć stolików jest obsadzonych przez żołnierzy, z których żaden nie wyglądał, jakby miał poprosić Kazakowa o adres, by móc mu przysyłać życzenia świąteczne.

– Nie warto, szefie – powiedział do Kazakowa, ciągnąc go za koszulę.

Amerykanka w mundurze w podobny sposób uspokajała swojego kompana, a z drugiego końca sali nadszedł wielki kierowca autobusu, by pomóc w załagodzeniu konfliktu.

Po kilku sekundach pełnej napięcia ciszy Kazakow i kapral opadli na swoje krzesła. Nagle wszystkie oczy zwróciły się w stronę, z której dobiegł charakterystyczny szcęk przeładowywanej strzelby.

Krzepka kobieta w białym fartuchu stała przy wejściu do kuchni, mierząc z dwururki w głowę Kazakowa.

– Proszę pani, nie ma potrzeby... – zaczął Mac uspokajającym tonem.

– Nie ma potrzeby?! – wydarła się kucharka. – Mam w wojsku dwóch synów i córkę, więc możesz zabierać swoją antyamerykańską dupę z mojego baru!

Wśród wiwatów i oklasków klientów Kazakow wstał i odsunął się od stołu.

– I cała reszta też – dodała kobieta, machnąwszy lufą w stronę Jamesa i pozostałych.

Cherubini zaszurali krzesłami, ale Mac wskazał na Kevina i Jake'a.

– My tylko przyprowadziliśmy dzieci na śniadanie.

Kucharka spojrzała krzywo na chłopców, a potem krzyknęła przez ramię:

– Natasza, zrób ich zamówienie na wynos!

Ukrainka zakrzętnęła się za ladą i po chwili podbiegła ze stertą tekturowych kubków i styropianowych pudełek. Nie było to idealne rozwiązanie, ale Mac z wdzięcznością skinął głową uzbrojonej kucharce, podczas gdy pozostali gorączkowo zgarniali jedzenie do pudełek i przelewali napoje ze szklanek do kubków.

– Dziękuję pani – powiedział Mac, sięgając za pazuchę.

– Ręce na wierzchu, żebyś widziała! – wrzasnęła kobieta, przyskakując tak blisko, że lufy prawie wbiły się Macowi w twarz.

– Spokojnie! – wzdrygnął się Mac. – Sięgam po portfel.

Tymczasem Kazakow i reszta grupy szli już do drzwi ze swoim pospiesznie zapakowanym śniadaniem.

– Dobrze ci tak! – krzyknął jakiś żołnierz. – Dokopała ci dziewczucha.

Twarz Jamesa płonęła wstydem, kiedy przechodzili kolejno przez automatyczne drzwi, zatrzymując się tylko po to, by zgarnąć trochę serwetek, słomek i plastikowych sztućców. Kazakow najeżył się, kiedy kawałek kukurydzianego placka stuknął go w tył głowy, ale Meryl dźgnęła go w plecy i kazała iść dalej.

– Amerykańskie palanty! – krzyknął Ukrainiec, żegnając salę uniesionym środkowym palcem, po czym odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, prosto w ostre poranne słońce.

Mac wyszedł ostatni i wszyscy ruszyli pospiesznie w stronę autobusu.

– Mam gdzieś, kim jesteście wy wszyscy i jaki masz stopień – pieklił się kierowca. – Jeszcze jeden taki numer i dalej możecie iść na piechotę.

– Czyś ty kompletnie zdumiał?! – dołączył się Mac. – Wszczynasz awanturę z trzydziściorgiem żołnierzów? Mamy szczęście, że skończyło się na jednej wycelowanej w nas dubeltówce!

– Prostackie amerykańskie bydło! – krzyknął Kazakow. – Ich rakietka zabiła mi młodszego brata, a ich oszukańcze kasyno ograbiło mnie z trzech tysięcy dolarów!

Meryl jęknęła, wspinając się na schodki autobusu.

– Jesteś już dużym chłopcem, Kazakow. Powinieneś wiedzieć, że nie gra się na stawki, na jakie cię nie stać.

James opadł na siedzenie tuż za Bruce'em. Wyjął stek z pudełka i oderwał zębami ogromny kęs.

– Szkoda, że nic nie wypaliło – uśmiechnął się Bruce. – Od miesięcy nie widziałem porządnego mordobicia.

– Świr – skomentował James. – Ale stek mają piekielnie dobry. Może wpadniemy tu jeszcze w drodze powrotnej.

22. FORT

Gdyby brązowe popiersie czterdziestego prezydenta Stanów Zjednoczonych nad główną bramą zastąpiono figurką Myszki Miki, wjazd do Fort Reagan mógłby z powodzeniem uchodzić za wejście do parku rozrywki. Wojskowy autobus ustawił się w kolejce pojazdów przed ogromnym parkingiem przegrywającym walkę z nacierającym zewsząd piaskiem. James podążył wzrokiem wzdłuż ogrodzenia, aż dotarł do punktu, w którym zniknęło za horyzontem.

Personel wojskowy przybywał autobusami, które przepuszczano bez kontroli na pasie ekspresowym, podczas gdy cywile musieli uzbroić się w cierpliwość, odprawiani kolejno przez żołnierzy przeglądających ich dokumenty, przeszukujących bagażniki i oglądających podwozia samochodów za pomocą lusterek na długich prętach.

Większość pojazdów stanowiły tanie auta, a ich pasażerami byli przeważnie młodzi ludzie, głównie studenci dorabiający sobie za osiemdziesiąt dolarów dziennie. Jednak dla zwiększenia realizmu ćwiczeń amerykańska armia poprawiła reprezentatywność ośmiotysięcznej populacji cywilów, rekrutując także starsze pary, dziecięce drużyny piłkarskie, klub niewidomych wędrowców oraz dwie drużyny niepełnosprawnych koszykarzy.

– Amerykanie niczego nie robią na pół gwizdka – powiedział Bruce z uśmiechem.

Wszyscy byli pod wrażeniem rozmachu operacji, kiedy patrzyli przez okna autobusu na szeregi zaparkowanych samochodów i hałaśliwe tłumy studentów taszczących swoje plecaki i chłodziarki do piwa w stronę głównej bramy.

Po kontroli przy wjeździe dla wojska Mac i Kazaków zostali w autobusie, zaś Meryl poprowadziła cherubinów z ich torbami na kółkach na kilometrowy spacer w stronę biura przyjęć. Zbudowany z blachy falistej budynek przypominał niewielki outlet z tysiącosobową kolejką u głównego wejścia wijącą się między barierkami.

Żołnierze z megafonami wykrzykiwali przypomnienie:

– Proszę przygotować do kontroli dokumenty tożsamości, dokumenty prawne, dokumenty ubezpieczeniowe oraz karty zdrowia.

Kolejka poruszała się powoli i James usłyszał komunikat trzydzieści razy, podczas gdy posuwał się naprzód krok po kroku ze wzrokiem wlepionym w łydki dziarskich licealistek w jednakowych kurtkach z napisem „USC Soccer” na plecach.

W krótkim czasie kolejka niemal podwoiła swoją długość. Jake i Kevin huścili się z nudów na barierkach, dopóki Meryl na nich nie nakrzyczała, podczas gdy para starszków tuż obok kłóciła się o okulary przeciwsłoneczne i przetrząsała swój bagaż, upewniając się, czy wzięli właściwe lekarstwa.

Wewnątrz budynku poszło już sprawniej. Były tam stanowiska oznaczone literami od A do W jak na odprawie celnej na lotnisku, a żołnierz mówił każdemu, w której kolejce ma stanąć.

– Witamy w Reaganistanie – powiedział do Meryl żołnierz, kiedy grupa CHERUBA dotarła do żółtej linii na początku ogonka R. – Dokumenty proszę.

Meryl miała przygotowaną stertę paszportów i formularzy, ale

całą grupę przepuszczono bez kontroli, ponieważ wszyscy mieli już bransoletki identyfikacyjne. Historia powtórzyła się przy następnym szeregu biur, gdzie wszyscy inni musieli czekać w kolejkach, by zrobiono im zdjęcie.

Przedostawszy się przez recepcję w ciągu niespełna dziesięciu minut, poszli wzdłuż czerwonej linii do drugiego budynku oznaczonego napisem „Wyposażenie i odprawa”.

– Pakiet zawiera gogle ochronne, alarm osobisty i zapas żywności na trzy pierwsze posiłki – oznajmił żołnierz, by chwilę później powtórzyć to samo zdanie przed następnymi w kolejce.

Na następnym stanowisku przeskanowano im mikroczipy w bransoletkach, po czym laserowa drukarka wypuła komplet indywidualnych przydziałów mieszkaniowych wraz z mapkami Fort Reagan i zestawem wskazówek. Na ostatnim przystanku każdy otrzymał instrukcję bezpieczeństwa oraz najważniejsze: foliową torebkę zip–loc zawierającą pięćset reaganistańskich dolarów i klucz do mieszkania.

Banknoty o nominałach jednego, pięciu, dziesięciu i dwudziestu dolarów miały dziwaczny wzór łączący znak amerykańskiej armii i rysunki broni z mnóstwem napisów w stylu arabskim i wizerunkiem mężczyzny w turbanie. James wyciągnął dwudziestkę i głośno odczytał napis wydrukowany na rewersie:

– Ten banknot jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Stanowi zastępczy środek płatniczy, przeznaczony do nabywania żywności i innych artykułów na obszarze wojskowego ośrodka treningowego Fort Reagan i nie ma żadnej wartości jako waluta. Przed opuszczeniem Fort Reagan należy zdać wszystkie banknoty. Niezastosowanie się do tego nakazu może skutkować karą pozbawienia wolności i grzywną do pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Chyba nie chcą ich widzieć na eBayu – zauważyła Laura ze śmiechem.

Długi korytarz doprowadził ich do wyłożonej wykładziną poczekalni, w której zastali już ponad sto osób. Z ciekłokrystalicznego ekranu na ścianie dowiedzieli się, że następny pokaz filmu wprowadzającego i instruktażu bezpieczeństwa rozpocznie się za czternaście minut.

Po długiej jeździe autobusem i godzinie spędzonej w kolejkach wszyscy potrzebowali skorzystać z toalety. Chłopcy poradzili sobie błyskawicznie, ale dziewczęta musiały odstać swoje w gigantycznej kolejce i wróciły w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak rozsunęły się automatyczne drzwi i ludzie zaczęli wpływać do przestronnej sali projekcyjnej.

Trzysta osób stłoczyło się na ławkach bez oparcí, automatyczne drzwi zamknęły się z sykiem i zgasło światło.

– A gdzie popcorn? – zachichotał James.

Ekran zajaśniał ujęciem przedstawiającym Fort Reagan z lotu ptaka, a z głośników popłynął napuszczony komentarz:

– Wiek XX był czasem największych i najkrwawszych konfliktów w historii ludzkości, ale u zarania trzeciego milenium świata zaczął zagrażać zupełnie nowy gatunek wojen.

Na ekranie pojawiły się fotografie uśmiechniętych amerykańskich żołnierzy jadących hummerami przez ulice Bagdadu oraz żołnierzy w błękitnych hełmach sił ONZ wspinających się na wzgórze i machających do przyjaźnie uśmiechniętych wieśniaczek.

– Bitew XXI wieku nie toczy się na pełnym morzu, na wyznaczonych polach bitewnych ani nawet w powietrzu, ale w gęsto zaludnionych środowiskach miejskich. Zamiast zmagać się z czołgami lub ogniem artylerii, amerykański żołnierz naszych czasów musi walczyć z buntownikami i terrorystami podkładającymi bomby-pułapki, biorącymi zakładników, niestroniącymi od wymuszeń i porwań. Wojsko musi nauczyć się bić nie tylko w otwartych bitwach, ale przede wszystkim radzić sobie z bezlitosnym wrogiem, który wykorzystuje ludność cywilną jako tarczę.

Aby przygotować naszych żołnierzy do takich sytuacji, Departament Obrony postanowił wznieść supernowoczesny poligon, na którym toczono by symulowane wojny XXI wieku. W rezultacie powstał Fort Reagan zbudowany kosztem ponad czterech miliardów dolarów.

Biorąc udział w ćwiczeniach na terenie Fort Reagan, będą państwo odgrywać ważną rolę w szkoleniu amerykańskich żołnierzy i pomagać w ratowaniu prawdziwych amerykańskich istnień. Każdy aspekt ćwiczeń został starannie zaplanowany i zoptymalizowany pod kątem uzyskania najwyższego realizmu, ale priorytetem pozostaje bezpieczeństwo. Dlatego proszę się odprężyć i słuchać uważnie, podczas gdy zapoznamy państwa z procedurami bezpieczeństwa Fort Reagan – najnowocześniejszego wojskowego ośrodka treningowego na świecie.

*

Po odprawie BHP wypełnionej radami od: „Zawsze miej przy sobie gogle ochronne i zakładaj je, kiedy tylko usłyszysz strzały”, po: „Unikaj biegania po schodach oraz zachowaj bezpieczną odległość od pojazdów będących w ruchu”, wyprowadzono przybyłych na tysiącmetrową trybunę małego stadionu, gdzie czekali kolejne pół godziny, nim na przysypany piaskiem podest na boisku wstąpili dwaj oficerowie armii. Jeden z nich przemówił z nutką skrępowania w głosie.

– Obywatele Reaganistanu! Serdecznie dziękuję za przybycie na spotkanie z władzami miasta. Jestem generał Shirley z armii Stanów Zjednoczonych. Dowodzę liczącą tysiąc pięciuset żołnierzy amerykańsko-brytyjską grupą operacyjną, którą przysłano, by przywrócić pokój w waszym małym kraju. Rolą naszych wojsk jest wspieranie wyłonionego w demokratycznych wyborach rządu prezydenta Mongo i pomoc w wyeliminowaniu terrorystycznego ruchu Reaganistów. Poszukujemy pilnie przywódcy Reaganistów znanego jako Szejek McAfferty.

Wszyscy cherubini uśmiechnęli się, kiedy na ekranie za generałem wyświetlono niewyraźną pochodzącą sprzed dwudziestu lat fotografię Maca.

– Uważa się, że McAfferty stoi za ponad stu zamachami terrorystycznymi, jakich dokonano w ciągu minionych trzech miesięcy. Naszym zadaniem jest zatrzymanie McAfferty'ego i jego najbliższych współpracowników, przejęcie ich zapasów broni i amunicji oraz położenie kresu terrorystycznej działalności ruchu.

Generał przerwał, by zaczerpnąć tchu. Kilka osób na trybunach zaklaskało, a ktoś krzyknął nawet: „USA!”.

– Niestety, aż dziesięć procent ludności cywilnej sympatyzuje z buntownikami i popiera ich. Bez wątpienia dotyczy to także niektórych z was, zebranych tutaj i słuchających moich słów. Sądzimy ponadto, że terroryści dysponują mniej więcej stu osobami wykwalifikowanego personelu wojskowego wyszkolonymi przez obce mocarstwa. W ciągu następnych dwóch tygodni moi ludzie będą patrolować i przeszukiwać wasze miasto, zwalczając terrorystów i starając się położyć kres przemocy. Z góry przepraszamy za wszelkie spowodowane tym niewygody.

James spojrział na pozostałych cherubinów i potrząsnął głową.

– Ale lipa – powiedział, uśmiechając się krzywo.

– Krzywa, zeschła i spróchniała – pokiwał głową Rat.

Generał podjął przemowę:

– Jeżeli ktokolwiek ma jakieś pytania albo...

James podskoczył na metr w górę, kiedy powietrzem targnął ogłuszający huk, a za trybuną wybuchła wielka kula ognia. Wśród panicznych krzyków po schodach trybuny zbiegła zalana sztuczną krwią aktorka, głośno lamentując i tuląc do piersi dziecko, podczas gdy gdzieś z boku huknęła druga bomba, aż dali dobiegło zawrozczenie syreny alarmowej.

Generał przemówił ponownie.

– Panie i panowie, wygląda na to, że doszło do zamachu

terrorystycznego. Proszę zachować spokój i wrócić do domów w sposób uporządkowany.

Widownia zdawała sobie sprawę, że był to efekt specjalny mający na celu wytworzenie wojennego klimatu, ale zebrani mocno się przestraszyli i rozglądali lękliwie, spodziewając kolejnych wybuchów, kiedy ruszyli tłumnie z trybuny, unosząc swoje bagaże i jednodobowe zapasy żywności.

– Lipa, tak? – zaśmiała się Laura, zbiegając po stopniach trybuny za Jamesem. – Prawie narobiłeś w gacie.

Nie było więcej eksplozji, ale uruchomiono dwa generatory dymu, jeden pod trybuną, a drugi na ulicy na zewnątrz, zmuszając tłum do rozproszenia się, zanim ktokolwiek zdążył zajrzeć do mapy i poszukać drogi do domu. Zabiegi te miały na celu wywołanie dyskomfortu wśród cywilów i najwyraźniej podziałały.

Do trybuny prowadziła nowo wybudowana asfaltowa droga, ale dalej ciągnął się labirynt wąskich uliczek i białych domków rozmaitej wielkości, w zamyśle projektantów mających oddawać charakter starożytnego miasta.

Meryl odprowadziła dzieci na kilkaset metrów od dymu i zatrzymała się, by spojrzeć na mapę.

– Mamy mniej niż dwa kilometry do domu – powiedziała. – Z tego, co widzę, mają tu nawet linię autobusową.

– Nie mijaliśmy czasem przystanku, kiedy tu szliśmy? – zapytał Kevin.

– Masz na myśli tę gigantyczną kolejkę, obok której przechodziliśmy? – odparła Bethany. – To już lepiej chodźmy na piechotę.

23. DOM

Jak w większości miast w krajach rozwijających się w Fort Reagan nie zbywało na drogowskazach i tablicach informacyjnych, a dla utrudnienia życia żołnierzom rozdawane wszystkim mapy zawierały wiele niedokładności. Rzecz jasna, utrudniało to życie także cywilom i Meryl wraz z dziesięciorgiem jej podopiecznych musieli kilkakrotnie zawracać i szukać okężnej drogi, nim wreszcie odnaleźli swój przydziałowy dom na następne dwa tygodnie.

Dzielnice Fort Reagan miały naśladować różne rodzaje prawdziwych miast, dlatego zabudowa była bardzo urozmaicona: od niskich betonowych baraków mających udawać dzielnicę slumsów, przez duże wille, po wielopiętrowe bloki mieszkalne. Grupa Meryl dostała cztery mieszkania na czwartym piętrze szarego betonowego bloku. Kajakowa i Maca ulokowano w dwóch wolno stojących domkach na następnej ulicy.

Mieszkania urządzono tak, by jak najbardziej zmniejszyć ryzyko strat spowodowanych przez znudzoną, wiecznie pijaną młodzież, jaka przeważnie w nich rezydowała. Miały nagie, betonowe ściany, białe płytki na podłodze i łazienki z niezniszczalnymi stalowymi urządzeniami, jakie można spotkać w więziennej celi. Wyposażenie kuchni ograniczało się do kilku tanich garnków, kilku plastikowych

talerzy, lodówki oraz raczej tandetnie wyglądającej kuchenki i pralki.

– Przygnębiające – powiedział James do Rata.

Chłopcy rozpakowywali swoje rzeczy w ciasnej sypialni z dwoma pojedynczymi łózkami przykrytymi wojskowymi kocami i tabliczką na ścianie głoszącą, że armia Stanów Zjednoczonych zastrzega sobie prawo do ściągania opłat za zniszczone mienie.

– Podobają mi się te betonowe ściany i ledwie uchwytna woń kanalizacji – powiedział Rat z przekąsem.

– Ajajaj! – ożywił się James, patrząc przez okno na licealistkę w bloku naprzeciwko. Dziewczyna upinała sobie włosy za głowę i jej uniesione ramiona ładnie podkreślały kształt piersi. – Och, zanurzyć twarz w tych cudownych arbuzach...

Na wzmiankę o arbuzach Rat rzucił się do okna, ale to, co zobaczył, rozczarowało go.

– No fajne – powiedział zawiedziony. – Ale to najwyżej mango. Znacznie poniżej poziomu, na jakim byłeś z Daną.

James odwrócił się gwałtownie do kolegi.

– Ani słowa o niej.

Rat nie odpowiedział, ponieważ dziewczyna zauważyła podglądaczy i właśnie wznosiła w ich stronę środkowy palec, mówiąc coś, co sądząc po ruchu warg, kończyło się słowem „zboceńcy”.

– No dawaj, laska! – krzyknął James. – Pokaż, co tam masz!

Rat padł na łóżko, opętańczo rechocząc, a dziewczyna otworzyła okno i zaczęła krzyczeć.

– Wyślę tam mojego chłopaka i zobaczymy, jak wam będzie do śmiechu!

– Płacę pięć reaganistańskich dolarów za sutek! – odkrzyknął James.

Dziewczyna z furją zatrzęsnęła okno i opuściła roletę. Rat nie potrafił oprzeć się komizmowi sytuacji i wciąż płakał ze śmiechu,

kiedy pół minuty później do pokoju wkroczyła Laura.

– Co cię tak bawi? – zapytała.

– Nic takiego – chlipnął Rat. – Podziwiam Jamesa i jego dżentelmeńskie metody postępowania z damami.

Laura zamachała rękami przed sobą.

– Dobra, nie chcę wiedzieć. Słuchajcie, Meryl miała telefon od Kazakowa. Zwołuje zebranie strategiczne za piętnaście minut. Powiedział, że musimy się zorganizować, zanim Amerykanie zaczną szukać.

James wyszedł do przedpokoju i zdziwił go widok barczystego Anglika wyglądającego przez okno w pokoju dziennym. Choć przeciętnego wzrostu, był niemal równie szeroki co wysoki i od razu było widać, że jest osobą, z którą nie warto zadzierać.

– Poznaliście już sierżanta? – zapytała Laura. – Jest wtajemniczony. Pracował już kiedyś z CHERUBEM.

– Sierżant Cork, SAS – przedstawił się mężczyzna i przywitał obu chłopców miążdżącym uściskiem dłoni. – Szesnastu moich chłopców ma pomóc Kazakowowi w poprowadzeniu powstania.

– To super – powiedział James. – A co takiego ekscytującego jest na naszym balkonie?

– Wygląda na to, że można się stamtąd wspiąć na dach. Będziemy mogli ustawić punkt obserwacyjny i wypatrywać wszelkich patroli wojskowych nadjeżdżających od strony bazy.

– Czy to nie jest lekka przesada? – zapytał James.

– Nie, jeśli chcemy zachować naszą broń dłużej niż przez dwa dni – uśmiechnął się sierżant. – Wpisuję cię na wartę od północy do czwartej rano, w porządku?

– Nie ma, kurde, mowy – zaśmiał się James. – Poza tym jak zaczniecie wystawiać czujki z dzieciaków, Amerykanie od razu zaczną nas podejrzewać. Lepiej niech pan weźmie któregoś ze swoich chłopców.

Nie chcąc budzić podejrzeń, do domu Kazakowa udali się w

małych grupkach. James poszedł z Ratem i Laurą. Na końcu ich ulicy mieściła się jedna z dwóch tuzinów kafeterii prowadzonych przez żołnierzy, w których za dwa reaganistańskie dolary można było coś przekąsić. Mimo sutego śniadania James wstąpił tam na hamburgera, a Laura i Rat kupili sobie po puszce napoju i porcji indyjskich pierożków samosa.

Kiedy wrócili na ulicę z jedzeniem, dwaj żołnierze na patrolu przywitali ich uprzejmie i poinformowali o nagrodzie w wysokości stu reaganistańskich dolarów dla każdego, kto poda informacje o powstańcach albo wskaże miejsce ukrycia broni.

– W centrum jest kilka sklepów z gramami na PSP i innymi fajnymi rzeczami – dodał jeden z żołnierzy. – Dlatego warto się pofatygować, jeżeli coś usłyszycie.

– Dzięki – powiedziała pogodnie Laura, ale spochmurniała natychmiast, kiedy patrol oddalił się na bezpieczną odległość. – Jak będą tak pogrywać, to zaraz całe miasto będzie na nas kablować.

– Przynajmniej te warzywne pierożki mają dobre – skwitował Rat i podniósł głowę, wypatrując źródła dochodzącego z góry cichego brzęczenia.

Płynący po niebie nieduży bezpilotowy samolocik miał pod brzuchem połyskliwą kopułę najeżoną sprzętem obserwacyjnym.

– Chłopaki nie oszczędzają na niczym – westchnął James, spoglądając w górę. – Te maleństwa mają laserowe układy naprowadzające, sterowane zdalnie przez pilotów na ziemi. Oświetlają wybraną rzecz promieniem lasera, rakieta widzi plamkę światła, kieruje się na nią i uderza prosto w cel.

– Nie będą wysadzać budynków na ćwiczeniach – zauważył Rat. – Ale jedno jest pewne – to cacko w dwie sekundy wykryje dachowych obserwatorów sierżanta.

*

Oglądany z zewnątrz dom Kazakowa sprawiał wrażenie luksusowego ze swoim skoszonym trawnikiem i równo przyciętym

żywoplotem, ale wewnątrz – jeśli nie liczyć przestronniejszych pokoi – nie różniło się zbyt od spartańskich mieszkań cherubinów.

Jedenaścioro agentów CHERUBA, Meryl i sierżant komandosów zeszli do piwnicy, do której nie można było zajrzeć ani z ulicy od frontu, ani z apartamentowca za domem.

– Podzieliłem główne siły powstańcze na trzy komórki – objaśnił Kazakow. – Sierżant i ja jesteśmy jedynymi punktami kontaktowymi pomiędzy nimi. Komórka pierwszo pracuje już nad stworzeniem bezpiecznego środowiska dla Maca. Komórka druga składa się z większości zespołu SAS-u i będzie pracować z ośmiuset naszymi cywilnymi sympatykami.

– Kiedy tu szliśmy, zaproponowano nam pieniądze za informacje – wtrąciła Laura. – Skąd mamy wiedzieć, że można im ufać?

– Całkowitej pewności nie mamy – powiedział Kazakow. – Ale powstańcy dostają dodatkowe dwadzieścia dolarów dziennie, które tracą w razie zdrady. Ponadto otrzymałem własny zapas reaganistańskich dolarów, więc sami też możemy pobawić się w przekupstwo, jeżeli nadarzy się sposobność.

– Ja chcę, ja chcę, ja chcę! – zawołał Jake. – Za grę na X-boksa zastrzelę wszystkich jankesów.

– Ścisz się. – Bethany cmoknęła ze zniecierpliwieniem. – Tu nie ma żartów.

Kazakow odchrząknął i kontynuował wyjaśnienia:

– Zadaniem drugiej komórki jest zabezpieczenie zapasów broni i amunicji, nękanie amerykańskich patroli, ostrzeliwanie ich ćwiczebnymi pociskami, zastawianie min pułapek, obrzucanie granatami i uprzykrzanie Amerykanom życia. Natomiast komórka trzecia składa się z zebranych tu osób, a naszym zadaniem jest wdrożenie mojej tajnej taktyki.

– Czyli co? – zapytał Jake.

Kazakow uśmiechnął się.

– Amerykanie spodziewają się, że będziemy się kryć i robić uniki. Dlatego właśnie wykażemy się inicjatywą, zaatakujemy ich bazę i zmusimy do kapitulacji.

James wybałuszył oczy.

– Ehm... Tylko że naliczyłem tu czternaście osób, a w bazie stacjonuje z tysiąc żołnierzy.

– Umiem liczyć – odciął się Kazakow. – Amerykanie podkreślają stosunek sił, żeby ćwiczenia wypadały odpowiednio imponująco. Tradycyjna mądrość wojskowa mówi, że aby skutecznie zdławić powstanie, potrzeba jednego żołnierza na dziesięcioro cywilów. W Iraku Amerykanie w najlepszym razie mieli jednego żołnierza na stu cywilów i właśnie dlatego wciąż dostawali po tyłku. Jednak w tych ćwiczeniach bierze udział osiem tysięcy cywilów i tysiąc żołnierzy. To jeden żołnierz na ośmioro cywilów; dość mundurów, by móc w każdej chwili zablokować każdą ulicę i przeszukać każdy dom. Jeżeli rozegramy to w sposób, jakiego się po nas spodziewają, będziemy mieli szczęście, jak powstanie nie padnie przed upływem tygodnia, nie mówiąc już o utrzymaniu oporu przez całe dwutygodniowe ćwiczenia. Na szczęście miałem parę miesięcy na przygotowanie się, ponadto dysponowałem raportami ze wszystkich ćwiczeń, jakie przeprowadzono w Fort Reagan od otwarcia ośrodka osiemnaście miesięcy temu. Pierwsza część mojego planu została z powodzeniem przeprowadzona, kiedy wy byliście na odprawie.

Kazakow wyjął z kieszeni mały odbiornik radiowy.

– Dowódca poligonu generał O'Halloran był uprzejmy oprowadzić mnie po swoim królestwie. Podczas gdy wy przechodziliście formalności wprowadzające, sierżant i ja zdołaliśmy umieścić nadajnik wideo w siedzibie sztabu.

Sierżant Cork popatrzył na zebranych z dumą.

– W każdej chwili będziemy wiedzieli, co knują. Moi chłopcy z komórki pierwszej monitorują sygnał na zmianę przez dwadzieścia

cztery godziny na dobę.

Cherubini uśmiechnęli się z aprobatą, ale nie mogli sobie wyobrazić, by jedna pluskwa – choćby najlepiej ulokowana – mogła zapewnić im przewagę nad ponad tysiącem wyszkolonych żołnierzy amerykańskiej armii.

– Nie zdołamy zbyt wiele, dopóki Amerykanie widzą każdy nasz ruch – ciągnął Kazakow. – Rozpoznawcze drony, takie jakie James i Laura widzieli w drodze do mnie, mogą wisieć nad wybranym obszarem przez dziesięć, dwanaście godzin i obserwować wszystko, co się na nim dzieje. Kiedy tylko się ściemni, pójdziemy wyłączyć je z gry.

24. DRONY

O szóstej było już ciemno, a Fort Reagan przypominał miejscowość wypoczynkową. Cywile w wieku szkolnym gromadzili się wokół budek z jedzeniem i małych sklepików na rogach tchnących wieczornym chłodem ulic, pojadając śmieciowe jedzenie, śmiejąc się, klnąc i flirtując.

W sklepach nie było alkoholu i nie wolno było wносить go na teren poligonu, ale rewizje przy wjeździe koncentrowały się na prześwietleniach w poszukiwaniu broni i wyglądało na to, że połowa miasta odurzała się wódką przemyconą w butelkach po wodzie mineralnej.

Osoby mające normalną pracę nie mają czasu ani potrzeby dorabiania sobie udziałem w ćwiczeniach armii, dlatego ludność Fort Reagan składała się niemal wyłącznie z młodzieży i emerytów. Prowadziło to do nieuchronnych tarć na tle zbyt głośnej muzyki, wrzasków i bieganiny na korytarzach oraz zrzucania z balkonów toreb z wodą lub mąką.

Żołnierze byli wszędzie. Za każdym razem, kiedy James wyglądał przez okno swojego mieszkania, mógł być pewien, że w polu widzenia będzie co najmniej jeden hełm. Patrolom zdarzało się zapukać do czyichś drzwi albo w sposób pozbawiony wrogości

zrewidować kogoś na ulicy. Tak jak na prawdziwej wojnie oddziałom rozkazano zaczynać delikatnie, od zdobycia zaufania ludności.

Zachęceni tym zaleceniem żołnierze zagadywali do dziewcząt na ulicach albo pozwalali starszkom potrzymać broń i opowiadać o starych wojnach. W pewnej chwili James usłyszał strzały i wychylił się nerwowo przez okno tylko po to, by zobaczyć grupę skautów stojących na dnie pustego basenu z dwoma żołnierzami i strzelającymi z ćwiczebnej amunicji do puszek po coli.

Przy całym realizmie zabudowy i zagrożeń w Fort Reagan James dostrzegł jedną poważną ułomność w organizacji ćwiczeń – dziewięćdziesiąt procent ludności cywilnej stanowili ludzie biali, zaś sto procent anglojęzyczni. Bez bariery językowej i różnic kulturowych miejsce to bardziej przypominało uniwersytecki kampus podczas tygodnia zapoznawczego niż strefę wojny w kraju Trzeciego Świata. Jednocześnie zastąpienie groźby śmierci od kuli perspektywą ubrudzenia sprasowaną kredą lub farbą nappełniło miasto dobrze wyczuwalną atmosferą braku zagrożenia.

James ustawił budzik w zegarku na wpół do siódmej wieczorem, a kiedy zadzwonił, zszedł pod klatkę wraz z Ratem i Jakiem. Tam dołączyły do nich Laura i Bethany i cała piątka wyruszyła w mrok. Fort Reagan liczył sobie niecałe dwa lata, ale latarnie celowo były przymglone, a chodniki ułożono nierówno.

Pierwszy zakręt oddalił ich od zgiełku pobliskiego fast foodu, a drugi wprowadził w wąską uliczkę poplamioną graffiti i usłaną pogniecionymi puszkami w celu stworzenia odpowiedniego klimatu.

Przy drugim końcu zaułka oślepił ich blask latarek. Męskie głosy i poszczękiwanie wojskowego ekwipunku przyprawiły Jamesa o ciarki na grzbiecie.

– Czego tu szukacie po ciemku, dzieciaki? – szczechnął oficer armii.

– Zwiedzamy. – James wzruszył ramionami jak opryskliwy uczeń. – Nudno tu, kurde, nie ma co robić.

Trzej żołnierze otoczyli grupę dzieci, po czym jeden z nich wyjął z kieszeni kamizelki szeleszczącą papierową torbę.

– Toffi z orzechami? Słodką piankę?

Cherubini po kolei sięgnęli do torby.

– Dziękuję, proszę pana – powiedział Rat, udając dobre maniere, i zatopił zęby w bryłce toffi.

– Na waszym miejscu nie zapuszczałbym się zbyt daleko od domu. Jeszcze się zgubicie czy coś – powiedział oficer. – Poza tym w ciemności lepiej cały czas nosić gogle. Te ćwiczebne pociski, których używamy, tylko pieką, jak trafią w ciało, ale z bliska mogą wybić oko.

Pięcioro cherubinów pokiwało potulnie głowami, by założywszy gogle, ruszyć w dalszą drogę. James kilka razy obejrzał się przez ramię, a skoro nic nie wskazywało na to, by żołnierze próbowali ich śledzić, grupa skręciła za róg i szybko zbiegła po metalowych schodkach do piwnicy budynku zaprojektowanego tak, by na zewnątrz przypominał sklep.

Domy oraz małe prowadzone przez wojsko sklepy i restauracje były w pełni wyposażone, ale nawet armia Stanów Zjednoczonych nie mogła sobie pozwolić na opłacenie stu tysięcy cywilów potrzebnych do całkowitego zapełnienia Fort Reagan, dlatego wiele budynków było po prostu nagimi betonowymi skorupami.

W piwnicy była elektryczność, ale nikt nie zawracał sobie głowy układaniem instalacji w ścianach i wiązki luźno poprowadzonych kabli zwisały smętnie pomiędzy słabiutkimi żarówkami. Pobliska rura wodociągowa przeciekała i ścianę na końcu pomieszczenia zdobiły wykwyty pleśni nad kałużą.

– Sierżancie, panie Kazakow – przywitał się James, wchodząc do środka. – Jak nam idzie?

– Dobrze – szepnął Kazakow. – Kerry i Gabriella są już na miejscu

i dokonują rozpoznania. Podobno lądowisko obsługuje od sześciu do ośmiu żołnierzy. Sami technicy, ani śladu straży.

– Tu macie sprzęt – powiedział sierżant, wskazując na stertę broni i amunicji. – Pistolety maszynowe, granaty z farbą, granaty błyskowe – nie pomylcie ich – świece dymne, maski przeciwgazowe i krótkofalówki. Zakładam, że wszyscy wiecie, jak się tym posługiwać.

– Jasne – rzucił jake, otwierając plecak, a wypchawszy go magazynkami, zaczął przypinać do pasa granaty.

– Patrole są wszędzie – powiedział sierżant. – Musimy założyć, że zostaniemy zatrzymani i zrewidowani gdzieś między tym miejscem a lotniskiem. Bethany, ja wezmę twoje rzeczy, a ty pójdziesz dwadzieścia metrów przed nami. Jeśli cię zatrzymają, krzycz, jakby cię nastraszyli, a wtedy zaskoczmy ich od tyłu i unieszkodlimy.

– Czy mamy oszukiwać, jeśli nas trafią? – zapytała Laura. – No wiecie, możemy próbować zmyć farbę czy coś...

– Nie – powiedział twardo Kazakow. – Chcemy wygrać, ale nie oszukuje się w grze wojennej, w przeciwnym razie cała rzecz traci jakikolwiek sens.

– Poza tym – dodał sierżant – żeby zniechęcić oszustów, stosuje się farbę, która zmywana mydłem i wodą zaczyna się pienić i brudzi wszystko dookoła. Jeśli oberwiecie, spędzacie przepisowy kwadrans, leżąc bez ruchu, a potem suniecie prosto do stanowiska mycia, gdzie mają odpowiednie chemikalia.

– Zresztą trafieni umierają tylko na dwadzieścia cztery godziny – zauważył Rat. – I podsłuchałem, jak jeden student, który był tu już kiedyś, mówił, że w bazie mają o wiele lepsze żarcie.

– Chyba dam się zastrzelić – wyszczerzyła zęby Bethany, ale Kazakow zgromił ją wzrokiem.

– Jak zobaczę, że ktokolwiek sobie odpuszcza, po powrocie do kampusu może spodziewać się sympatycznej dwudziestokilometrowki z pełnym wyposażeniem – zawarczał

Ukrainiec. – Czy wyraziłem się jasno?

– Tylko żartowałam – zapewniła pospiesznie Bethany.

– Jak daleko mamy do lotniska? – zapytał James.

– Dwa kilometry – odpowiedział Kazakow. – Ale pójdziemy okężną drogą, małymi uliczkami, więc wyjdzie około trzech.

Kiedy skierowali się z powrotem w stronę schodów, sierżant wskazał dużą foliową paczkę wypełnioną białym granulem.

– James, to też będzie ci potrzebne.

– Co to jest fenoloftaleina? – zapytał James, odczytując napis z etykiety zaalarmowany widokiem kilku symboli niebezpieczeństwa.

– Wyjątkowy prezent dla wszystkich moich amerykańskich przyjaciół – powiedział Kazakow, uśmiechając się tajemniczo.

Sierżant pospieszył z wyjaśnieniem:

– Podczas gdy inni będą zajęci lotniskiem, ty i ja wślizniemy się do bazy i zatrujemy Amerykanom wodę.

– To środek na przeczyszczenie – dodał Kazakow i ryknął śmiechem. – Będą srać, jakby nie było jutra.

*

Malutki silnik odrzutowy na grzbiecie bezzałogowej maszyny umilkł tuż po przyziemieniu i samolocik przejechał bezgłośnie kilkaset metrów, zanim wpadł w zieloną sieć rozciągniętą w poprzek pasa startowego. Dwaj młodzi technicy podbiegli do robota, odtoczyli go kilka metrów do tyłu, po czym jeden nachylił się nad skrzydłem, by otworzyć jakąś klapkę. Mężczyźni nie zdawali sobie sprawy, że są obserwowani przez lornetkę z zarośli niespełna dwadzieścia metrów dalej.

– Zgrabny tyłeczek – skomentowała Kerry. – Jednej rzeczy nie lubię w Brusie: jego kościstej pupci.

Gabriella leżała płasko na brzuchu, patrząc, jak technicy pchają dron w stronę hangaru.

– James ma fajny tyłek – zauważyła.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co ten palant zrobił – prychnęła

Kerry, odwracając się do przyjaciółki. – Myślał, że może rzucić mnie dla Dany, a potem wziąć sobie z powrotem, kiedy tylko mu się spodoba.

– Wszyscy faceci to świny – skwitowała Gabriella. – Z dwojga złego lepiej rwać przystojnych, to przynajmniej ma się trochę frajdy.

Kerry uśmiechnęła się kącikiem ust. W tej samej chwili w jej słuchawce rozległ się głos Kazakowa.

– Jesteśmy na stanowiskach. Mówcie, co widzicie, dziewczyny.

Kerry przesunęła mikrofon w dół, bliżej ust, i szybko zerknęła przez lornetkę, na wypadek gdyby zdarzyło się coś nowego.

Dwaj mężczyźni na pasie, w hangarze jedna babka. Sami technicy. W środku może być jeszcze troje pilotów sterujących dronami. Najlepiej będzie wkroczyć, kiedy rozsuna wrota hangaru, żeby wtoczyć maszynę do środka, co powinno nastąpić w ciągu mniej więcej minuty.

– Bruce, jesteś gotowy? – zapytał Kazakow.

– Gotowy – potwierdził Bruce.

– Tylko żadnej strzelaniny. Potrzebujemy tych ubranek bez plam po farbie. Dobra, Kerry, wszystkie zespoły ruszają na twój znak.

Technicy dotoczyli samolot na sam koniec hangaru, a potem jeden z nich wcisnął guzik zamykający elektryczne drzwi hangaru.

– Teraz – powiedziała Kerry.

Kerry i Gabriella patrzyły, jak Bruce i Andy wyskakują z krzaków po drugiej stronie pasa startowego. Czarna sylwetka Bruce'a poruszała się niewiarygodnie szybko, łamiąc wpół jednego z techników kopnięciem w brzuch i powalając go na beton ciosem w kark, a potem okrężnym kopnięciem zwalając z nóg drugiego, jeszcze zanim Andy zdążył dobiec na miejsce.

Sierżant, Kazakow, James, Rat, Laura i Bethany ściągnęli kaptury i ruszyli biegiem z dalszej części lotniska, podczas gdy Bruce i Andy wlekli oszołomionych techników pod drzwi hangaru.

Hangar był przystosowany do obsługi śmigłowców, ale rzęście

oświetlone wewnątrz było puste, jeżeli nie liczyć czterech małych dronów ustawionych w szeregu pod lewą ścianą. Nad jednym z nich, wśród splątanych kabli, elektronicznych modułów i narzędzi, klęczała kobieta w uniformie mechanika.

W chwili gdy uniosła wzrok, by ujrzeć, że jej koledzy zostali obezwładnieni, Bethany Parker była zaledwie dwa metry od niej.

Bethany odbezpieczyła broń i przystawiła klęczącej kobiecie lufę do twarzy.

– Chcesz oślepnąć?! – krzyknęła. – Kto jeszcze jest w budynku?

Kobieta uśmiechnęła się.

– Cmoknij mnie gdzieś, fajfokłoku.

Bethany nie wiedziała, co to znaczy fajfokłok, ale słowo brzmiało obraźliwie, więc kopnęła techniczkę w żołądek.

– Jeszcze raz – syknęła, uśmiechając się wrednie do skulonej na posadzce ofiary. – Kto tu jest poza tobą?

Podczas gdy Bethany przeszukiwała kobietę, Andy pomagał Jamesowi i sierżantowi w rozbieraniu pozostałych techników z mundurów. Kazakow, Laura i Kerry pobiegli do drzwi w tylnej ścianie hangaru i wyszli na korytarz prowadzący do sali sterowania. Gabriella objęła wartę przy wrotach hangaru, podczas gdy Bruce i Jake zabrali się do niszczenia dronów.

– Nie powiem ani słowa! – wrzasnęła kobieta i wtedy dotarło do niej, co planują chłopcy przy samolotach.

Kazakow był w kontakcie z jednym ze swoich kolegów z SAS-u, dzięki któremu wszedł w posiadanie planów niemal identycznej maszyny używanej przez Brytyjczyków. W Fort Reagan nie wolno było używać materiałów wybuchowych, ale Ukrainiec doszedł do wniosku, że wrzucenie granatu z farbą pod główną pokrywę dostępową wystarczy do przemienienia całej wrażliwej elektroniki w bezużyteczny złom.

Techniczka skoczyła w stronę Jake'a i Bruce'a.

– Nie wolno wam! – krzyknęła chrapliwie. – Wiecie, ile to

kosztuje?!

Bethany miała dość tych wrzasków i pociągnęła za spust. Dwadzieścia pocisków opuściło lufę w ciągu mniej niż dwóch sekund i przyszpiliło do ściany kobietę, która osunęła się na beton w uniformie zbryzganym różowym barwnikiem.

Do tego czasu technicy pod wrotami byli już rozebrani, a James z przerażeniem skonstatował, że mężczyzna, którego spodnie były zbliżone rozmiarem do jego własnych, nie nosi bielizny.

– Oż to brudny patafian – poskarżył się, uważnie oglądając wnętrze spodni. – Mam nadzieję, że nie zostawił mi tu małych brązowych prezentów.

Andy uśmiechał się drwiąco, podczas gdy James zamieniał swoje dzinsy i adidas na obrzydliwie ciepłe spodnie i przepocone trzewiki.

James pospiesznie zapiął kurtkę technika na swojej bluzie i przeczytał nazwisko na identyfikatorze. Naciągając patrolówkę moro głęboko na oczy, miał nadzieję, że strażnicy przy bramie głównej bazy armii nie będą się zastanawiać, dlaczego porucznik Juan-Carlo Lopez jest szesnastolatkiem o blond włosach i niebieskich oczach.

– Gotowy, James? – zapytał sierżant, dopinając kurtkę drugiego technika.

– Tak jest, panie sierżancie – powiedział James, trzaskając obcasami i salutując w groteskowy sposób.

Ledwie zdążyli wyjść w noc, kiedy wybuchł pierwszy granat. Kazakow nie znał się na technice lotniczej i nie miał pojęcia, że w celu zmniejszenia zużycia paliwa i odciążenia silnika drony mają lekkie poszycie z kompozytu węglowego, którego grubość nie przekracza dwóch milimetrów. Spodziewał się, że granat wybuchnie wewnątrz kadłuba i uszkodzi elektronikę, ale w rzeczywistości eksplozja przełamała samolot na pół.

Karbonowe odłamki rozprysły się niebezpiecznie we wszystkie

strony, a fontanna farby wystrzeliła pod sam strop hangaru, by wrócić na dół jasnoróżowym deszczem. Należało uznać za cud, że żaden z cherubinów nie został pokolorowany w stopniu wystarczającym, by uznać go za martwego.

Rat i Andy wybuchli głośnym śmiechem, ale umilkli na widok paliwa wyciekającego ze zniszczonej maszyny i rozlewającego się szybko po całej podłodze.

W chwili eksplozji Laura i Kerry wbiegały do sali sterowania i słysząc huk, odruchowo przypadły do ziemi. Dwaj piloci siedzieli przed zestawem dużych płaskich ekranów, które wyświetlały rozmaite widoki z dwóch dronów krążących właśnie nad Fort Reagan.

Pilot, który pierwszy dostrzegł intruzów, zdążył wyrwać pistolet z kabury na pasku i oddać jeden strzał. Ćwiczebny pocisk trafił Kerry w tors. W chwili gdy impet uderzenia cisnął ją w tył, na Kazakowa, Laura puściła serię z pistoletu maszynowego, obryzgując przeciwległą ścianę i obu pilotów różowym barwnikiem.

– Na ziemię, trupy! – wrzasnął Kazakow, stawiając ogromny but rosyjskiej armii na brzuchu zdezorientowanego kontrolera, którego pociski Laury zrzuciły z obrotowego krzesła na podłogę.

Kerry zaniósła się kaszlem. Chmura farby pozostawiła w powietrzu niezdrowy oleisty zapaszek.

Kazakow i Laura przyjrzeni się zachlapanym farbą ekranom, a potem zasiedli za sterami składającymi się ze standardowej klawiatury komputerowej, dżojstika i manetki przepustnicy.

– Zostawcie, nie wolno wam! – krzyknął jeden z pilotów.

– Jak zaraz nie zaczniesz udawać trupa, tak jak powinienes, to spuszczę ci manto twojego życia – pogroził mu Kazakow.

Laura eksperymentalnie trąciła palcem dżojstik i obraz na ekranie popłynął w prawo, wskazując, że operator może bezpośrednio sterować maszyną. Na brzegu ekranu pokazującego obraz z głównej kamery w dziobie samolotu widać było fragment słabo oświetlonej

bazy armii. Laura skierowała dron w jej stronę, a wtedy w hangarze tuż obok grzmotnęła druga i trzecia eksplozja farby.

Wybuch w trzecim dronie spowodował iskrzenie, od którego zapaliło się rozlane paliwo. Płomienie wystrzeliły na boki wieloramienną gwiazdą, ścigając uciekające po posadzce strużki kerozyny. Sekundę później ponaglani rykiem alarmu technicy i cherubini wybiegli z hangaru w ciemność – wszyscy oprócz Jake'a i Laury.

Na tyłach hangaru Jake przebiegł korytarzem do sali sterowania.

– Palimy się! – krzyknął, znieruchomiał na chwilę, by przyjrzeć się bryzgom farby na ścianach, i pociągnął Laurę za rękę.

– Momencik – powiedziała Laura. – Nie wiedziałam, że tak ci na mnie zależy.

Nie wpadała w panikę, ponieważ do wyjścia ewakuacyjnego miała niecałe dwa metry, a dwaj niby–martwi piloci zbierali się już do wyjścia. Nie chcąc dopuścić, by dron rozbił się na terenie Fort Reagan, co naraziłoby ludzi na niebezpieczeństwo, skierowała maszynę w stronę pustyni i pozostawiła na lekko opadającej trajektorii.

Rozbije się na pustkowiu za jakąś minutę lub dwie – powiedziała, wstając z krzesła.

Kazakow nie był tak biegły w sterowaniu aparatami latającymi i pomarudził chwilę dłużej, nim zdołał ustawić swoją maszynę na podobnym kursie. Kiedy wreszcie wyszli na zewnątrz, wcisnął przycisk nadawania i przygiął mikrofon do ust.

– Wszyscy bezpieczni? – zapytał.

– Jeśli Jake, Kerry i Laura są z panem, to tak – potwierdził Rat sprzed hangaru i obejrzał się zaskoczony ogłuszającym sykiem dobiegającym z wnętrza budynku.

Ściany i strop hangaru eksplodowały strugami proszku gaśniczego i dwutlenku węgla. Samoloty miewają w zbiornikach ogromne ilości łatwopalnego paliwa, dlatego świeżo wybudowany

obiekt wyposażono w instalację gaśniczą zdolną błyskawicznie odciąć dopływ tlenu do ognia i w ten sposób w kilka sekund zdusić nawet najgwałtowniejszy pożar.

Rat podbiegł za róg hangaru, gdzie dołączył do Kazakowa i reszty grupy. Wycie syren alarmowych i unoszące się w niebo białe chmury proszku gaśniczego musiały wkrótce zwabić duży oddział z głównej bazy armii oddalonej o niecałe pół kilometra od lotniska.

– Zaraz tu będą, lepiej się stąd zmywajmy – powiedział Kazakow.
– Z wyjątkiem ciebie, Kerry. Biegnij do myjni, ale trzymaj buzię na kłódkę. Za dwadzieścia cztery godziny masz być z powrotem w mieszkaniu, odświeżona i syta.

25. WODA

James obejrzał się przez ramię na białe kłęby bijące z jasno oświetlonego wnętrza hangaru. Z oddalonych o sto metrów koszar wybiegały zdeorganizowane grupki żołnierzy, a sierżant Cork konferował przez radio z Kazakowem.

– Co powiedział? – zapytał James, kiedy ruszyli w stronę bazy, wydłużając krok.

– Myśli, że to jego urodziny – odpowiedział Cork. – Ty i ja kontynuujemy akcję zgodnie z planem.

– Myślałem, że zgodnie z planem mieliśmy dostać się do bazy, zanim rozpęta się piekło.

Sierżant uśmiechnął się.

– Uczyli was improwizować, prawda?

James nie odpowiedział, ponieważ właśnie dotarli do granicy bazy. Otwartej bramy z siatki ogrodzeniowej strzegło dwoje szeregowców, kobieta i mężczyzna. Każdy musiał okazać identyfikator, a w obecności tuzina żołnierzy wszczynanie walki nie miałooby sensu.

– Wiadomość dla generała – powiedział sierżant Cork z amerykańskim akcentem, błyskając znaną w kieszeni kartą identyfikacyjną.

Ciemnoskóry wartownik nawet na nią nie spojrział.

– Co się tam u was dzieje, stary?

– Dron się zapalił. – Cork wzruszył ramionami. – Zdaje się, że jakiś przygłup mechanik jarał przy paliwie.

– Nikomu nic się nie stało?

– Chyba nie.

– Oj, czuję, że generał się wkurzy – zaśmiał się wartownik. – Stary, nie chciałbym być w twojej skórze.

James machnął kartą Juana–Carla Lopeza przed oczami strażniczki i pobiegł za sierżantem. Kobieta krzyknęła za nim, jakby chciała przyjrzeć się dokładniej, ale James udał, że nie słyszy, a ona zrezygnowała z pościgu.

Baza była instalacją stałą, ale jak wszystko w Fort Reagan miała imitować strefę wojny. Zabudowę stanowiła mieszanka prefabrykowanych budynków poskręcanych z aluminiowych segmentów i ogromnych namiotów wyposażonych w winylowe podłogi i klimatyzatory.

Przebiegłszy pięćdziesiąt metrów, James i Cork skręcili na wyłożoną deskami alejkę pomiędzy dwoma długimi żołnierskimi namiotami. Sierżant przykucnął i oświetlił papierową mapę małą latarką. W stożku światła zatańczyły pustynne ćmy.

– Czego szukamy? – zapytał James.

– Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów w tę stronę. – Cork wskazał na północ. – Jedyne stały budynki w koszarach. Dostarcza prąd i wodę dla całej bazy.

Armia szybko odzyskiwała rozeznanie w sytuacji. Zanim sierżant ruszył w dalszą drogę, buczer zawył trzy razy i odezwały się głośniki na słupach.

– Zgłoszono wrogie działania. Wszystkie wolne jednostki patrolowe natychmiast zgłoszą się w parku pojazdów.

Namioty po obu stronach alejki były pełne odpoczywających żołnierzy i komunikat wywołał burzę przekleństw. Słysząc było

rumor przesuwanych sprzętów i komentarze w rodzaju: „Znowu jakieś kretyńskie ćwiczenia, co tym razem wymyślili, żeby dać nam w kość?”. Uśmiechając się w duchu, James ruszył w ślad za sierżantem Corkiem.

Za namiotami rozciągał się asfaltowy plac wypełniony wojskowymi hummerami i transporterami opancerzonymi.

W celu zwiększenia bezpieczeństwa cywilów przód i tył każdego pojazdu pomalowano żółtą farbą fluorescencyjną, a tabliczki na drzwiach kierowcy informowały, że prędkość maksymalna została mechanicznie ograniczona do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Żołnierze wbiegali na parking i wskakiwali na otwarte skrzynie hummerów, które dołączały następnie do kolumny pojazdów sunącej w stronę szerokiej bramy dla ruchu zmotoryzowanego.

– Zabierać się stąd, ale już! – wrzeszczał wściekły oficer. – Jazda do swoich sektorów i chesać każdego cywila, jakiego zobaczycie! Dawać mi tych powstańczych sukinsynów na grillowanie. Mamy ludzi, mamy sprzęt, więc do świtu cała ta buntownicza banda ma być rozpirzona w drobiazgi, jasne?!

– Chyba zepsuliśmy mu wieczór – powiedział James, uśmiechając się do sierżanta, kiedy przedostali się na drugi kraniec placu.

Budynek stacji zasilającej był betonowym kłocem o blaszanym dachu. Po jednej stronie znajdował się wkopany do połowy w ziemię zbiornik paliwa dla generatora, po drugiej – pęk rur i grubych kabli elektrycznych pełzył po skalistym zboczu w stronę pozostałej części bazy.

Opustoszała asfaltowa droga prowadząca do stacji była jasno oświetlona i doskonale widoczna z bramy dla pojazdów, dlatego sierżant Cork skręcił na wspinającą się stromo, wykutą w skale ścieżkę dla pieszych. Tutaj jedyne światło pochodziło z lamp odległych samochodów i James wzdrygnął się, kiedy otarłszy ramieniem o skalną ścianę, spłoszył siedzącą tam jaszczurkę.

– Będę cię osłaniał – powiedział Cork, szykując swój karabin do strzału, i pchnął Jamesa w stronę budynku.

Nie słysząc nic prócz własnego oddechu, James przebiegł przez pas asfaltu przed betonowym frontem stacji.

Jęknęły ciężkie stalowe drzwi i cherubin znalazł się w mrocznym holu.

– Halo? – powiedział, siląc się na niewinny ton, na wypadek gdyby miał towarzystwo.

Za drzwiami pokrytymi milionem złotych naklejek ostrzegawczych buczał generator, a wiszący w powietrzu swąd spalenizny przypominał Jamesowi lekcję techniki, na której niechcący zwęglił obwód drukowany.

Upewniwszy się, że jest sam, ruszył wzdłuż korytarza, który otwierał się na przestronne pomieszczenie o podwójnej wysokości. Znajdował się w nim olbrzymi beczkowaty zbiornik na wodę z drabiną inspekcyjną na boku.

James wyjął krótkofalówkę.

– Teren czysty, sierżancie.

Zanim sierżant Cork zjawił się na miejscu, James zdążył wyjąć z plecaka paczkę z fenoloftaleiną i był gotowy rozciąć ją swoim multinarzędziem.

– Nie! – krzyknął panicznie Cork. – Połknij trzy grudki tego świństwa, a za osiemnaście godzin będziesz furczał tyłkiem jak prom kosmiczny.

Cork rzucił Jamesowi gumowe rękawiczki i maskę lakierniczą, po czym wspiął się na drabinę i otworzył klapę inspekcyjną. James rozciął torbę, podał ją sierżantowi, a kiedy ten zajął się wsypywaniem proszku do olbrzymiego zbiornika, otworzył plecak komandosa, by przygotować drugi ładunek.

– Bułka z masłem – wyszczerzył zęby sierżant, schodząc na dół, gdy już uporał się z zadaniem.

Puste torby po fenoloftaleinie, rękawice i maski włożyli do

foliowej torby z hermetycznym zamknięciem typu zip–loc i wrzucili do dużego śmietnika pod ścianą. Cork wręczył Jamesowi butelkę z alkoholowym żelem do rąk.

– Nie żałuj sobie – poradził sierżant. – Umyj ręce, a potem nos i usta. Kiedy wrócisz do mieszkania, zapakuj mundur w szczelny worek na śmieci i pozbądź się go, a potem weź długi, gorący prysznic. Do tego czasu nie jedz i nie pij niczego, czego dotknąłeś, i w żadnym wypadku nie zbliżaj dłoni do ust.

James był zaskoczony poziomem zalecanej ostrożności.

– Dżizas... Jak bardzo to jest toksyczne?

– To wersja wojskowa, przeznaczona do operacji specjalnych – wyjaśnił Cork, zaciskając oczy i smarując twarz żelem. – Środek czynny jest zamknięty w mikroskopijnych kapsułkach, które rozpuszczają się i zaczynają uwalniać zawartość mniej więcej dwadzieścia godzin po pierwszym kontakcie z wodą. Wystarczy jedna trzydziesta grama, by wywołać silne skurcze żołądka i ostrą biegunkę.

– Nic miłego – powiedział James, zerkając na zegarek, po czym zarzucił plecak na ramię i skierował się ku wyjściu. – Teoretycznie za dwadzieścia i pół godziny każdy Amerykanin w tej bazie powinien dostać biegunki swojego życia.

Cork parsknął śmiechem.

– Na to liczy Kazakow.

26. UCIECZKA

Wykonawszy zadanie, James i sierżant Cork ruszyli skalną ścieżką z powrotem w stronę bazy. Przy głównej bramie ciągnęła się krótka kolejka ostatnich hummerów czekających na przydział sektorów do patrolowania.

Po prawie pustym parkingu wciąż miotał się wrzeszczący oficer.

– Chcę informacji! Chcę mieć ich łby na talerzu! Tak jest, oto moi chłopcy! Do roboty, chłopaki i pokażcie im, kto tu rządzi!

– Mieliśmy wejść i wyjść, zanim armia odkryje, że zaatakowaliśmy lotnisko – poskarżył się James. – I jak teraz mamy wrócić do bazy, skoro szuka nas pięciuset żołnierzy?

Sierżant Cork wzruszył ramionami.

– Jeśli pięciuset żołnierzy szuka nas w mieście, to tutaj pozostało niewiele.

Cork wszedł do najbliższego z sześćdziesięciometrowych namiotów mieszkalnych i krzyknął:

– Widział ktoś kaprala Smitha?

Gdyby namiot okazał się pełen ludzi, mógł się łatwo wycofać, tłumacząc się pomyłką, ale tak jak oczekiwał, każdego mężczyznę i kobietę w bazie posłano do patrolowania ulic. James wszedł za sierżantem do namiotu i po porzrzucanych ubraniach i

migoczących w mroku miniaturowych telewizorach poznał, że lokatorzy opuszczali to miejsce w wielkim pośpiechu.

Namiot był podzielony na przechodnie przedziały mieszczące po osiem łóżek – cztery po każdej stronie. W co czwartym urządzono świetlicę z dużym telewizorem i stołem bilardowym lub piłkarzykami. Mijając kolejne przedziały, James i sierżant Cork napotkali tylko jedną osobę – mężczyznę z nogą w gipsie, który leżał w samej bieliźnie na pryczy i kiwał głową do swojego iPoda.

– Tu będzie tak samo dobrze jak wszędzie – powiedział sierżant, kiedy zatrzymali się przy siódmym przedziale położonym mniej więcej w połowie pomiędzy środkiem a końcem długiego brezentowego tunelu.

Z otwartej szafki Cork wyjął czysty mundur, ręcznik i buty, a potem wskazał Jamesowi plastikową kabinę prysznicową w rogu po drugiej stronie przedziału.

– Przecież dopiero co zatruliśmy wodę – zdumiał się James.

– Ze zbiornika dotąd daleka droga – wyjaśnił sierżant. – Minie dobra godzina, zanim skażenie dotrze aż tutaj.

– A jeśli ktoś przyjdzie?

– Coś wymyślimy – powiedział Cork niedbałym tonem. – Chcę się umyć i przebrać w czyste ciuchy. Potem odsapniemy sobie tutaj godzinkę lub dwie i ruszymy do domu, kiedy całe to zamieszanie trochę przycichnie.

Jamesowi spodobał się plan sierżanta, tym bardziej że nie czuł się komfortowo ani z gryzącym zapachem wody po goleniu porucznika Lopeza, ani ze świadomością, że jego ubranie może być skażone mikroskopijnymi kapsułkami z fenoloftaleiną.

Kąpiel okazała się szczególnym doświadczeniem. James wstąpił za zasłonkę do brudnego plastikowego brodzika, który ugiął się pod jego ciężarem, po czym stał bezradnie, zaskoczony brakiem pokręteł, dopóki nie odkrył, że aby popłynęła woda, należy ująć końcówkę i nacisnąć metalowy język.

Kiedy wyszedł dwie minuty później, nagi, gęsto wytatuowany sierżant rzucił mu ręcznik i zajął jego miejsce za zasłonką. Mundur, w jaki ubrał się James, nadal należał do obcej osoby, ale tym razem zielony T-shirt i piaskowego koloru spodnie były świeżo wyprane. Jedyne rozsądne buty, jakie znalazł, były nieco za duże, więc wyszperał z szafki dwie pary skarpet i włożył, uprzednio spryskawszy je obficie czymś dezodorantem.

– Co widziałeś? – zapytał kobiecy głos.

James wyjrzał ostrożnie za przepierzenie. Serce zabiło mu żywiej, kiedy ujrzał strażniczkę spod bramy, której towarzyszyła kobieta w oficerskim mundurze. Stały dwa przedziały dalej i rozmawiały z mężczyzną ze złamaną nogą. James przeskoczył chyłkiem na drugą stronę namiotu, gdzie był prysznic.

– Mamy towarzystwo – rzucił nerwowo.

– No to co?

– Szukają nas. To ta babka spod bramy.

– Naprawdę? – przestraszył się Cork.

Anglik wyskoczył zza sztywnej zasłonki i ściągnął wilgotny ręcznik Jamesa z końca pryczy. James jeszcze raz wyjrzał za ściankę i zobaczył, że strażniczka idzie w ich stronę.

– Leć – polecił sierżant, naciągając spodnie w podskokach. – Dogonię cię.

Jamesa zauważono, kiedy przeskakiwał przez centralne przejście po plecaku. Rozległ się ostry trzask, po którym nastąpiła kredowo-różowa eksplozja, ale James zdążył przypaść do ziemi między dwoma łózkami.

Ubrany jedynie w spodnie Cork złapał swój karabin, spokojnie wymierzył i oddał dwa szybkie precyzyjne strzały. James osłaniany przez sierżanta wystartował z poślizgiem na winylowej podłodze i wpadł na czworakach do następnego przedziału, ale w tej samej chwili klapy namiotu dwadzieścia metrów przed nim rozchyliły się i do środka wbiegli jeszcze trzej żołnierze.

Namiot miał rozpinane boczne wejścia w przedziałach wypoczynkowych i niektóre z nich pozostawiono otwarte dla dostępu powietrza, ale żadnego z nich James nie zdążyłby dopaść przed pogonią. I wtedy jego wzrok padł na przenośny klimatyzator nad łóżkiem polowym wpięty w otwór w brezentowej ścianie.

Wskoczył na łóżko.

– O ja cię Florian, ja ją znam! – zawołał nerwowo Cork, strzelając raz w jedną, raz w drugą stronę wzdłuż centralnego przejścia namiotu. – Ta babka na warcie. Była na konferencji sił specjalnych NATO na Malcie w zeszłym roku. Musiała nabrać podejrzeń, kiedy przelecieliśmy przez bramę.

James zamachnął się i z całej siły walnął w klimatyzator. Łóżko ze zgrzytem przesunęło się do tyłu, poszycie namiotu wydeło się, ale w miejscu, w którym urządzenie było przymocowane do grubego brezentu, pojawiło się pionowe rozdarcie. James naciągnął brezent jedną ręką, a drugą miarowo uderzał w klimatyzator.

Po tuzinie bolesnych ciosów klimatyzator przechylił się na zewnątrz, odrywając od swoich mocowań i z głuchym tąpnięciem gruchnął w piasek na zewnątrz.

– Nieźle – uśmiechnął się Cork, trzymając atakujących żołnierzy na dystans ogniem osłonowym.

James przerzucił swój plecak przez kwadratową dziurę w brezencie, a potem złapał za krawędź i podciągnął się z łóżka.

Głowa przeszła, ale ramiona utknęły w otworze i Cork musiał przerwać ostrzał, żeby wypchnąć go na zewnątrz. Pochyła ściana namiotu zadziałała jak zjeżdżalnia, ale James miał obolałą dłoń od uderzania w klimatyzator, a twarde lądowanie bynajmniej nie umniejszyło jego cierpienia.

– Bierz oba! – zawołał Cork, rzucając przez otwór swój plecak.

James był zdezorientowany i dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że sierżant nie wraca wraz z nim. Skoro jego własne szesnastoletnie ciało potrzebowało pomocy, by precyzyjnie się przez

otwór, Cork nie miał najmniejszej szansy.

– Dostałem! – krzyknął sierżant i strzelanina w namiocie nagle się urwała. – Postaw zasłonę dymną i zwiewaj.

W nadziei, że zyska w ten sposób kilka sekund, James odpiął od plecaka granat dymny, wyrwawszy zawleczkę, cisnął go przez otwór do namiotu, po czym rzucił się do ucieczki. Na szkoleniu podstawowym cherubini uczą się, że zawsze powinni być świadomi sytuacji taktycznej i mieć przemyślane różne warianty postępowania. James zdał sobie sprawę, że do tej pory polegał całkowicie na swoich przełożonych. Kazakow i sierżant Cork myśleli za niego, teraz musiał myśleć sam.

Sytuacja mu nie sprzyjała: tkwił w środku bazy wojskowej postawionej w stan alarmu, w której wszyscy mieli zacząć go szukać, kiedy tylko żołnierze w namiocie oczyszczą płuca z dymu i sięgną po swoje radia. Od głównej bramy dzieliło go pięćdziesiąt metrów i najlepszą, a zapewne także jedyną szansę na wydostanie się na zewnątrz dawał mu atak z zaskoczenia.

Podbiegł do końca drewnianej ścieżki między namiotami, przykucnął i ostrożnie wyjrzał za róg. Brama była już zamknięta, a straż wzmocniono dodatkową parą żołnierzy, ale wartownicy mimo okoliczności nie wyglądali na wyjątkowo czujnych.

James kontrolnie zerknął za siebie i zdjął z pleców pistolet maszynowy. Położył przed sobą granat błyskowy i dwa dymne, a potem przykląkł na jednym kolanie, wsparł kolbę o ramię i złożył się do strzału, biorąc na cel najbliższego wartownika.

Lampy na ogrodzeniu bazy dobrze oświetlały teren, ułatwiając celowanie. Z pięćdziesięciu metrów James bez trudu trafił strażnika w sam środek pleców. Krótki ruch lufą w prawo pozwolił mu wyłączyć z gry drugiego eksplozją różowego barwnika.

– Kryć się! – krzyknął trzeci wartownik i rzucił się na ziemię, a trzeci pocisk gwizdnął mu nad głową.

James wyrwał zawleczkę z granatu błyskowego i cisnął go w

stronę wartowników. Jeden granat dymny rzucił na ziemię niczyją pomiędzy namiotem a bramą, zaś trzeci pozostawił na ziemi za sobą. Następnie przełączył karabin na ogień ciągły i wyskoczywszy z ukrycia, puścił się biegiem w stronę bramy. W tej samej chwili błysk pierwszego granatu na chwilę przemienił noc w dzień.

Błysk tymczasowo wyłączył z walki czwartego wartownika, ale trzeci leżał na brzuchu i strzelał na oślep przez gęstniejącą zasłonę dymną. Z namiotów zaczęli wybiegać kolejni żołnierze i świst pocisków nad lewym ramieniem Jamesa uświadomił mu nagle, że po celowaniu do strażników przez lunetę zapomniał założyć gogle.

Perspektywa utraty wzroku przeraziła go, ale nie przerwał biegu. Dym wypełniał mu płuca i słyszał okrzyki ludzi zbliżających się doń ze wszystkich stron, ale do bramy zostało mu niecałe pięć metrów.

Chwilowy prześwit w dymie pozwolił Jamesowi na oddanie strzału w stronę ostatniego walczącego wartownika ale ogarnięty paniką haniebnie chybił. Strażnik wycelował staranniej i jego strzał przemknął tak blisko, że James poczuł go na skórze. Ostatni pocisk z magazynku Jamesa trafił leżącego w udo.

Strzały dobiegały ze wszystkich stron, ale dym zapewniał wyśmienitą osłonę. James dopadł grzechoczącej siatkowej bramy, niemal za późno orientując się, że aby ją otworzyć, musi jeszcze wysunąć z ziemi stalowy bolec. Kiedy dwa pociski świsnęły przez oczka siatki niebezpiecznie blisko niego, James obejrzał się z przestraszeniem na leżących, teoretycznie martwych strażników. Gdyby wypuścili zbiega, dowódca prawie na pewno urządziłby im piekło. Jeden z nich złapał więc Jamesa za kostkę.

– Oszust! – krzyknął James i uwolnił się wściekłym wierzgnięciem.

Niemal bezwiednie odblokował bramę i naparł na skrzydło, odsuwając je na tyle, by móc przecisnąć się na zewnątrz. Od dymu łzawiły mu oczy. Płuca piekły go żywym ogniem i miał wrażenie, że do stóp przywiązano mu betonowe bloki, ale gnany strachem zsunął

gogle na oczy i puścił się biegiem w ciemność.

27. POWTÓRKA

James biegł po otwartym terenie przed bazą, osłaniany od tyłu kłębamii dymu, wśród okazjonalnych rozbryzgów farby z wystrzeliwanych na oślep pocisków. Pokonawszy w ten sposób kilkaset metrów, dotarł wreszcie do labiryntu niskich baraków mających przypominać dzielnicę slumsów.

Inaczej niż prawdziwe slumsy zbudowane ze śmieci ich sterylna odmiana z Fort Reagan składała się z betonowych budynków z prądem, wodą i kanalizacją. Ciasno stłoczone mieszkadła nie dawały zbyt wiele prywatności, ale pod wieloma względami przypominały akademiki, do których przywykli ich lokatorzy.

Na spieczonej ziemi placu targowego bosc dziewczyny tańczyły wokół ogniska przy dźwiękach ryczącej ze wszystkich stron muzyki. W celu stworzenia bardziej autentycznej atmosfery jedzenie w slumsach sprzedawano ze straganów, a jednostka inżynieryjna, która obsługiwała Fort Reagan, na czas dwutygodniowych ćwiczeń wypuszczała na ulice kozy i kurczaki. Większość zwierząt była oswojona i młodzież karmiła je chrupkami kukurydzianymi.

Impreza na placu ogołociła tylne uliczki z ludzi. James kluczył przez pewien czas, by po kilku zakrętach przycupnąć w zaułku między barakami, chcąc złapać oddech. Wpatrywał się podejrzliwie

w mrok za sobą, ale wyglądało na to, że żaden z amerykańskich żołnierzy nie zapuścił się za nim w ten rejon.

Odsapnąwszy, wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

– Kazakow? – wyszeptał.

– Melduj głośno i wyraźnie – niezwłocznie odpowiedział Ukrainiec. – Jak wam poszło?

– Przesyłka dostarczona, ale w drodze powrotnej musieliśmy trochę powalczyć. Sierżant oberwał, a ja będę potrzebował jakiegoś wsparcia, żeby wrócić do domu.

– Nic z tego – odparł Kazakow. – Nie jesteś tutaj potrzebny, a w ciemności łatwo cię śledzić. Trzymaj się z dala od bazy aż do świtu.

James cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– To co ja mam robić? Gdzie ja będę spał?

– Zdaję się na twoją pomysłowość. Mam dość własnych problemów na głowie. Bez odbioru.

Ton, z jakim Kazakow powiedział: „Bez odbioru”, nie pozwalał wątpić, że nie życzy sobie słyszeć głosu Jamesa co najmniej do rana.

– Nie do wiary – wymamrotał do siebie James. – Po wszystkim, co zrobiłem dla tego walniętego pacana...

Choć broń zapewniała Jamesowi pewną ochronę, połączenie młodego wieku i niedopasowanego amerykańskiego munduru uniemożliwiało mu wtopienie się w tłum. Zapowiadała się długa noc i musiał szybko znaleźć sobie dobre schronienie.

*

Natychmiast po unieszkodliwieniu bezpilotowców Kazakow zawiadomił przez radio swoich ludzi z SAS-u. Na wyznaczone pozycje na dachach wypęzli snajperzy, którzy zaczęli siać spustoszenie wśród amerykańskich żołnierzy patrolujących ulice.

Kazakow wyprowadził Laureę, Bethany, Rata, Gabriellę, Bruce'a, Jake'a i Andy'ego z lotniska i cała grupa szybkim marszem ruszyła w stronę swojej bazy. Cherubini byli świetnie uzbrojeni i kiedy natknęli się na amerykański punkt kontrolny, pierwsi otworzyli

ogień, unieszkodliwiając trzech żołnierzy pociskami i granatami z farbą i napędzając porządnego stracha grupie cywilów czekających w kolejce na kontrolę.

Żołnierze miotali się między sprzecznymi nakazami. Poślano ich do miasta, by oswajali ludność cywilną, ale jak tu się zaprzyjaźnić, kiedy wokół świszczą pociski i wybuchają granaty z farbą ciskane na nich z balkonów.

Każdy żołnierz wiedział, że dziesięciu procentom ludności obiecano premię za wspieranie powstania i przyjazne przekomarzenie się pomiędzy armią a cywilami szybko ustąpiło pola podejrzliwości. Wprawdzie były to tylko ćwiczenia, ale każdy żołnierz miał jak najbardziej realną motywację, by się starać. Dobre wyniki prowadziły do awansów i związanych z nimi podwyżek żołdu; złe groziły zastojem w karierze, a być może nawet przeniesieniem do mniej prestiżowych jednostek pomocniczych.

W ciągu dwudziestu minut od zniszczenia dronów generał Shirley zarządził ustawienie tuzinów dodatkowych punktów kontrolnych, by uniemożliwić buntownikom swobodne poruszanie się po mieście. W najbardziej wrażliwych dzielnicach zarządzono godzinę policyjną i kazano wszystkim schronić się w budynkach.

Wielu młodych cywilów, często pod wpływem alkoholu, zaczęło zachowywać się agresywnie. Nikt nie miał ochoty dać się zamknąć w betonowej klitce o wpół do dziewiątej wieczorem. Ludzie byli zatrzymywani i przeszukiwani przez rozdrażnionych żołnierzy po raz drugi i trzeci w ciągu minionych godzin i choć była to tylko gra, irytowało ich, że muszą czekać przez dziesięć minut w kolejce przed punktem kontrolnym tylko po to, by przejść na następną ulicę do znajomego lub po zakupy.

Wolno stojący dom Kazakowa stanowił łatwy cel dla nie spodziewanego nalotu, dlatego Ukrainiec dołączył do cherubinów korzystających ze względnej anonimowości bloku mieszkalnego. Spoceni i zdyszani agenci wtarabanili się do lokalu dziewcząt,

cisnęli plecaki na podłogę i porozkładali się na kanapach.

– Jak tam moje oczy i uszy? – zapytał Kazakow, kiedy Kevin wrócił z tylnej sypialni z lornetką na szyi.

– Dobrze – uśmiechnął się chłopiec, chociaż wciąż był zły, że nie pozwolono mu pójść na główną akcję razem z innymi. – Do budynku wszedł trzyosobowy patrol, który chodził od drzwi do drzwi. Poleciałem na dół, na trzecie piętro, i zastawiłem pułapkę z granatu, tak jak mi pan pokazał. Załatwiłem wszystkich trzech.

– Dobra robota – pochwalił Kazakow. – A snajperzy SAS-u?

– Zdaje się, że sobie radzą – pokiwał głową Kevin. – Rozwalili wszystkich żołnierzy kręcących się przy kantynie i tak długo obrzucali granatami blokady, aż Amerykanie wycofali się z osiedla. Od ponad pół godziny nie widziałem ani jednego munduru.

Meryl przyszła z kuchni, niosąc plastikową tacę pełną parujących kawałków pizzy.

– Gdzie pozostali? – zapytała, kiedy cherubini rzucili się na jedzenie.

– Kerry i sierżant nie żyją, James ukrywa się w mieście.

– Mam zostawić dla niego jedzenie?

Kazakow potrząsnął głową.

– Kazałem mu odczekać do rana, na wypadek gdyby miał ogon.

– Chyba nieźle się wkurzył, kiedy pan Kaz zabronił mu przychodzić.

– I dobrze, więcej pizzy dla nas – skwitował Jake, sięgając po następny kawałek.

– A co z całym tym sprzętem? – zapytała Laura. – Jak armia zacznie przeszukiwać blok, będziemy ugotowani.

– Nie ruszamy się stąd – powiedział stanowczo Kazakow, wyjmując z kieszeni spodni mały odbiornik wideo. – Całą broń trzymamy przy sobie. Będziemy musieli wystawić czujki przy frontowym i tylnym wejściu. Jeżeli z jakiegoś powodu armia zabłądzi aż tutaj, powinniśmy zdążyć urządzić zasadzkę, zanim

podejdą zbyt blisko.

W mieszkaniu był telewizor zawieszony na ścianie za ochronną taflą szkła akrylowego.

– To będzie dobre – mruknął Kazakow i szczerząc zęby jak dzieciak do oranżady, połączył odbiornik z telewizorem kablem audio/video.

Ukrainiec przeklinał przez chwilę pilota do zdalnego sterowania, aż odnalazł przycisk, którym przywołał na ekran ziarnisty kolorowy obraz. Przedstawiał coś, co wyglądało jak krawędź biurka, oraz kilka niewyraźnych ekranów komputerowych widocznych pod sporym kątem. W dolnej części obrazu wyświetlała się data i godzina.

– Niezłe ujęcie, Spielberg – prychnął szyderczo Jake.

– Miałem tylko parę sekund na ustawienie kamery – powiedział Kazakow z irytacją. – Zamknij się i słuchaj.

Twardy dysk w odbiorniku Kazakowa mógł zarejestrować kilkugodzinne nagranie wideo. Ukrainiec ustawił początek odtwarzania na moment o dwie minuty poprzedzający wysadzenie dronów.

Telewizor pokazał parę wojskowych gланów wspartych o biurko na pierwszym planie, a z głośnika popłynęły odgłosy partyjki pokera rozgrywanej poza kadrem przez znudzonych oficerów administracyjnych po drugiej stronie pokoju.

Cherubini zdążyli stłoczyć się przed ekranem, trzymając puszki z colą i wypychając sobie usta resztkami pizzy, kiedy do sali dowództwa dotarł raport o ataku na lotnisko. Obraz pokazywał tylko blat i niebieskawe plamy monitorów, ale jakość dźwięku była znakomita.

Zatupały żołnierskie buty, trzasnęły drzwi. Jakiś żołnierz ostrzegł głośno, że gówno zaraz wpadnie w wentylator, i zaraz potem do sali wparował generał Shirley.

– Meldować – krzyknął.

– Odezwał się jeden z operatorów dronów, sir. Są atakowani. Podobno grupa zamaskowanych nastolatków rozwala nam bezpilotowce.

– Co takiego?!

– Bezpilotowce, panie generale. Służą do...

– Wiem, do czego służą bezpilotowce, kapralu! Masz mnie pan za durnia? Wysłać tam ludzi i zbadać sprawę. Jeśli to buntownicy, macie ich schwytać.

– Te maszyny nie są tanie – ciągnął kapral. – Czy nie posłał pan na lotnisko oddziału ochrony?

Zapadła przedłużająca się cisza.

Nowy głos:

– Generale...? Co mamy robić?

– No żeż jasna cholera! – wybuchł generał. – Mieli zachowywać się jak rebelianci! Mieli biegać po ulicach i podkładać bomby, a nie wchodzić frontowymi drzwiami i niszczyć moje samoloty. Co to ma być za rebelia, ja się pytam?

– Kiedy byłem w Iraku, wszystkie nasze bazy były ostro ostrzeliwane z moździerzy – zauważył kapral. – Rebelianci zaatakują cokolwiek, co nie ma wystarczającej ochrony.

– Kapralu, możecie odejść! – krzyknął generał Shirley. – Kiedy będę potrzebował waszych opinii, sam o nie poproszę. Kazakow! Oż to sukinsyn jeden. Tam jest sprzętu za ponad sześć milionów dolarów...

Zadzwoił telefon. Odebrała kobieta.

– Panie generale, na linii komendant ośrodka Sean O'Halloran – powiedziała po chwili. – Chce wiedzieć, czy jest pan świadom, że na lotnisku słyszano eksplozje...

– Nie teraz, jestem zajęty... Otwarty atak na moją bazę. Ten Rusek... Dobra, oto moje rozkazy. Ustawić blokady na każdej ulicy. Nie będzie zabawy w miłych Amerykanów. Wykopać każdego zdolnego do walki żołnierza z bazy i niech idą rozwalać łby. Chcę

widzieć zdobytą broń, a buntowników aresztowanych albo martwych!

Kobieta ponownie zabrała głos.

– Pan komendant domaga się rozmowy z panem, generale. Mówi, że jest pan osobiście odpowiedzialny za wszelki sprzęt powierzony pańskim ludziom na czas trwania ćwiczeń.

– Dawaj ten telefon – warknął generał. – Generale O'Halloran, właśnie badamy sytuację i jestem pewien, że nie jest ona aż tak poważna, jak mogłoby się wydawać...

Podczas gdy generał Shirley rozmawiał przez telefon, z drugiej strony pomieszczenia rozległ się nowy głos:

– Panie generale, żołnierze zgłaszają, że są ostrzeliwani przez strzelców wyborowych na ulicach całego Reaganistanu.

Kazakow wcisnął pauzę i potoczył promiennym wzrokiem po dzieciakach przycupniętych na meblach wokół niego.

– Nie jestem Ruskiem, tylko Ukraińcem! – zawołał i wybuchł grzmącym rechotem. – Nieczęsto rozdaję pochwały, ale spisaliście się dziś na medal, dzieciaki. Jutro o tej porze będziemy prowadzić paradę zwycięstwa przez bezcenną bazę generała Shirleya.

28. WSTYD

Wykorzystując ciemność, mundur amerykańskiej armii i odrobinę zdolności aktorskich, James zdołał przemycić się przez punkt kontrolny na granicy dzielnicy slumsów, gdzie oficer dyrygujący przedstawieniem okazał się bardziej zainteresowany grillowaniem dwudziestojednoletniego studenta w sprawie jego nielegalnej komórki z aparatem fotograficznym niż sprawdzaniem dokumentów Jamesa.

Skończył w trzypiętrowym surowym budynku, mniej niż kilometr od bloku cherubinów. Nie mógł włączyć świateł, bo w mroku zaraz by je zauważono, więc zaszedł do pokoju na drugim piętrze, oświetlając sobie drogę latarką. Znalazł tam kran z zimną wodą i toaletę z pływającymi w niej setkami martwych owadów.

Mebli nie było, więc usiadł na zapiaszczonej betonowej podłodze. Zimny pustynny wiatr wył pod niechlujnie zamontowanymi drzwiami i oknami. James przeorganizował zawartość plecaka, próbując uzyskać coś na kształt poduszki, ale okazała się twarda jak kamień. Zresztą i tak był zbyt spięty, by spać.

Co jakiś czas wąską uliczką na zewnątrz przejeżdżał z rykiem hummer, a z dali dochodziły odgłosy strzelaniny pomiędzy amerykańskimi żołnierzami a snajperami SAS-u oraz nieregularne

głuche eksplozje granatów z farbą. Sądząc po intensywności walk, zespoły sił specjalnych zbroiły także sympatyków powstania. Bez względu na to, jak mocno próbował, James nie był w stanie zasnąć na nagim betonie, tym bardziej że ziarnka piasku na plecach i pod bokserkami doprowadzały go do szału. Napełnił manierkę wodą z kranu, ale przede wszystkim był głodny, więc przetrząsnął plecak w poszukiwaniu czegoś na ząb. Jedzenia nie było, znalazł za to hotelową torebkę opakowaniową z talią kart i *Kompletnym podręcznikiem blackjacka* w środku.

W bloku dwie ulice dalej paliło się dużo lamp. James przysunął się do okna, gdzie strony książki złapały trochę zbłąkanego światła. Zdmuchnął piasek z podłogi między nogami, rozłożył karty i zagłębił się w lekturze.

Przemknąwszy przez opis strategii podstawowej oraz krótkie biografie członków Galerii Sław Blackjacka, którzy zbili fortunę, a teraz mają zakaz wstępu do każdego kasyna na świecie, James przeszedł do rozdziałów traktujących o matematyce liczenia kart i strategiach stosowanych przez najlepszych graczy.

Większość ludzi dałaby sobie spokój na widok pierwszego prostego równania, ale Jamesowi podobał się pomysł, że licząc w pamięci i posługując się kilkoma stosunkowo prostymi strategiami, można pokonać kasyno i wygrać miliony dolarów.

Czytając dalej, uświadomił sobie, że do liczenia kart wcale nie jest potrzebny talent matematyczny. Czymś rzeczywiście niezbędnym jest umiejętność szybkiego przetwarzania w pamięci pięciu czynników naraz: punktów krupiera, własnych punktów, bieżącej wartości stosunku kart wysokich do niskich, ogólnej liczby kart pozostałych w bucie do rozdawania i wreszcie – dla dodatkowej przewagi – liczby asów pozostałych w talii.

Książka przekonywała, że każdy, kto ma wystarczająco dużo cierpliwości, by ćwiczyć z talią przez kilka godzin dziennie, opanuje podstawy liczenia kart w ciągu kilku dni.

James przyswoił już zasady strategii podstawowej w zakresie praktycznym, czyli wiedział, kiedy pasować, a kiedy prosić krupiera o jeszcze jedną kartę. Następnym krokiem było ćwiczenie praktyczne: gra szybkimi rozdaniem przy zachowaniu idealnej strategii i zapamiętywaniu każdej wydanej karty.

James zaczął pstrykać kartami na beton między nogami. Zaczął powoli, by stopniowo zwiększać tempo, w miarę jak nabierał wprawy. Nie musiał się spieszyć, do świtu miał dziesięć godzin i całe cztery i pół roku do czasu, kiedy będzie mógł zasiąść za stołem w kasynie.

*

– Pobudka, pajacu!

James otworzył oczy i szarpnął się półprzytomnie. Bolała go głowa. Niskie słońce poraziło mu siatkówki i na wpół spodziewał się zobaczyć przed sobą wylot lufy, ale już po chwili odetchnął z ulgą, gdy jego wzrok skoncentrował się na cienkich jak ołówki nogach Gabrielli w spodenkach gimnastycznych.

– Co on właściwie robił z tymi kartami? – prychnęła dziewczyna.

– Cały mój brat. – Laura uśmiechnęła się kpiąco. – Zabawia się sam ze sobą.

James miał za sobą męczącą noc i minęło kilka sekund, nim połączył fakty w całość: kark bolał go, bo zasnął na siedząco oparty o betonową ścianę podczas ćwiczeń z kartami; Laura i Gabriella były tu, ponieważ zanim zasnął, nadał swoje współrzędne GPS do Kazakowa. Dziewczyny poszły po niego, bo potrzebował cywilnych ciuchów, żeby móc poruszać się bezpiecznie za dnia.

– No i jak tam? – zapytał James, masując sobie kark i wstając z bolesnym jękiem.

– Kazakow jest w niebie, bo armia dostaje łomot. Drony rozwalone. Generał Shirley szaleje, zmieniając rozkazy co parę godzin, ganiając w kółko jak kurczak bez głowy i robiąc wszystko, żeby nigdy nie dostać drugiej gwiazdki na hełm. SAS zwerbował

sześćdziesięcioro znudzonych studenciaków i wykończył ponad półtorej setki żołnierzy. Aha, Andy zrobił Bethany kolosalną malinkę.

Ostatnia informacja rozbawiła Jamesa.

– Ale flanela. Z iloma facetami już się zabawiała?

Laura taktownie zignorowała docinek wymierzony w jej przyjaciółkę i podniosła z podłogi książkę brata.

– *Kompletny podręcznik blackjacka* – prychnęła. – Daj spokój. Chyba nie myślisz poważnie, że można pokonać kasyna, co?

– To sprawdzona technika – odparł James, wyrywając siostrze podręcznik.

– Ale w ogóle to moje uznanie. – Laura wyszczerzyła złośliwie zęby. – Pierwszy raz widzę cię z książką, która niema wyskakujących okienek.

– Aleś ty dzisiaj zabawna, boki zrywać – skrzywił się James, kręcąc głową.

Gabriella podała mu złożone ubrania.

– Ciężko wam było się tu dostać? – zapytał James.

– Nie bardzo, akurat był dobry moment – odpowiedziała Gabriella. – Dzięki tej pluskwie, którą Kazakow podrzucił w sztabie, znamy rozkazy Amerykanów, jeszcze zanim dotrą do żołnierzy. Generał Shirley kazał zmniejszyć liczbę punktów kontrolnych, bo nasi obrzucali je granatami, a snajperzy wybijali mu ludzi.

– Szkoda tylko, że nie można się było z tobą skontaktować – poskarżyła się Laura. – Głucholu jeden.

– Sorka – ziewnął James. – Słuchawka musiała mi wypaść, jak spałem.

– Amerykanie nie są zachwyceni – wyszczerzyła zęby Laura. – Jednym z warunków, od których zależy sukces generała, są małe straty wśród ludności cywilnej, a za każdym razem, kiedy na punkcie kontrolnym wybucha granat, pół tuzina cywilów idzie pod prysznic.

James z podziwem pokiwał głową, przebierając się z munduru w podarte dżinsy i mocno przechodzone adidas.

– Kazakow to urodzony wojownik. Może i jest psychiczny, ale kurczę, ma coś takiego, że trudno go nie podziwiać.

– I strasznie nienawidzi jankesów – skinęła głową Laura. – Jestem pewna, że chciałby, żeby broń była prawdziwa.

*

Intensywna zabawa w kotka i myszkę na ulicach Reaganistanu trwała ponad dwanaście godzin, w czasie których Amerykanie odkryli kilka składów broni, aresztowali kilku rebeliantów, a nawet zadali buntownikom pewne straty.

Kiedy tylko generał Shirley wydał swoim oddziałom rozkaz wycofania się do bazy, Kazakow – który spał krócej niż godzinę – kazał wszystkim zespołom rebeliantów zmienić pozycje. Zamiast wrócić do mieszkania w bloku, Laura i Gabriella zaprowadziły Jamesa do domu Kazakowa.

Po drodze zatrzymali się w małym supermarkecie, gdzie wydali piętnaście reaganistańskich dolarów na bekon, gotowe ciasto na naleśniki, sok pomarańczowy, cukier puder, nutellę, bitą śmietanę w sprayu i syrop klonowy, żeby Laura mogła przyrządzić śniadanie.

Nieco wcześniej Rat, Bethany i Andy przenieśli się do Kazakowa wraz z zapasem broni, zaś Mac strzeżony przez pięciu komandosów SAS-u wylądował w sąsiednim domu. Gabriella zaoferowała pomoc przy naleśnikach, ale Laura, która lubiła gotować, oznajmiła, że nie chce, aby ktokolwiek podpatrzył jej tajny przepis.

Odrącona Gabriella zawędrowała na jedną z dwóch dużych kanap w salonie. Na drugiej wylegiwał się James.

– Wygodnie tu – ziewnął, próbując podrapać się w plecy. – Tylko ten piasek wszędzie włazi.

– No... – przytaknęła Gabriella, zarażając się ziewnięciem kolegi. – Wlatuje do domów, bo drzwi i okna są źle zamontowane, i nic nie można z tym zrobić. Tak jak wczoraj w mieszkaniu: wzięłam

prysznic, włożyłam świeże ciuchy, a dziesięć minut później drapałam się jak wściekła.

– Właśnie – burknął James, skrobiąc się po grzbiecie.

– Podrapiesz się do krwi – ostrzegła Gabriella, podchodząc do Jamesa. – Daj, ja to zrobię.

James usiadł tyłem do dziewczyny. Gabriella położyła mu dłoń na plecach i zaczęła poruszać nią w górę i w dół.

– Oo... och, właśnie tutaj – zamruczał James. – Wykąpię się po śniadaniu, jeżeli do tego czasu nie zasnę.

– Jak sobie radzisz z sytuacją? – zapytała Gabriella po chwili ciszy.

– No wiesz, z Daną i w ogóle.

Zrobiło się niezręcznie. James wiedział, że romans Michaela z Daną zranił Gabriellę o wiele głębiej niż jego.

– Tak myślałem, że coś jest nie tak – powiedział wreszcie. – Najpierw wszystko jest w porządku, robię wielką bibę na moje szesnaste urodziny i przez następne tygodnie jesteśmy jak para napalonych królików, aż tu nagle Dana nie chce, żebym jej dotykał, i gada coś, że za dużo już tego wszystkiego.

Gabriella uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

– Z Michaelem było zupełnie inaczej. Myślę, że był całkiem zadowolony, że ma dwie laski naraz. Byłam w kampusie, więc wiedziałam, że spędza dużo czasu z Daną, ale kiedy zaczęłam mu robić wyrzuty, powiedział, że mam paranoję i że pracują nad wspólną pracą z historii sztuki.

– Raczej nad pracą z dziecióróbstwa – wyszczerzył zęby James.

– Chyba pozostało mi potraktować to w kategorii doświadczeń – westchnęła Gabriella. – Ale mówi się, że pierwsza miłość jest najtrudniejsza do zapomnienia, a ja naprawdę bardzo go kochałam.

James wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia koleżanki.

– Byliście bardzo blisko, wiem. Kiedyś z chłopakami przyznawaliśmy dziewczynom nagrody za różne rzeczy i ty zostałam dziewczyną, która prawdopodobnie pierwsza wyjdzie za mąż.

Gabriella roześmiała się.

– Kiedy to było?

– Wieki temu. Na jakimś obozie letnim chyba, na jednym z tych nudnych kursów bezpieczeństwa misji. Zaczęliśmy gadać o dziewczynach, oceniać je i wymyślać głupie kategorie.

– Co dostały inne?

– Pewnie nie powinienem ci mówić – uśmiechnął się James. – Amy Collins została najseksowniejszą byłą cherubinką. Kerry dostała pierwsze miejsce w kategoriach najlepsze nogi i najtrudniejsza do zaciągnięcia do łóżka.

– Powiem jej – zaśmiała się Gabriella.

– Bethany wygrała w najatrakcyjniejszej z młodszych dziewczyn, chociaż ja zgłaszałem ją do kategorii dziewczyna, której najbardziej chciałoby się przywalić w dziób – ciągnął James, zdając sobie sprawę, że mówi więcej, niż powinien, ale też ciesząc się z tego, że udało mu się rozbawić Gabriellę.

– Dana coś wygrała?

– Najlepsze cycki – skinął głową James. – Byłem dumny jak paw.

– Wy, chłopcy, to macie klasę – parsknęła Gabriella i roześmiała się tak, że aż musiała przysiąc na podłokietniku kanapy, tuż obok Jamesa. – Co jeszcze wymyśliliście?

– Oj, mnóstwo tego było – wyszczerzył zęby James. – Ale minęło tyle czasu, że niewiele pamiętam.

– Zabawny z ciebie chłopak, James – powiedziała Gabriella, ocierając kąciki oczu. – Pewnie dlatego tak dużo uchodzi ci na sucho.

– Wiesz, zawsze cię lubiłem, Gab – powiedział James, wstydliwie spuszczać wzrok, po czym uniósł rękę, by otoczyć Gabriellę ramieniem. – Ty i ja mamy...

– No nie, nie, nieeee! – Gabriella zerwała się jak sprężyna, zanosząc się jeszcze głośniejszym śmiechem. – Nie wierzę. Wczoraj rozmawialiśmy z dziewczynami o tym, jak ostatnio próbowałeś

dobrac się do Kerry. Laura i Kerry stwierdziły, że jesteś takim lubieżnym satyrem, że to tylko kwestia czasu, kiedy wystartujesz do mnie.

James poczuł, że jego twarz zaczyna płonąć.

– Kerry ci o tym powiedziała?

– Wiesz, jakie są dziewczyny. – Gabriella wzruszyła ramionami. –
Lubimy plotki.

Jamesowi nie było do śmiechu.

– Czy Bethany wie? Ona ma długi język, a jak Bruce się dowie, wkopie mi łeb do środka.

Gabriella potrząsnęła głową.

– Tylko ja i Laura.

– Naleśniki! – zawołała wesoło Laura, wkraczając do pokoju z dwoma talerzami świeżo usmażonych naleśników z bitą śmietaną, cukrem i kremem czekoladowym. – Z czego się śmiejesz?

Gabriella wskazała na Jamesa, by po chwili wewnętrznej walki znów parsknąć śmiechem.

– Zgadnij, co on zrobił.

– A nie mówiłam?! – rozpromieniła się Laura, podając bratu talerz, widelec i nóż. – Pięć minut sam na sam z czymś, co choć powierzchownie przypomina kobietę...

James był zawstydzony, ale też umierał z głodu, a zapach bijący z napakowanego kaloriami śniadania skręcał mu żołądek, który zaczął wydawać przeciągłe pomruki.

– Ouu, teraz się dąsa – szydziła Laura, podczas gdy James wpatrywał się ponuro w talerz. – Biedne, małe jagniątko.

James wyszedł na drania i był dość inteligentny, by wiedzieć, że gdyby teraz spróbował powiedzieć cokolwiek na swoją obronę, pograżyłyby się jeszcze bardziej.

– Pycha naleśniki, siostra – powiedział, starając się nie zwracać uwagi na chichoty i mając nadzieję, że dziewczęta nie zauważyły jego rumieńca.

– Szkoda, że nie mam komórki, bo od razu wysłałabym esa do Kerry – powiedziała Gabriella. – Posika się ze śmiechu.

29. NALOT

Po liczącym co najmniej cztery tysiące kalorii śniadaniu i kąpeli James wyszukał sobie kilka poduszek i kołdrę w garderobie na piętrze, po czym gruchnął na skrzypiące łóżko. Jego zegar wewnętrzny ledwie przystosował się do amerykańskiego czasu i nieprzespana noc była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Słońce było ostre, a zasłony cienkie jak papier. James zakopał głowę w poduszkach, ale i tak nie mógł zasnąć. W końcu wetknął sobie do ucha słuchawkę radia i spędził trzy godziny, słuchając wymiany komunikatów pomiędzy wniebowziętym Kazakowem a jego rozmaitymi zespołami.

Ponieważ uliczne punkty kontrolne okazały się zbyt wrażliwe na ostrzał i ataki granatami, generał Shirley oparł swoją najnowszą taktykę na błyskawicznych nalotach: przed budynek zajeżdżał konwój hummerów, uzbrojeni po zęby żołnierze wbiegali do środka, rzucali wszystkich twarzą na podłogę, a potem szukali broni, radiostacji i wszelkich oznak sugerujących, że mieszkańcy mogą wspierać rebelię. Metoda była skuteczna, jeśli chodzi o demaskowanie wrogów i odbieranie im broni, ale brutalność podejrzliwych żołnierzy nie przysparzała im wielu przyjaciół wśród cywilów.

– Za chwilę wszyscy wychodzimy na hamburgery – powiedział Rat, po tym jak wszedł do pokoju Jamesa bez pukania. – Idziesz z nami?

James wysunął głowę spod kołdry i zerknął na zegarek.

– Kto to są wszyscy?

Rat wzruszył ramionami.

– Laura, Jake, Bethany i ja.

– A Gabriella?

– Nie – powiedział Rat, szczerząc zęby w uśmiechu. – Kaz wysłał ją na jakąś akcję z Bruce'em. Słyszałem, że zrobiłeś z siebie głupa. To przez to wyglądasz jak deszczowy weekend?

– Przez to i parę innych rzeczy – jęknął James, odrzucając kołdrę, żeby sięgnąć po dzinsy.

– Tak? A jakie ty możesz mieć powody, żeby się tak dołować? – zapytał Rat.

– Od czego by tu zacząć. – James udał zamyślenie. – Moja antyterrorystyczna misja się wyłożyła, Dana mnie rzuciła, łeb nawala mnie jak głupi, bo przez całą noc nie spałem, i okazuje się, że wszystkie dziewczyny w kampusie mają mnie za drania.

Rat zwalczył chęć uśmiechnięcia się.

– Bez przesady, nie wszystkie.

– Zimno mi – poskarżył się James, wtykając stopy w adidas i rozglądając się za portfelem na rzepy, w którym trzymał swój przydział reaganistańskich dolarów. – Rzuciła mnie Dana, Kerry nie chce mnie z powrotem, Gabrielli się nie podobam, nawet przypadkowa laska, do której podjechałem w kasynie, zrobiła sobie ze mnie bekę...

– Jasne – prychnął Rat. – Te twoje problemy z babkami, tak mi cię szkoda... Stary, miałeś dziewczynę, odkąd pierwszy raz zjawiliłeś się w kampusie, plus masę innych na misjach. Jak tak o tym pomyśleć, to pewnie stąd się wzięły te twoje problemy.

– Ze co?

– No wiesz... – Rat z zakłopotaniem wzruszył ramionami. – Postaw się na miejscu twojej potencjalnej dziewczyny. Wszyscy w kampusie wiedzą, jaki jesteś. Kerry zdradziłeś z sześć razy, a potem po prostu rzuciłeś...

– Jakie sześć?! – zdenerwował się James. – Trzy... góra cztery.

– A potem, kiedy zesłicie się z Daną, przespałeś się z przypadkową laską przy pierwszym dłuższym rozstaniu. Tak czy nie? Przy swojej reputacji nie możesz oczekiwać, żeby taka dziewczyna jak Gabriella patrzyła na ciebie jak na rewelacyjny materiał na chłopaka, nie sądzisz?

– Może i racja – odpowiedział James. – Chociaż jak słowo daję, nie mam pojęcia, dlaczego przyjmuję rady od kolesia, któremu podoba się Laura.

– Dobra, chcesz, to mnie olej – powiedział Rat drwiąco, kiedy wreszcie wyszli na schody. – Ale mówię ci, z twoją reputacją będziesz się musiał nieźle napracować, żeby choć zbliżyć się do jakiegokolwiek dziewczyny z kampusu.

– Zatem będę musiał polegać na moim uroku osobistym – odparł James, zapinając zegarek na przegubie.

Chłopcy zesli do przedpokoju.

– Jakim uroku? Jakim uroku? – zakpiła czekająca na dole Laura. – Deptałam po klockach, które miały więcej uroku niż ty.

– Nie spieszyliście się, co? – poskarżył się Jake, otwierając frontowe drzwi. – Padam z gło...

Jake zamarł na widok trzech wypełnionych żołnierzami hummerów hamujących właśnie przy krawężniku przed domem.

– Jasna cholera! – zachłysnął się i zatrzasnął drzwi z powrotem.

– Nie ruszać się! – krzyknął jeden z żołnierzy przez system nagłaśniający zamontowany w jednym z hummerów. – Zachować spokój!

– Gdyby James nie marudził tak długo, już by nas tu nie było – zauważyła Bethany.

– Jake, jesteś najśłodszy – powiedziała Laura, odruchowo przejmując dowodzenie. – Otwórz drzwi, udawaj wystraszonego i przytrzymaj ich tak długo, jak się da.

Dom był nafaszerowany bronią i innym sprzętem, dlatego nie było mowy, by udało im się ukryć swój związek z rebelią. Podczas prawdziwej wojny perspektywa starcia z tuzinem zawodowych żołnierzy zapewne skłoniłaby oblężonych do kapitulacji, ale wiedząc, że grozi im najwyżej śmierć na niby, pięcioro cherubinów włożyło gogle ochronne i przygotowało się do walki.

James i Rat pognali z powrotem na górę. Laura i Bethany pobiegły do kuchni po swoją broń, a Jake podszedł do drzwi i ostrożnie je uchylił.

– Dlaczego zamknąłeś drzwi? – warknął major w lustrzanych okularach. – Kto jeszcze jest w środku?

Jake wychodził ze skóry, żeby jak najlepiej odegrać przerażonego małego chłopca.

– Nikogo nie ma, proszę pana. Tata poszedł do sklepu.

– Nie bój się, mały – uśmiechnął się major, kładąc Jake'owi ciężką dłoń na ramieniu. – Mamy tu małą robótkę, ale uwiniemy się w mgnieniu oka i znikamy.

Na podjeździe ustawili się jeszcze trzej żołnierze, podczas gdy dwie czteroosobowe drużyny pobiegły po dwóch stronach domu na tyły.

– No jak tak, to... proszę wejść – powiedział Jake ogłupiały.

Na górze James i Rat dopadli swoich plecaków, by napęłnić je granatami i pełnymi magazynkami do pistoletów maszynowych. Musieli trzymać się nisko, żeby nie wypatrzyli ich żołnierze zajmujący pozycje za domem.

James na sekundę wytknął głowę nad parapet, żeby wyrzeć przez okno.

– Naliczyłem dwunastu – wyszeptał. – Ja wezmę schody, ty strzelaj stąd.

Laura i Bethany czyniły podobne przygotowania w kuchni.

– Nie masz się czego bać, synu – powiedział spokojnie major, popychając Jake'a przez przedpokój w stronę salonu – ale musisz uklęknąć na podłodze i położyć ręce na głowie.

Trzej żołnierze weszli do domu za majorem, trzymając karabiny w gotowości do strzału, jeden poszedł za dowódcą do salonu, drugi ruszył w stronę kuchni, trzeci zaczął się skradać po schodach.

– Radio – rzucił nerwowo porucznik, spostrzegłszy czyjś zestaw nauszny porzucony na podłodze.

Major rzucił okiem na dywan, a potem zmierzył Jake'a uważnym wzrokiem i przemówił znacznie twardszym tonem niż poprzednio.

– Czy to należy do twojego taty?

Jake odpowiedział z sekundowym opóźnieniem.

– Bawiłem się na dworze i znalazłem to na ulicy.

– Nie mów – rozpromienił się dowódca, pochylając się, by podnieść znalezisko. – Szukaliśmy czegoś takiego, żeby móc podsłuchiwać, o czym rozmawiają nasi wrogowie.

Jake denerwował się coraz bardziej, wiedząc, że w każdej chwili może rozpętać się piekło. Wszyscy Amerykanie mieli broń, wszyscy pozostali cherubini mieli broń, a on nie miał najmniejszej ochoty tkwić bezradnie między nimi, kiedy zacznie się strzelanina. Jego jedyną szansą był pistolet, jaki wypatrzył w kaburze pod kurtką majora.

Pierwszą oznaką kłopotów były dwie niemal jednoczesne eksplozje granatów z farbą w ogrodzie za domem. Laura i Bethany rzuciły je cichaczem przez lufcik w kuchennym oknie, po czym skryły się za szafkami.

Rozbryzgi farby trafiły czterech żołnierzy. Podczas gdy dwaj pozostali stali zaskoczeni i oglądali swoje ubrania, by stwierdzić, czy żyją, czy nie, Laura wychyliła się nad blat i wyeliminowała obu krótkimi dobrze wymierzonymi seriami. Jednocześnie Bethany obróciła się i zastrzeliła mężczyznę nadchodzącego z przedpokoju.

Na górze Rat złożył się do strzału przy oknie nad ogrodem i zdjął jednego żołnierza, ale o włos chybił drugiego – ostatniego na placu boju – który skoczył za żywopłot i umknął. W tej samej chwili James wetknął lufę między słupki barierki i załatwił Amerykanina, który wspinał się po schodach.

Tymczasem w salonie Jake wykonał swój ruch. Zawył, jak gdyby wybuch przeraził go na śmierć, i wczepił się kurczowo w udo majora. Zanim wielki mężczyzna odgadł prawdziwe zamiary chłopca, ten trzymał już w dłoni jego pistolet i właśnie naciskał spust.

Trafienie ćwiczebnym pociskiem z zerowego dystansu jest piekielnie bolesne. Major wyrzucił z siebie potok niecenzuralnych wrzasków i runął na podłogę, ściskając się za udo. W tym samym momencie James jednym susem przesadził całą długość schodów i strzelił przez frontowe drzwi do człowieka na trawniku przed domem.

Bethany wypadła do przedpokoju, podbiegła do drzwi salonu i ocaliła Jake'owi skórę, strzelając celnie do ostatniego z czterech mężczyzn, którzy weszli do domu od frontu.

Zaskoczony strzałem tuż za sobą James wyprowadził wściekłe kopnięcie w tył, trafiając Bethany w żołądek i pozbawiając tchu. Zanim zdążyła krzyknąć, odwrócił się na pięcie i posłał jej dwa pociski w brzuch.

– Ups – powiedział, opuszczając lufę. – Sorka.

Bethany kuliła się na podłodze, ściskając za brzuch. Górna połowa jej ciała była kredoworóżowa.

– Ty durniu – stęknęła. – Czy ja wyglądam na żołnierza?

– Chyba załatwiliśmy wszystkich – sapnął Jake, wypadając do przedpokoju.

Ujrawszy swoją siostrę na podłodze, wybuchł śmiechem.

– O rany!

– Zrobiłeś to specjalnie, James? – zawarczała Bethany.

– No skąd – odpowiedział James, uśmiechając się kpiąco. – Po prostu szczęśliwy przypadek.

Bethany kusilo, żeby odpłacić Jamesowi pięknym za nadobne, ale pan Kazakow ukarałby ją milionem karnych okrążeń, gdyby odkrył, że celowo strzeliła do kogoś z własnej drużyny.

– Martwe dziewczyny nie gadają – powiedział Jake, wskazując na ochlapanego farbą żołnierza leżącego bez ruchu na trawie. – Do zobaczenia za dwadzieścia cztery godziny.

– Gdybyś nie zauważył, to właśnie uratowałam ci tyłek, Jake – zawarczała Bethany.

Laura wyszła z kuchni, a z góry nadbiegł Rat, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– No, no, imponujące – powiedział Rat. – Stosunek strat jednaście do jednego, i to w walce z zawodowymi żołnierzami.

– Kto ocalał? – zainteresował się James.

– Jeden koleś skoczył w krzaki – powiedział Rat. – Chyba zwiął, ale lepiej nie siedźmy tutaj, bo na pewno wezwał posiłki.

James był najstarszym agentem i to on musiał podjąć decyzję.

– Jake, Rat, zaminujcie dom i hummery pułapkami z granatów – polecił. – Laura, idź do środka i weź ryle broni, ile udźwigniesz. Ja zawiadomię Kazakowa i zaraz przyjdę ci pomóc.

30. SKARB

Bethany szła w stronę tak zwanej myjni, by zgłosić swoją śmierć. Towarzyszyli jej pozostali polegli żołnierze, którzy, co zrozumiałe, byli zaintrygowani tym, że pokonała ich grupa dzieciaków mówiących z brytyjskim akcentem i strzelających jak zawodowi snajperzy.

Bethany trzymała się ustalonej legendy:

– Nasi rodzice pracują w wojsku, na brytyjskim poligonie zimowym w jakiejś pipidówie w Kanadzie. Nie ma tam wiele do roboty, więc założyli dla nas grupę kadetów, gdzie wszyscy uczymy się samoobrony, a w weekendy chodzimy na paintball.

– Nie żartuj – uśmiechnął się major. – Ten twój braciszek nieźle mnie wyrolował. Mało brakowało, a postrzeliliby mnie w miejsce, w które facet woli nie obrywać...

Żołnierze zarechotali, a Bethany uśmiechnęła się, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu czując dumę z brata.

– A ten wasz dowódca... Kazakow – powiedział major. – Widziałaś go kiedyś? Żaden z nas nie wie nawet, jak on wygląda.

Bethany uśmiechnęła się skromnie.

– Musicie trochę bardziej się postarać, żeby wyciągnąć ode mnie takie informacje.

Jeden z żołnierzy zostawał nieco w tyle i wreszcie major obejrzał się na niego.

– Wszystko w porządku, Martin?

– Mój brzuch – odpowiedział z wysiłkiem żołnierz. – Czuję się, jakby w żołądku zaklinowała mi się piłka do kosza.

– Wiem, o czym mówisz – skinął głową jego kolega. – Mam to samo. Musieliśmy się czymś podtruc wczoraj w kantine.

*

Jake, Laura, Rat i James porzucili broń i sprzęt w mieszkaniach, po czym wyszli na hamburgery. James przespał wczesną część popołudnia, a kiedy się obudził, ze zdumieniem odkrył, że mieszkanie jest pełne ludzi. Gabriella i Bruce wrócili z akcji sabotażowej, a do tego pojawił się Mac i czterej twardziele z SAS-u, którzy eskortowali go i strzegli od początku ćwiczeń.

James wszedł do kuchni, gdzie wszyscy tłoczyli się wokół baru, słuchając walkie-talkie.

– Co jest grane? – zapytał, otwierając lodówkę i pociągając kilka łyków z dwukwartowego kartonu soku pomarańczowego.

– Słuchamy, co się dzieje w sztabie armii – wyjaśnił Mac. – Wygląda na to, że wasz mały eksperyment z wodociągami zaczyna przynosić skutki.

James miał poważne wątpliwości co do moralnej strony najbardziej ekstremalnej akcji Kazakowa i zdecydowanie nie czuł się dobrze ze świadomością, że maczał w tym palce.

– Tylko wykonywałem rozkazy – powiedział tonem usprawiedliwienia. – Sierżant nawet mi nie powiedział, co robimy, dopóki nie weszliśmy do bazy.

– Pamiętasz z historii? Procesy nazistów w Norymberdze? – wyszczerzyła się Laura, po czym przemówiła dobitnie i z niemieckim akcentem: – Ja tylko wykonywałem rozkazy!

– I wszystkich nazistów powieszono – dodał Rat.

Wokół baru podniósł się mroczny rechot. James spojrzał na Maca

złakniony rzetelnych informacji.

– Co się właściwie dzieje?

– Uzbrajamy zwolenników powstania i próbujemy urządzić zasadzki na patrole poszukiwawcze. Tymczasem osiemdziesięciu amerykańskich żołnierzy poszło już na zwolnienie, a z całego miasta wracają ludzie, zgłaszając problemy żołądkowe.

– Sierżant powiedział dwadzieścia godzin – mruknął James, zerkając na zegarek. – Pewnie właśnie się zaczyna.

Mac pokiwał głową.

– Kazakow cieszy się jak dziecko. Uważa, że do szóstej wieczorem biegunka i wymioty wyłącza z gry nawet do dziewięćdziesięciu procent wszystkich amerykańskich żołnierzy. Teraz wysłał zwolenników powstania, żeby roznosili ulotki zapraszające całą ludność miasta na darmową bibę w slumsach.

– To tuż przy bazie armii – zauważył James, uświadamiając sobie nagle cały rozmach planu Kazakowa. – W sumie jest tysiąc żołnierzy, ale stu pięćdziesięciu zastrzelono, a dziewięćdziesiąt procent pozostałych wkrótce się pochoruje, co oznacza mniej niż sto osób zdolnych do walki.

– To będzie prawdziwa rewolucja – wyszczerzył się Jake.

Walijski oficer SAS-u odezwał się szorstkim głosem, w którym pobrzmiwał podziw:

– Jankesi nie wiedzieli, w co się pakują, kiedy zapraszali Kazakowa do współpracy. Ten człowiek był naszym głównym konsultantem taktycznym przez dziesięć lat i nie pamiętam, żeby ktokolwiek dał mu radę, czy to na ćwiczeniach, czy podczas prawdziwej akcji.

Najmłodszy ze strażników Maca skinął głową.

– Ten facet walczył na wojnach, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. To zbrodnia, że nie zrobili go dowódcą naszego pułku.

– Dlaczego nie zrobili go dowódcą? – zainteresował się James.

– Protokół – wyjaśnił Walijszyk. – Kazakow zawsze był tylko

konsultantem. Mianowanie go zjeżyłoby wiele ważnych głów, ale ten człowiek to taktyczny geniusz.

Jakby na zawołanie krótkofalówka przemówiła głosem Kazakowa.

– Potrzebuję ludzi – oznajmił Ukrainiec. – Trzydzieści beczek piwa i dwieście flaszek wódki samo się nie przeniesie.

*

Generał Shirley zaczął łagodnie, od zdobywania zaufania cywilów. Po ataku na lotnisko próbował zablokować ulice, ale bez dronów obserwujących miasto z powietrza uliczne blokady były narażone na ostrzał snajperów i ataki granatami, co zmusiło generała do użycia patroli poszukiwawczych.

Przy tej taktyce straty były mniejsze. Zatrzymywano rebeliantów i przejmowano broń, ale brak stałej obecności wojska na ulicy oznaczał, że ludzie Kazakowa mogą swobodnie poruszać się po mieście, zastawiając pułapki, barykadując drogi i rekrutując nowych sprzymierzeńców rebelii.

Prawdziwe strefy działań wojennych często są dotknięte wysokim bezrobociem i pełne znudzonej młodzieży. Reaganistan nie był pod tym względem inny, ze swoją rzeszą młodych ludzi, jednym kanałem telewizyjnym i szybko topniejącymi rezerwami przemyconego alkoholu.

Ci, którym obiecano dodatkowe dwadzieścia dolarów dziennie za wspieranie rebelii, na ogół chętnie łapali karabin i zgłaszali się na przeszkolenie do oficerów SAS-u, jeżeli nie z innego powodu, to po prostu dlatego, że było to jakieś zajęcie. W ciągu półtora dnia ponad sto pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet zostało uzbrojonych i przeszło przyspieszony kurs taktyczny w zakresie posługiwania się bronią palną.

W miarę upływu dnia szpiedzy w dzielnicy slumsów zgłaszali przejazdy kolejnych konwojów opuszczających pobliską bazę wojskową, zaś oficerowie SAS-u uczyli rebeliantów coraz bardziej

zaawansowanych metod walki, na przykład takich jak zakopywanie granatów z farbą przy drodze i przeciąganie drutu potykacza detonującego minę po zerwaniu przez przejeżdżający pojazd.

Regulamin ćwiczeń w Fort Reagan nakazywał, by każdy pojazd trafiony plamą farby o średnicy większej niż dziesięć centymetrów został uznany za unieruchomiony, a jego załoga poruszała się dalej pieszo.

Do szóstej wieczorem, gdy słońce skryło się już za piaszczystymi pagórkami, ulice pokryły się gęsto trupami hummerów. Rebelianci zastrzelili dodatkowo ponad osiemdziesięciu amerykańskich żołnierzy przy stratach własnych niesięgających połowy tej liczby.

Kazakow dowodził działaniami z wnętrza betonowego baraku w slumsach, podsłuchując generała Shirleya w jego centrum dowodzenia. Amerykanin cierpiał na skurcze żołądka i był coraz bardziej wściekły, w miarę jak coraz więcej jego żołnierzy dopadała biegunka. Zadzwoił nawet do komendanta O'Hallorana i poprosił o przerwanie ćwiczeń ze względu na możliwe zagrożenie zdrowia żołnierzy, ale ten odprawił go z kwitkiem, argumentując, że skoro nie można przerwać prawdziwej wojny, kiedy żołnierze zatrują się jedzeniem, to nie ma powodu, by przerywać ćwiczenia.

Na centralnym placu dzielnicy slumsów ponad tysiąc młodych mężczyzn i kobiet zebrało się, by imprezować wokół ogromnego ogniska. Trzydzieści beczek piwa nie wystarczyło na długo, ale Kazakow zorganizował obfite rezerwy innych spirytualiów. Była muzyka, grille serwowały steki w świeżych bułkach, Ukrainiec zadbał nawet o fajerwerki.

Niemal połowę imprezowiczów stanowili uzbrojeni rebelianci i nieuzbrojeni zwolennicy rebelii. W normalnej sytuacji zgromadzenie tak wielu słabo wyszkolonych ludzi niecałe pół kilometra od amerykańskiej bazy wojskowe wiązałoby się z niedopuszczalnie wysokim ryzykiem, ale armii zostało zbyt mało zdrowych żołnierzy, by mogła przedsięwziąć jakąkolwiek poważniejszą akcję.

Jedyną oznaką obecności armii był okazjonalny przejazd hummera krążącego po dzielnicy slumsów z przepisową prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Z tyłu samochodu dwaj żołnierze obserwowali rozwój sytuacji przez noktowizory.

James i pozostali cherubini kręcili się całą grupą tuż za głównym placem, na którym młodzi ludzie flirtowali, tańczyli i stali w długich kolejkach do gwałtownie topniejących zapasów alkoholu. Wiele osób otwarcie nosiło bron, a kilka najbardziej pijanych próbowało nawet strzelać do wybuchających na niebie fajerwerków.

– Muszę się odlać – oświadczył James, zgniatając plastikowy kubek po piwie, po czym odłączył się od grupy.

Po popołudniowym odpoczynku czuł się raźniej niż na początku dnia. Aby oddalić się od placu, skręcił pomiędzy szeregi niemal identycznych baraków. Uliczki były wręcz zatłoczone w porównaniu z poprzednim dniem, kiedy przemykał nimi w skradzionym mundurze.

Wreszcie natknął się na wykute w skale schody prowadzące do położonej na wzniesieniu części dzielnicy slumsów. Nieopodal trzech mężczyzn sikali na kamienne ściany, zasilając wielkie jezioro moczu za pobliskim barakiem. James pomyślał, że lokatorzy nie będą zachwyceni, kiedy wrócą do domu, ale nie miał już dokąd pójść, więc rozpiął rozporek i dołączył do bractwa.

Kiedy potoczył się z powrotem do swoich, zastąpiła mu drogę ładna blondynka, pytając, czy wie, gdzie można zdobyć jeszcze coś do picia.

– Te kolejki to koszmar – powiedział James, lustrując obcisłe szorty dziewczyny i bluzkę w biało-niebieskie prążki.

Blondyna miała szerokie ramiona, całkiem pokaźny biust i kształtne nogi, ale wyglądała na co najmniej dwudziestkę, więc James uznał, że to nie jego liga.

– Ja już mam dość – powiedziała dziewczyna i zatoczyła się, łapiąc Jamesa za ramię. – Jestem napalona.

– Dość niezwykle imię – zauważył James.

Dziewczyna zachichotała jak podłotek, po czym spojrzała zalotnie, pukając się pomalowanym paznokciem w podbródek.

– Nazywaj mnie, jak chcesz, ale naprawdę mam na imię Cindy-Lou.

– Jestem James.

– Całkiem słodki jesteś, James, wiesz?

Cindy-Lou przysunęła się bliżej, niemal opierając się piersiami o tors Jamesa, i zniżyła głos do szeptu.

– A może pójdziemy gdzieś i zrobimy coś, czego nie pochwaliłaby twoja mama?

Usta Jamesa rozciągnęły się w szerokim mimowolnym uśmiechu, kiedy dziewczyna położyła mu dłoń na karku i przyciągnęła głowę do pocałunku. Po wszystkich związanych z kobietami urazach, jakich doznał w ciągu minionych tygodni, było to takie lekarstwo, jakiego potrzebowało jego poobijane ego. Ciało zapulsowało mu pożądaniem, kiedy wyobraził sobie swoje dłonie na miękkim kobiecym ciele.

– Daleko stąd do ciebie? – wydyszał w podnieceniu, sięgając niżej, by ścisnąć Cindy-Lou za pośladek.

– Nie, bardzo blisko – uśmiechnęła się dziewczyna, ujmując go za rękę i pociągając za sobą.

Odchodząc, James minął się z Bruce'em idącym za potrzebą. Bruce nie powiedział ani słowa, ale jego mina mówiła wyraźnie: „Farciarz”.

– Przypominasz mi chłopaka, z którym chodziłam w liceum – powiedziała Cindy. – Ładna buzia, zgrabny tyłeczek. Robiłam mu takie rzeczy, że gały by ci wylazły.

Uśmiech Jamesa sięgał już od ucha do ucha. Czas posuchy minął. Wciąż był Jamesem Adamsem, a w jego portfelu czekały co najmniej trzy prezerwatywy. Wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy podążał brukowaną alejką za kształtną, kołyszącą się

hipnotycznie pupą. Może ramiona miała ciut zbyt męskie, ale cóż, przecież nie można mieć wszystkiego...

Zanurkowali pod niskim nadprożem, wchodząc do mrocznego jednoizbowego baraku.

– Przytulnie – uśmiechnął się James.

Ale Cindy–Lou nie odwzajemniła uśmiechu. Jakaś czarna postać zatrzasnęła drzwi w tej samej chwili, w której blondynka złapała Jamesa za przegub i wykręciła mu rękę za plecami. Chciał walczyć, ale dobrze wykorzystała przewagę zaskoczenia i szybko założyła mu piekielnie bolesną dźwignię.

– Tylko kopnij, to ci ją złamię! – ryknęła z furją.

Ktoś zapalił światło, a Cindy silnym kopnięciem podcięła Jamesowi nogi, powalając go twarzą na laminowany blat kuchennego stołu. James kątem oka ujrzał dwie kobiety w mundurach amerykańskiej armii. Starsza przyskoczyła do niego z kajdankami i wprawnie skuła mu ręce za plecami.

Cindy przetoczyła Jamesa na plecy i uśmiechnęła się.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego – oznajmiła pogodnie, nagle ani pijana, ani napalona. – Jestem sierżant Cindy–Lou Jones, służby wywiadowcze armii Stanów Zjednoczonych. Dwie towarzyszące mi damy to kapral Land i porucznik Sahlin.

James uśmiechnął się, zgrywając twardą sztukę.

– No to o bzykanku nie ma raczej mowy, co?

Sahlin – najstarsza spośród trzech Amerykanek i wyglądająca najgroźniej ze swoją oliwkową cerą i czarnymi włosami na podbródku – podeszła bliżej i rąbnęła Jamesa pięścią w bok.

– Niewyparzona gęba może cię wpędzić w nie lada tarapaty – zahuczała.

– Hej, mamy zasady, co nie? – krzyknął James ze złością. – Możecie mnie zatrzymać i przesłuchiwać, ale nie wolno wam używać przemocy.

Jones jednym brutalnym szarpnięciem ściągnęła mu spodnie wraz

z bokserkami.

– Lepiej współpracuj, chłopcze, bo może się zdarzyć, że gorąca kawa wyleje ci się na klejnoty.

Jones ściągnęła pasiastą bluzkę, odsłaniając ukrytą pod spodem przepoconą zieloną kamizelkę wojskową.

– Kiedy byłeś w naszej bazie, zsunęła ci się maska i zidentyfikowaliśmy cię na podstawie zdjęć z kamer nadzoru – wyjaśniła spokojnie. – Generałowi Shirleyowi grozi załamanie kariery, jeżeli te ćwiczenia nie zaczną iść po jego myśli. Upoważnił nas do naginania zasad, jeżeli uznamy to za konieczne.

– Lepiej zacznij śpiewać – dodała Sahlin. – Oficerowie służb wywiadowczych znają milion różnych sposobów na skrzywdzenie małego chłopca takiego jak ty bez pozostawiania śladów.

– Jakim cudem nie siedzicie na kiblu razem z resztą jankesów? – zapytał James.

– Oficerowie służb wywiadowczych mieszkają i jedzą w oddzielnym budynku po drugiej stronie bazy – uśmiechnęła się Sahlin. – Zdaje się, że ten wasz Kazakow jednak coś przeoczył.

Kapral Land była najmniejszą z trzech kobiet i miała słodki głos niczym piosenkarka country.

– Wiecie co, dziewczyny? Przedstawimy Jamesa naszym żołnierzom? Może wypuścimy go na środku bazy i powiemy naszym chłopakom, że to przez niego męczy ich ta sraczka.

– Na miłość boską! – zdenerwował się James. – To są tylko ćwiczenia! Nie wolno wam robić takich rzeczy!

– Josip Kazakow robi durnia z wielu ważnych ludzi – uśmiechnęła się Land. – A to się nam nie podoba.

James patrzył, jak porucznik Sahlin wyjmuje z kieszeni lśniąca złowrogo stalową sondę.

– Słonko – powiedziała pieszczotliwie kapral Land, przysuwając się bliżej, by otrzeć chusteczką spoconą skroń Jamesa. – Lepiej zacznij mówić rzeczy, jakie chcemy usłyszeć, bo jak pręcik pani

porucznik w końcu się nagrzeje i wetkniemy ci go tam, gdzie słońce nie dochodzi, to będzie ci naprawdę bardzo przykro.

31. PATRIOCI

Laura, Jake, Kevin, Rat i Gabriella puścili się biegiem w stronę zatłoczonego placu, gdzie Kazakow jechał przez tłum, stojąc na skrzyni zdobycznego hummera.

– Nasz wróg słabnie! – ryknął Ukrainiec. – Wkrótce przypuścimy ostatni atak! Zwycięstwo jest bliskie!

Tłum nie bardzo wiedział, co począć z tym zwałistym facetem z dziwnym akcentem i dwudniowym zarostem na twarzy.

– Wiem, co sobie myślicie – powiedział Kazakow. – Wszyscy jesteście Amerykanami. Kochacie Amerykę, ponieważ to najwspanialszy kraj na świecie!

Młoda i pijana cizba wokół hummera zafalowała z zadowoleniem. Rozległy się brawa, okrzyki, a nawet kilka strzałów oddanych na wiwat.

Dwadzieścia metrów z tyłu Laura spojrzała na Rata z uśmiechem.

– Teraz do taktycznego geniusza w życiorysie Kazakowa możemy dodać światowej klasy wciskacz kitu.

– Wiem, że wielu z was ma opory przed walką z amerykańskimi żołnierzami – ciągnął Kazakow. – Ale to, czego tu dziś dokonamy, pomoże naszej armii skuteczniej walczyć w przyszłości. Kiedy pociski będą z metalu, a nie sprasowanej kredy, kiedy granaty będą

razić ogniem i odłamkami, a nie fluorescencyjną farbą, amerykańscy żołnierze będą lepiej przygotowani. Dzięki nam! Powiem wam, co my tu naprawdę robimy. Ratujemy życie prawdziwym Amerykanom, którzy będą walczyć ze złem na całym świecie. Patriotycznym obowiązkiem każdego rebelianta jest uzbroić się i przygotować do ostatecznego szturmu na bazę armii. Gotowi skopać parę tyłków?!

Tłum zareagował powściągliwą owacją.

– Pozwolę sobie także przypomnieć – podjął Kazakow – że wszyscy podpisaliście kontrakt na dwutygodniowe ćwiczenia. Jeżeli wygramy tę decydującą bitwę, będzie to oznaczało koniec ćwiczeń i każdy z was otrzyma tysiąc sto dolarów za dwa dni pracy!

Odwołanie do patriotycznej dumy działało, co mogło, ale apel do portfeli odniósł znacznie silniejszy skutek. Tłum wybuchł entuzjastyczną wrzawą.

– Jesteście gotowi zaatakować bazę? – krzyknął Kazakow.

Salwa gromkich „Tak!” gruchnęła w niebo.

– Gotowi skopać parę tyłków?! – powtórzył Ukrainiec wśród burzy wiwatów. – No to chodźmy tam i zdobądźmy tę bazę!

Rozpłomieniony tłum zafalował i zaczął wyciekać z placu.

– Nie zapomnijcie włożyć gogli i niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone Ameryki! – zawył Kazakow.

Jeden z komandosów SAS-u zmienił muzykę nadawaną przez system nagłaśniający na hymn amerykańskiej piechoty morskiej. Szkot zaczął bić pięścią w niebo, skandując: „U-S-A U-S-A”, podczas gdy hummer Kazakowa popęzł wraz z tłumem w stronę brzegu placu.

– Zwycięstwo! – krzyczał Kazakow. – Zwycięstwo!

Tłum opuszczał plac w kilku różnych kierunkach. Wiele osób przyszło tu tylko dla napitku i ruszyło do domów, ale dwustu rebeliantów rozgrzanych alkoholem i poczuciem patriotycznej misji zaczęło szarżować pomiędzy barakami.

Laura sięgnęła do plecaka po pistolet maszynowy.

– A gdzie się podziewają Bruce i James? – zapytała niecierpliwie.

– Tu jestem! – zawołał Bruce, podbiegając do grupy i wyrywając swój plecak Jake'owi. – Gotowy do rozłupywania czaszek.

– Dobra, ale gdzie James? – zdenerwowała się Gabriella, spoglądając na zegarek. – Poszedł się odlać jeszcze przed tobą.

– Widziałem go z jakąś laską – powiedział Bruce. – Z rękami na jej pupie. Zdaje się, że poszli do któregoś z baraków na tyłach na małe bara–bara.

– Co?! – wybuchła Laura. – Tuż przed atakiem na bazę?!

Rat pokręcił głową z podziwem.

– Koleś jest niesamowity. Fajna była?

– Nieźle Ce i De – skinął głową Bruce. – Trochę za bardzo umięśniona jak na mój gust, ale z łóżka bym nie wyrzucił.

Laure irytował taki sposób rozmawiania o kobietach, więc zgromiła Bruce'a wzrokiem.

– Zapamiętam sobie, żeby powtórzyć Kerry te komentarze, kiedy się spotkamy.

– Mówię tylko, że była ładna.

– Nienawidzę go – powiedział Rat, uśmiechając się z zazdrością. – Zakład, że poci się teraz w jakimś baraku, ugniatając jakąś lalkę...? Ouu!

– To nie jest śmieszne – zasyczała Laura. – Muszę z nim poważnie porozmawiać. Jak się nie opamięta, w końcu złapie jakieś choróbko albo wacek mu szernieje i odpadnie.

*

James leżał brzuchem na kuchennym stole, ze spodniami i bokserkami przy kostkach i rękami skutymi za plecami. Nie miał żadnych wątpliwości, że oficer amerykańskiej armii potrafi zadać ból, jeżeli chce. Pytanie brzmiało: czy porucznik Sahlin blefuje? Czy generał Shirley naprawdę był tak zdesperowany, że zezwolił swoim ludziom na stosowanie tortur?

W izbie były teraz tylko dwie kobiety; kapral Land poszła sprawdzić, co oznaczają głośne wiwaty na placu.

– Opowiedz nam, co robiłeś w bazie.

James obrócił głowę na bok i uśmiechnął się złośliwie.

– Czy taka atrakcyjna dziewczyna jak ty nie powinna siedzieć w domu, piec ciast i rodzić dzieci?

– Słodkie – powiedziała Sahlin, po czym docisnęła Jamesowi głowę do blatu i przesunęła grzałkę nad policzkiem.

Dał się słyszeć syk i James szarpnął się w panicznym spazmie. Nozdrza wypełnił mu swąd przypalonego zarostu.

– Nie wolno ci tego robić! – wrzasnął James z wściekłością. – Mam szesnaście lat! Przyjechałem tu z grupą brytyjskich kadetów!

– Zamknij jadaczkę – rozkazała Sahlin. – Dotknęłam tylko twojej szczeciny. A teraz lepiej zacznij śpiewać, bo rozłupywałam już twardsze orzeszki niż ty, ogierze. Co robiłeś w naszej bazie?

James próbował myśleć. Może i blefowały i nie zamierzały go skrzywdzić, ale nie miał ochoty sprawdzać tego na sobie dla głupich ćwiczeń wojskowych.

– Wrzuciliśmy jakiś środek do zbiornika z wodą – wyjaśnił niechętnie.

Sahlin uśmiechnęła się.

– Jaki środek?

– Jakaś długa i skomplikowana nazwa – powiedział nerwowo James, uświadamiając sobie, że naprawdę zapomniał. – Opakowanie pewnie ciągle jest w budynku zasilania. To jakieś mocno toksyczne świństwo, więc zamknęliśmy worki w szczelnej torbie razem z maskami i wszystkim.

– I to przez ten środek wszyscy mają sraczkę?

– Po to go wsypaliśmy – skinął głową James.

– Jest na to odtrutka?

– Czy ja wyglądam na farmaceutę? – zirytował się James.

Sahlin zastanawiała się przez chwilę i zmieniła temat.

– Jaki plan ma Kazakow?

– Jeszcze się nie domyśliłaś? – prychnął James.

Sahlin uniosła grzałkę i przypaliła kępkę włosów na nagim pośladku jeńca.

– Dżiiiiizas! – wrzasnął James. – Uspokój się! No przecież współpracuję, co nie?!

– Nie podoba mi się twoja postawa – wyjaśniła Sahlin. – Plan Kazakowa. Gadaj wszystko, co wiesz. Już!

– Wparować frontowym wejściem, kiedy wszyscy będziecie się zginać na kibelkach – uśmiechnął się James. – Taki jest plan, ale teraz to gównu możecie na to poradzić.

Sahlin uniosła wzrok na sierżant Jones.

– Jones, skontaktujcie się z bazą. Niech ktoś odszuka opakowanie po tym syfie i sprawdzi, co to jest. Dopilnujcie, żeby generał Shirley dowiedział się, że mamy potwierdzoną informację o planowanym ataku na bazę.

James słuchał, jak sierżant Jones mówi do krótkofalówki. Odpowiedź, jaką szczerknął głośnik, wprost ociekała szyderstwem.

– Dobrze wiedzieć, że wywiad armii trzyma rękę na pulsie. Przekaż pani porucznik Sahlin, że gdyby nie jej bezcenne informacje, moglibyśmy nie zauważyć dwóch setek uzbrojonych rebeliantów, którzy właśnie próbują sforsować naszą bramę. Jeśli to nie zbyt wielki kłopot, to może ruszyłybyście tyłki tu do nas i przydały się do czegoś.

– Rebelianckie świnię! – krzyknęła Sahlin. – Przecież wysłałam tę Land, żeby sprawdziła, co to za wiwaty i krzyki.

James zarechotał złośliwie, za co zaraz dostał pięścią w kark.

– Może oberwała – powiedziała Jones z obawą w głosie.

– Po prostu pięknie – westchnęła Sahlin, a potem strzeliła Jamesa otwartą dłonią w goły tyłek. – Zdaje się, że nie tylko ty dałeś się przyłapać z gaciami przy kostkach, ogierze. Lepiej się stąd zmywajmy.

Sahlin i Jones złapały swoje karabiny i plecaki.

– Co z naszym młodym przystojnym jeńcem? – zapytała Jones.

Sahlin uśmiechnęła się wrednie i położyła Jamesowi przed twarzą kluczyk do kajdanek.

– Hej, dajcie spokój – jęknął James. – Niby jak mam je wziąć z rękami skutymi za plecami?

Sahlin pochyliła się nad nim.

– Czy ja wyglądam na kobietę, którą to obchodzi?

Jones podniosła plecak Jamesa.

– Był lepiej uzbrojony niż my – zauważyła, wyjmując z plecaka granaty i przypinając je sobie do pasa. – Dać pani coś z tego, poruczniku?

– Daj granat – powiedziała Sahlin, szczerząc zęby w złowrogim uśmiechu.

Pani porucznik zadyndała granatem przed oczami Jamesa, a potem wyrwała zębami zawleczkę.

– Jesteś kawał wrednego drania, chłopcze. Wrzucić to świństwo ludziom do wody... Paru moich dobrych przyjaciół bardzo przez ciebie cierpi.

Z tymi słowy Sahlin wtłoczyła Jamesowi granat pod koszulkę na plecach i zgarnęła z podłogi swój plecak.

– Dobranoc, ogierze – uśmiechnęła się, wyłączając światło. – Wybuchowych snów.

Trzasnęły stalowe drzwi.

– Suka! – krzyknął James, zrywając się na równe nogi w całkowitej ciemności.

Kostki miał skrępowane zsuniętymi spodniami, dłonie skute na plecach i bez względu na to, jak bardzo miotał się i podskakiwał, granat ani drgnął.

Miał wybuchnąć za mniej niż dziesięć sekund.

32. SZTURM

Atak dwustu pijanych rebeliantów na dobrze chronione bramy bazy wojskowej mógł wydawać się samobójczy, ale Kazakow już wcześniej wysłał na miejsce dwie pary komandosów SAS-u, by nieco zmiękczyli obronę.

Podczas gdy hummer Ukraińca sunął w stronę bramy, pierwszy zespół odciął linie energetyczne głównego generatora, pogrążając całą bazę w ciemności, a drugi odpalił bombę pułapkę zmontowaną naprędce z granatów z farbą, wyłączając z walki trzech strażników przy bramie.

Hummer Kazakowa staranował bramę, kładąc ją na ziemi i kierując się w stronę budynku centrum dowodzenia. Przez otwarte przejście do bazy zaczął wlewać się potok rebeliantów, wciąż skandujących: „U-S-A! U-S-A!”.

Połowę atakujących stanowili niewyszkoleni amatorzy, którym rozdano broń w ciągu minionych kilku godzin. Resztę stanowiły lepiej przygotowane zespoły dowodzone przez oficerów SAS-u. Każdy z zespołów miał za zadanie zdobyć i zabezpieczyć określony strategiczny cel wewnątrz bazy, taki jak centrum łączności albo szpital.

Bruce, Jake, Rat i Gabriella dołączyli do małej grupy rebeliantów

prowadzonych przez walijskiego oficera SAS-u, z którym tego popołudnia rozmawiali w mieszkaniu. Ich celem był główny magazyn broni, zgodnie z oczekiwaniami jeden z najtrudniejszych do zdobycia obiektów w bazie. Spodziewali się silnego oporu, ale kiedy grupa pobiegła przez mrok po deskach między namiotami mieszkalnymi, rzeczywistość odkrywająca się przed nimi okazała się zgoła inna.

Z namiotów dobiegały rozpaczliwe jęki żołnierzy chorujących na swoich pryczach. Ci, którzy pojawiali się czasem w brezentowych wejściach, wyglądali jak spocone zjawy. To, że baza jest atakowana, zdawało się nikogo nie obchodzić, a w powietrzu wisiał mdlący kwaśnawy odór.

Kanalizacja bazy nie była w stanie przełknąć zmasowanego natarcia ponad sześciuset przypadków biegunki. Toalety kipiały, a zdesperowani ludzie uciekali się do używania wszystkiego, od naczyń po pospiesznie wykopane dołki w piasku, a nawet własne hełmy. Wykorzystane naczynia po prostu wyrzucano na zewnątrz.

– Zaraz zwymiotuję – czknęła Gabriella, zapinając kurtkę i chowając nos pod kołnierz.

– To przechodzi wszelkie pojęcie – orzekł Rat, walcząc z odruchem wymiotnym.

Na tyłach grupy dziewczyna, która nigdy nie dotknęła karabinu aż do poprzedniego dnia, złapała się namiotowego słupka i zaczęła wymiotować na piasek.

– Nie zatrzymywać się – powiedział Walijszyk z determinacją w głosie. – To wszystko jest w waszych głowach. Wyrzucicie to.

Teren za strefą namiotów był opustoszały, a powietrze czyste. Magazyn broni powinien być najpilniej strzeżonym elementem bazy wojskowej, ale rebelianci natknęli się tylko na samotnego szeregowca kulącego się przy frontowym wejściu. Wyglądał tak żałośnie, że nikt nie miał sumienia do niego strzelić.

*

Granat nie zabiłby Jamesa, ale farba w środku była sprężona pod bardzo wysokim ciśnieniem i uwalniana przez gwałtowną reakcję chemiczną przypaliłaby mu plecy.

Skutymi za plecami dłońmi James zebrał brzeg koszulki i podskakując, zaczął wściekle miotać rękami, próbując uwolnić granat. Na niecałe pięć sekund przed wybuchem zaczepiona o materiał rączka uwolniła się i granat wysunął się spod koszulki, ale zamiast stuknąć o betonową posadzkę, wylądował miękko w opuszczonych do kostek spodniach.

– Jezu, nie! – krzyknął James panicznie.

Przez głowę przemknęła mu straszliwa wizja eksplozji między nogami i wystrzelonej w górę plastikowej obudowy zgniatającej mu jądra. Przydepnął sobie piętę adidasa i niechętny rąbnął kolaniem w blat, uwalniając jedną nogę. Następnie postawił stopę w skarpetce na podłodze i mocno wierzgnął drugą nogą, wciąż oplątąną zmiętoszonymi spodniami i szortami.

Granat poleciał wysokim łukiem wzdłuż pomieszczenia. Nastąpił biały błysk i różowa eksplozja, kiedy rozerwał się w powietrzu, dwa metry nad podłogą. Granat zawierał silnie sprężony płyn, który przemienił się w kilka litrów różowej piany w chwili, w której zetknął się z atmosferą.

Fala uderzeniowa zatrzęsała drzwiami i oknami. Gorąca piana uderzyła w Jamesa z prędkością ponad osiemdziesięciu mil na godzinę, rzucając go na ścianę. Poczował, jak cieknie mu po nogach i zalewa oczy, kiedy potknąwszy się w ciemności o krzesło, runął na ziemię.

Przy uderzeniu otarł sobie skroń o ścianę, ale rana nie była poważna. James pozwolił sobie na kilka sekund odpoczynku i pozostał na ziemi, dysząc ciężko wśród syczącej piany.

Nie odniósł poważnych obrażeń w porównaniu z tym, co by się stało, gdyby granat wybuchł mu tuż przy skórze, co nie zmieniało

jednak faktu, że wciąż tkwił półnagi w ciemności z rękami skutymi kajdankami. James wstał ostrożnie i uświadomił sobie, że jeśli chce zyskać choćby cień szansy na znalezienie kluczyka, musi włączyć światło.

Mając zaledwie mgliste wyobrażenie o rozkładzie mebli, ruszył po omacku w stronę drzwi. Zaraz po wejściu do pomieszczenia został rzucony na stół i nie zdążył zauważyć włącznika, ale wiedział mniej więcej, gdzie jest, ponieważ Sahlin wyłączyła światło w momencie, w którym wyszła z pokoju.

Zaczął badać ścianę ustawiony do niej plecami, ale nie można podnieść rąk zbyt wysoko, gdy ma się je skute za plecami, więc po chwili odwrócił się, a kiedy namacał włącznik, wcisnął go czubkiem nosa.

Granat pokrył barwnikiem wszystko w pokoju łącznie z nagą żarówką zwisającą z sufitu. James uwolnił się od spodni i wrócił do stołu oświetlonego niepoważnie różowawym światłem, by usiąść na jednym z krzeseł.

Przesunął kajdanki pod siebie, a potem, boleśnie naciągając nadgarstki i ściskając pośladki, wił się i szarpał tak długo, aż przeciągnął kajdanki pod kolana. Dokonawszy tego, przełożył stopy nad łańcuszkiem i w ten sposób przeniósł dłonie przed siebie.

Teraz pozostało mu znaleźć kluczyk ukryty pod jeziorami farby, zdjąć kajdanki i włożyć spodnie.

*

Amerykanie rzucili wszystkich ludzi zdolnych do walki do obrony siedziby sztabu generała Shirleya, który zaszył się tam wraz z kilkoma najbliższymi współpracownikami i skąpym zapasem leków na biegunkę, rozmieszczając pół tuzina zdrowych strażników na umocnieniach wzniesionych naprędce wokół budynku.

Tłum rebeliantów spróbował zbliżyć się do parterowego baraku, ale przy pierwszym szturmie celne strzały zza wałów z worków z piaskiem powaliły aż tuzin nacierających. Hummer Kazakowa

oberwał wprawnie rzuconym granatem, na swoje szczęście dowódca zdążył w porę wyskoczyć.

Kazakow przykucnął za pochłapanym farbą pojazdem i podniósł do oczu lornetkę, by zlustrować budynek. Tuż za nim siedmiu komandosów SAS-u czekało cierpliwie na rozkazy. Należeli do najlepszych żołnierzy w brytyjskiej armii, a jednak wpatrywali się w Ukraińca jak pielgrzymi wyczekujący słów mądrości spływających z ust ich guru.

– Skoncentrować cały ogień w jednym punkcie – zdecydował Kazakow. – Dużo dymu, dużo granatów z farbą. Weźcie z namiotów jakieś deski, materace, prześcieradła, cokolwiek, co może osłonić przed farbą.

– Może lepiej zaczekajmy – zasugerował jeden z komandosów. – Nie mają wody ani prądu. Są całkiem bezradni.

– Nie – odparł stanowczo Kazakow. – Teraz jest nasz czas. Większość skażonej wody spłynęła rurami, kiedy wybuchła epidemia biegunki i ludzie zaczęli masowo spuszczać wodę w toaletach. Kiedy tylko żołnierze zaczną przyjmować czyste płyny, poczują się lepiej. Balans sił może się zmienić na ich korzyść w ciągu niecałej godziny.

Przygotowania do kolejnego szturmu trwały kilka minut. Tuzin świec dymnych zaczął już tryskać szarymi kłębami, kiedy dwaj najwięksi żołnierze SAS-u podeszli do Laury i Kevina.

– Kazakow właśnie wpadł na niezły pomysł – powiedział jeden z nich. – Wy dwoje jedziecie na barana.

– Że co? – skrzywiła się Laura.

– Budynek jest niski. Podbiegniemy z boku i wrzucimy was na dach. Tam musi być jakiś świetlik albo kłapa, przez którą będziecie mogli wejść do środka i narobić trochę bałaganu.

Laura była zmęczona i najchętniej położyłaby się spać, ale Kevin aż się palił, by dowieść swojej wartości po tym, jak nie wzięto go na akcję na lotnisku.

Dwaj komandosi odczekali kilka sekund, aż zasłona dymna zgęstnieje, a potem przykucnęli, by cherubini mogli wspiąć się im na ramiona. Kevin nie był zbyt ciężki, ale muskularna Laura ważyła sporo jak na trzynastolatkę, zwłaszcza z bronią i całym plecakiem sprzętu.

– Ale z ciebie kloc – stęknął żołnierz, dźwigając ją w górę.

Pod ciężkim ostrzałem obrońców ponad stu rebeliantów ruszyło do kolejnego szturmu na centrum dowodzenia. Taktyka walki farbą różniła się od zabijania prawdziwymi pociskami: materace i deski sprawdzały się jako tarcze, ale snajperzy często celowali w ziemię lub ściany, wiedząc, że nikt nie będzie dociekał różnic pomiędzy bezpośrednim trafieniem a rykoszetem.

Nawet podczas tej decydującej przeciw bitwy nikt nie oszukiwał. Żołnierze nie mieli zamiaru narażać się na karę, cywilów zaś odstraszała groźba utraty wynagrodzenia.

Minęło już sporo lat, odkąd ktokolwiek nosił Kevina na plecach i chłopiec nie mógł powstrzymać się od radosnego śmiechu, kiedy sunął przez chaos, podskakując na ramionach żołnierza. Świszczące pociski drażyły tunele w kłębiącym się dymie, ale komandos dotarł do bocznej ściany budynku nietknięty. Trzymając się rynny, Kevin stanął na ramionach żołnierza i wdrapał się na dach.

– Gdzie Laura? – krzyknął.

Komandos rozejrzał się, ale w zasięgu wzroku nie było ani Laury, ani mężczyzny, który ją niósł.

– Wygląda na to, że jesteś zdany na siebie, dzieciaku.

Gęsty dym ograniczał widoczność do około dwóch metrów, a płaski plastikowy dach uginał się złowroźbnie pod butami Kevina. Budynek był prostokątnym barakiem o długości trzydziestu i szerokości piętnastu metrów. W ścianach nie było okien i światło dzienne wpadało do wnętrza wyłącznie przez świetliki na dachu, które można było także otworzyć dla wentylacji. Większość była zasypana piaskiem, więc Kevin musiał posuwać się na czworakach,

rozgarniając piasek łokciem, by móc cokolwiek zobaczyć. Główna linia zasilająca była odcięta, ale we wnętrzu widać było włączone światła awaryjne i ekrany pracujących komputerów zasilanych z zapasowego wewnętrznego źródła prądu.

Rebelianci byli coraz bliżej i walki rozprzestrzeniły się na tereny po obu stronach budynku. Kevin pełził ostrożnie, pochylając się odruchowo za każdym razem, gdy w pobliżu świsnął zabłąkany pocisk. Dziesięć metrów od rynny dotarł do okrągłej aluminiowej nadbudówki z pierścieniem pochylonych okienek wokół obwodu.

Spojrzał w dół do pomieszczenia wypełnionego ruchomymi snopami latarek. Zobaczył ogromną mapę Fort Reagan na stole i biurka dla kilku tuzinów osób, ale obecni byli tylko trzech mężczyźni. Kevin rozpoznał generała Shirleya siedzącego przy stole z łokciem opartym o mapę i telefonem w dłoni. Wyglądał na roztrzęsionego. Kevin niewiele słyszał przez odgłosy bitwy, ale wyglądało na to, że generał rozmawia z dowódcą poligonu.

– Komendancie O'Halloran, musi pan zrozumieć, że mamy tu poważny kryzys zdrowotny. Kazakow wykroczył daleko poza granice przyzwoitości... Dobrze pan wie, że nie mam najmniejszej ochoty się poddawać. Nie chcę mieć czegoś takiego w papierach, ale będę kryty, jeżeli ogłosi pan przerwanie ćwiczeń na podstawie uzasadnionych obaw o zdrowie i bezpieczeństwo żołnierzy...

Podczas gdy generał tłumaczył się dowódcy, Kevin zmierzył szerokość szczeliny pomiędzy listwami żaluzji wentylacyjnej. Była dość duża, by mógł wrzucić przez nią granat. Kłopot polegał na tym, że generał i jego ludzie usłyszeliby jego upadek i mieli dziesięć sekund na ewakuację.

Kevin wyjął z plecaka swój ostatni granat z farbą. Wyjął zawleczkę, zwolnił dźwignię i wsunąwszy masywny cylinder w szczelinę żaluzji, odliczył osiem sekund za pomocą zegarka, zanim wypuścił ładunek z dłoni. Istniało ryzyko, że wybuch strzaska okna, więc odtoczył się na bok i znieruchomiał z twarzą wciśniętą w

plastik dachu.

Huknęło, a kiedy Kevin znowu spojrzął w dół, przekonał się, że granat wybuchł na stole, niespełna metr przed generałem Shirleyem. Dwaj pozostali oficerowie w pomieszczeniu także zostali trafieni.

– Chryste! – krzyknął generał. – To ten ruski sukinsyn!

Generał nie nawykł do wysadzania w powietrze przy własnym biurku i nie miał na głowie gogli. Sycząca farba pieniała mu się w oczach. Podekscytowany swoim sukcesem Kevin położył się na plecach i wystrzelił serię obunożnych kopnięć, wybijając hartowane okno z ramy, po czym wsunął się w powstały otwór i zeskoczył na stół z mapą.

Jeszcze przed minutą generał Shirley nie uwierzyłby, że cokolwiek mogłoby zirytować go jeszcze bardziej niż to, co się właśnie stało, ale teraz jego piekące oczy mówiły mu, że został zabity przez jedenastoletniego chłopca.

– I jeszcze wykorzystuje dzieciaki! – krzyknął Shirley, furiackim ruchem zrzucając z biurka wielką stertę papierów. – Czy... moralne... zepsucie... tego... człowieka... ma... jakieś... granice...? – zaczął skandować, miarowo tłukąc słuchawką w telefon.

– Bez przesady, nie ma o co rwać włosów – powiedział pogodnie Kevin, zeskakując ze stołu. – A nie, zaraz, przecież pan nie ma co rwać, co nie?

33. EMOCJE

Różowy barwnik w pociskach i granatach skomponowano tak, by pieniał się w zetknięciu z wodą. W ostatniej bitwie poległo dodatkowo siedemdziesiąt osób, które musiały stawić się w biurze niedaleko stadionu i zgłosić swoją śmierć, po czym udać się do stacji czyszczenia tuż obok.

Większość ofiar przychodziła z powierzchownie pochłapanym ubraniem i pojedynczymi bryzgami farby na skórze. Po spryskaniu słodko pachnącym roztworem, mającym przeciwdziałać tworzeniu się piany, posyłano ich pod prysznic do indywidualnych kabin. Bardzo poplamione ubrania pakowano i zabierano do prania i suszenia, wydając na ich miejsce tanie bawełniane spodnie i T-shirty. Polegli przechodzili następnie do tak zwanej przechowalni, skąd po upływie dwudziestu czterech godzin wolno im było powrócić na teren ćwiczeń.

Wyjątek od tego sprawnie przebiegającego procesu stanowili ludzie z barwnikiem w oczach albo ci, którzy zaliczyli bezpośrednie trafienie z małej odległości. Barwnik nie był toksyczny, ale po wyschnięciu w kredową skorupkę nabierał właściwości drażniących, dlatego należało zmywać go bardzo dokładnie.

Procedura była upokarzająca. James stał nagi, oparty dłońmi o

wykafelkowaną ścianę, podczas gdy patykowaty żołnierz chłostał go strumieniem letniej wody. Pomagała mu kobieta w gumowym wdzianku uzbrojona w spryskiwacz ze środkiem gaszącym pianę i szczotkę na długiej rączce, którą szorowała Jamesowi skórę.

– Rozewrzyj pośladki – rozkazała, a po chwili James wzdrygnął się, kiedy spryskała go lodowatym roztworem.

– Twarzą do mnie.

W chwili kiedy James odwrócił się plecami do ściany, odezwały się głośniki radiowęzła bazy.

– Mówi komendant Fort Reagan, generał Sean O'Halloran. W rezultacie udanej akcji bojowej rebeliantów ćwiczenia zostają zawieszane. Personel cywilny powinien powrócić do przydzielonych kwater. Personel wojskowy powinien wrócić do bazy. Proszę oczekiwać na dalsze komunikaty. Koniec przekazu.

James usłyszał kilka radosnych okrzyków rebeliantów czekających w kolejce do kabin prysznicowych po drugiej stronie przepierzenia z płyty wiórowej.

– Zrobione, skarbie – powiedziała przyodziana w gumę kobieta, rzucając Jamesowi ręcznik. – Przejdź do pokoju obok, usiądź sobie i zaczekaj na oględziny.

James szybko się osuszył, okręcił biodra ręcznikiem, po czym podniósł swój plecak i foliowy worek z brudnym ubraniem. Przeszedłszy do sąsiedniego pomieszczenia, usiadł na jednym z plastikowych krzeseł ustawionych w szeregu pod ścianą.

Oprócz niego jedynym czekającym był tęgi facet o ciele pokrytym szarymi kłakami.

Na drugim końcu pomieszczenia na kozetce leżał czarnoskóry żołnierz. Przyświecając sobie silnymi lampami, dwaj sanitariusze oglądali jego skórę i usuwali wszelkie ślady barwnika przeoczone podczas mycia. Szczególną wagę przykładali do oczu, które starannie przemywali wodą destylowaną i pałeczkami higienicznymi.

James usłyszał radio trzeszczące w jego plecaku i wyjął je, żeby posłuchać, co się dzieje.

– Panie Kazakow, jest pan tam?

– Aaaa, to ty! – ucieszył się Ukrainiec. – Cóż to ja słyszę? Podobno porzuciłeś nas dla jakiejś damy.

Sprawa była wstydliva i James najchętniej zataiłby prawdę o swojej przygodzie.

– Nadziałem się – powiedział z ociąganiem. – Amerykanie mieli mnie na taśmach wideo z nadzoru bazy. Skończyłem w jakiejś kanciapie z trzema babkami ze służb wywiadowczych armii. Skuły mnie i groziły, że będą mi robić naprawdę paskudne rzeczy.

Kazakow parsknął, a w tle dały się słyszeć śmiechy kilkorga cherubinów.

– Zrobiony w balona przez piękną kobietę! Takie doświadczenie! Tyle szkoleń, a ty dajesz się wykiwać jakiejś femme fatale, nabrać na najstarszą sztuczkę świata!

– Chciała mnie przypalić jakąś grzałką – naburmuszył się James. – To było całkowicie wbrew przepisom.

– Cóż, pod koniec stary generał Shirley zaczął popadać w desperację – zaśmiał się Kazakow. – Zapamiętałeś nazwiska? Bo mogę złożyć skargę na ich postępowanie w moim oficjalnym raporcie.

– Land, Sahlin i Jones – powiedział James. – Sahlin była szefową. A wy gdzie teraz jesteście?

– Jestem u komendanta poligonu; czekamy na Shirleya. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak się wije i próbuje wytłumaczyć z całego tego bałaganu.

– Czemu go jeszcze nie ma? – zapytał James.

– Mały Kevin załatwił go granatem! – zarechotał Kazakow. – Nie miał gogli, więc trafił do myjni.

Do tego momentu James nie skojarzył mężczyzny w generalskim mundurze, który przemawiał do ludności Reaganistanu na

stadionie, ze sflaczałym kołesiem siedzącym kilka krzeseł dalej, teraz wpatrującym się w niego wzrokiem pełnym furii.

– Dawaj to! – krzyknął generał Shirley, wyrywając Jamesowi z dłoni krótkofalówkę. – Kazakow, ty bydlaku, nie myśl, że ujdzie ci to na sucho!

– Generale – odpowiedział ciepło Kazakow. – Szalenie cenię sobie potyczki z godnym przeciwnikiem, ale rzecz jasna, jeśli żadnego nie ma pod ręką, zawsze chętnie rozprawię się z takim gównem jak pan.

James zwalczył chęć parsknięcia śmiechem.

– Rozpoznawcze drony za sześć milionów dolarów! – wrzeszczał Shirley. – To jest wbrew wszelkim zasadom! Czyś ty kompletnie zdumiał, Kazakow?

– Wysłaliśmy tam pięcioro nastolatków – pysznił się Ukrainiec. – Garstkę skautów. A twojego najcenniejszego sprzętu strzegło paru mechaników.

– A ta cała akcja ze środkiem przeczyszczającym? Podłość i hańba! – pieklił się Shirley. – Zatkana kanalizacja! Ludzie srają do własnych hełmów!

Kazakow zawarczał, co w krótkofalówce Jamesa zabrzmiało trochę jak mruczenie kota.

– Wojna polega na znajdowaniu słabości przeciwnika i wykorzystywaniu ich. Nie istnieją zasady, generale, nie istnieje podręcznik wojny. Bez czystej wody armia nie jest warta funta kłaków. Nie uczą tego w waszych akademiach?

– Prowadzę gry wojenne od ponad trzydziestu lat, Kazakow, i jeszcze nigdy nie widziałem takiego odrażającego, niemoralnego łajdactwa!

– Wiesz, na czym polega twój problem, Shirley? – odkrzyknął Kazakow. – Kiedy ty polerowałeś buty i czytałeś książki w West Point, ja byłem w Afganistanie. Minus piętnaście stopni, okopy, gdzie brodzi się po kostki w zamrożonym błocie i brudzie innych ludzi, i walka z mudzahedinami, którzy pożarliby własne babcie,

gdyby uznali, że da im to choć trochę przewagi. Wojna jest odrażająca i niemoralna, generale. Kiedy się walczy, walczy się, by wygrać. Nikt nie sprawdza, co wolno, a czego nie. Zapomnij pan o humanitaryzmie, zasadach prowadzenia walki, strefach zdemilitaryzowanych i zrzutach żywności. Nie możecie tego pojąć, dlatego przegraliście w Wietnamie i dlatego dostajecie baty w Iraku!

– Wygraliśmy zimną wojnę – zawarczał generał Shirley. – Nakopaliśmy wam do waszych komunistycznych tyłków. A skoro mowa o Afganistanie, o ile pamiętam, Rosjanie przegrali także i tę wojnę.

– Nie armia ją przegrała, ale politycy! – krzyknął Kazakow.

W tym momencie radio odezwało się nowym głosem.

– Generale Shirley, dość tych jałowych sporów – powiedział spokojnie komendant O'Halloran. – W tej chwili mamy tu tysiąc żołnierzy, osiem tysięcy cywilów, wynajętych za grube pieniądze, oraz najkosztowniejszy ośrodek treningowy na świecie w stanie bezczynności. Proponuję, żebyśmy spotkali się o dwudziestą drugą w dowództwie i omówili koncepcję rozpoczęcia ćwiczeń od nowa przy zrewidowanym scenariuszu.

– Przyjdę – wycedził Shirley. – Ale nie pracuję więcej z tym Ruskiem. Nie zamierzam narażać swoich ludzi na jego nielegalne taktyki i żądam wydalenia go z bazy.

– Nie podejmujemy pochopnych decyzji – powiedział generał O'Halloran.

James uśmiechnął się, słysząc w tle protest Kazakowa:

– Nie jestem Ruskiem, tylko Ukraińcem! – po czym głosy umilkły, a głośnik bluznął jednostajnym szumem.

Generał Shirley wyciągnął dłoń z radiem, jakby chciał oddać je Jamesowi, ale w ostatniej chwili zamachnął się i cisnął urządzeniem o ścianę, roztrzaskując plastikową obudowę. Następnie zerwał się z krzesła i zgarnął z podłogi worek zawierający jego poplamione ubranie.

Sanitariusz spojrział na niego z niepokojem.

– Panie generale, musimy się upewnić, że pańskie oczy...

– Nic im nie dolega – burknął Shirley i wybiegł za przepierzenie, by przepchnąć się na początek kolejki do natrysków.

Choć podczas ćwiczeń Shirley teoretycznie podlegał poleceniom każdej osoby ze stałego personelu Fort Reagan, nikt nie miał ochoty z nim zadzierać. Generał stanął przed pierwszą wolną kabiną prysznicową, ale zanim wszedł do środka, odwrócił się i spojrzawszy na kolejkę za sobą, odszukał wzrokiem grupę swoich ludzi.

– Za tą ścianą jest jeden dzieciak – powiedział, cedząc słowa z tłumioną furią. – Krótkie włosy, niebieskie oczy, najwyżej szesnaście lat. To on sprawił, że przez ostatnich kilka godzin wysrywaliście własne flaki. Nie zapomnijcie okazać swojej wdzięczności, dobrze?

James skulił się na wilgotnym plastikowym krzesełku, kiedy z drugiej strony przepierzenia załomotały żołnierskie pięści i posypały się groźby obiecujące mu rozmaite, mniej lub bardziej nieprzyjemne rzeczy, od zwykłego skopania tyłka aż po kastrację i łomot gazrurką.

– Jesteś trupem! – krzyknął jakiś Amerykanin, waląc w płytę wiórową tak mocno, że cała ściana niebezpiecznie zadygotała.

Jamesowi zdarzało się już narobić sobie wrogów, ale pierwszy raz miał na karku cały batalion żołnierzy naraz i nie podobało mu się to ani trochę.

34. RYZYKO

Kevin, Laura i Rat wraz z garstką oficerów SAS-u i cywilnych rebeliantów nudzili się w holu przed salą dowodzenia generała Shirleya. Siedzieli na plastikowych krzesłach, szastając nogami, ziewając i pilnując się, by w żadnym razie nie używać wody, na wypadek gdyby w rurach pozostały jeszcze ślady fenoloftaleiny.

Powietrze na zewnątrz było ciężkie od zapachu środków odkażających. Żołnierze stali w kolejkach po leki zapobiegające odwodnieniu i wstrzymujące biegunkę przywiezione śmigłowcem ze szpitala w Las Vegas. Najłagodniejsze przypadki wydobrzały już na tyle, by móc podjąć lżejsze prace i rozpocząć sprzątanie obozu, podczas gdy zespół odpowiedzialny za utrzymanie instalacji i urządzeń Fort Reagan zabrał się do udrażniania zapchanej kanalizacji i usuwania skutków wycieków.

W mieście rozpuszczona przez Kazakowa plotka głosząca, że wszyscy cywile zostaną odesłani do domu z zapłatą za dwa tygodnie, wywołała powszechny entuzjazm, który, kiedy plotkę zdementowano, przemienił się w powszechne rozgoryczenie prowadzące do aktów wandalizmu.

W sali dowodzenia Mac dołączył do Kazakowa, komendanta O'Hallorana, generała Shirleya i kilku oficerów. Posłańcy wbiegali i

wybiegali z sali, donosząc sprawozdania od zespołów medycznych i techników pozwalające ocenić, ile czasu minie, nim wszyscy żołnierze dojdą do siebie, a urządzenia bazy będą w stanie pozwalającym na prowadzenie ćwiczeń.

Zbliżała się północ, kiedy uzgodniono, że zostanie sporządzony nowy, zmodyfikowany scenariusz ćwiczeń i kolejna dziesięciodniowa sesja treningowa rozpocznie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jednak Kazakow i generał Shirley wciąż skakali sobie do gardeł.

Kazakow twierdził, że Shirley to mięczak, który nie umie przegrywać. Shirley twierdził, że Kazakow grał nieczysto i naraził na szwank zdrowie jego ludzi. Zarówno Shirley, jak i dowódca Fort Reagan O'Halloran byli jednogwiazdkowymi generałami, ale to do O'Hallorana należała ostateczna decyzja.

O'Halloran nie był zachwycony umiejętnościami dowódczymi generała Shirleya ani tym, że nieortodoksyjne taktyki Kazakowa zrujnowały kosztowne bezpilotowce, hangar, w którym je trzymane, oraz system kanalizacji bazy.

Ostatecznie zdecydował się na dyplomatyczne rozwiązanie rozpoczęcia ćwiczeń od nowa. Dwaj zastępcy Shirleya mieli objąć dowodzenie nad przeciwnymi stronami, Shirley miał pozostać jako obserwator bez prawa podejmowania decyzji, zaś Kazakowa poproszono o opuszczenie Fort Reagan.

– Dranie! – krzyknął Kazakow, budząc Laurę i kilkoro innych cherubinów z letargu, kiedy otworzył drzwi sali dowodzenia wybuchowym kopnięciem.

W ostatniej chwili zawrócił, oderwał nadajnik przyczepiony do boku jednego z monitorów, po czym podetknął go generałowi Shirleyowi pod nos.

– Widzisz to? – uśmiechnął się Ukrainiec. – Kolejne z twoich fatalnych niedopatrzeń. Słyszałem każde twoje słowo. Znałem każdy rozkaz, jeszcze zanim poznali go twoi ludzie.

Shirley wyglądał na załamane. Wiedział, że przebieg ćwiczeń i wielkość spowodowanych nimi strat muszą doprowadzić do śledztwa. Nawet gdyby komisja orzekła, że Kazakow w taki czy inny sposób złamał regulamin Fort Reagan, generał i tak wyszedłby na niedołęgę po tym, jak jego batalion został pokonany przez znacznie mniejsze i gorzej przygotowane siły.

– Wracaj do Rosji, do swojej brudnej nory – zasyczał Shirley i zamachnął się pięścią.

Czterdziestodziewięcioletni Kazakow był tylko o rok młodszy od generała, ale w przeciwieństwie do korpulentnego Amerykanina trzymał formę i był w znacznie lepszej kondycji niż większość mężczyzn o połowę młodszych od niego. Ukraińiec bez trudu zanurkował pod dzikim ciosem, by w następnej chwili odepchnąć Shirleya od siebie. Pchnięcie było tak mocne, że generał stracił równowagę i runął twarzą na biurko, odłamując ciekłokrystaliczny monitor od podstawy i zrzucając na podłogę wielki stos papierów.

Kazakow szybko złapał plastikową podkładkę do pisania i trzepnął nią Shirleya po łysinie, po czym opróżnił mu na głowę kubek długopisów i ołówków.

– Wypełniaj swoje formularze, generale – zawarczał Kazakow. – Szeleść papierami, gryź ołówki, ale nie próbuj udawać żołnierza. Prawdziwi żołnierze giną z powodu głupich decyzji podejmowanych przez takich bufonów jak ty.

Mac i komendant ośrodka wyszli za Kazakowem do holu. O'Halloran zmierzył Ukraińca złym wzrokiem.

– Proszę się spakować i udać do biura przyjęć. W zatoczce trzyszesnaście czeka samochód, czarny sedan. W recepcji wydadzą panu kluczyki; proszę nas zawiadomić, gdzie pan zaparkował pod lotniskiem, a wtedy wyślemy kogoś po wóz.

Kazakow wyglądał na zaskoczonego.

– Nie mógłbym zostać na noc? Przez ostatnie dwa dni prawie nie spałem, a do Vegas są cztery godziny jazdy.

– Muszę upuścić złej krwi – odparł O'Halloran. – Dwadzieścia mil na wschód od ośrodka znajdzie pan motel.

Mac spojrział na Kazakowa, kiedy obaj mężczyźni ruszyli przez hol w towarzystwie Laury, Kevina i Rata.

– Myślę, że powinieneś zabrać Jamesa ze sobą – powiedział Mac. – Już się rozeszło, że to on zatrzał wodę w bazie, a jeśli wezmą go na cel, sytuacja może szybko wymknąć się spod kontroli.

*

James obudził się o wpół do ósmej, ale wyczerpany Kazakow chrapał w najlepsze. Motel był raczej dziwaczny, wyposażony gdzieś w latach osiemdziesiątych przez kogoś, kto uważał, że jaskrawoczerwony plastik wygląda odłotowo. Powierzchnie mebli pokrywał kurz, a zegar na ścianie miał wyczerpane baterie, stwarzając wrażenie, że pokój nie miał lokatorów od wielu miesięcy.

James był głodny, więc wyszedł na zewnątrz, prosto w ostre poranne słońce. Ich czarny ford był jedynym autem na parkingu dla gości. Wszędzie jak okiem sięgnąć rozpościerała się pustynia, której monotonię urozmaicała jedynie pusta szosa.

Burczący żołądek poprowadził Jamesa do recepcji z rozerwaną moskitierą w wejściu i stertą ulotek reklamujących wycieczki do Strefy 51 oraz dwa szemrane miejscowe kasyna.

– Macie tu miejsce, w którym można by coś zjeść? – zapytał James.

Żyłasta starsza pani za kontuarem spojrzała na niego znad szkieł oprawnych w półramki.

– Dwanaście mil na wschód jest Burger King.

– Dwanaście mil – powtórzył James, bezwiednie naśladowując jej akcent. – I nic w zasięgu wzroku?

Kobieta spojrzała na niego jak na idiotę.

– A masz coś w zasięgu wzroku? Z tyłu za szesnastką znajdziesz automaty z przekąskami.

James znalazł je i karmił ćwierćdolarówkami tak długo, aż dostał na śniadanie butelkę bezmarkowej lemoniady i paczkę MiniOreos.

Wróciwszy do pokoju, wziął prysznic i osuszył ciało ręcznikiem tak cienkim, że widać było przezeń kolor skóry. Ubierając się, zrobił trochę więcej hałasu niż zwykle i zaszeleścił opakowaniem ciastek w nadziei, że obudzi tym Kazakową, ale wielki Ukrainiec był nieobecny dla świata, leżąc z otwartymi ustami i plamą śliny na poduszce.

Jamesowi było spieszno do miejsca, w którym zjadłby coś normalnego, i pomyślał o włączeniu telewizora, ale Kazakow mógłby się rozzłościć, gdyby go obudził, a nie był to człowiek, którego chciałoby się denerwować.

Po ciastkach i gazowanym napoju James poczuł się pełniejszy, ale zestaw zostawił mu wstrętny posmak w ustach. Zastłony nie były skuteczną przeszkodą dla porannego słońca, więc usiadł na łóżku i przeczytał dwa rozdziały podręcznika blackjacka, po czym wyjął talię i zaczął trenować liczenie kart. Po półgodzinie zachciało mu się sikać, ale kiedy odwrócił się, by zejść z łóżka, ujrzał, że Kazakow ma otwarte oko, którym wpatruje się w niego w milczeniu.

– Hej – powiedział James ze sztuczną swobodą. – Długo pan tak leży?

Kazakow dużo krzyczał w ciągu minionych dwóch dni i głos miał słabszy niż zwykle.

– Może ze dwadzieścia minut.

James uśmiechnął się.

– Tak po prostu gapiąc się bez sensu?

– Zawsze jest jakiś sens – powiedział Kazakow, odrzucając kołdrę i siadając. – To interesujące, co ludzie robią, kiedy sądzą, że nikt ich nie obserwuje. I jak ci idzie?

– Co jak mi idzie?

– Liczenie kart – powiedział Kazakow.

– Trudno powiedzieć – westchnął James. – Nigdy nie byłem w prawdziwym kasynie; nie widziałem, jak szybko krupier rozdaje karty, ani nie próbowałem zapamiętywać wartości, kiedy wokół

kręci się tłum ludzi i piszczą automaty. W książce napisali, że to zupełnie inna bajka, niż siedzieć w domu i rozdawać sobie samemu.

Kazakow wstał i ze skupieniem wyzwolił trzy pikantne pierdnięcia, po których odetchnął z ulgą.

– Kupa, prysznic! – zarządził dziarsko, kiedy James wtulił twarz w rękaw koszulki, próbując osłonić nos przed smrodem. – A potem pojedziemy na jakieś śniadanko.

35. PRÓBA

Czymś, czego Kazakow szczerze nie znosił w Ameryce – poza wszystkim innym – były drogi. Stwierdziwszy, że pustynny pejzaż jest nudny, a zawieszenie zbyt miękkie, pozwolił Jamesowi prowadzić.

Nie mogli zatrzymać się w pierwszym barze, jaki napotkali, ponieważ był to ten sam lokal, z którego wyproszono ich pod lufą w drodze do Fort Reagan. Choć James umierał z głodu, nie odważył się poprosić Kazakowa o przystanek w McDonalddie i zanim znaleźli przyzwoicie wyglądający bar, minęło południe, a oni byli już w połowie drogi do Vegas.

– Może zadzwonię do kampusu? – zasugerował James, siadając naprzeciwko Kazakowa przy żółtym stoliku. – Poproszę, żeby pozałatwiali nam przeloty i w ogóle...

– Mógłbyś – przytaknął Ukrainiec z ustami do tego stopnia wypchanymi cheeseburgerem i frytkami, że mógł wypowiadać tylko po jednym słowie naraz. – Tylko... W kampusie nie mam nic do roboty aż do następnej sesji szkolenia podstawowego, które zaczynamy dopiero za dziesięć dni. Co ci tak spieszo do domu, hę?

James wzruszył ramionami.

– Myślałem tylko, że nienawidzi pan Ameryki i wszystkiego, co z

nią związane. Zresztą dokładnie te słowa wypowiedział pan dziś już jakieś pięć razy.

Oczy Kazakowa zwięziły się.

– Muszę odzyskać moje trzy tysiące dolarów.

– Jaaasne – zaśmiał się James. – Lepiej niech się pan trzyma z dala od hazardu, szefie. Bez urazy, ale widziałem, co się działo w Reef tamtej nocy. Nie potrafi pan trzymać drinka w szklance, a do tego fatalnie nie umie pan przegrywać.

– No a to twoje liczenie kart? – Kazakow uniósł jedną brew. – Mówiłeś, że działa.

James uśmiechnął się.

– Owszem, zwiększa szanse, ale wymaga ogromnych umiejętności. Mnie nie wolno zbliżyć się do stołu, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat, a nauczanie pana zajęłoby wiele dni, nawet jeżeli ma pan głowę do liczb.

Kazakow wyjął z kieszeni bluzy odbiornik wideo, którego używał do podglądania centrum dowodzenia w Fort Reagan, i huknął nim w stół.

– Znam strategię podstawową. Wezmę kamerę, ty będziesz patrzył w karty i mówił mi, kiedy grubo obstawiać.

Pierwszą reakcją Jamesa był szok.

– To bzdura – parsknął wreszcie, gdy nieco ochłonął – Musiałbym widzieć cały stół i w życiu nie odczytam kart na tym tycim ekraniku.

– Możemy podłączyć do mojego laptopa, a kamera jest wysokiej rozdzielczości. Nie wiedziałem, co będzie mi potrzebne, więc wziąłem cały zestaw: pluskwy, kamery zwykłe, szerokokątne, włączniki, przekaźniki, sygnalizatory. Wszystko jest w samochodzie.

James rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje, i pochylił się nad stołem.

– Liczenie kart w głowie nie jest nielegalne – powiedz cicho. – Ale kiedy zaczyna się używać gadżetów i kamer to jest to oszukiwanie

kasyna, a za to się idzie do pierdła. Widziałem więzienia w tych okolicach i proszę mi wierzyć, nie chcemy skończyć w jednym z nich.

– Mam prawie pięćdziesiąt lat – powiedział Kazakow z determinacją. – Nie mam domu i żyję z lichej rządowej pensji. Nie jestem bogaty jak Mac. Nie stać mnie na przegranie trzech tysięcy dolarów.

– Hazard to sport dla frajerów. Trzeba było nie dać się wciągnąć.

– No co ty, James – nalegał Kazakow. – Gdzie się podziała twoja żądza przygód? Widziałem ten błysk w twoich oczach, kiedy siedziałeś na tamtym łóżku i rozdawałeś karty, tak mocno się koncentrując, notując w głowie liczby. Wiem, że chcesz spróbować teraz; nie chce ci się czekać pięciu lat.

Kazakow obserwował twarz Jamesa i poznał, że chłopiec się waha.

– Mamy najlepszy sprzęt – kusił Ukrainiec. – Ty będziesz tylko liczył karty i dawał mi sygnał, kiedy nasze szanse wzrosną. Mamy sprzęt z arsenału CHERUBA, najlepszy na świecie. Kamera ma wielkość główki od szpilki. Transmisje są tak zabezpieczone, że nie namierzy ich żaden system nadzoru elektronicznego.

James wiedział, że w razie wpadki wyleciałby z CHERUBA, a prawdopodobnie także stanął przed sądem. Ale Kazakow miał rację w jednym: dysponowali techniką o niebo lepszą niż wszystko, co przeciętny kanciarz kasynowy mógł zdobyć na rynku. Poza tym wydarzenia minionych tygodni pozostawiły Jamesowi w duszy dziwną pustkę. Wszystko szło źle: jego antyterrorystyczna misja się nie powiodła, rzuciła go dziewczyna, musiał uciekać z Fort Reagan, a ponad tym wszystkim miał już grubo ponad szesnaście lat i większą część swojej kariery w CHERUBIE widział we wstecznym lusterku.

Potrzebował zwycięstwa, by odzyskać równowagę ducha, by jego życie znów nabrało barw. Wyjście z kasyna z wielką górą dolarów

pasowałyby w sam raz.

– Może dałbym się skusić na małą próbę – powiedział James z wahaniem. – W jednym z mniejszych kasyn. Nasz wóz ma zaciemnione szyby, mógłbym pracować na parkingu.

– Dobry chłopak – pochwalił Kazakow, pochylając się nad stołem, by przybić z Jamesem piątkę. – Wiesz, że to może zadziałać.

*

Sunąc w stronę Las Vegas czarnym sedanem, James rozmyślał o sobie. Miał za sobą historię angażowania się w rozmaite na wpół przemyślane intrygi i pakowania w kłopoty, ale najdziwniejsze było to, że zawsze miał apetyt na kolejną porcję. Służba w CHERUBIE pozwalała mu na wykorzystanie tych cech na treningach i misjach, ostatecznie pociąg do ryzyka był jednym z powodów, dla których go zwербowano. Ale co to mogło oznaczać dla jego przyszłości?

Patrząc na swoich znajomych, takich jak Kerry czy Shakeel, James mógł bez trudu wyobrazić ich sobie jako trzydziestolatków z dwójką dzieci, którzy podejmują przyjaciół na grillu i spędzają weekendy na majsterkowaniu. Jednak siebie nie widział w takiej roli. Może wykorzysta swoje zdolności matematyczne do liczenia kart albo handlowania papierami wartościowymi, żeby się wzbogacić, ale co będzie, jeśli to nie wypali?

James był na tyle rozgarnięty, by martwić się sytuacją, w jaką się pakował, ale zanim zajęchali na parking wielkiego centrum handlowego, by przygotować sprzęt, kipiał już z emocji. Myśl o tym, że ma u boku Kazakowa, działała niezwykle krzepiąco. Ukrainiec był impulsywny, ale inteligentny, a w przeszłości walczył i wygrywał bitwy z wrogami znacznie twardszymi niż kasynowi goryle.

Wstąpili do domu towarowego i kupili Kazakowowi nieco mniej militarystyczne ubranie: luźne bawełniane spodnie, białą koszulę, marynarkę i okulary przeciwsłoneczne. Jednak głównym nabytkiem był szal. Z kamerą przypiętą do klapy marynarki albo koszuli

niewiele da się zrobić, by niepostrzeżenie zmienić jej pole widzenia, ale kamerę w szalu okręconym luźno wokół szyi można bez wzbudzania podejrzeń podnosić i opuszczać tak, by uzyskać jak najlepszy widok stołu.

– Jest jedna rzecz, jaką lubię w Ameryce. – Kazakow uśmiechnął się szelmowsko, zapinając guziki koszuli. – Wszyscy mają nadwagę, więc mój rozmiar można kupić wszędzie.

James uważał, że Ameryka jest fajna, i nudziły go prześmiewki Ukrainca, ale nic nie powiedział, ponieważ był zajęty z tyłu samochodu, podłączając odbiornik wideo do laptopa.

– Co widzisz? – zapytał Kazakow.

James obrócił komputer ekranem w jego stronę. W kamerze zamontowali nasadkę rybie oko zapewniającą bardzo szerokie pole widzenia, ale zniekształcającą obraz.

– Rozdzielczość jest świetna; mogę panoramować, robić zbliżenia i wciąż bez problemów odczytywać karty, ale musi pan usiąść na środkowym miejscu, żebym miał przyzwoitą szansę na liczenie wszystkiego.

Kazakow pokazał Jamesowi spodnią część swojego zegarka, do którego przykleił wibrujący sygnalizator.

– Ty będziesz słyszał, co mówię, ale ja nie mogę mieć słuchawki. Za duże ryzyko. Musimy ustalić szyfr.

– To lepsze niż opaska na nodze – pokiwał głową James. – Dam dwa impulsy, kiedy powinien pan podnieść stawkę; trzy, kiedy powinien pan przystopować. Jeden długi impuls oznacza, że straciłem rachubę, dwa długie, że mamy kłopoty.

– Dobra – powiedział Kazakow. – Trzeba będzie ustalić osobne sygnały do poruszania kamerą podczas gry.

James potrząsnął głową.

– Musi pan stale trzymać kamerę wycelowaną w stół. Jeśli zdryfuje gdzieś w bok, to zanim ustawimy ją z powrotem, przegapię dwa lub trzy rozdania i stracę rachubę.

– Nie mogę siedzieć nieruchomo – zaniepokoił się Kazakow. – To byłoby podejrzone.

– Nie musi pan siedzieć sztywno – odparł James. – Po prostu niech się pan nie odchyła za daleko od optymalnej pozycji, bo nie będę widział wszystkich kart.

Kazakow otworzył drzwi samochodu i postawił stopę na asfalcie.

– Pochodzę sobie trochę z tym sprzętem, zanim uderzymy na poważnie.

– Dobry pomysł – powiedział James. – Niech pan pójdzie do baru i poćwicz siedzenie nieruchomo w taki sposób, żeby nie wyglądał pan jak posąg. Zadzwoń i powiem, jak to wygląda z tej strony. Aha, skoro już pan tam będzie, to poproszę kawę i sałatkę owocową z tego stoiska przy restauracjach.

*

Przez następne dwie godziny James i Kazakow ćwiczyli procedury, dopóki nie nabrali wprawy. Kazakow mógł przechadzać się w swoim szalu, usiąść i niemal natychmiast ustawić kamerę tak, by zapewniała szerokie pole widzenia w dowolnym kierunku.

Liczenie kart pozwala na nieznaczną przewagę, jeżeli w prosty sposób zlicza się wartości rozdanych kart i liczbę kart pozostałych w taliach. Jednak skoro Kazakow, fizycznie siedząc przy stole, był w stanie stale kontrolować liczbę pozostałych kart, James pomyślał, że mógłby powiększyć ich szanse, biorąc pod uwagę dodatkowo liczbę rozdanych asów. Dokonał stosownych kalkulacji stawek i sporządził tabelę strategii, którą wyświetlał w oknie w prawym rogu ekranu laptopa, tuż obok obrazu z kamery.

Tuż przed czwartą po południu zajechali na parking hotelu i kasyna Wagon Wheel. James wręczył Ukraincowi pięćset dolarów wakacyjnego kieszonkowego i czując zawroty głowy wypłacił kolejnych pięćset z bankomatu. Kazakow zabrał pieniądze Jamesa do klatki kasyna i wymienił na żetony wraz z dwoma tysiącami dolarów z własnej karty kredytowej.

Zaparkowali w najciemniejszym i najodleglejszym zakątku parkingu i James usiadł na tylnej kanapie, patrząc, jak Kazakow sunie wzdłuż szeregu popiskujących jednoręcznych bandytów, szukając stołów do blackjacka.

Wagon Wheel było znane jako kasyno dla miejscowych. Nie miało dziesięciu tysięcy pokoi ani sfinksa w westybulu jak molochy przy Stripie, miało za to według książki Jamesa dwutaliowe stoły do blackjacka należące do najlepszych w Vegas.

Gra dwiema taliami zamiast sześciu oznaczała, że mieli większą przewagę statystyczną, kiedy karta im sprzyjała. Łatwiej było także kontrolować liczbę pozostałych kart, tym bardziej że krupier trzymał talie w ręce, zamiast ukrywać je w tak zwanym bucie.

– Ten może być? – wymamrotał Kazakow po rosyjsku, zwracając się frontem do stołu.

Prawo stanu Nevada stanowi, że przy każdym stole do gry hazardowej muszą być przejrzyste wyszczególnione reguły gry i limity stawek. Kasyna znane są z tego, że próbują przemycić do regulaminu dodatkowe punkty, by jeszcze bardziej powiększyć swoją przewagę nad graczem. Przejrzawszy szybko reguły, James nacisnął dwukrotnie klawisz F5, zdalnie aktywując wibrator pod zegarkiem Kazakowa, by dać partnerowi znać, że może zasiąść przy stole.

Środkowy stółek był zajęty, więc Kazakow zajął następne miejsce po lewej stronie. Pozostałymi graczami przy stole były trzy starsze panie. Na początek, żeby wczuć się w grę, Kazakow zagrał za minimalną stawkę dziesięciu dolarów, słuchając wynurzeń jednej z dam, która wyznała, że podoba jej się jego akcent, i opowiedziała o swoim kuzynie dyplomacie pracującym w Odessie. Rozprasające uwagę rozmowy należą do największych wrogów gracza liczącego karty, ale Kazakow nie miał tego problemu, ponieważ to James główkował za niego.

Na parkingu przed kasynem James siedział za ciemnymi szybami

czarnego forda, trzymając na kolanach laptopa podłączonego do gniazda zapalniczki. Widział karty całkiem wyraźnie, a pogaduszki pomiędzy trzema starszami a krupierem spowalniały grę, ułatwiając prowadzenie rachuby.

Kazakow trzymał się solidnej strategii i wygrał trzy pierwsze rozdania, ale James był zawiedziony, widząc, że na stół lecą prawie same wysokie karty. Zliczana z każdą kartą wartość przewagi szybko spadła do minus pięciu, przesuwając prawdopodobieństwo wygranej daleko na stronę kasyna. Kazakow zmieniał stawki, oscylując między dziesięcioma a dwudziestoma dolarami, ale w miarę upływu czasu statystyczna przewaga kasyna nieubłaganie zbierała swoje żniwo i do rozdania ostatniej karty Ukrainiec stracił swoje wczesne zyski, a oprócz tego osiemdziesiąt dolarów z własnej puli.

Do stołu przysiadł się kowboj, a krupier odszedł na przerwę, ustępując miejsca kobiecie. Zrobiło się trudniej, bo do zliczania było teraz minimum dwanaście kart na rozdanie, a krupierka była mniej gadatliwa i rozdawała karty szybciej od poprzednika. Jednak tym razem przewaga przesunęła się na stronę Kazakowa i James wdusił dwukrotnie F5, dając znak, że już czas podnieść stawkę.

Szala szansy na wygraną przechyliła się teraz na stronę graczy. Kazakow stawiał od trzydziestu do pięćdziesięciu dolarów na rozdanie, ale karta mu nie sprzyjała. Zliczanie wartości prawdziwej i podnoszenie stawek w chwilach, kiedy rachunek prawdopodobieństwa przemawia na korzyść gracza, daje mu statystyczną przewagę nad kasynem, ale nie gwarantuje wygranej w żadnym konkretnym rozdaniu, a Kazakow po prostu nie dostawał właściwych kart.

Kiedy krupierka tasowała karty, by zacząć od początku, Kazakow był uboższy o prawie czterysta dolarów, podczas gdy kowboj po jego lewej stronie wygrał dwie setki, stosując teoretycznie samobójczą strategię podążania za własnym przecuciem.

James nie widział twarzy partnera, ale Kazakow wiercił się na stołku i nerwowo zaciskał pięści. Śliczna kelnerka postawiła przed instruktorem darmowy sok pomarańczowy i bourbon przed kowbojem. Niedługo później trzy starsze panie odeszły od stolika, śmiejąc się i zostawiając dwadzieścia dolarów napiwku dla krupierki.

Przy stole pozostało dwóch graczy. Kazakow przesiadł się na środkowy stołek, żeby odsunąć się od kowboja. W pierwszym rozdaniu następnej gry dostał blackjacka – równo dwadzieścia jeden punktów, za które krupier wypłaca sto pięćdziesiąt procent postawionej sumy. Kolejne dwa rozdania, z mniejszymi zakładami za dziesięć i dwadzieścia dolarów, także wygrał, po czym przewaga po raz drugi przesunęła się na stronę graczy.

Kazakow podniósł stawkę do maksymalnych pięćdziesięciu dolarów i wygrał siedem rozdań z następnych ośmiu. W miarę topnienia talii przewaga przesuwała się z powrotem na stronę kasyna, ale Ukrainiec miał dobrą passę i do czasu, gdy krupierka rozdała wszystkie karty, odrobił straty z poprzednich gier oraz dorzucił do tego trzysta dolarów zysku.

– To działa – mruknął po rosyjsku, by zrozumiał go tylko James.

Przez następną godzinę i kwadrans Kazakow grał spokojnie i stopniowo powiększał swoją wygraną. Czasem przewaga kasyna rosła i wtedy trochę przegrywał albo dreptał w miejscu, ale kiedy tylko szanse na wygraną rosły, podnosił stawkę i odrabiał straty z nawiązką. Jego kupka żetonów za trzy tysiące dolarów wkrótce urosła do czterech tysięcy siedmiuset i pit boss, który zarządzał wszystkimi stołami w tej sekcji kasyna, przychylił się do prośby Kazakowa, by limit zakładu został podniesiony z pięćdziesięciu do stu dolarów.

James obserwował, jak pit boss i jeszcze jeden mężczyzna zaczynają przysuwać się do stołu Kazakowa, łypiąc na rosnącą przed nim stertę żetonów. Krupierzy blackjacka i pracownicy

ochrony kasyn są wyszkoleni w namierzaniu graczy liczących karty. Każdy stół jest obstawiony kamerami i po półtorej godziny gry i zgromadzeniu kilku tysięcy dolarów Kazakow mógł być pewien, że gdzieś w pokoju nadzoru ktoś bacznie obserwuje każdy jego ruch.

Gdyby podnosił stawkę za każdym razem, kiedy zwiększała się szansa wygranej, niechybnie wzbudziłby podejrzenia i został wyproszony z kasyna. Dlatego musiał od czasu do czasu popełniać błędy, by uspić czujność ochrony. Rzecz jasna, takie celowe potknięcia były kosztowne.

Dwie godziny i piętnaście minut po rozpoczęciu gry James zauważył, że pit boss zaczyna tracić zimną krew. Zmienił krupiera i kazał przynieść nowe karty, po czym zmniejszył limit zakładu z powrotem do pięćdziesięciu dolarów na rozdanie, wszystko po to, by położyć kres szczęśliwej passie Kazakowa.

James nie chciał kusić losu podczas pierwszej akcji, a po ponad dwóch godzinach spędzonych przed monitorem piekły go oczy. Miał ciężką głowę, był głodny i musiał skorzystać z toalety, więc w końcu posłał partnerowi długi sygnał, mówiąc mu, że ma kończyć.

Zostawiwszy krupierowi pięćdziesiąt dolarów napiwku, Kazakow udał się do klatki, by spieniężyć żetony. James przetarł oczy pięściami i wypił pół butelki wody, nim znowu spojrzął na ekran, gdzie kasjer za grubą złotą kratą wsypywał stosy dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowych żetonów do maszyny liczącej.

Błękitny ozdobny wyświetlacz zamigotał sumą: osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt dolarów.

– Dopisało panu dziś szczęście, proszę pana – powiedział pogodnie kasjer. – Niech pan jak najszybciej schowa te pieniądze w bezpiecznym miejscu.

36. VEGAS

James omal nie narobił w gatki ze strachu, ryzykując wszystkie oszczędności i kładąc na szali swoją karierę w CHERUBIE, ale teraz, kiedy wygrali, zakipiał entuzjazmem. Przysługująca mu zgodnie z umową trzecia część wygranej wynosiła dwa tysiące dziewięćset dwadzieścia dolarów, co oznaczało, że prawie potroił swój wkład. Wynosząca pięć tysięcy osiemset czterdzieści dolarów działka Kazakowa niemal dwukrotnie przekraczała sumę, jaką przegrał w Reef kilka dni wcześniej.

James i Kazakow zachowywali się jak najlepsi kumple, przejeżdżając ostatnie mile w stronę centrum Las Vegas, zaśmiewając się z opowieści o strażnikach na parkingu, wrogich spojrzeniach pit bossa oraz o tym, jak James stracił rachubę z powodu ataku kichania.

James wyprowadził forda na osiem pasów Las Vegas Strip. Słońce chowało się za Stratosphere Tower na północnym krańcu ulicy, rozjarzały się pierwsze neony, a na wysoką na pięćdziesiąt metrów wideościanę wypłynęła reklama koncertu Eltona Johna.

– Słyszałem, że tutejsze bufety są godne polecenia.

James był wstrząśnięty. Usłyszeć Kazakowa chwającego coś amerykańskiego to było jak wejść do KFC i natknąć się na rodzinę

królewską wcinającą skrzydełka z promocyjnego kubekka.

– Bellagio ma najlepszy szwedzki stół w Las Vegas – uśmiechnął się James. – Trzydzieści baksów na głowę i jesz do oporu. Mieliśmy pójść ostatnim razem, ale Kerry i Rat mieli już za mało kasy.

Bellagio to położony mniej więcej w połowie Las Vegas Strip ekskluzywny hotel słynący z olbrzymiego stawu i fontann przed frontem. Jak wszystkie tego typu obiekty był olbrzymi i zanim James i Kazakow dotarli do bufetu, musieli przejść przez ogromny parking oraz kasyno zajmujące powierzchnię kilku boisk piłkarskich. W Las Vegas wszystko jest konstruowane tak, by trzeba było odbyć długą i kuszącą przechadzkę przez kasyno, zanim dotrze się dokądkolwiek indziej.

Na korytarzach o marmurowych posadzkach i w wyłożonych grubymi dywanami salach gier kręciły się liczne grupki bladoliczych mężczyzn w sportowych marynarkach. Grube okulary i przetłuszczone włosy występowały w zastanawiająco wielkiej obfitości.

– Co to jest? – zdumiał się Kazakow, kiedy stanęli na końcu pięćdziesięcioosobowej kolejki do bufetu. – Złot pryszczatych?

Trzej mężczyźni przed nimi dyskutowali zawzięcie o oprogramowaniu do rozpoznawania pisma odręcznego, co po chwili skojarzyło się Jamesowi z billboardami, jakie widział w mieście.

– CompuFest 2008 – uśmiechnął się, przesuając wraz z kolejką o dwa kroki naprzód. – To wielkie targi przemysłu komputerowego.

– Raczej złot gików – prychnął pogardliwie Kazakow. – Dajcie mi sześć tygodni, a zrobię z nich prawdziwych mężczyzn.

– Może nie mają krzepy, ale forszę na pewno – powiedział James. – A właśnie się zastanawiałem, skąd tyle merców i bentleyów na parkingu.

Szwedzki stół okazał się wart czekania w kolejce i James zrobił z siebie prosiaka, ładując na talerz tuzin plastrów pieczonego mięsa, a

potem wracając jeszcze po rybę i makaron, by zakończyć deserem złożonym ze stosu miniaturowych ciastek z owocami.

– No! – powiedział Kazakow, klepiąc się po brzuchu, kiedy obaj byli już za bardzo obżarci, by wepchnąć w siebie choćby jeden kęs. – Co powiesz na kolejną partyjkę blackjacka? Ten pięćdziesięciodolarowy limit trochę podciął nam skrzydła. Może spróbujemy przy stole, gdzie gra się na poważne stawki?

– Ma pan bitą śmietaną na czubku nosa – powiedział James, unosząc w dwóch palcach filiżankę ze spodka. – Kiedy byliśmy w Reef, poszperałem trochę w internecie i jeśli chodzi o wysokie stawki, to podobno są dwa stoły z niską penetracją i wysokimi limitami w Vancouver Casino. To na południowym końcu Las Vegas Strip.

– To na co jeszcze czekamy? – zapytał Kazakow.

James wzruszył ramionami.

– Vancouver to całkiem nowe kasyno, więc ma najnowocześniejsze zabezpieczenia, a poza tym, im wyższe stawki, tym baczniej będą obserwować stół. Myślę, że dziś w Wagon Wheel trochę przeciągnęliśmy strunę. Powinniśmy byli zakończyć po tym, jak pit boss zmniejszył limit stołu z powrotem do pięciu dych.

– Okej – powiedział Kazakow. – Przerobiliśmy dziś trzy tysiące dolarów na prawie dziewięć tysięcy. Jeżeli znów potroimy nasz kapitał, to zbliżymy się do trzydziestu tysięcy.

James uśmiechnął się.

– W rzeczywistości kapitał początkowy nie ma znaczenia, dopóki nie wpadnie się w kanał i nie zacznie mocno przegrywać. Jeśli stawia się pięćset dolarów na rozdanie zamiast pięćdziesięciu, potencjalne zyski są dziesięć razy większe.

– Sto tysięcy dolarów! – huknął Kazakow, waląc się radośnie pięścią w pierś. – Miło by było wyjechać stąd z taką kasą.

– A wie pan, że sam bym się nie obraził? – pokiwał głową James. – Moja działka powinna wystarczyć na fajnego harleya.

*

Vancouver, jedno z najmłodszych kasyn w Las Vegas, było usytuowane na południowym końcu Las Vegas Strip. Jego sześćdziesięciopiętrowa wieża hotelu była najwyższa w mieście, a nowoczesny wystrój, w którym królowała prostota i biel, miał przemawiać do młodszej, wyluzowanej klienteli bardziej niż marmury i wzorzyste dywany starszych kasyn.

James widział już kilka wielkich hoteli kasyn i mimo ich rozpaczliwych wysiłków, by wyróżnić się spośród innych wyglądem i atrakcjami, odkrył, że pod cienką warstwą wysmakowanych dekoracji w istocie gości zawsze czeka to samo: wielki, wielopiętrowy parking, kilka tysięcy pokoi hotelowych, garść ekskluzywnych restauracji, a w sercu tego wszystkiego olbrzymie kasyno.

Wciąż ciężki od jedzenia James usiadł na tylnej kanapie forda, uruchomił laptopa i zajął się obserwowaniem widoków z kamery na szaliku Kazakowa. Był podekscytowany perspektywą wielkiej wygranej i pewny siebie po sukcesie w Wagon Wheel.

W hotelu aż roiło się od delegatów na Compufest, kiedy Kazakow dziarskim krokiem przemierzał kilometry korytarzy, a potem niesamowity szklany most rozciągający się nad hotelowym kompleksem basenowym. Most wychodził na szereg ruchomych schodów prowadzących w dół, na poziom kasyna.

Żadne części wielkich kasyn nie są bardziej podobne do siebie niż bezokienne sale gier. Wszystkie automaty i stoły są atestowane przez stan Nevada i muszą spełniać rygorystyczne normy, czego rezultatem są szeregi niemal identycznych maszyn błyskających kolorowymi światłami i popiskujących identycznymi melodyjkami i dżinglami.

Kiedy Kazakow minął wielką półciężarówkę Nissana zamontowaną na cokole jako przynęta dla frajerów karmiących automaty monetami, ekran przed Jamesem nagle pociemniał, po

czym na środku zamigotał napis *brak sygnału*.

Sygnał powrócił kilka sekund później, ale obraz był bardzo niewyraźny, a dźwięk urywany. Potem obraz ustabilizował się na kilka sekund, ale kiedy Kazakow wkroczył do sali wysokich limitów, sygnał zerwał się po raz drugi.

James obawiał się interferencji pochodzącej od urządzenia zakłócającego wewnątrz kasyna, ale gdy otworzył okno panelu sterowania programu do monitoringu wideo, ujrzał, że pasek siły sygnału drga na samym dole skali. Natychmiast wyjął komórkę i wybrał numer Kazakowa.

– Jak to nie ma sygnału? – zirytował się Ukrainiec. – Jesteś najwyżej kilometr ode mnie. W Fort Reagan uzyskiwaliśmy sześć razy taki zasięg. Jesteś pewien, że wszystko ustawiłeś, jak trzeba?

– Jestem pewien – odparł James. – W Fort Reagan był otwarty teren. Może nie jest pan daleko, ale nade mną są trzy piętra wypchane samochodami, a pan jest pod sześćdziesięcioletnim gmachem hotelu.

– Szlag! – warknął Kazakow. – Wzmacniacz sygnału pewnie załatwiłby sprawę, ale wziąłem tylko to, co mogło być mi potrzebne w Fort Reagan.

– Możemy spróbować w którymś z mniejszych lokali – zaproponował James. – Albo jednym z tych starych kasyn na Freemont Street.

– Musi być jakiś sposób – powiedział Kazakow. – Musisz podejść bliżej, zamknąć się w kiblu czy coś...

James cmoknął ze złością.

– W kasynach są ochroniarze i kamery. Wszędzie! Niech pan wraca do samochodu i znajdziemy sobie coś mniejszego.

– Czekaaj, niech pomyślę. – Kazakow nie dawał za wygraną. – Oddzwonię, dobra?

James cisnął telefon na siedzisko szerokiej kanapy fordą i westchnął. Był mózgiem tej operacji, ale czasem Kazakow traktował

go jak dzieciaka.

Wpatrywał się w ekran przez kilka następnych sekund, ale kiedy Kazakow zanurzył się głębiej w czeluściach kasyna, sygnał zniknął zupełnie. Minęło prawie dziesięć minut, nim komórka Jamesa zadzwoniła.

– Znalazłem ci miejsce – powiedział Kazakow. – Weź laptopa i spotkamy się w centrum biznesowym.

– Centrum biznesowym? – James uniósł brew.

Znalazł je nieopodal recepcji po prawie pięciominutowej przechadzce. Obszerna sala o przeszklonym froncie mieściła kilka tuzinów biur, z których każde otoczono z trzech stron niskimi przepierzeniami. Były tam również długie szeregi kserokopiarek, drukarek laserowych i kilka bardziej tajemniczych maszyn, takich jak laminatory i bindownice.

– Proszę pani – powiedział Kazakow, uśmiechając się do stojącej za kontuarem, sztywnie ubranej recepcjonistki, kiedy zauważył zbliżającego się Jamesa. – Oto i mój chłopak. Potrzebuje biurka, żeby dokończyć tę pracę z historii, a ja po prostu wiem, że jak zostawię go na górze w pokoju, to będzie tylko telewizja, Nintendo i słodycze z minibarku.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do Jamesa.

– Te prace domowe mogą człowieka załamać, prawda? – powiedziała ciepłym tonem.

– Jak chce się załapać na miejsce w dobrym college'u, to musi przysiąc fałdów – zawarczał Kazakow.

– Dobrze zatem – westchnęła pogodnie kobieta. – To miejsce w centrum biznesowym kosztuje czterdzieści dolarów za pierwszą godzinę i dwadzieścia pięć za każdą następną. W cenie jest biurko, internet, drukowanie, faksy i telefony. Za rozmowy zagraniczne i drukowanie w kolorze płaci się dodatkowo.

Kazakow zapłacił gotówką za trzy godziny.

– I lepiej się przyłóż – powiedział twardo, wyciągając palec w

stronę Jamesa, którego recepcjonistka prowadziła już w stronę biurek. – Żadnych pogaduszek ze znajomymi.

– Powodzenia przy stołach, proszę pana – zaszcebiotała słodko kobieta.

37. LIMIT

Recepcjonistka uśmiechnęła się ciepło, kiedy James ruszył w stronę biurka w najdalszym kącie opustoszałej sali.

– Dziwne, że tak tu pusto, skoro w mieście aż roi się od komputerowców – zauważył James.

– Oni są lata świetlne przed nami – odpowiedziała kobieta. – Mają swoje kieszonkowe komputery i smartfony. Dostaję sporo zleceń na drukowanie i bindowanie kontraktów, ale podczas Compufestu nikt nie używa biurek.

Recepcjonistka oddaliła się, a James odchylił ekran laptopa. Kiedy już podłączył i uruchomił komputer, otworzył aplikację do sterowania odbiornikiem. Pasek sygnału zajmował dziewięć kresek na dziesięć. Obraz był stabilny i pozbawiony zakłóceń, dźwięk wyrazisty, ale James omal nie spadł z krzesła, kiedy recepcjonistka postawiła obok niego tacę z dzbankiem kawy, dzbankiem soku pomarańczowego i małym talerzykiem herbatników.

– Pożywienie dla umysłu – uśmiechnęła się. – Daj mi znać, jeżeli będziesz potrzebował pomocy przy drukarkach.

– Dzięki – powiedział James. – Wystarczy odrobina samotności. Wie pani, chcę skoncentrować się na pracy i mieć to wreszcie za sobą.

Czuł się nieswojo, obserwując na ekranie, co robi Kazakow. Ukraińiec kupił w klatce żetony za osiem tysięcy dolarów, po czym od razu skierował się do sali wysokich limitów.

Jednym z głównych argumentów, jakimi James uspokajał sam siebie przed wzięciem udziału w przestępczym procederze, było to, że w przeciwieństwie do Kazakowa, który wziął na siebie bardziej niebezpieczną część zadania, on sam miał pracować na parkingu, setki metrów od kasyna, gdzie ryzyko wpadnięcia w łapy ochrony było niemal zerowe. Jednak teraz on także był wewnątrz kasyna i podczas gdy jedynym wyposażeniem Kazakowa była dyskretna kamera i miniaturowy wibrator przyklejony do spodu zegarka, James miał ze sobą odbiornik wideo, laptopa pęczniejącego od szpiegowskiego oprogramowania oraz podgląd stołu do blackjacka na jedenastocalowym ekranie przed sobą.

Wejście do sali wysokich limitów przegradzał aksamitny sznur, chociaż pieniądze były jedynym warunkiem wstępu. Wystrój był bardziej luksusowy niż w pozostałych częściach kasyna, a obsługa usłużniejsza, ale automaty do gry i stoły reprezentowały wciąż ten sam atestowany przez władze stanu standard.

Podczas gdy Kazakow rozglądał się za stołami do blackjacka, James oniemiał z podziwu, kiedy w polu widzenia mignął mu mężczyzna przed jednoręki bandytą z wetkniętą kartą kredytową tracący po pięćdziesiąt dolarów tak szybko, jak tylko pozwoliły mu na to wirujące wisienki i banany. Kasyna lubią nazywać hazard grą i przedstawiać go jako wyrafinowane zajęcie dla mężczyzn w typie Jamesa Bonda, w smokingach i muchach, ale w nowoczesnym kasynie, takim jak Vancouver, osiemdziesiąt procent powierzchni zajmują hałaśliwe i kiczowate automaty do gry, które generują dziewięćdziesiąt procent zysków.

Sale wysokich limitów są zwykle najbardziej wyludnionymi miejscami w kasynie, ale Compufest ściągnął do miasta rzesze bogatych ludzi i tym razem sala była pełna delegatów sypiących na

stoły tysiące dolarów i odpłacających się pięknym kelnerkom pięćdziesięciodolarowymi napiwkami za darmowy drink i uśmiech.

Kazakow uświadomił sobie, że to idealna sytuacja. Kasyno obchodził wyłącznie ogólny wynik, a pit bossowie i krupierzy będą mniej zwracać uwagę na jego wygrane, mając wokół tuziny klientów przepuszczających pieniądze w takim tempie, jakby jutro miały wyjść z mody. James przestudiował regulamin i zabrzączał sygnalizatorem, dając Kazakowowi znak, że może usiąść.

– Dobry wieczór panom – powiedział Kazakow, zajmując centralne miejsce i kładąc na stole cztery tysiące dolarów w żetonach.

Krupierką była piękna Azjatka w białej sukni wieczorowej bez ramiączek i z wyhaftowanym na plecach znakiem kasyna Vancouver. Przy stole obowiązywało studolarowe minimum zakładu i wysoki pułap dwóch tysięcy dolarów. Komputerowi jajogłowi szastali forszą dla popisu, nieustannie stawiając maksimum stołu i bacząc, by przegraną traktować z wystudiowanym lekceważeniem.

Następną godzinę James spędził w centrum biznesowym, mrużąc oczy przed ekranem laptopa i licząc karty, podczas gdy Kazakow grał, ciesząc się całkowitą anonimowością. Pit boss – wraz z półtuzinem gapiów – przyglądał się partii bakarata po drugiej stronie sali, w której indyjski biznesmen stawiał po sto tysięcy dolarów na rozdanie.

Kazakowowi karta nie szła tak dobrze jak w Wagon Wheel i rachuba wciąż nie pozwalała na zwiększenie stawki, ale liczenie kart polega na kontrolowaniu prawdopodobieństwa.

Zwyczajny gracz w blackjacka zawsze ma mniejsze szanse na wygranie rozdania niż krupier, co gwarantuje, że na dłuższą metę kasyno zawsze będzie wygrywać. Gracz potrafiący liczyć karty wie, kiedy prawdopodobieństwo wygranej jest po jego stronie, i podnosząc stawki w odpowiednich momentach, może spodziewać

się zysków rzędu jednego procenta na rozdanie.

Wydaje się, że to niewiele, ale krupier potrafi grać w tempie sześćdziesięciu rozdań na godzinę, a zatem wprawny rachmistrz może podwajać swój wkład co każde półtorej godziny. Nawet ostrożny gracz, celowo popełniający błędy dla uspienia czujności ochrony, może spodziewać się podwojenia wkładu w ciągu czterech godzin spędzonych przy stołach.

W ciągu pierwszej godziny Kazakow ugrał zaledwie tysiąc dolarów, ale potem los zaczął się do niego uśmiechać: James zasygnalizował, że szanse wygranej przesunęły się mocno w jego stronę w tej samej chwili, w której pozostali gracze odeszli od stołu. To oznaczało, że reszta kart w taliach pozostała tylko dla Kazakowa, dając mu przewagę w większej liczbie rozdań.

Stawiając po dwa tysiące, Kazakow wygrał trzy następne rozdania, potem jedno przegrał, rozdwoił parę asów i wygrał oba zakłady, a potem dostał blackjaka, za którego wypłaca się wygraną w stosunku trzy do dwóch.

James siedział w centrum biznesowym, zerkając niespokojnie na recepcjonistkę zajętą kserowaniem sterty dokumentów, i z całych sił próbując nie okazywać ekscytacji. Kazakow wygrał ponad dziesięć tysięcy dolarów w niecałe sześć minut.

– Zdaje się, że fortuna mi dziś sprzyja – powiedział Kazakow, zsuwając nieco okulary i obdarzając krupierkę rzadkim u niego uśmiechem. – Czy sądzi pani, że byłoby możliwe podniesienie limitu stołu do pięciu tysięcy na rozdanie?

Pit boss podszedł szybkim krokiem, wyraził zgodę zdawkowym skinieniem głowy i równie szybko się oddalił. Miał pod opieką kilka zajętych stołów i nie obchodziło go, że Kazakow jest już o trzydzieści tysięcy dolarów bogatszy niż na początku, skoro tuzin innych graczy niestrudzenie zasilalo skarbiec kasyna, w tym indyjski miłośnik bakarata, który stracił już ponad pół miliona dolarów.

James zerknął na zegarek i szybko policzył, że do końca jego wykupionych trzech godzin w centrum biznesowym zostało mniej niż trzy kwadransy. Nikt inny nie korzystał z usług centrum o tej porze i recepcjonistka zabrała się już do opróżniania koszy na śmieci i wyłączania kopiarek. James ustawił się tak, żeby nie mogła widzieć ekranu laptopa, ale kobieta wyraźnie czekała na jego wyjście, chcąc zamknąć centrum i pójść do domu, przez co coraz bardziej czuł się jak na widelcu.

Kazakow uczcił podniesienie limitu stołu zakładem za pięć tysięcy dolarów w pierwszym rozdaniu ze świeżo potasowanych talii. Krupier wygrał i James skamieniał na myśl, że właśnie stracił roczne kieszonkowe w tej krótkiej chwili, jakiej trzeba na odwrócenie karty.

W następnym rozdaniu Kazakow postawił dwa tysiące dolarów i znów przegrał. W jednej chwili mieli dziesięć tysięcy zysku, dwie minuty później stracili siedem. Jamesowi zaczynały łzawić oczy od wpatrywania się w znaczki na kartach. Teoretycznie zdawał sobie sprawę, że matematyka w liczeniu kart zawsze jest taka sama bez względu na to, czy stawia się dziesięć dolarów czy dziesięć milionów, ale jego nerwy z trudem znosiły świadomość, że przy każdym rozdaniu Kazakow zakłada się o wartość używanego samochodu.

Jednak rachunek prawdopodobieństwa zawsze wygrywa, jeżeli dać mu czas, i Kazakow słuchał sygnałów Jamesa, podnosząc stawki za każdym razem, kiedy rachunek kart im sprzyjał. James wziął się w garść i wygrali następne dwa rozdania. Potem przy stole zasiedli kolejni gracze, ale stawiali od dwustu do pięciuset dolarów, co nie było korzystne, bo skupiało uwagę na wysokich zakładach Ukraińca.

Rachunek nie szedł po ich myśli, ale Kazakow pojechał na szczęście i po ostatnim rozdaniu miał pięć tysięcy na plusie. James zerknął na zegarek, podczas gdy krupier tasował karty, i

uświadomił sobie, że następna runda będzie już ostatnią. Rachunek przesunął się w ich stronę i Kazakow zaczął stawiać pięć tysięcy w każdym rozdaniu.

Wygrali osiem z dziesięciu rozdań, po drodze zaliczając jednego blackjaka: trzydzieści dwa i pół tysiąca dolarów w ciągu ośmiu łomoczących sercem minut.

– Zamykam i idę do domu – oznajmiła recepcjonistka. – Jeżeli chcesz wydrukować swoją pracę, to musisz to zrobić teraz.

James był tak oczarowany ich nagłym uśmiechem losu przy stole, że nawet nie zauważył, kiedy kobieta stanęła mu za plecami i spojrzała przez ramię.

– Och... okej... – zająknął się i obejrzał nerwowo, próbując jednym okiem śledzić rozdanie. – Już prawie skończyłem. Bez obaw, wydrukuję sobie w domu.

– Co ty tam masz? – zapytała kobieta podejrzliwie. – To mi nie wygląda na pracę z historii.

James pośpiesznie zatrzasnął ekran laptopa.

– To osobiste – wybełkotał. – Kamera internetowa, komunikator...

Brzmiało to podejrzanie, ale James nie wiedział, ile zobaczyła recepcjonistka: czy tylko tyle, by zorientować się, że James wcale nie pisze pracy z historii, czy dość, by rozpoznać na ekranie podgląd stołu do blackjaka?

Kobieta nie była duża i James pomyślał o obezwładnieniu jej dla pewności, że nikomu się nie poskarży, choć z drugiej strony nie wyglądała na zdenerwowaną, kiedy okręciła się z westchnieniem na pięcie i odmaszerowała po miękkiej wykładzinie z powrotem do swoich spraw.

James złapał telefon i zadzwonił do Kazakowa.

– Niech pan wymieni żetony i weźmie samochód – wyszeptał gorączkowo. – Pewnie mam paranoję, ale recepcjonistka mogła coś zwęszyć, a ja nie mam ochoty ryzykować.

– Gdzie się spotkamy?

– Niech pan po prostu weźmie wóz i ucieka – powiedział James, oglądając się nerwowo, by z przerażeniem spostrzec, że recepcjonistka, zamiast wyłączać resztę drukarek, stoi przy wejściu i rozmawia przez telefon. – Powiem panu, gdzie się spotkamy, kiedy będę miał pewność, że nikt nie siedzi mi na ogonie.

38. TOR

James wepchnął laptopa do plecaka i szybkim krokiem skierował się ku wyjściu z centrum biznesowego. Pamiętając, czego uczono go na szkoleniach, szedł w ciemnych okularach i baseballówce, patrząc w dół, by nie można go było zidentyfikować na taśmach z kamer nadzoru.

Po drodze uśmiechnął się do recepcjonistki.

– Dziękuję za pomoc, proszę pani.

Wciąż przy telefonie podniosła wzrok i skinęła mu głową z nieodgadnioną miną.

James miał gonitwę myśli: może kobieta tylko zerknęła, nie zastanawiając się nad tym, co widzi, a może domyśliła się od razu. Może dzwoniła do ochrony kasyna, żeby donieść na niego, a może do chłopaka, żeby powiedzieć mu, że nie mogła skończyć wcześniej, bo musiała czekać, aż jakiś durny dzieciak skończy pisać pracę z historii.

Jakakolwiek była prawda, James wolał nie czekać, aby ją poznać. Do kasyna weszli z parkingu z tyłu hotelu i Kazakow potrzebował dobrych dziesięciu minut na dojście do klatki i wymianę żetonów na dolary plus kolejnych pięć lub sześć minut na dotarcie do samochodu.

Nawet jeśli ochrona kasyna została powiadomiona, potrzebowała znacznie dłuższego czasu na przejrzenie taśm nadzoru wideo z całego popołudnia i dopasowanie Ukraińca do opisu podanego przez recepcjonistkę. Nawet gdyby schwytali Kazakowa, ten z pewnością na długo wcześniej pozbyłby się kamery i sygnalizatora, uniemożliwiając udowodnienie mu czegokolwiek.

W większości hoteli recepcja mieści się tuż przy głównym wejściu, ale Las Vegas rządzi się własnymi zasadami, a kasyna koncentrują się bardziej na kuszeniu gości okazjami do wydania pieniędzy niż na ich wygodzie. James zatrzymał się przed drogowskazem ze strzałkami wskazującymi kierunek do kin, lunaparków, restauracji, salonów piękności i rozmaitych części hotelu, brakowało tylko rzeczy tak oczywistej jak drogowskaz do wyjścia.

James był zdany na własne wyczucie. Przyszli od strony parkingu za hotelem, zatem idąc w przeciwną stronę, w końcu musiał dotrzeć do Las Vegas Strip.

Minał szereg restauracji wypchanych tłumem gości Compufestu, poprzetykanym z rzadka samotnymi turystami. Dalej był spektakularny dziedziniec z ogromną granitową fontanną na środku przykryty szklaną kopułą. Tu i tam przechadzały się pod rękę pary, zatrudniony przez kasyno muzyk grał na akordeonie, a przy brzegu fontanny stała grupka małych dzieci rzucających monety i mieszających dłońmi wodę.

Następny zestaw strzałek wskazywał tylko galerię handlową po lewej, a po prawej kolejną część gigantycznego kasyna, ale okrążywszy fontannę, James wypatrzył dwa pochyłe ruchome chodniki oraz drogowskaz z napisem „Kino 3D” i „The Strip”.

Rozejrzał się wokół ukradkiem, udając, że podziwia fontannę. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek go śledził, i James odetchnął z ulgą, uznając, że najwyraźniej uległ paranoi. Odszukawszy wzrokiem znak toalety, ruszył w tamtą stronę, by opróżnić pęcherz pękający w

szwach po obfitym posiłku i niemal trzech godzinach ślęczenia przed ekranem w centrum biznesowym.

Wszedł do okazałej łazienki wyposażonej w ponad pięćdziesiąt pisuarów. Nad każdym jarzyła się błękitna neonówka, a między umywalkami naprzeciwko piętrzyły się sterty ręczników na podstawkach z nierdzewnej stali. James załatwił potrzebę, umył ręce, a potem zwilżył materiał ciepłą wodą i przetrął nim oczy, zmęczone od intensywnego wpatrywania się w jedenastocalowy ekranik. Osuszył się drugim ręcznikiem i wyszedł na korytarz wiodący w stronę fontanny.

Przy końcu korytarza stali trzej mężczyźni: czarne garnitury, identyfikatory kasyna, krótkofalówki. Nie patrzyli w jego stronę, więc powtarzał sobie, że nie ma się czym przejmować, i ruszył ku nim, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy ma za sobą wyjście ewakuacyjne.

Kiedy minął dwóch pierwszych mężczyzn, trzeci zastąpił mu drogę.

– Najmocniej przepraszam – powiedział spokojnie.

Był w średnim wieku, ale wyglądał groźnie, a na identyfikatorze przypiętym do kłapy miał napisane „Joseph – agent ochrony”.

– Ja? – James uśmiechnął się niewinnie, chociaż na karku perlily mu się krople potu.

Laptop w jego plecaku był pełen dowodów przestępstwa. Wprawdzie aby uruchomić komputer, potrzebne było hasło Kazakowa, ale dla ludzi znających się na rzeczy nie stanowiło to problemu. Specjaliści szybko odnaleźliby szpiegowskie oprogramowanie i choć James nie rejestrował podglądu stołu, prawie na pewno udałoby się odzyskać kilka sekund filmu z pozostałych na dysku plików tymczasowych.

– Chcielibyśmy, żebyś poszedł z nami – powiedział łagodnie Joseph. – Musimy zadać ci kilka pytań.

– Jak to? – odpowiedział James, drapiąc się w głowę. – Ale o co

chodzi? Bo ja muszę iść do taty.

Mężczyźni wchodzący i wychodzący z toalety patrzyli na Jamesa z niechęcią, biorąc go za złodzieja sklepowego albo kieszonkowca.

– Zapraszam do mojego biura – powiedział ochroniarz. – Kilka pytań. To pewnie tylko nieporozumienie.

James musiał myśleć szybko. Gdyby zamknęli go w biurze z laptopem i wezwali policję, miałyby przechlapane. Przy odrobinie szczęścia CHERUB uratowałby mu tyłek, by uniknąć kłopotliwych pytań o jego sprzęt wywiadowczy, a potem ściągnięto by go z powrotem do Anglii, gdzie Zara wykopałaby go z kampusu. Gdyby natomiast miał pecha, zostawiliby go na pastwę jankesów jako przykład dla innych cherubinów, których nachodziłaby chęć wykorzystania swojego wyszkolenia w celach przestępczych.

Nie mając ochoty na żadną z dwóch opcji, James rzucił się do ucieczki. Większy z dwóch ochroniarzy za nim złapał go za rękę, ale puścił, nadziawszy się twarzą na zamaszysty cios łokciem. Olbrzym padł jak rażony gromem, a James puścił się ostrym sprintem w stronę ruchomych chodników.

Długie wspinające się płaską wstęgą travelatory nie różniły się od ruchomych chodników, jakie widuje się w portach lotniczych, jeśli nie liczyć wielkiego ekranu plazmowego zachwalającego atrakcje kasyna Vancouver oraz wkurzająco namolnego głosiku witającego wchodzących, wychodzących zaś nagabującego o jak najrychlejszy powrót.

– Z drogi! – huknął James.

Jakaś mama usunęła na bok ośmiolatka. Dwaj ochroniarze biegli dziesięć metrów za Jamesem, ale trzeci, największy, wciąż leżał u wylotu korytarza i liczył gwiazdy. Na otwartej przestrzeni James bez trudu uciekłby dwóm panom w średnim wieku, ale tutaj doganiali go, ponieważ biegnąc przodem, to on musiał torować drogę przez tłum.

W połowie swojej długości ruchomy chodnik opuszczał czeluście

kasyna Vancouver, by przemienić się w most o szklanych barierkach biegnący dziesięć metrów nad klombami i ozdobnymi krzewami ogrodu. James znalazł trochę miejsca, by się rozpędzić, ale daleko przed sobą ujrzał dwóch barczystych mężczyzn, którzy słysząc jego okrzyki, odwrócili się z kamiennymi minami świadczącymi dobitnie, iż nie mają najmniejszego zamiaru ustępować mu z drogi.

Ochroniarze byli najwyżej pięć metrów za nim i James zdał sobie sprawę, że nawet jeśli zdoła powalić facetów przed sobą, ci z tyłu dopadną go, zanim zdąży się przedrzeć. Spojrzał w dół, rozważając opcję zeskoczenia na klomby, ale wśród bujnego kwiecia poniżej krył się labirynt betonowych murków oraz wielkie reflektory podświetlające front kasyna.

Na sekundy przed wpadnięciem w potrzask między drabami z przodu a ochroniarzami James wskoczył na ruchomą gumową barierkę, przykucnął i odbiwszy się z całej siły, przeskoczył na oddalony o dwa metry sąsiedni travelator wiozący swoich pasażerów w przeciwną stronę.

Grzmotnął czołem w stalowe płyty ruchomego chodnika, a tuż obok głowy zagrzecotał mu laptop, który przy lądowaniu wysunął się z niedomkniętego plecaka. Zgarnąwszy komputer pod pachę, zerwał się i popędził w stronę przeciwną do biegu travelatora. Mając przed sobą pięćdziesiąt metrów wolnej drogi, zdołał znów oddalić się od ścigających, ale kiedy zbliżył się do końca chodnika, wpakował się w spory tłumek starszawych turystek.

Zarzucany gradem niewybrednych przekleństw i okładany parasolkami James przeciskał się między leciwymi damami zajmującymi niekiedy niemal całą szerokość travelatora. Kiedy przedarł się na drugą stronę, spostrzegł, że na odcinku ostatnich dwudziestu metrów chodnik jest pusty, ale jego radość nie trwała długo. Chodnik był pusty, bo przy końcu stali dwaj inni ochroniarze znacznie więksi od poprzednich, najwyraźniej czekający na jego przybycie.

Dwaj ścigający go goryle szli równolegle po sąsiednim moście. James pomyślał o zawróceniu, ale choć nie był w stanie przeniknąć wzrokiem ciemności, w której ginął drugi koniec travelatora, mógł być pewien, że zanim by tam dotarł, ochrona kasyna zdążyłaby odciąć mu także i tę drogę. Pozostało mu tylko jedno wyjście.

Zerknąwszy pobieżnie w dół, dla pewności, że nie wyląduje na kolczastym ogrodzeniu albo ostrej skale, James zamaszystym susem przesadził szklaną barierkę i spadł z wysokości dziesięciu metrów do ogrodu poniżej. Wylądował w kompletnej ciemności, wśród trzasku łamanych gałęzi, czując piekący ból w miejscu, gdzie bambusowa tyczka smagnęła go po plecach.

Spróbował wstać, ale zakołysał się na chwiejnym podłożu, zbyt późno uświadamiając sobie, że nie jest jeszcze na ziemi. Serce podeszło mu do gardła, kiedy łapiąc równowagę, postawił nogę w powietrzu i runął w dół ze szczytu niskiego żywopłotu.

Spadł na klomb z kwiatami. Powyżej ochroniarze kasyna wyglądali zza barierek ruchomych chodników, wypatrując uciekiniera wśród cieni. Na szczęście żaden nie miał latarki ani ochoty na skok z dziesięciu metrów w nieznane.

Wyplątawszy laptopa spomiędzy gałęzi i schowawszy z powrotem do plecaka, James ruszył przez gąszcz krzewów, trzymając się nisko i starając nie rzucić się w oczy. Po minucie wyszedł z mroku i stanął na krawędzi gigantycznego, ozdobnego klombu pochylonego w stronę tłumy przechodniów, kłębiącego się na chodnikach Las Vegas Strip niespełna trzydzieści metrów dalej.

Kwietnik był oświetlony reflektorami, a kwiaty – sztuczne, co James odkrył, dopiero przyglądając im się z bliska – układały się w wielką flagę Kanady oraz słowa: „Vancouver Las Vegas – przeżyj marzenie!” poniżej.

James podszedł tak blisko, jak tylko miał odwagę, do ogrodzenia oddzielającego ogrody od szerokich trotuarów Stripu. Wolność była rozpaczliwie blisko, ale słupy ogrodzenia strzelały na pięć metrów

w górę, a górną część pokrywała smolista farba antywspinaczkowa.

Choć ochroniarze na ruchomych chodnikach nie poszli za nim, wiedzieli, gdzie jest, i nie ulegało wątpliwości, że w ciągu kilku minut ściągną do ogrodu swoich kolegów. James pomyślał o zadzwonieniu do Kazakowa, ale nawet gdyby Ukrainiec wymyślił jakiś plan, nie było mowy, by zdążył dotrzeć do niego przed ludźmi z kasyna. Jedyne, co mógł zrobić, to zbadać teren i mieć nadzieję, że natrafi na wyjście. Ruszył z powrotem w stronę, z której przybył, idąc po wąskiej wyłożonej płytami ścieżce wytyczonej za żywopłotami, by od strony ulicy ogród tworzył iluzję jednolitej gęstwy zieleni.

Przeszedłszy jeszcze raz pod ruchomymi chodnikami, znalazł się na znacznie szerszym pasie krzewów i trawników, za którym wznosił się oślepiająco biały gmach hotelu. Przykucnął zalękniony, kiedy usłyszał łomot otwieranych gwałtownie drzwi ewakuacyjnych i ujrzał snop światła latarki.

I wtedy nad głową przemknął mu rozbłysk światła przy akompaniamencie miarowego łoskotu.

Najpierw był pewien, że ma to coś wspólnego z pościgiem, ale gdy podniósł wzrok, ujrzał czterowagonowy pociąg kolejki jednoszynowej, sunący po masywnym betonowym torze wspartym na piętnastometrowych słupach. Pociąg zwalniał, by zatrzymać się na stacji kasyna Vancouver będącej także końcową stacją tej linii.

Idąc wzdłuż napowietrznego toru, James przedarł się przez ogrody do miejsca, w którym stacja przylegała do trzeciego piętra budynku hotelu. Z zachwytem skonstatował, że jej schody ewakuacyjne wybiegają pionowym zygzakiem spomiędzy biegnących równolegle torów i kończą się na ziemi w samym rogu ogrodu. James obejrzał się i widząc trzy snopy latarek pobłyskujące za nim w zaroślach, zaczął biec.

Miał nadzieję, że trasa ewakuacyjna prowadzi ze stacji do bramy w ogrodzeniu, ale na betonowej płycie u stóp schodów

wymalowano strzałki wskazujące drogę wzdłuż szerokiej alejki w tylnej części ogrodu.

Był wściekły, bo oznaczało to, że w ciemności przegapił już bramę ewakuacyjną, a z pościgiem na karku nie mógł po prostu zawrócić, żeby jej poszukać. Jedyna droga prowadziła schodami na stację, gdzie James mógł spróbować złapać pociąg, zanim odjedzie – przy założeniu, że kasyno nie posłało ludzi także tam.

James przelazł przez bramę u stóp betonowej klatki schodowej i pokonał sześćdziesiąt stopni, przeskakując po dwa naraz. Na szczycie skręcił w stronę przeszklonych drzwi wyjścia ewakuacyjnego wychodzących na szeroki hol stacyjny, gdzie do czekającego pociągu wsiadali właśnie ostatni pasażerowie. W wejściu naprzeciwko automatyczne drzwi zamknęły się już, by nikt więcej nie mógł wejść na peron. Pociąg miał odjechać w ciągu kilku sekund, więc James pchnął szybę przed sobą, uruchamiając kwiczący alarm i wybiegając na peron w chwili, w której drzwi wagonów zaczęły się zamykać.

Drzwi ścisnęły mu ramiona, ale szarpnął się i przemocą wbił do przestronnego przedziału w pierwszym wagonie. Zapiszczał sygnał ostrzegawczy i nagrany głos poprosił o nieblokowanie wejścia. Pozostali trzej pasażerowie w wagonie obrzucili przybysza zdziwionymi spojrzeniami, po czym zahuczały elektryczne silniki i automatyczny pociąg wytoczył się cicho ze stacji.

James nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się spocił, dopóki siadając, nie poczuł, że koszulka przykleja mu się do plastikowego oparcia. Jeszcze zanim odzyskał oddech, wyjął laptopa z plecaka i odchylił ekran. Pociąg nabrał chyżości, przejeżdżając przed głównym wejściem kasyna, po czym zanurkował efektownie w rozległej, bezściennej konstrukcji parkingu, a za oknami po obu stronach zaczęły śmigać samochody.

– Następny przystanek: Reef. Pasażerom stojącym przypominamy, że podczas hamowania pociągu należy mocno

trzymać się poręczy.

Zanim głośnik skończył wygłaszać nagrany komunikat, pociąg przejechał przez parking i wystrzelił z powrotem w noc. Po zakrzywionej czerni okien popęły barwne refleksy świateł miasta i wielkich kasyn.

Kiedy tylko laptop wyszedł ze stanu wstrzymania, James otworzył menu Programy w nadziei, że komputer Kazakowa ma zainstalowany ten sam pakiet programów zabezpieczających co laptopy przydzielane agentom i kadrze CHERUBA.

Wymazanie danych z komputera jest zaskakująco trudne. Wciśnięcie „Usuń” tak naprawdę nie powoduje skasowania plików, jedynie mówi komputerowi, że na danym pliku można zapisać coś innego, kiedy potrzebne będzie miejsce na dysku. Jednak nawet jeżeli dane zostaną zatarte innym zapisem, wciąż nie są w pełni bezpieczne i znane są wypadki, kiedy eksperci sądowi odzyskiwali pliki, które nadpisywano aż sześciokrotnie.

James odetchnął z ulgą, odnalazłszy ikonę programu do niszczenia danych. Uruchomił aplikację i błyskawicznie zaznaczył siedem punktów na liście ponad pięćdziesięciu opcji:

Wykasuj wszystkie logi danych i aktywności.

Wykasuj całą pamięć podręczną i historię użytkownika.

Wykasuj wszystkie dokumenty użytkownika.

Użyj trybu szybkiego do wstępnego usunięcia danych.

Użyj algorytmu Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych DoD 5220.22-M do trwałego usunięcia danych.

Nie pozwól, by komputer przeszedł w stan wstrzymania przed zakończeniem działania programu.

Po zakończeniu wykasuj ten program dla zatarcia wszelkich śladów operacji niszczenia danych.

James kliknął „Start” i na ekranie pojawiło się okno ostrzeżenia:

Wstępne usunięcie danych zajmie ok. 28 minut na tym komputerze. Po tej

operacji fragmenty danych wciąż mogą być możliwe do odczytania.

Usunięcie z wykorzystaniem algorytmu DoD 5220.22-M wymaga 35-krotnego nadpisania wszystkich danych i zajmie ok. 11,3 godziny. Przekracza to szacowany czas pracy baterii tego komputera o 8,1 godziny

Proces nie jest odwracalny

Start? Tak/Nie

James kliknął „Tak” i patrzył przez chwilę na zmieniające się komunikaty w oknie z paskiem postępu. Nabrawszy pewności, że program działa jak należy, zamknął ekran i włożył komputer do plecaka. Teraz mógł być pewien, że jeśli nikt nie odbierze mu laptopa w ciągu najbliższych dwudziestu ośmiu minut, nawet najlepsi eksperci będą mieli kłopot ze znalezieniem w nim obciążających dowodów, a już na pewno nie uda im się odzyskać niczego tak dużego jak tymczasowy zapis pliku wideo.

Pociąg skręcił w prawo i zaczął zwalniać przed wjazdem na stację przy kasynie Reef. Jednak po chwili ku zdumieniu Jamesa wagony znieruchomiały nad ulicą i sześcioma pasami samochodów czekających na czerwonym świetle. James jechał tą linią z Kerry i resztą cherubinów, dzięki czemu wiedział, że nie jest to normalna procedura.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś, a James nerwowo wysunął z kieszeni telefon, wahając się, czy nie zadzwonić do Kazakowa.

Z głośników popłynął kolejny komunikat, tym razem na żywo.

– Panie i panowie, przykro nam z powodu wszelkich niewygód spowodowanych tym opóźnieniem. Niestety, komputery zgłosiły drobną usterkę i jeden z bezpieczników uruchomił hamulec bezpieczeństwa. Nie ma powodu do niepokoju, ale pociąg ruszy za kilka chwil po wyłączeniu silników i zrestartowaniu systemu sterowania.

James pomyślał, że to podejrzana sprawa. Wpadając na stację przez wyjście ewakuacyjne, uruchomił alarm, a dwie minuty, jakie spędził w pociągu, to wystarczająco dużo czasu, by ochrona kasyna zdążyła przejrzeć taśmy z nadzoru i zidentyfikować go. Prawdziwej przyczyny zatrzymania pociągu nie mogli podać, ponieważ mogłoby to wywołać panikę.

James wcisnął guzik wybierający numer Kazakowa i rozejrzał się z rozpaczą. Podczas gdy telefon piszczał mu przy uchu, jego uwagę przykuła czarna kopułka kamery na suficie wagonu. Zdjęty grozą uświadomił sobie, że ochrona kasyna śledzi każdy jego ruch. Prawdopodobnie zwlekali z wpuszczeniem pociągu na stację, czekając na przybycie policji.

Rozglądając się, James ujrzał zielony młotek za szybką, a pod spodem instrukcję mówiącą, jak wybić szybę w razie konieczności ewakuacji.

– Gdzie pan jest? – zapytał niecierpliwie, kiedy Kazakow wreszcie odebrał telefon.

– Myślałem, że nigdy nie wymienią mi tych żetonów – poskarżył się Ukrainiec. – Musiałem wypełnić jakieś papiery i trwało to wieki. Podobno przepisy przeciwko praniu pieniędzy. Jestem w wozie i dopiero wyjeżdżam z parkingu.

– Okej.

James przybliżył twarz do okna i osłonił dłonią pole widzenia, próbując odgrodzić się od refleksów. Kiedy odezwał się ponownie, mówił szeptem, by pasażerowie na drugim końcu wagonu nie mogli go usłyszeć.

– Ochroniarze mnie gonią. Niech pan odszuka restaurację Denny's po północnej stronie Reef Drive, jakieś pięćset metrów od skrzyżowania ze Stripem. Tam spróbuję się z panem spotkać.

– To gdzie jesteś teraz? – zapytał Kazakow.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia – odparł James. – Niech pan po prostu tam będzie. Za pięć minut.

Zatrzęsnał telefon, a potem zamachnał się łokciem na szybkę osłaniającą młotek.

39. DRABINKA

James nie chciał, by go obserwowano, dlatego zaczął od podskoczenia i walnięcia młotkiem w kopułkę kamery. Roztrzaskała się dopiero przy drugim uderzeniu, ale już przy pierwszym z jednego z siedzeń poderwał się mężczyzna.

– Co ty wyprawiasz?!

James zrobił najgroźniejszą minę, na jaką było go stać.

– Nic ci do tego! – krzyknął. – Siadaj!

Ale facet był duży i nie zamierzał dawać sobą pomiatać szesnastolatkowi. James stanął przed dylematem: kiedy podczas zwyczajnej misji musiał kogoś uderzyć, robił to w wyższym celu, ale teraz? Perspektywa zostania kolesiem, który złamał komuś nos tylko po to, żeby zarobić parę dolarów, nie podobała mu się ani trochę.

Facet zatrzymał się na sekundę i James ucieszył się nawet, że groźba podziałała, ale kiedy uderzył młotkiem po raz trzeci, wytrącając obrotową kamerkę z jej gniazda, mężczyzna zrobił kolejny krok i oburącz pchnął wandalę na ścianę.

James był w krytycznej sytuacji i oprócz grzecznego czekania, aż panowie policjanci zapną mu kajdanki na przegubach, jego jedyną opcją był atak. W ułamku sekundy wbił mężczyźnie pięść w twarz, kopnął kolanem w brzuch, by zgiętego wpół pchnąć głową naprzód

na drzwi.

– Kazałem ci siadać! – krzyknął James wśród wrzasków dziewczyny pobitego. – A ona też niech się lepiej zamknie!

Był to jeden z najgorszych momentów w jego życiu. Bał się, właśnie pobił człowieka, którego jedynym zamiarem było powstrzymanie go od demolowania pociągu, i choć miał za sobą długą historię podejmowania niewłaściwych decyzji i robienia głupich rzeczy, miał uczucie, że pierwszy raz upadł aż tak nisko.

To jednak nie znaczyło, że miałyby choćby najmniejszą ochotę skapitulować i pozwolić, by jego życie spłynęło do ścieku. Okno ze znacznikiem wyjścia ewakuacyjnego miało w rogu trójkątną naklejkę. Czerwoną kropę na środku otaczały słowa: „Uderzać tutaj”.

Uderzył mocno. Po pierwszym ciosie na bezodłamkowej szybie pojawiła się pajęczyna pęknięć, po drugim – całe okno przemieniło się w zmętniały arkusz drobnych grudek szkła. James odstąpił o krok, uwiesił się na poręczy pod sufitem, podskoczył i kopnął obiema nogami, wybijając na zewnątrz cały szklany prostokąt, który z trzaskiem runął na ulicę.

James wychylił się przez otwór i zaklął pod nosem. Cielsko pociągu siedziało okrakiem na pojedynczym torze, co oznaczało, że między oknem a sześciopasmową jezdnią piętnaście metrów poniżej nie było niczego prócz pustki. James obejrzał się nerwowo na mężczyznę, który go zaatakował, a który siedział teraz przy drzwiach, trzymając się za brzuch i oglądając swoje okulary przeciwsłoneczne, by sprawdzić, czy nie pękły.

Sytuacja była niewesoła, ale kiedy James wyobraził sobie reakcję Laury i znajomych z kampusu, gdyby został wyrzucony z CHERUBA, z jakiegoś powodu perspektywa tego upokorzenia przeraziła go nawet bardziej niż myśl o śmiertelnym upadku z piątego piętra.

Wysokość była zbyt duża, by mógł zeskoczyć. Nawet gdyby nie połamano obu nóg przy lądowaniu, dwie sekundy później

przejechałby go samochód. James musiał wyjść na dach i idąc wzdłuż niego zejść na betonowy tor, po którym poruszał się pociąg.

Nie było to łatwe, ale też nie trudniejsze od niektórych odcinków napowietrznego toru przeszkód w kampusie. Kłopot polegał na tym, że James nie miał pojęcia, czy z toru można w jakikolwiek sposób zejść na ziemię, chyba że na stacji, gdzie z pewnością czekała już na niego policja.

Nad oknem był uchwyt ułatwiający wchodzenie na dach ekipom naprawczym i czyścicielom. Trzymając się go, James wszedł na plastikowe siedzenie, obrócił się twarzą do pociągu i stanął wyżej, na krawędzi wybitego okna.

– Chłopcze, zabijesz się! – krzyknęła dziewczyna.

– I dobrze – burknął pobity mężczyzna.

James był silny i bez trudu podciągnął się, zarzucając nogi na dach. Wagony czerpały elektryczność z toru, po którym jeździły, więc żadne napowietrzne kable nie przeszkadzały mu, kiedy po uginających się plastikowych panelach biegł w stronę tylnego końca pociągu.

Pociąg miał na obu końcach aerodynamicznie pochyloną ścianę czołową. James wysunął głowę nad pochyłość, żeby zorientować się, co go czeka, i przez ukośną szybę napotkał wzrok mniej więcej sześćioletniej dziewczynki, która stała na siedzeniu i wyglądała na zewnątrz. Dziewczynka krzyknęła ze strachu, a turysta z kamerą przy oku obrócił się i sfilmował Jamesa, kiedy ten zsunął się po szklanym dziobie wagonu i wylądował chwiejnie na szerokim na metr torze.

James dopiero wtedy skojarzył, że pociąg kolejki jedno-szynowej może poruszać się w obu kierunkach. Być może w Reef czekał nań komitet powitalny, ale równie dobrze centrala mogła zawrócić pojazd do Vancouver, niechcący rozsmarowując swojego uciekiniera na betonie.

Nie było nad czym rozmyślać, James ruszył w drogę. Szyny

zasilające pociągi w elektryczność wbudowano w boki toru, więc miał przed sobą wąską, ale idealnie gładką białą ścieżkę niknącą w oddali w mroku.

Bieg w ciemności byłby zbyt ryzykowny, więc James ograniczył się do szybkiego marszu. Dwadzieścia metrów za pociągiem zatrzymał się, by obejrzeć filar w kształcie litery Y, której każde ramię podpierało jeden z równoległych torów kolejki. Niestety nie było na nim drabinki serwisowej, a nawet gdyby James zsunął się do punktu, gdzie zbiegały się ramiona podpory, nadal byłby zbyt wysoko, by móc zeskoczyć.

Idąc dalej, usłyszał za sobą alarmujący łoskot. Przestraszył się, że ruszył za nim jego pociąg, ale to inny pojazd wyruszył z Reef na drugim torze. Przyspieszał bardzo szybko i musiał wyciągać co najmniej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy przemknął obok Jamesa huczącą smugą światła.

Wystraszony podmuchem i hałasem James mimo woli przykucnął, by przytrzymać się brzegów toru. Po chwili wstał i ruszył dalej, rozpaczliwie wypatrując filaru z drabinką albo miejsca, w którym tor przebiegałby nad budynkiem, co umożliwiłoby mu zeskoczenie na dach. Kiedy pociąg na równoległym torze skurczył się w oddali, jego tylne światła wskazały mu wybawienie: obskurny billboard reklamujący agencję towarzyską zamontowano tuż pod torami niecałe pięćdziesiąt metrów dalej.

Rzucając za siebie lękliwie spojrzenia, potruchtał w stronę tablicy. Jego pociąg wciąż nie ruszał, ale Jamesowi zabiło żywiej serce na widok trzech radiowozów z włączonymi kogutami, które skręciły ze Stripu na Reef Drive.

Billboard miał dziesięć metrów wysokości, zrobiony był z aluminiowej blachy i stał na trzech drewnianych kratownicach, przykręconych do dachu jakiegoś fast foodu. Górna krawędź przebiegała dosłownie kilka centymetrów pod prowadnicą kolejki. James zsunął nogi z boku toru i opuszczał się powoli, aż jego stopy

natrafiły na brzeg tablicy. Konstrukcja musiała wytrzymywać napór pustynnych wiatrów, więc nawet nie pomyślał, że mogłaby go nie utrzymać, ale i tak zeszywniał ze strachu, kiedy rama zakołysała się i skręciła pod jego ciężarem, łomocząc blaszanymi arkuszami.

Następna faza przypominała przesuwanie się okrakiem po rurze napowietrznego toru przeszkód w kampusie, z dodatkową trudnością związaną z koniecznością omijania reflektorów zamontowanych na górnej krawędzi billboardu. Obudowy były dość gorące, by roztopić skórę, a wokół żarówek krążyły chmary insektów.

Pokonanie trzech metrów między torem kolejki a ukośną podporą billboardu zajęło mu pół minuty. Następnie James przelazł na pochyloną pod kątem czterdziestu pięciu stopni belkę i tyłem bardzo ostrożnie zsunął się na płaski dach restauracji.

Poza Stripem ulice Las Vegas są raczej puste. Z tego, co James mógł stwierdzić, nikt nie widział jego zejścia na dach, ale poszukujący go policjanci w sekundę domyśliliby się, jak uciekł, gdyby tylko zachciało im się spojrzeć w górę, na tor kolejki.

Pochylony jak najniżej James podbiegł do krawędzi dachu parterowego budynku. Wyjrzał za rynnę i z radością powitał widok ceglanej ściany i opustoszałego parkingu dla pracowników zamiast szklanej fasady i tłoczącego się za nią tłumy klientów, jakiego spodziewał się od frontu.

Zeskoczył z dachu i pobiegł wokół restauracji, z nosem pełnym zapachu resztek jedzenia i rozgrzanego oleju. Szybko odkrył, że znalazł się na tyłach grupy fast foodów zbudowanych wokół niedużego parkingu przy Reef Drive.

Mimo chłodu klienci siedzieli przy stolikach na zewnątrz, zajadając się hamburgerami i smażonymi kurczakami. James zrobił, co mógł, żeby zmienić swój wygląd: zdjął baseballówkę i ciemną bluzę, pozostając w bladopomarańczowej koszulce polo. Jednak kiedy ruszył przez parking, nikt nawet nie spojrział w jego stronę.

Wjazd parkingu wyprowadził go bezpośrednio na Reef Drive. Kasyna na Stripie płonęły tysiącami świateł, a przed nimi widać było podwójny tor kolejki jednoszynowej, oraz szereg pasażerów tworzących napowietrzny ciąg dla pieszych. Pociąg Jamesa toczył się teraz powolutku w stronę stacji Reef, bezpośrednio pod którą zaparkowały dwa radiowozy. Jedną stronę ulicy zamknięto z powodu roztrzaskanego na jezdni okna.

James ruszył wzdłuż szeregu lichych sklepów z pamiątkami w stronę czerwono–żółtego znaku Denny's po drugiej stronie ulicy, wypatrując luki w potoku pojazdów. Wreszcie wystartował, przemknął przed autokarem turystycznym, przesadził metalową barierę między jezdniami i już spokojnie przekroczył drugą połowę drogi zablokowaną przez policję.

Ku jego wielkiej uldze na parkingu restauracji czekał już czarny ford z Kazakowem w środku. James zerwał plecak z ramion i wtarabanił się na przednie siedzenie.

– Co się stało? – zapytał Kazakow z zatroskaną miną. – Masz coś wspólnego z tamtymi gliniarzami?

– Później. Jedźmy – rzucił James stanowczo. – Za chwilę domyślą się, gdzie zniknąłem, i zablokują cały kwartał.

Kazakow wrzucił bieg i wyprowadził wóz z miejsca parkingowego.

– Skoro mamy na karku gliny, to lepiej zmykajmy stąd jak najszybciej.

– Właśnie to miałem na myśli – skinął głową James. – Tutejsze lotnisko może nie być bezpieczne. Powinniśmy pojechać do Los Angeles. Stamtąd jest mnóstwo lotów do Anglii.

Kazakow zerknął na swojego towarzysza.

– Jedziemy całą noc, łapiemy lot z samego rana. Dzwon do kampusu; niech nam coś zorganizują.

– Dobra – powiedział James. – A jeśli spytają, dlaczego nie lecimy z Vegas?

– Bo ja wiem. – Kazakow wzruszył ramionami. – Powiesz, że zrobiliśmy sobie wycieczkę.

– A co z samochodem? Należy do Fort Reagan.

– Generał O'Halloran kazał nam zostawić wóz na lotnisku – uśmiechnął się Kazakow. – Nie powiedział, na którym lotnisku.

Główny szlak drogowy pomiędzy Nevadą a Kalifornią biegnie równoległe do Stripu po jej zachodniej stronie. James był zbyt zaaferowany, by zwracać uwagę, dokąd jadą, i był nieco zaskoczony, kiedy wóz zaczął ostro przyspieszać. Wyjrzał przez okno, gdy Kazakow zjechał z podjazdu na osiem pasów międzystanowej Piątki.

Była jedenasta w nocy. Jechało się szybko, ale ruch był duży i James poczuł, jak napięcie spływa z niego wyparte cudowną falą ulgi, gdy wreszcie odprężył się w wygodnym fotelu, delektując anonimowością ich czarnego forda. Południowy koniec Stripu niknął już w oddali, kiedy James przypomniał sobie, że wracali do domu... z czymś.

Podskoczył w fotelu i spojrzał na Kazakowa.

– Ile? – wykrztusił.

– Kwit jest w schowku – uśmiechnął się Ukrainiec.

James odchylił kłapę i ujrzał przejrzystą plastikową kopertę z grubym plikiem banknotów w środku. Otworzył ją i wyjął kwit z napisem: „Kasyno Vancouver, \$92 300, zapraszamy ponownie”.

– Nieźle jak na wieczór roboty. – James wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Całkiem nie najgorzej.

Niecałe dziesięć minut wcześniej doświadczał jednego z najgorszych przeżyć w swoim życiu. Podjął ogromne ryzyko i wciąż dręczyło go poczucie winy z powodu mężczyzny, którego pobił w pociągu, ale teraz czuł głównie euforię, a przez głowę przelatywały mu pomysły na wykorzystanie trzydziestu tysięcy siedmiuset sześćdziesięciu sześciu dolarów: ekstraciuchy, wycieczki, kosztowne jedzenie, prezenty dla dziewczyn, wakacje, motocykl...

– Tylko nikomu ani słowa – powiedział twardo Kazakow. – I nie szastaj forszą.

– Wiem, szefie – uśmiechnął się James. – Nie jestem głupi.

Kiedy to mówił, wielki SUV wcisnął się przed nich, zmuszając Kazakowa do ostrego hamowania.

– Amerykański kretyn! – krzyknął za nim Ukrainiec, dusząc klakson, po czym spojrzał na Jamesa. – Dzwon do kampusu. Załatw te bilety, bo nie wytrzymam w tym zafajdanym kraju ani dnia dłużej.

40. MORALNOŚĆ

Dziesięć dni później

– Proszę! – krzyknął James.

Właśnie skończył popołudniowe lekcje i leżał na łóżku, starając się nie myśleć o wypracowaniu, jakie miał napisać na małą maturę z angielskiego.

Do pokoju wśliznęła się Laura. Wyglądała na zmęczoną i miała mokre włosy, jakby dopiero co się kąpała.

– Witaj w domu – ucieszył się James. – Dobrze się bawiłaś? Jak poszła reszta ćwiczeń?

Laura opadła ciężko na obrotowe krzesło przed biurkiem brata.

– Nieźle – westchnęła, wbijając w dywan piętę w samej skarpetce i zaczynając kręcić się powoli, raz w jedną, raz w drugą stronę. – Kiedy Kazakow wyjechał, zrobiło się nudno. Wprowadzili wszystkie te nowe zasady. Obie strony robiły wszystko, jak stara ciocia kazała, i oczywiście amerykański dowódca nie miał pojęcia o możliwościach cherubinów. Szóstego dnia sierżant Cork tak się znudził, że z chłopakami z SAS-u zrobiliśmy mały bunt, zabiliśmy dowódcę i wznieciliśmy zamieszki.

– Szuje – zaśmiał się James. – Mam dziwne przeczucie, że Amerykanie nieprędko zaproszą nas znowu do Fort Reagan.

– Wykopali nas cztery dni przed czasem – ciągnęła Laura. – I to było najlepsze, bo zamiast wracać, wszyscy pojechaliśmy znowu do Vegas. Meryl wciąż ma tam znajomych i załatwiła nam bilety na *Spamalot* i dwa inne przedstawienia.

– Szkoda, że się nie załapałem – powiedział James.

Laura zatrzymała wzrok na prążkowanej koszuli wiszącej w otwartej szafie Jamesa.

– Paul Smith – powiedziała z uśmiechem. – Musiała kosztować co najmniej stówę. Całkiem nieźle jak na golasa, który miał problem z odkupieniem telefonu Jake'a.

– Poszczyło mi się – skłamał James. – Weszliśmy z Kazakowem do takiego jednego outletu. Tylko trzy dychy, musieli się pomylić przy metkowaniu.

– W dniu, w którym wróciłeś, Rat potknął się na schodach i skręcił kostkę – powiedziała Laura, wciąż kręcąc się na krześle. – Myśleli, że to może złamanie, więc przewieźli go śmigłowcem do Vegas na prześwietlenie.

– I nic mu nie było?

– No problemo. – Laura uśmiechnęła się kącikiem ust. – Pamiętaj, że do Fort Reagan nie wolno wносить gazet, a w telewizji jest jeden kanał, żeby było bardziej jak w kraju Trzeciego Świata? Dlatego kiedy zostałam w poczekalni w Vegas, wzięłam sobie gazetę, żeby zobaczyć, co tam słychać w wielkim świecie.

James patrzył, jak Laura wyjmuje z kieszeni pół strony „Las Vegas Sun” i zaczyna czytać na głos:

– „Nastolatek ścigany przez ochronę kasyna Vancouver dokonał brawurowej ucieczki z pociągu kolei napowietrznej. Uważa się, że chłopiec był współnikiem Rosjanina, który przy jego pomocy nielegalnie wygrał sporą sumę w sali wysokich limitów najnowszego mega kasyna Las Vegas Strip”.

Laura pokazała Jamesowi zdjęcie wagonu kolejki z wybitym oknem. Poniżej zamieszczono ziarniste fotografie podejrzanych.

James widział je już, kiedy przeglądał wiadomości w internecie, żeby sprawdzić, jak dużo wie policja.

– No i co? – powiedział, m rugając powiekami.

– Daj spokój – Laura uśmiechnęła się drwiąco. – Nie jestem taka tępa, jak ci się zdaje. Jeżeli to najlepsze ujęcia, jakie mają, to obaj dobrze się spisaliście, maskując się i nie patrząc w kamery nadzoru. Ale mnie nie nabierzesz. Nosisz tę samą kretyńską czapkę Nike Air, odkąd umarła mama.

Jamesowi zrzęła mina.

– Chyba nie wspomniałaś o tym nikomu, co?

– Żeby cię wykopali z CHERUBA? Oczywiście, że nie. Może i palant z ciebie, ale wciąż jesteś moim bratem.

– Zarobiłem dużo kasy – uśmiechnął się James. – Trzydzieści kafli w jeden wieczór. Kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, nie będę potrzebował Kazakowa ani żadnego sprzętu. Będę to robił legalnie. Zamówiłem już parę książek o najbardziej zaawansowanych technikach liczenia kart, jakie dają ci nawet...

Laura uciszyła brata gestem i podjęła czytanie.

– „Dan Williams, rybak z Luizjany, interweniował, by zapobiec ucieczce nastolatka, i został pobity przez potężnie zbudowanego młodzika w sposób, który policja określiła jako bardzo brutalny. Williams ma dwa złamane żebra i na razie został zatrzymany w szpitalu, ponieważ skarżył się na bóle w klatce piersiowej”.

James spuścił wzrok.

– To nie było fajne, ale ostrzegałem tego gościa, żeby nie podchodził.

Laura prychnęła z pogardą.

– Musisz być z siebie dumny.

– Moglibyśmy podbić do Londynu w następny weekend – powiedział James zdecydowany wkupić się w łaski Laury. – Covent Garden, same designerskie ciuchy, ja stawiam.

– Nie, dziękuję – odrzekła kwaśno Laura. – Nie miałabym

sumienia. Myślałam, że trochę dorosłeś przez ostatnie dwa lata, ale teraz wracam do myśli, że pewnego dnia zacznę odwiedzać cię w więzieniu.

– Wiem, że to było durne – przyznał James. – Nawet bardzo durne, szczerze mówiąc, ale stało się. Nie jestem z tego dumny, ale też nie bardzo tego żałuję, no i wiesz, gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, to pieniądze są w pudełku po butach za obmurówką wanny. Piętnaście tysięcy funtów w samych dwudziestkach.

– Może powinieneś przekazać je na cele dobroczynne czy coś?

James zdecydowanie potrząsnął głową.

– Ryzykowałem karierę w CHERUBIE i życie, żeby zarobić te pieniądze. Poza tym co to jest trzydzieści tysięcy baksów dla korporacji wartej dziesięć miliardów dolarów?

Laura przełknęła powietrze i rozdziawiła usta w nieopanowanym ziewnięciu.

– Różnica czasu – jęknęła. – Spróbuję wytrzymać do kolacji, a potem od razu idę spać.

– No to pewnie zobaczymy się w stołówce – powiedział James. – Muszę napisać to wypracowanie o sonetach... Co to w ogóle są te sonety?

– No ładnie, prymusie, spodziewaj się samych celujących – zakpiła Laura z uśmiechem, ruszając w stronę drzwi.

Kiedy uchyliła je do połowy, znieruchomiła na chwilę, po czym odwróciła się w stronę brata.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która cię pewnie ucieszy.

– Co takiego? – zapytał James.

– To było przedwczoraj – powiedziała Laura, trąc oko pięścią i tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Bruce i Kerry strasznie się pokłócili w hotelu. Wygląda na to, że się rozstają.

EPILOG

Po trwającym siedem tygodni procesie przywódca Street Action Group (SAG) CHRIS BRADFORD oraz były bojownik RICHARD DAVIS (vel RICHARD KLINE) zostali uznani za winnych spisku w celu popełnienia aktów terroryzmu.

Bradford został skazany na piętnaście lat więzienia. W wypadku Davisa sędzia wziął pod uwagę jego wcześniejsze wyroki za terroryzm i wydał wyrok dożywocia z zaleceniem, by zwolnienie warunkowe nie było możliwe przed upływem trzydziestu pięciu lat.

Niezależna rewizja wykazała, że zespół testowy CHERUBA prowadzony przez LAURĘ ADAMS wykonał wartościową pracę, odsłaniając niewydolność procedur, złe wykształcenie i wady projektowe w najnowszym centrum kontroli ruchu lotniczego w Wielkiej Brytanii.

Otwarcie centrum opóźniono o trzy miesiące, podczas których zewnętrzny siatkowy płot zastąpiono solidnym pięciometrowym ogrodzeniem i udoskonalono system nadzoru. Prywatnej agencji ochrony wypowiedziano kontrakt, choć kilkoro jej pracowników, w tym JOE PRINCE, znalazło zatrudnienie u nowego zleceniobiorcy i po wszechstronnym przeszkoleniu powróciło do pracy w centrum

kontroli lotów.

Po mniej niż imponującym pokazie swoich zdolności dowódczych podczas ćwiczeń w Fort Reagan generał NORMAN SHIRLEY został przeniesiony do pracy w służbach niebojowych. Po trzech miesiącach na nowym stanowisku generał odszedł na wcześniejszą emeryturę.

Każde dwutygodniowe ćwiczenia w Fort Reagan kosztują ponad dwadzieścia pięć milionów dolarów, a taktyki zastosowane przez dowódców czerwonych są wnikliwie analizowane przez wojskowych planistów. Choć generał Shirley był oburzony, a generał SEAN O'HALLORAN wielce niezadowolony ze spustoszeń poczynionych na jego lotnisku, amerykańska jednostka planowania strategicznego nazwała nieortodoksyjne i wysoce agresywne taktyki stosowane przez JOSIPA KAZAKOWA wybitnym przykładem walki partyzanckiej.

Kazakowowi zaoferowano znakomicie płatną posadę pełnoetatowego doradcy wojskowego w Pentagonie, którą odrzucił, twierdząc, że jest przywiązany do swojej pracy w CHERUBIE, a poza tym nie mógłby żyć w Ameryce.

Biuro ochrony kasyna Vancouver mogło podeprzeć swoje zarzuty względem nieznanego Rosjanina i jego współnika jedynie zeznaniem recepcjonistki. Ich elektroniczne urządzenia zakłócające i detektory sygnału nie wykryły żadnego rodzaju transmisji radiowej. Policja nie miała podstaw do kontynuowania poszukiwań podejrzanych.

Szef ochrony kasyna doszedł do wniosku, że nowoczesne systemy zabezpieczające w Vancouver mogły zostać oszukane jedynie przez supertajny sprzęt, jakim posługują się agencje rządowe, takie jak MI5 albo CIA, oraz że prawdopodobieństwo, że posługiwał się nim zwyczajny oszust, jest zerowe.

Hotel Vancouver złożył doniesienie na niezidentyfikowanego nastoletniego chłopca, który zniszczył kamerę nadzoru i okno w jednym z wagonów ich kolejki jednoszynowej. Straty oszacowano na trzy tysiące dwieście dolarów.

Rybak DAN WILLIAMS zażądał od hotelu odszkodowania, twierdząc, że zatrzymując pociąg z podejrzaną osobą w środku, obsługa kolejki uwięziła go z niebezpiecznym kryminalistą, całkowicie ignorując kwestię bezpieczeństwa pasażerów.

Williams poszedł na ugodę za trzysta siedemdziesiąt trzy tysiące dolarów. Dwojgu pozostałym pasażerom wagonu, w tym żonie Williama, wypłacono po sto czternaście tysięcy.

DANA SMITH i MICHAEL HENDRY zerwali ze sobą po czterech tygodniach w związku. Michael błagał GABRIELLĘ O'BRIEN, by przyjęła go z powrotem, ale ona kazała mu się wypchać.

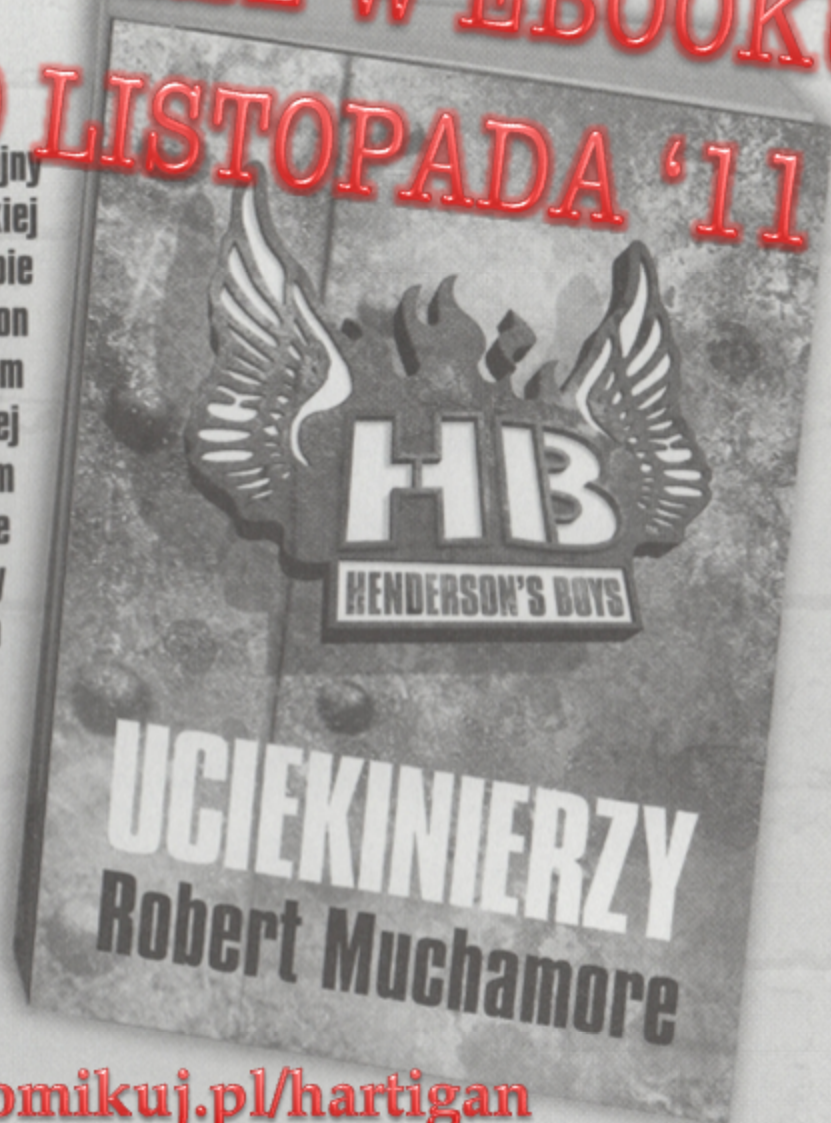
JAMES ADAMS wciąż doskonalił swoje talenty karciane, a najbliższemu przyjacielowi wyjawiał, że ambicją jego życia jest jeździć po Ameryce na harleyu i zarabiać miliony liczeniem kart w kasynach. James podkreśla, że choć w kasynach nie wolno używać sprzętu szpiegowskiego, liczenie kart w głowie jest całkowicie legalne.



Nowa seria książek dla młodzieży Roberta Muchamore'a ucieszy zwłaszcza fanów bestsellerowego cyklu „Cherub”, którego jest znakomitym dopełnieniem. Dla nich „Henderson's Boys”, czyli Agenci Hendersona, to powrót do przeszłości, fascynująca historia początków CHERUBA, tajnej komórki brytyjskiego wywiadu szkolącej dzieci na profesjonalnych szpiegów. Ale ta nowa seria stanowi także odrębną całość, przeznaczoną nie tylko dla czytelników „Cheruba”. To wciągająca, miejscami wstrząsająca, a gdzie indziej pełna humoru historia dzieci, których wojenna zawierucha cisnęła w fascynujące, ale bynajmniej nie cukierkowe życie. Przeżywając pasjonujące przygody, młodzi uchodźcy przechodzą twardą szkołę, stając przed najzupełniej dorosłymi problemami, nieraz popełniając tragiczne błędy i wpadając w kłopoty przez swoje nieodpowiedzialne wybryki, ponieważ nawet przebrane za szpiegów i dywersantów dzieci są tylko dziećmi.

**RÓWNIEŻ W EBOOKU
OD LISTOPADA '11**

Rok po wybuchu drugiej wojny światowej, po pogromie brytyjskiej siatki szpiegowskiej w Europie Zachodniej, Charles Henderson zostaje ostatnim czynnym agentem brytyjskiego wywiadu w okupowanej Francji. Los wiąże go z czworgiem osieroconych dzieci, które bierze pod swoją opiekę. Chciałby zapewnić im bezpieczeństwo i pomóc w ucieczce do Anglii; z drugiej strony małeletni uchodźcy są jego jedyną szansą na wznowienie działalności wywiadowczej i przeprowadzenie operacji, od których sukcesu zależą losy wojny.



Szukaj na: <http://chomikuj.pl/hartigan>



**James Adams ma szesnaście lat, kłopoty sercowe,
a za sobą pierwszą nieudaną misję.**

**Zbliżający się koniec kariery w CHERUBIE skłania go
do rozmyślań o przyszłości. Jednak przez chęć zysku
i swój nieposkromiony apetyt na kłopoty wplątuje się
w aferę, której skutki mogą okazać się opłakane.**

**Szef misji CHERUBA opracował plan, jakiego próżno szukać
w podręcznikach taktyki wojskowej. Grupa młodych agentów
otrzymuje zaproszenie do udziału w grze wojennej,
w której u boku brytyjskich komandosów mają rzucić
wyzwanie amerykańskiej armii.**

**Amerykane nie mają pojęcia, że wśród udających ludność
cywilną dzieci są znakomicie wyszkoleni dywersanci.**

Oficjalnie nieletni agenci nie istnieją.

EGMONT

ISBN 978-83-237-3414-7



9 788323 734147

cena 34,90 zł